

Sztuka to najwyższy wyraz
samouświadczenia ludzkości
/.../
Dzieło sztuki — mikrokosmos
odbijający epokę.

Józef Czechowicz



Cena 6 zł



a

1

1 (75) 1999

akcent

literatura i sztuka • kwartalnik

AKCENT nr 1 (75) 1999



Edward Stachura, Zofia Kossak-Szczuczka – listy
Paczuski, Sawie, Szatrawski, Woronowicz – wiersze
Głowiński, Mirkowicz, Pokraka, Wiedemann – proza
Kochańczyk, Sterna-Wachowiak – esej
Mickiewicz a muzyka

akcent

1 (75) 1999

akcent

1 (75) 1999

Wydawnictwo Literackie
ul. Krakowska 10
00-262 Warszawa
tel. (022) 25 15 15
www.wydawnictwoliterackie.pl

Copyright © 1999 by Wydawnictwo Literackie

Wydawnictwo Literackie

Wydawnictwo Literackie

Wydawnictwo Literackie

Wydawnictwo Literackie

1 (75) 1999

1 (75) 1999

Wydawnictwo Literackie

Na pierwszej stronie okładki:
Jolanta Słominska: *Dzioborożec*, 1998
miesięcznik liter., papierny, 20 x 18 cm

Na czwartej stronie okładki:
Jolanta Słominska: *Kobieta na promieniu światła*, 1998
miesięcznik liter., papierny, 11 x 22 cm

Fotografie barwnie
Sławomir Ciechan

Fotografie pras Jolanty Słominskiej zamieszczone wewnątrz numeru
wykonał: Sławomir Ciechan, Piotr Maciuk oraz Piotr Kubaś

Adres redakcji
20-022 Lublin
ul. Okopowa 7
tel./fax (081) 63 274 69

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótków.

Informacji o przemieszczeniu na kraj i zagranicę udzielają
urzędy pocztowe, „Ruch” SA, „Jed-Press” „Ars Polona”.

W USA „Akcent” rozprowadzany jest przez następujące księgarnie:

Polish American Bookstore, „Nowy Dziennik” – Polish American Daily News,
21 West 38th Street, New York, NY 10018

Sewede Slavic Books, 2233 El Camino Way, Palo Alto, CA 94306

Mira Puzec; „Polonia” Bookstore; 2886 Milwaukee Ave.; Chicago, IL 60618.

We Francji sprzedaż prowadzi:

Librairie Polonaise (Księgarnia Polska), 123 Bd St. Germain, 75006 Paryż.

Wydawca: EDYTOR PRESS Ltd.
20-601 Lublin, ul. T. Zana 38 C

Oddano do druku w marcu 1999 r.
Druk: Multidruk S.A., Lublin, ul. Unicka 4

Cena zł 6,-

JAROSLAW SAWIC
Dziś i jutro

SPIS TREŚCI

- Jarosław Sawic: *wiersze* / 7
Tomasz Mirkowicz: *Opowieść Franka Hare, wicekonsula* / 11
Andrzej Sas-Jaworski: „*Opamiętanie nudności zwyciężonego tycia*” / 20
Krzysztof Pacznicki: *Malgorzata (fragmenty poemata)* / 28
Michał Glowński: *Droga do Druskieniki; Święte obrazy* / 33
Krzysztof D. Szatravski: *wiersze* / 38
Czesław Miłosz: *Szczepaniak; „Cholernie boli mnie pięty od tego myślenia”*.
Wydokówki Edwarda Stachury / 43
Sławomir Pokraka: *opowiadania* / 50
Krzysztof Lutowski: *wiersze* / 56
Alina Kochońscy: *Kresy we wspomnieniach* / 60
Maciej Cisło, Anna Janko: *Razem osobno; Listy z pokoju do pokoju* / 67
Szczepan Woronowicz: *wiersze* / 73
Sławomir Buryła: „*Oni byli estetyczni i dyskutowali na niby*”, *Proza Tadeusza
Borowskiego i Leopolda Buczkowskiego* / 78
Urszula Gierszon: *wiersze* / 89
Sergiusz Sterna-Wachowiak: „*Gniazdeczko na liście i pracownia przeznaczeń*”,
*Poezje Adama Mickiewicza i Karola Wojtyły jako dwie
metafizyki rzeczywistości* / 92
Adam Wiedemann: *Lotta w Krakowie* / 108
Agnieszka Salaska: *Galway Kinnell i potęga formy* / 114
Galway Kinnell: *wiersze* / 119

PRZEKROJE

Poeści, poeci...

Magda Opoka: *Świat stoi przed nami powonem*; Wojciech Kudyba: *Gorzkie
„Przebudzenie”*; Rafał Rżany: *Impracje na kamień wieści*; Jan Wołski: *Między
istnieniem a nicnością*; Wojciech Kudyba: *Dom, dworzec i...* / 125

Prozaicy, prozaicy...

Paweł Przywara: *Sentymentalista Krzysztof Varga*; Andrzej Tchórzewski:
Bolivar bolesny; Piotr Urbański: *Szczecin feministyczny i inteligentki*; Inga
Siepańska: *Mierzenie się z kotem*; Stanisław Rogala: *Lubelska antologia
prozy*; Olga Białek: „*Droga*”, *czyli rzecz o dyplomatach węgierskiego nauczy-
ciela*; Zygmunt Zieliński: *Lublin widziany z ulicy Nadstawnej*; Henryk
Kozak: *Chicago i okolice, czyli tropami emigrantów*; Liliana Zubilska:
Pochwała stworzenia / 133

PLASTYKA

Lechostaw Lameński: *Życiowa pasja. Twórczość rzeźbiarska Jolanty Słomianowskiej / 150*

MUZYKA

Łudwik Gawroński: *Mickiewicz a muzyka / 155*

ARCHIWUM

Mirosława Palaszewska: *Listy Zofii Kossak do Józefa Birkenmajera / 159*

NOTY

Krzysztof Górski: *Po gospodaraku. Wurykartkie inwestycje Jana Pawła II / 167*

Wacław Wołyński: *Poczet dostojników Kościoła Katolickiego w Polsce / 169*
Edyta M. Niedziak: *Słownik encyklopedyczny teatru / 171*

Edyta Królik: *Triumf portugalskiego pisarza / 172*
Książki jak piosenki. Z Pawłem Krapką, poetą, prozaikiem, tłumaczem – rozmawia Jerzy Grupiński / 174

Janusz Kukliński: *Anatema na śmierć Kazimierza Grześkowiaka (1941-1999)*
Cytowane z Edwarda Stachury / 175

JAROSŁAW SAWIC

Duńska baśń

Prawdziwa Calineczka rodzi się w kwiecie haszyszu
sypia w kolysec z kapsla coca-coli
i parska na widok lupiny włoskiego orzecha.

Szybko i z własnej woli opuszcza dom rodzinny
aby zamieszkać z synem odzilgłej ropuchy
na uszywnionych płatkach nenufara.

Oczywiście nie jest zbyt wierną żoną
prawdę mówiąc zdradza Ropucha w każdej wolnej chwili
aż ten – biedaczysko – wpada w alkoholizm.

W poniedziałki i środy przed dom Calineczki
wiśniowym cadillakiem przyflywa Pan Kret
i razem odjeżdżają do podziemnej dazy.

W przyciemnionym świetle mlecznych zyrandoli
Calineczka pięści witrażem paznokcia
na zawsze tajemniczą powiekę Pana Kreta.

Je konfitury z kawioru mielone ziarno soi
popija to wszystko kropelką „Malibu”
a przed północą maluje rzyśy na szkarłatny kolor.

Pan Kret jest politykiem socjaldemokracji
prowadzi agitację w ciężkich kłosach zyla
tłum myszy oklaskuje jego nosowy głos.

We wtorki Calineczka spotyka się z Chrabąszczem
to rekin finansary ma fabrykę nasion
każdej jesieni ogłasza upadłość swej firmy.

Ostatnio poznała młodego dyplomata
Jest piękny pochodzi z południowych królestw
ma mechaniczną jaskółkę pachnie słodkim fiołkiem.

W niedzielne popołudnie wyszywy bohaterowie
baśni spotykają się w Kopenhadze trzcinie
oprócz Ropucha – w płatek rzucił się do pustej studni.

Pałą okrucy tytoniu pija gryczaną wódkę
topiące swoje marzenia w maleńkich kieliszkach
i czekając aż tydzień znacznie się od nowa...

Bajka

Poza zewnętrznym podobieństwem
(zresztą dosyć dalekim)
właściwie nic nie łączy szarańczy z cykadą,
Ta pierwsza zakuta w chitynową koleżkę
wraz z watahami owadzych nomadów
puszty południowe rubieże cesarstw roślinności
pali wioski lodg
gwalci dziewicze żyłki listków
jest dzika i okrutna.
Cykada przeciwnie
brzydzi się przemogą
w ciepłe lipcowych wieczorów śpiewa madrygały
ponad wszystko ceni sobie piękno.
Jak to więc możliwe
że cykada tak często
na brunatnym werblu swego odwłoka
wyznacza szarańczy rytm bojowych marszów
a nawet co gorsza
komponuje na jej cześć migotliwe ody.

Włos Belzebuba

Piękne są kwiaty i piersi kobiece
przepiękny grecki nos
lecz najpiękniejszy na całej planecie
jest Belzebuba włos.

Długi jak skąpstwo czarny jak chciwość
giętki jak kauczuk zdrad
ma zapach hieny kolor łapówki
i luzosstwa smak.

Zatem się nie dziw, że na nim siedzą
nie demoniczne psy
i nie szatańskie gnoimy Zlego
lecz zwykłe małe wszy.

Protest song

Imagine there's no heaven
wietnamskie dzieci giną w płomieniach
więcej przyjdzie ci to łatwo
musimy pomóc wietnamskim dzieciom
wysłemy im ciastka nadziewane marihuaną
bardzo dużo ciastek z bardzo dobrym grassem

może dzięki temu zapomną o wojnie
przyłącz się do naszej akcji
give peace a chance.

Podróż do Katarakty

Już w dylizansie barwnym jak labirynt tęczę
siedzą wiotkie havany i cordoby thuste
od zielonych wzgórz czola aż po ogród rżes
rosną im chwasty lęku i smutku nasturcje.

Tysiąc smutnych nasturcji to mało dla czarta
który powóz rozbił gąsienicą swęj szpony
wkrótce woźnica w płaszczu Humphreya Bogarta
uderzy batem siwe casablanki konie.

I ułożą cordoby z placzu skłity tren
a havany z godnością będą stać na głowie
podróż do Katarakty jest krótką jak sen
wystarczy tylko zamknąć ciemne strychy powiek...

Wszystko dla Lancelota

Spójrz na swoich przyjaciół
człowieku z Jeziora.
Parcewał się oenił ma syna własny zamek i zapewne dożyje w spokoju
sta dwudziestu lat.
Gawain ma setki kobiet jego mnóstwo wina i nikt mu z tego powodu
nie czyni wyrzutów.
Tristan prawdopodobnie nie żyje ale wszyscy minstrele grają na harfach
jego pieśni.
Galahaad o którym mówią że jest twoim synem (choć za to pewnie
lgarstwo)
odnalazł świętego Graala i tym samym jeszcze za życia dostąpił
zaszczytu
rozmowy z archaniołami.
No i wreszcie Artur on jest królem do diabła z królestwem Artur
ma Ginewrę.
Cóż ci zatem pozostało?
Palma pierwszego rycerza Logres?
Nie można być jednocześnie wojownikiem kochanikiem
artystą i świętym.
Jest jedno wyjście:
Zacznijmy od porwania Ginewry
potem wystarczy już tylko zabić Gawaina
nie kontaktować się z Parcewalem
o utworach Tristana mówić że są nie nie warte
i w końcu wstąpić do klasztoru.

Zyska się przy tym jeszcze niezwykle cenny efekt uboczny
– przrenikliwość wzroku samego Mordreta...

Sherlock Holmes a Freudowska teoria snów

Wiatr grał Paganiniego na szybach okien Baker Street...
Lady Wellington za pomocą rokokowego świecznika usmierciła swego
męża – sir Haralda...

We wschodniej części Fulham stary Joe Nożownik zademonstrował
próbki swego kunsztu...

Z siniofioletowego nieba płynęła woda...

Inspektor Lestrade wyznaczył właśnie sto funtów nagrody za pomoc w
ujściu niejakiego Hyde'a...

Doktor Watson rozpruwał brzuchy w poszukiwaniu ślepych kiszek...

W knajpie „U Trevora” ktoś ukradł kufel irlandzkiego piwa...

Pekate doróżki przesuwały się po mokrych ulicach...

A Holmes jest sam

śpi na ciemnozielonej kanapie

w oparach nikotyny i fajkowego tytoniu

śni mu się paczka fig którą ukradł gdy był małym chłopcem ze sklepu

z towarami kolonialnymi

mord na niewinnym szczerze

oraz prawdziwa rzeź jaką zgotował kilkunastu komarom

(w obronie własnej)

próbą szantazu na koleodze z gimnazjum

napastowanie nieletnich dziewcząt

i wiele innych ciemnych spraw których nigdy nie odnotowano

w kronikach kryminalnych.

Potem już tylko mgliste obrazy:

Samotna cyklistka

pięć pestek pomarańczy

człowiek na czworakach

pies Baskerville

Samotna cyklistka

pięć pestek pomarańczy

pies Baskerville

harpun Czarnego Piotra

szczęść popiersi Napoleona

Samotna cyklistka

człowiek na czworakach

pięć pestek pomarańczy

blękitny karbunkul

pies Baskerville

Samotna...

Aż do przebudzenia.

Jarosław Sawicki

TOMASZ MIRKOWICZ

Opowieść Franka Hare, wicekonsula

Na studiach przyjaźniłem się z Murzynem. Obaj pochodziliśmy z biednych rodzin, dlatego przyjaźniłem się razem. Poza tym obaj byliśmy kombinatami; mogliśmy studiować tylko dlatego, że walczyliśmy w wojnie koreańskiej, inaczej nigdy nie byłoby nas stać. Jim miał talent do języków, jednakże na Columbia studiował, tak jak ja, nauki polityczne.

Pewnego razu powiedział mi, że jeszcze jednemu białemu kumpelowi, u którego było kruchy z fosa, że wie, jak możemy zbić kupa szmala.

– Jak? – zapytałem obaj.

– Czyszczyć buty – odparł.

Bill i ja zaczęliśmy się śmiać, bo czyszczenie butów to ciężka harówka, w dodatku kiepsko płatna, w tamtych latach, jeśli ktoś chciał mieć wypastowane buty, płacił pięć centów.

– A jeśli każdy klient będzie wam płacił dolar?

– Niemożliwe! – wykrzykniliśmy.

– Możliwe – rzekł – Możliwe, jeśli zgodzicie się czyścić buty w Harlemie. Zgodziliśmy się. Byliśmy chyba pierwszymi białymi pucybutami, którzy czyścili buty czarnym. Ale mieliśmy pełno klientów i wszyscy chętnie bułili po dolcu. Ja i Bill zamieściliśmy w tej wulkan: ale ci czarni są durni, że chcą nam tyle płacić! I gratulowaliśmy Jimowi swanego pomysłu. Ale to my byliśmy głupi, bo nie rozumieliśmy, że jemu chodzi o coś więcej. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak ważny jest dla godności Murzynów fakt, że biali czyścili im buty, nawet jeśli robią to nieudolnie. Jim mówił później, że z naszego powodu zapanowała w Harlemie moda na te wycażone buty. Pewnie żartował, chociaż nie zdziwiłbym się, gdyby to była prawda.

Jeszcze później wyjawiał nam, że zdjecia białych pucybutów rozprowadzono na Południu. Czy sobie wyobrazasz, jakie wrażenie musiały robić na Murzynach w tych stanach, w których wciąż obowiązywała segregacja? Oddzielne miejsca w autobusie, oddzielne toalety, oddzielne bary, na każdym kroku coś, co przypomina, że jesteś kimś gorszym, a na zdjecia, na których dwaj biali kłęczą przed elegancznie ubranymi czarnymi i czyśczą im buty. Te zdjecia to był dyment! Nie wiem jak Bill, ale ja jestem szczerze głupi, że przychyliłem się choć trochę do obalenia barier rasowych, nawet jeśli uczyniłem to niewiedomie.

Pod koniec studiów Jim bardzo akrywnie zaangażował się w walkę o równouprawnienie; jeździł na Południe, spotykał się z Martinem Lutherem Kingiem, o którym przypuszczalnie było głośno i w Polsce, kiedy trzy lata temu dostał pokojową Nagrodę Nobla. Ale Jimowi wadziło, że King jest baptysta, w dodatku kaszodzięją – mój przyjaciel uważał chrześcijaństwo za obcą religię, narzucaną amerykańskim Murzynom w czasach niewol-

nictwa przez białych właścicieli. Po studiach zerwał z Kingiem i wstąpił do Czarnych Muzułmanów; przez pewien czas, podobnie jak Malcolm X, był jednym z najbliższych współpracowników Elijaha Muhammada. Potem jednak doszedł do wniosku, że Murzyni, zwłaszcza amerykańscy, nie powinni przechodzić na islam, gdyż jest to religia Arabów, a przecież to głównie Arabowie urządzali polowania na Murzynów i sprzedawali ich na targach niewolników. Zdaniem Jima, amerykańscy Murzyni powinni powrócić do swoich afrykańskich korzeni.

Obecnie, kiedy Murzyni noszą fryzury afro, a niektórzy poddają się operacjom plastycznym, żeby nadać swojemu nosom bardziej afrykański charakter, pomyślnie Jim nie wydaje się taki zdziwiony. Ale jeszcze dzisiaj nie ma temy dla dialektu murzyńskiego co nie do pomysłu.

Trudno im się dziwić; wciąż pamiętali, jak niefortunny wypadki pierwsze kontakty Murzynów amerykańskich z Afryką. Miałam na myśli Liberię. Nie wiem, czy ci wiadomo, że ta najtwardsza republika na kontynencie afrykańskim powstała w wyniku przesiadania wywołanych niewolników ze Stanów Zjednoczonych. Wtórcie okazało się, że wbrew idealistycznym oczekiwaniom Jeffersona, Madisona i Monroe, ani asymilacja osadników, ani ich pokojowa koegzystencja z ludnością miejscową nie wchodziły w grę; różniły ich język, religia, kultura, obyczaj – spraszać była po prostu zbyt wielka. Krowe walczyły trwały do końca ubiegłego stulecia, aż wreszcie nabyły zostali kalkowie pokonani i pozbawieni wszelkich praw. W latach trzydziestych wybuchła głośniejsza afera, kiedy wyszło na jaw, że są wyśniami do niewolniczej pracy na hiszpańskich plantacjach kakao na wyspie Bioko. Pieniądze z tego procederu czerpał potomkowie czarnych amerykańskich osadników, a prezydentem i wiceprezydentem na czele. I chociaż grupa ta stanowiła zaledwie trzy procent ludności, nadal pozostaje w władzy. Na szczęście, dzięki licznym amerykańskim inwestycjom, po drugiej wojnie światowej sytuacja tubylców zaczęła się powoli poprawiać.

Jim uważał, że w Liberii czarni osadnicy zbłądzili na samym początku, usiłując cywilizować i nawracać miejscową ludność w taki sam sposób, jak czynili to biali kolonizatorzy. Jemu natomiast chodziło o coś zupełnie przeciwnego: o odrzucenie wartości białych, o powrót do tradycyjnych afrykańskich obyczajów i wierzeń. Publicznie wprawdzie nie głosił tak radykalnego programu; twierdził tylko, że pragnie wzbudzić kulturę czarnych Amerykanów o afrykańskie pierwiastki. Ale ja znałam prawdę.

Główny problem polegał na tym, co zresztą wytknęli mi inni czarni przywódcy, że Afryka to mozaika setek grup etnicznych, podzielonych na tysiące plemion. Różnią się językiem, obyczajami, wierzeniami, strojem. Nie ma czegoś takiego, jak kultura czy religia afrykańska. Tymczasem przez lata niewolnictwa większość amerykańskich Murzynów utraciła wiedzę o swoim etnicznym pochodzeniu. Mogłoby stworzyć na swój użytek jakąś syntetyczną panafrykańską kulturę, lecz czy miłoby to było?

– No bo sam się zastanów, Jim – mówił mi znajomi. – Wyobraź sobie białego, który pewnego dnia decyduje się nosić po „europejsku”, więc wkłada szcoką spódniczkę w krzate, obchodzi drewniak i francuski beret. I co? Wygląda jak idiota! A ty też, czernis, żebyś się ubierał według tej samej zasady, tyle że po afrykańsku.

Na tego rodzaju argumenty Jim odpowiadał, że strój jest rzeczą drugorzędą, jemu chodzi o sprawy znacznie ważniejsze. Natomiast o tym, czy

istnieją wartości wspólne dla wszystkich afrykańskich grup etnicznych, trudno się przekonać jedząc hamburgery i popijając coca-cole. Kilka dni później powiedział mi, że wyjeżdża do Afryki.

Oburzył się, gdy radziłem mu, żeby pojechał do Ghany, pierwszej kolonii brytyjskiej, która właśnie uzyskała niepodległość; uważałem, że człowiek z jego wykształceniem niewątpliwie będzie tam przydatny. Odparł, że miejscowi Murzyni nie do tego wyrzucają białych, aby zastąpić ich czarnymi Amerykanami; takie postępowanie groziłoby kolejną Liberią. Kiedy wspominałem, że Nkrumah spodział dzisiaj lat w Stanach i nawet wykładał na amerykańskiej uczelni, Jim oznajmił mi, że w czasie tego powodu widział przyzwołego Ghany w barzdo pomarszczonej twarzy.

– Jak zapewne wiesz, Nkrumah, zanim został obalony w zeszłym roku, doprowadził kraj do ubóstwa i gospodarczego chaosu. Kiedy przejął władzę, Ghana miała pół miliarda dolarów rezerwy; kiedy jego trządy upadły, była zadłużona na miliard. Przepowiednie Jima spełniły się co do jedy. Nie jestem przekonany, czy fakt, iż pierwszy prezydent Ghany spędził kilka lat w Stanach, rzeczywiście miał na to wpływ. Ale kto wie? Może istotnie zanadto się oderwał od swoich afrykańskich korzeni, może niepotrzebnie zapatrzył się na nasze gwiazdy i austruady, może bez sensu zaczął marnować pieniądze na promieniowanie i siebie amerykańskich szwaczów?

W każdym razie Jim nie wyjechał do Ghany. Postanowił nie jechać do żadnej kolonii, w której znajdowałoby się przydatne. Chciał się porozumiewać z tubylcami wyłącznie w ich językach, które – ufny w swoje zdolności – zamierzał w krótkim czasie opanować na miejscu. Ostatecznie zdecydował się na Ubangi-Szari, jedno z czterech terytoriów Francuskiej Afryki Równikowej. Liczył, że tam, w samym sercu kontynentu, najprędzej trafi na plemiona nie skłone kontaktami z zachodnią cywilizacją i poza prawdziwie afrykańskie wartości.

Niedługo po wyjeździe Jima podjąłem pracę w departamencie stanu i zostałem wysłany na placówkę do Peru. Gdy po trzech latach zjawiliem się w Nowym Jorku, okazało się, że Jim zdążył w tym czasie wrócić z Afryki, ale po kilku miesiącach znów wyjechał, tym razem do Nigerii.

Nasz wspólny przyjaciel Bill powiedział mi, że Jim po powrocie z Republiki Środkowoafrykańskiej – taką nazwę przyjęło terytorium Ubangi-Szari po uzyskaniu niepodległości – znajdował się na skraju załamania nerwowego. Bill długo musiał ciągnąć go za język, zanim Jim wręczył mi, co zasłu.

Otóż wkrótce po przylocie do Bangui dowiedział się o poznanego tam przypadkiem szwedzkiego etnografa, że najbardziej prymitywne plemię, na jakie ten kiedykolewki się natknął, mieszka w wysokie poloninie nad brzegiem niewielkiego jeziora w północno-wschodnim rejonie kraju. Bill nie zapomniał ani nazwy plemienia, ani jeziora. Nie było łatwo tam dotrzeć; Jim musiał przez kilka tygodni przedzierać się przez dzungłę.

Na wioskę składało się zaledwie dwadzieścia kilka okrągłych glinianych chat, stojących blisko brzegu. Były bardzo skromne, podobnie jak ubiór członków plemienia; mężczyźni i kobiety nosili tylko trzewiczone spódniczki oraz proste bransolety i naszyjniki, wykonane z koralików, nasion i zębów hipopotamów. Większość tubylców była przeraźliwie chuda, jakby nie jadła od dawna, ale zachowywali się bardzo przyzwoicie i nie mieli nic przeciwko temu, żeby Jim zamieszkał wśród nich. Gdy na migi wyjszł, o co mu chodzi, przydzielili mu pustą lepiankę.

Mieszkańcy wioski nie uprawiali ziemi, nie tkali, nie rzeźbili w drewno, nawet nie polowali. Ich jedynym zajęciem i jedyną rozrywką było chodzenie nad jezioro i obserwowanie stada baraszkujących w wodzie hipopotamów. Siadali na brzegu, krzyczeli, klaskali i oblizywali się, pokazując sobie palcami co tłuszczejże sztuki. Kiedy Jim zadenotował im na mięgi, że hipopotamy można zabić i zjeść, pokiwali entuzjastycznie głowami, obliczając się jeszcze bardziej energicznie. W końcu Jim nie wytrzymał: wyrwał dzięć najbliższemu wojownikowi i zamierzył się na obalenie tutaj hipopotamicę, która wyszła z wody i bezczelnie ułożyła się na nim za ledwie kilka metrów od miejsca, w którym siedzieli. Tużyłby natychmiast zerwał się na nogi, pokrzykując gniewnie; zamiarkował, że z jakichś powodów na hipopotamy polować nie wolno.

W miarę jak poznawał język mieszkańców wioski, sprawa zaczęła się klarować. Oóż na hipopotamy mogli polować tylko przez jeden dzień w roku. Tego dnia musieli zabić tyle sztuk, aby suszonego mięsa starczyło im na rok, było ono bowiem podstawą ich egzystencji. Dzień szupchniali namionami i korzonkami – w okolicy nie rosły żadne drzewa owocowe – a czasem rybami, które łowili ościeniem, brydząc po pras w wodzie. Ponieważ jednak nie mieli łodzi i sieci, ryby stanowiły rzadki dodatek do jadłospisu. Jeśli nie udało im się upolować dostatecznej liczby hipopotamów, pod koniec roku przymierali głodem.

Teraz głodovali już od kilku tygodni, ale zbliżał się dzień wielkich łowów. Kiedy wreszcie nadszedł, Jim ze zdumieniem ujrzał, że każdemu z uzbrojonych w dziły wojowników czarownik przyczepia do nosa kamienne kółko, a właściwie koło. Najroślejzy wojownik, który podobno rok temu zabił trzy hipopotamy, dostał jako znak wyróżnienia kamienną obcęż ważącą z dziesięć kilo. Inni mężczyźni otrzymali mniejsze koła, ale nawet najbliższe ważyły kilogram. Dopiero tak obciążeni wyruszyli na łowy, każdy podtrzymując kamienną ozdobę wiszącą mu u nosa. Ten z największym kołem oddał dzięć bratu i podtrzymał tylko koła oboma rękami.

Jak można było oczekiwać, wyniki polowania były niszczące. Wojownicy zabili co prawda tuzin hipopotamów, ale jak na roczny zapas żywności dla całej wioski nie było to wiele. Jim nie miał wątpliwości, że przez znaczną część roku znów będą cierpieć głód.

Mieszkańcy wioski też zdawali sobie z tego sprawę, bo choć zaraz po łowach urządzili wielką ucztę, już nazajutrz zaczęli skargliwie wydziać jedzenie. Najbardziej zdziwilo Jima, że nawet dzieci nie próbowały podkraść pociętego na pasy mięsa hipopotamów, które przez wiele tygodni suczyło się na rastuwaniach wzniesionych na srodku wioski.

Po upływie dziesięciu miesięcy tużyłby byli tak wycieńczeni, że stłaniłi się na nogach; niektórzy nie mieli siły wstać z pośnania. Jim przeraził się, że jeśli następne łowy okażą się równie nieudane, wiele członkom plemienia będzie groziła śmierć głodowa. Z ich opowieści wiedział zresztą, że zdarzały się tak chude lata, iż umierała ponad połowa mieszkańców wioski.

Postanowił do tego nie dopuścić. Nie chciał namawiać tużyłków do zlamania tabu, co przypuszczalnie i tak nie dałoby rezultatu, ale usnał, że nie stoi na przeszkodzie, aby w najbliższy dzień łowów zabili dwa razy więcej hipopotamów niż przed rokami. Jedynie, czego potrzebowali, to brzoń palna.

Najął dwóch tużyłków jako tragarzy, po czym wyruszył do najbliższego miasteczka, gdzie kupił dziesięć sztucerów i zapas amunicji. Po powrocie

do wioski rozdał sztucery najlepszym wojownikom i zaczął ich ćwiczyć w strzelaniu. Kiedy wreszcie nadszedł upragniony dzień łowów, byli gotowi.

Choć czarownik znów obciążył wojowników kamiennymi kołami, nastąpiła istna rzeź hipopotamów. Wyszoklieni przez Jima mężczyźni zastrzelili sześćdziesiąt siedem sztuk, w tym same z młodymi. Jim próbował ich powstrzymać, lecz nie chcieli go słuchać. Zdołało uciec nie więcej niż czterdzieści zwierząt.

Tużyłcy urządzili wielką ucztę, trwającą wiele dni. Ale Jim był przerażony. Zrozumiał, że jeśli za rok tużyłcy wystyrzają resztę hipopotamów, to kiedy skończą im się zapasy suszonego mięsa, wszyscy wygną z głodu. Dając myśliwym do ręki sztucery, zachował delikatną równowagę między sytością ludzi a wielkością stada. Nie bez powodu mieszkańcom wioski wolno było polować tylko raz w roku, i nie bez kozery czarownik obciążył najlepszych wojowników kamiennymi kołami. Jeśli wioska miała w ogóle istnieć, jej mieszkańcy musieli niedojadać.

Jim pozostał w wiosce jeszcze przez kilka tygodni, cały czas zastanawiając się, co robić. Miał ochotę pokazać tużyłcom, jak się buduje łodzie i wypłata sieci, aby mogli skuteczniej łowić ryby. Nie widując jednak, czym ta kolejna ingerencja w ich życie mogłaby się skończyć. W końcu zniszczyć w nocy wszystkie sztucery i ucieki, nie żegnając się z nikim.

W drodze do Ameryki rozważał, czego zdołał się nauczyć podczas pobytu w wiosce. Podania i wierzenia mieszkańców dotyczyły hipopotamów. Jeśli hipopotamy i caciłi hipopotamy. Był pełen podziwu dla wytrzymałości tużyłków, że nie zjadali całego zapasu mięsa od razu. Wydawało mu się też niestawomite, że tak sprawnie dzielili żywność, aby wszyscy mieli po równo. Ale jaka mógł wyciągnąć z tego naukę przydatną dla ciarmlch Amerykanów? W końcu musiał się przyznać sam przed sobą, że żadna. Znamarował czas, a przy okazji omal nie doprowadził do zagłady wioski. Gdy to sobie uświadomił, niewiele brakowało, żeby zalał sam się psychicznie.

Jego przrygnięciem pogłębił fakt, że w wiosce postanowił dziewczynę, w której się zakochał. Była szupchna i bardzo piękna, choć w własnych oczach uchodziła za brzydactwo, gdyż jej wiecznie głodni pobratymcy uważali, iż naprawdę urodziwa kobieta musi być tużta jak hipopotam. Dłatego, gdy zaopatrzeni w sztucery myśliwi wystyrzali ponad pół stada, dziewczynka zaczęła tak się objadać, że w ciągu pięciu tygodni ułożyła prawie trzydzieści kilo. Jim miał ochotę zabrać ją do Ameryki, ale wiedział, że na nie się zdadza jego argumenty: będzie jadała i tyła, jadała i tyła, dopóki nie przemieni się w monstrum. Potrzeba jedzenia bez ograniczeń wówczas, kiedy żywności jest w bród, była w jej przypadku genetycznie uwarunkowana.

Jim mówił też Billowi, że bliższych mężczyzom oddzielał od afrykańskich kobiet dwie bariery: pierwsza to kolor skóry, druga to poziom cywilizacyjny. Powodują one, że biali mężczyźni traktują poznaime w Afryce Murzynki jako egzotyczne istoty i nie myśla o tym, żeby wiązać się z nimi na serio. Dla niego, Murzyna, istniała tylko jedna bariera: cywilizacyjna, bo jeśli chodzi o kolor skóry, afrykańskie kobiety nie różniły się od jego znajomych w Stanach. W dodatku były równie piękne i pociągające. Jednakże obując z nimi miał wrażenie, jakby cofnął się w przeszłość, zwłaszcza w wiosce czuł się jak Janke na dworze króla Artura. To tak, jakby nagle

Billowi czy mnie było dane obcować ze starożytną Greczynką lub damą z renesansu.

Byłem wtargnięty usłyszana historia i oczywiście ogromnie współczułem Jimowi. Bill powiedział mi jednak, że po kilku miesiącach spędzonych w Stanach nasz przyjaciel otrząsnął się z przygnębienia i postanowił ponownie wyjechać do Afryki.

Uznał, że popełnił błąd skazując prawdziwych afrykańskich wartości i jednego z najprymitywniejszych plemion. Jechał mi się czegoś nauczyć w Afryce, to tylko od grupy emigracji, która sama, bez pomocy białych, osiągnęła wysoki poziom cywilizacji, tak jak Akanowie lub Jorubowie. Ostatecznie zdecydował się na zamieszkiwanie południowy wschód Nigerii lub Ibo.

Z przejęciem opowiadał Billowi, że Ibowie, którzy przez wieki żyli głównie z rolnictwa, dzielił uprawy pochryzn, maniok, kaszawę, bataty, banany, plantany i palme oleistą. Ich tkaniny, rzeźby i maski – zwłaszcza te wykonywane na potrzeby kultowe tajnych stowarzyszeń – są chlubą każdej zachodniej kolekcji sztuki afrykańskiej. Co prawda wielu Ibow nominalnie jest katolikami, ale nie odstąpili od wierzeń i obyczajów przodków. Jim miał nadzieję wiele się od nich nauczyć.

Po placówce w Peru skierowano mnie na dwa lata do Europy Wschodniej i przez ten czas nie miałem żadnych wieści o Jimie. Po powrocie do Stanów znowu spotkałem Billa; powiedział mi, że Jim wciąż przebywa w Nigerii. Korespondowali bardzo rzadko, ale w końcu mnie więcej sprzed roku napisał, że postanowił żyć jak tubylcy; osiadł w wiosce, założył rolę, uprawia pochryzn i jest szczęśliwy.

Kilka miesięcy później zaproponowano mi wyjazd do Lagos. Zgodziłem się natychmiast. Po przyjeździe do Nigerii napisałem do Jima na poście restante w Bori; taki właśnie adres pod Billowi.

Po paru tygodniach nadeszła odpowiedź. Przyjaciel wyczerzył się z mojego listu. W pierwszej chwili chciał od razu przyjechać do stolicy, ale potem pomyślał, że lepiej zrozumieć, jakim teraz jest człowiekiem, kiedy zobaczę, gdzie i jak mieszka. Dlatego prosił, żebym go odwiedził. Zamieścił szczegółowe instrukcje, jak dotrzeć do jego wsi. Na koniec wspominał, że od kilku dni ma gorączkę, ale to nie poważnego, a na pewno wydobrzeje do mojego przyjazdu.

Chciałem wybrać się w najbliższy weekend, ale potem znajomi zaprosili mnie na safari do Okitipapa. W następnym tygodniu okazało się, że nie mogę opuścić stolicy, bo akurat przyjeżdża amerykański senator. I tak, zanim się obejrzałem, minęły prawie dwa miesiące.

W końcu jednak poleciałem awionetką do Port Harcourt, tam wynająłem samochód z kierowcą. Droga była bardzo kiepska, lecz bez problemów dojechaliśmy do Bori, następnie do Kone. Polecieliśmy kierowcy, aby zjechał na mnie do jutra, po czym z jego pomocą – i zgodnie z instrukcjami Jima – wynajęłem łódź z silnikiem. Właściciel łodzi chciał mi towarzyszyć, ale ponieważ w młodości nieraz pływałem motorówką, wolałem zapłacić więcej i popłynąć sam.

Brzezi porastała gęsta, nieprzemakalna dzungla; tylko gdzieś gdzieś widać było na skraju wody skupiska prostych chat na palach, a czasami miałem rybaków w prymitywnych czółnach. Cieszyłem się na myśl o rychłym spotkaniu z Jimem, choć zarazem czułem się trochę jak Marlow płynący na spotkanie z Kurtzem. Nie wiedziałem, jak bardzo mój przyjaciel

zmienił się przez te lata. Wreszcie ujrzałem wysoką skalę w kształcie ludzkiej głowy, narysowaną przez Jima w liście. Zaraz za skalą znajdowała się niewielka zatoczka; zamocowawszy łódź, ruszyłem ścieżką w stronę widocznych w oddali chat krytych palmowymi liśćmi.

Gdy dotarłem do wioski, natychmiast otoczył mnie tłum nagich, rozkrzyżczanych dzieci. Najwyraźniej nie chodziło do szkoły, bo nie mówili po angielsku, wolały tylko w kółko:

– Ibo! Ibo! Ibo! Ibo! Ibo! Ibo! Ibo! Ibo! Ibo! Ibo! Ibo!

W tym czasie nie rozumiałem jeszcze nawet tak prostych słów, więc jedynie kręciłem bezradnie głową. Kiedy jednak zacząłem powtarzać wyrażenie „Jim, Jim”, dzieciaki bez trudu zrozumiwały, o co mi chodził, i powiodło mi się do obszarnej chaty znajdującej się na końcu wioski. Zapukałem, a gdy nie było żadnej reakcji, wszedłem do środka. Od razu uderzył mnie w noszła dość nieprzyjemny zapach, ale pomyślałem, że w tego rodzaju domostwach to pewnie normalna rzecz.

W chacie nie było nikogo. Nie miałem jednak wątpliwości, że trafiałem pod właściwy adres, gdyż na zbież z desek prostej półce ujrzałem kilka naciąganych amerykańskich książek. Dochodziła czwarta po południu, uznałem więc, że Jim niedługo wróci. Usiadłem na niskim pościu i zacząłem czekać.

Rozglądając się dookoła, zwróciłem uwagę na trzy drewniane rzeźby. Pierwsza przedstawiała dzwignego stwora z ludzkim ciałem i głową psa lub szakala, który na wysokości brzoza trzymał ludzka czaszkę. W przylgniętym kawałkiem szkła otworze wyciętym nieco wyżej bieleła się skopnka jajka. Druga rzeźba przedstawiała kłęzącą kobietę o trzech piersiach. Szczyt i talę miała ponabijane gwóźdźkami, rzęce uniesione do góry. Szczyt rzeźby, jakby się uśmiechała, lecz jej twarz zdawała się emanować okrucieństwem. Nieprzyjemne wrażenie potęgował fakt, że w każdej dłoni trzymała ludzka czaszkę. Wdrzygnął mi się i przenikłem wzrok na ostatnią rzeźbę. Była to siedząca na niskim stołku postać mężczyzny z baranimi rogami. W prawej ręce ścisnął nóż, w lewej obciążał ludzką głowę. Przeniknął mnie chłód.

Czas mijal, a przyjaciel się nie pojawiał. Wziąłem z półki książkę i zacząłem przeglądać. W pewnym momencie miałem zasnąć, bo kiedy oknałem się, to chacie znajdowały się trzy kobiety. Siedziały w północy i rozmawiały cicho.

Przemówiłem do nich po angielsku, ale tylko się śmiały, kręciły głowami i mówiły coś we własnym języku. Choć angielski jest w Nigerii językiem urzędowym, wadażką nim tylko mieszkałcy większych miast. Na prowincji często nie sposób się porozumieć, jeśli nie zna się lokalnych narezczy. Jednakże kobiety kilkakrotnie powtórzyły mi „Jim”.

Wszystkie trzy były młode i ładne, mimo że trochę jaśniej jak na mój gust. Domyśliłem się, że to żony mojego przyjaciela. Wartece rozpality ogień przygotowały posiłek – rybny z ruszta polane pikantnym sosem oraz poczęte na plasty smażone plantany. Dawno nie jadłem tak smacznej kolacji.

Robiło się coraz później, a Jima wciąż nie było. Kobiety tezerwały się i polozowały na pościu. Zaczęły dawać mi znaki, żebym też się rozbrał i polozował razem z nimi, ale nie skrzyżowałem z zaproszenia. Ciekawe, że Jim ich jeszcze nie nauczył, że gościnność ma pewne granice! – myślałem, uśmiechając się w duchu.

Nie wiedziałem jednak, co robić. Czy wsiąść do łodzi i wracać do Kone, czy zostać do rana? Jeśli Jim wyjechał na kilka dni, to tylko marnuję czas. Byłem wściekły na siebie, że nie zawiadomiłem go listownie o przyjeździe, ale ostatecznie zdecydowałem się przenocewać w chacie. Postanowiłem, że odpłynę jutro w południe, jeśli Jim nie pojawi się do tego czasu. Położyłem się w ubraniu na klepsku i niedługo potem zapadłem w sen. Zbudził mnie chrobot. Już wczesniej widziałem stojący na środku chaty gliniany garnek, odwrócony do góry dnem, ale nie zwracałem na niego uwagi. Teraz nie miałem wątpliwości: to właśnie spod niego wydobywał się dziwny odgłos. Gdy włączyłem latarkę, którą miałem ze sobą, ujrzalem w jej blasku szmar obryzmich mrówek. Jedne wędrowały od ściany chaty do glinianego garnka; inne wracały, dźwigając jakieś smakołyki. Zaintrygowany, podszedłem do naczynia i je podniosłem.

Pod spodem znajdowała się ludzka głowa. Nadziła i obgryziona przez mrówki głowa mojego przyjaciela! Krzyknąłem i upuściłem garnek, budząc kobiety, które wzięłam za żony Jima. Teraz byłem raczej gotów sądzić, że to wyznacznicy jakiegoś krwiożerczego kultu. Wybiegłem z chaty i zacząłem gnać przez wioskę w stronę rzeki. Na szczęście nikt mnie nie gonił. W zatoczce zepchnąłem łódź na wodę, wskoczyłem do środka, włączyłem silnik i ruszyłem do Kone.

Noc była jasna, więc płynąłem szybko; po niepełna godzinie dotarłem do celu. Spytalem o posternek policji, ale najbliższy był w Bori. Odszukałem chatę, w której nocował kierowa, obudziłem go i kazałem się tam zawiązać.

Tak jak się spodziewałem, młody porucznik, który kierował posternikiem, mówił biegle po angielsku. Pewnie był zły, że przez mnie musiał wstać w środku nocy, ale nie dał nic po sobie poznać. Przekleństwo miałem w że wsi położonej na brzegu rzeki, godzinę drogi podziemia motorową od Kone, zamordowano mojego przyjaciela, czernego Amerykanina, ogromnie się przejął. Jak się okazało, nie miał Jima osobicie, ale stykał o nim wiele dobrego. I oczywiście wiedział, o którą wiesz chodzi.

Porucznik poprosił, żebym zaczął w Bori do jego powrotu, po czym wyził dwóch ludzi, wsiadł do wynajętego przeze mnie wozu i ruszył do Kone. Akurat świtało, kiedy odjeżdżał.

Wrócił około południa, przywoząc ze sobą wodza wsi, w której mieszkał Jim. Porucznik poinformował mnie, że przeprowadził drobiazgowo śledztwo, którego wynik nie pozostawiał żadnych wątpliwości: mój przyjaciel zmarł z przyczyn naturalnych. Ponad dwa miesiące temu zapadł na jakąś tropikalną chorobę; bardzo długo niedomagał, a tydzień temu wyzionął ducha. Zgodnie ze starym miejscowym rytuałem, stosowanym w wypadku śmierci wodza lub ważnej osobistości, Jim zakopano na środku chaty w pozycji siedzącej, tak aby jego głowa wystawała nad ziemię. Po pewnym czasie, gdy mrówki oczyszczały czaszki z mięsa, zostanie umieszczona wśród czaszek wodzów w chacie, w której zbiera się starszyzna plemienna. Czaszki te pomagają radczym w podejmowaniu słusznych decyzji. Porucznik sam był chrześcijaninem i pierwszy raz zetknął się z takim obyczajem, ale mówił, że wszyscy przesłuchiwani przez niego mieszkańcy wioski twierdzili, że to dla zmarłego wielki zaszczyt.

— A te rzeźby trzymające czaszki?! — zawolałem. — Zwiąszcza ta, która przedstawia męczyżnę z nożem w jednej ręce, a obcięta głowa w drugiej? Czyż nie świadczy o istnieniu w wiosce krwawego kultu?

— Nie, nie — zaprotestował. — To znaczy, dawno temu wojownicy lbo

niewątpliwie obcinali wrogom głowy. Co do tego nie ma dwóch zdań. Ale rzeźba, o której pan mówi, to typowa *ibero* lboów, personifikacja męskiej siły. Zapewnia właścicielowi sukces na wojnie, na łowach i w handlu. A jeśli jest rólkiem, to obfite zbiory. W tej okolicy niemal w każdej chacie znajduje się taka rzeźba.

Milczący dotąd powiedział coś do kolejkę. Ten słuchał chwilę, po czym skinął głową.

— Wódz pyta, czy nie zechciałby pan zająć miejsca Jima i zamieszkać w jego chacie? Mógłby pan, tak jak on, szyć radą całej wiosce. Wodzy już pana widzieli i, jak mówi wodz, nie mają nic przeciwko temu.

Odparłem, że dziękuję, ale nie mogę, muszę wracać do Lagos. Kiedy policjant przemawiał wodzowi moje słowa, ten pokiwiał głową i znowo coś powiedział. Okazało się, że chce mi dać pamiątkę po Jimie.

Wyśladziłem z budynku i podeszłem do wynajętego przez mnie samochodu. Kiedy porucznik polecił kierowcy, żeby otworzył bagażnik, wodz wyjął z niego zamknięty kosz i wręczył mi z niskim ukłonem. Obdwajaliśmy ukłon. Byłem pewien, że w środku znajdują się książki Jima albo jego rzeczy osobiste. Porucznik i policjanci uśmiechali się do siebie. Najwyraźniej nie mieli wątpliwości, że prezent wodza sprawi mi radość. Gdy podniosłem pokrywkę, ujrzalem głowę mojego przyjaciela.

Upuściłem kosz i zacząłem krzyzczyć. Nie jestem tchórzem, walczyłem na wojnie, nieraz widziałem trup. Ale jeszcze nigdy nie widziałem czegoś równie obydnego jak gnijąca głowa Jima, z twarzą do połowy zżartą przez mrówki!

Kiedy wreszcie zdołałem się uspokoić, porucznik zaczął mnie przeproszać i tłumaczyć, że wszyscy chcieli jak najlepiej. Choć czaszka Jima miała być umieszczona w chacie, w której zbiera się starszyzna, wódz postanowił mi ją podarować, aby wynagrodzić mi fakt, iż przyjechałem do wioski na próżno.

Przez chwilę zastanawiałem się, co robić. Mogłem zabrać głowę Jima do Lagos i wysłać jego rodzinie w Stanach, aby wyprawili mu normalny pogrzeb, ale uznałem, że mój przyjaciel powinien spocząć tam, gdzie spędził najszczęśliwszą latka swojego życia, a więc w Nigerii. Mogłem, oczywiście, kazać zakać głowę na jednym z miejscowych cmentarzy chrześcijańskich, ale pamietałem, że Jim nie uważał się za chrześcijanina. Po dłuższym namyśle doszedłem do wniosku, że gdyby dano mi wybór, pewnie chciałby, żeby jego czaszka trafiła na półkę w chacie, w której zbiera się wioskowska starszyzna. Zwrociłem głowę Jima wodzowi.

Po dziś dzień mam wrażenie, że postąpiłem szlachnie. A jednak ta cholerna głowa wciąż mi się po nocach.

Tomazs Mirkowicz

Fragment powieści *Przełęczka do Ziemi Świętej Egiptu*, która ukasze się wkrótce na kładach Wydawnictwa W.A.B.

ANDRZEJ SAS-JAWORSKI

„Ogarnia nudność zwyczajnego życia”

Preludium

Kto nie lubi Iwaszkiewicza, niech sobie ten tekst odpuści. Szkoła nerwów. Ja skłopotowałem jego styl życia, wybrałem erotyzm, cenę zarówno prozę, jak i subtelna poezję, choć 40 lat temu bałem się tego „świętego satyra” i zwałem przy pomocy kamerdynera Władka przed perspektywą nocy na słynnej skórzanej kanapie w Stawisku. Tyle o niej plokowania. Ale Stawisko polubiłem, zwłaszcza jego cygańsko-psią atmosferę i specyficzny Iwaszkiewiczowski mikroklimat znany z kilku opowiadań mistrza. Jeśli dodać do tego niebywałą dobroć i otwarcie na młodych pani Anny – dom ten był pociechą nie tylko dla etatowych frustratów, ale także dla tych raczkujących w samodzielnym myśleniu, tworzeniu, skłóconych z kanonami aktualnej mody w literaturze, w malarstwie i w muzyce.

Coś z tej aury zostało do dziś, chociaż gdy zwiędziałem dom jako muzeum, za śmierci gospodarzy, z pokoiów uleciał już zapach ludzi, psów i dość podłej kuchni. Jedynie niezasurżona piezemblobowana jadalnia i niekiedy fragmenty pokoiów kojarzyły mi się z gospodarzami tego uroczyska. No i zbiór pięknych płócien i grafik, zwłaszcza obraz *Pacalowiek Jadaśka*, przed którym wysłuchałem Jarosławowego monologu o lojalności w przyjaźni. Gdy siedziałem na bąkopolu, że wina za śmierć uczucia może leżeć w nas, nie w przyjaciółch naszych, popatrzyłem na mnie z ogromnym smutkiem w oczach i pozostał mi załobniony w ogromnej sypialni z tym wstrętnym pseudorenesansowym łóżem odłanym z żelwa.

Ten siedemnastowieczny obraz nieznanego autora okupił Iwaszkiewicz od Pawła Hertza, który uprzednio nabył go za grosze podczas likwidacji Muzeum Dziedzięcich w Łwowie.

Dom

Obydwałe Iwaszkiewiczowie nie lubili swego domu, buntowali się przeciwko jego stylowi architektonicznemu, nieprzystawnej obcości, holowi pełnemu trofeów myśliwskich teścia, wreszcie przeciw kłopotom związanym z jego utrzymaniem. Moim zdaniem sporo było w tym pozerstwa. Ten „kłopotliwy” prezent ślubny S. Lilpola wraz z 45 ha ziemi („Nie daję więcej, żebyście nie mieli kłopotów z reformą rolną”) młodzi małżonkowie przyjęli pomóc bez specjalnej radości, w co raczej wątpię. Dopiero znacznie później dom stał się bliski, gdy był ostoją nie tylko dla właścicieli, rodziny, ale także dla polskiej elity kulturalnej prześladowanej przez gestapo, a tuż po powstaniu warszawskim i później przylatkiem dla wielu intelektualistów. Bywało, że do okupacyjnego śniadania zasiadało 20 osób i choć wypisane po francusku menu robiło wrażenie wyrafinowanymi nazwami potraw, to biesiadnicy zajadali owiankę z pędą chleba, popijali „erzac” kawy i herbatę z suszonej marchwi. Ale systematycznie sprzedawane parcele wydzielały z majątku gospodarzy pozwoliły na wyżywienie i finansowe wsparcie kilkadziesiątu, jeśli nie więcej osób.



Neoklasycytyczny fronton domu w Stawisku od śleci wjazdowej. Fot. autor, 1997.

W tych trudnych wojennych i powojennych czasach dom stał się wybaczeniem, był piękną, dla wielu warszawiaków stał się latarnią na oceanie siemiedzielnego powojnia.

A ojciec pani Ani bardzo chciał uszczęśliwić majątkiem swoje dzieci. Znając włoskie ciągoty i szlacheckie pochodzenie zięcia, zlecił opracowanie projektu siedziby S. Gądzkiewiczów i w 1928 roku ukończono budowę nie do dworu, ni to pałacyku o dwóch obliczach. Fasada od bramy wjazdowej wyrażnie neoklasycytyczna, przypomina ziemiańskie rezydencje Galicji i dawnych kreów Rzeczpospolitej. Niepodzięką jest natomiast kapryśne rozwinięcie bryły od strony lasu i nasłonecznionej krawędzi skarpy, z wielkim tarasem na piętrze oświetlona werandą pod nim, na wysokości parteru. Takie układy placzyczyn, tyle że z frontu, często spotyka się np. w sadmorskiej Ostii, aż pod Rzymem, gdzie powstało to moje skopiarzenie stylu tamtejszych willi i rozwiązania architektonicznymi południowej strony domu w Stawisku.

Ale nikt nigdy tej obszerniej siedziby nie określił mianem pałacu czy chociażby willi. To był zawsze dom... i tak do dziś zostało.



„Włoska” strona domu od południa. Fot. autor, 1997.

Dopiero po kilku latach pomieszkawania w Stawisku obydwójce Iwaszkiewiczowie docenili dr teściwa, a najpiękniej scharakteryzują go Anna: „Dom to było prawdziwe życie, to co się tam robi, otoczenie prostych ludzi, ich życie, nasze życie wcale od tamtych nie przedzielone żadną przepaścią. Czuliśmy to, ale nigdy tak silnie, jak w czasie okupacji. (...) myślę, że okres wojny, te niewygody, ostatnie miesiące pod sam jej koniec, to najciekawszy, najlepszy okres w naszym życiu”.

Ucieczki

Zszarymi kłopotami domowymi, ciągłymi najazdami przyjaciół i znajomych, monotonią „brzydkiego podwarszawskiego pejzażu”, a głównie chyba z chęci poznania nowych twarzy, innych niż domowe wznosił, począł Iwaszkiewicz ze Stawiska uciekać. W czasie okupacji hitlerowskiej doszedł jeszcze jeden powód – ucieczka od koszmarnego życia i permanentnego stanu zagrożenia. Choć wtedy wyjeżdżał pod strachem, „że coś się zmieni w czasie mojej nieobecności”, o co nie było trudno.

Podróże uwielbiał od zawsze, ale oczarowanie Wisłą, zrodzone być może w czasie jego pierwszego pobytu w Kazimierzu Dolnym w 1914 roku, nasiliło się zwłaszcza w okresie okupacji hitlerowskiej, gdy o żadnych większych wozach nawet się nie marzyło. „Zaczęło się od wyjazdu statkiem o czarnym, dąbystym łwicie w stronę Płocka. Od tego czasu zostało we mnie zamalowane do podróży statkiem po Wiśle i do niezwykłej egzotycznej jej charakteru”. „Nie mogę wyjść z podziwu... że się nic nie zmienia i jak tu dopiero widzi się prawdziwą dzikość naszego kraju. Płyne się jak przez jakąś pustynię, od tego stopnia wszystko jest odmieńnię od rzeki... Ta Wisła opuszczonego, rozlewna, spleśniona i spleciona, tworząca mielizny, zatok i zatoczek, dlaczego jest taka bardzo polska z tymi dzikimi kaczkami, z czajkami i rybitwami, szara, szara, zielonawa?”

„Nasze ubóstwo... nigdzie nie jest bardziej widoczne niż na zamiełbanej orzecz kraj – Wiśle”. „Piękna i smutna jest Wisła” – pisał w 1937 r., dodajmy dziś... zatruta i coraz częściej kapryśna.

Podróż pierwsza (4 października 1940)

W taki sposób podróżowała zapewne Scarlett po Missisipi. Ze stolicy płynęło się przy najlepszym układzie dobie, z licznymi postojami, których powody były najrozmaitsze. A to półtoragodzinna rewizja w Dęblinie, kiedy indziej oczekiwanie na łódź szmuglowników, a często też na kasyjety „ym razem od zmierzchu do północy, bo innego światła nie ma” (1).

Zachwyłem nad Kazimierzem nie ma końca po 26-letniej niebytności, mimo że teraz uchodził on za „alte urdeutsche Stadt” i nawet Goebbels miał ochotę na budowę rezydencji z widokiem ku Wiśle. Jednak „nigdzie bardziej nie czuje się Polski co tu, między Puławami a Sandomierzem”. Nawet naróżna kamieniami z tzw. gdańska, niby wzorowana na jakimś oryginalnie w Gdańsku, ma typowe cechy architektoniczne lubelskiego renesansu, przysadzistego, „akurduplonego” jak twierdzi jeden z lepszych i dowcipniejszych architektów współczesnych (prosił o dyskrecję, więc nazwisko zatajam).

Ta polskość to rozlewna Wisła, tu w Kazimierzu pełna głębi i wirów, „głęboprogłowa”, okresowych nagłych wzebrań i wylewów, którym nawet Rynek nie może się ostać. To profci ludzie żyjący w rytmie przyrody a nie okupacyjnych realiów.

Z wili Antoniego Michalska, gdzie Iwaszkiewicz zamieszkał, roztacza się jeden z najpiękniejszych widoków przelotu Wisły przez przepiękne kredowe skały otulające białą w słońcu, żółkniacę, matowio po deszczu. Z tarasu podziwianie urzekające zachody słońca, niebiaśwałe konfiguracje chmur przedburzowych, jesienne dymy wlokące się dolną rzeką od Janowa.

Czasem wpuśczone gości do pracowni malarskiej na piętrze, na ogół niechętnie pokazywane. Czulo się brak goni domu, za którą gospodarz ponoć się rozglądał. We wspomnieniach o Hannie Merkwicz-Oleczkowej Iwaszkiewicz

kiewicz snuje domyślały o romanse pana Antoniego z filigranową wówczas córką wydaną dzieł naszych pisarzy: ... Antek Michalak twierdzi, że kochał się w niej namiętnie. I jakóż nie wyszło z tego małżeństwa – podobno stary Merkwicz sobie nie żyzył. Antek Michalak ... najlepszy opowiada. Polski najgorszy malarz... godzinami może opowiadać o tym narzeczeństwie. Gdzie tu prawda? Nie wiem. Wszyscy byliśmy młodzi i szaleni. Trudno to pomyśleć dzisiaj patrząc na siwe włosy i pękającą figurę Hłaneczki. Ale tyle w niej jest z dawnych rzeczy (...) Kazimierza nad Wisłą (...) że lubię nawet



A. Michalak. Portret Iwaszkiewicza, sanguina, 1958.
Zbiory rodzinne Michalaków w Kazimierzu Dolnym.

patrzyć na nią”. Po tej przygodzie pozostało panu Antoniemu zamieszkanie do pewnego typu urwody: piętko blond włosów, błękitne oczy, drobny nos i wdzięczna sylwetka. Gdy niedawno rozmawiałem z Januszem Michalskimi w jego kazimierskiej galerii i ucieśniamy się na widok znakomitego rysunku

twarzy kobiecej o rysach jego matki – uśmiechną się, zaprzeczają moim przypuszczeniom co do matki i skłówiają stwierdzeniem: taki ty urody ojciec preferował. Mimo że od „słodkiego dziecka” z Manowiczki, a właściwie jej ojca, korza dostaje.

Słowa Iwaskiewicza, „najgorszy malarz”, są oczywiście żartem. Szerf Bractwa w. Łukasza, prof. Tadeusz Pruszkowski, plasował Michałaka-ojca w czołowych swoich uczniach, tuż za umiowanym Gotardem, zastroszonym podczas ucieczki z warszawskiego getta. Razem z Prusem.

Podróż druga (18 lipca 1941)

Kolejna wyprawa „okrętami” do Kazimierza trwała dłużej niż pierwsza. Wiele godzin czekano niby to na mierzlino za Dęblinem na tajemniczą łódź z wozami ładunku i milkiowymi pasażerami. W taki sposób „na dziko” transportowano czarny brzoń, medykamenty i żywność dla partyzantki działającej w rejonie Kazimierza i Janowca, przed wykonaniem planowanych akcji sabotażowych.

Iwaskiewicz z córką Teresą zaintrygował się w „Białym Dworcu” Filipkowskich, wokół którego postawiono kilka domków campingowych. W jednym z nich, tuż przy malinaku, zamieszkiwał tajemniczy lokator, którym w każdej chwili groziła ucieczka przed niewspodziewanymi gośćmi. Nie wiadomo, kim był – ukrywającym się Żydem czy działaczem konspiracyjnym.

W ogrodzie były jeszcze ślady „teatru greckiego”, amatorskiego, ale żywo działającego w latach trzydziestych. Gościła tu aktorzy z Lublina i Warszawy, grali w sztukach pensjonariusze oraz młodzi kazimierska. Jedną z moich znajomych do dziś wspomina przystojną Wandę Grochowską (uczniaczką nie tylko z dziesięcymy wdzikiem, ale profesjonalnie. O tym w *Notatkach 1939-1945* nie ma ani słowa, choć żyjący członkowie rodziny Filipkowskich wątpią, żeby gospodyni nie pochwaliła się panu Jarosławowi swoją działalnością teatralną, pełną sukcesów zresztą. Wnuczek gospodarki, córka rozżalonej Wandy, śliczna Ewa ledwie zauważyła, natomiast domostwo estetycznego wstrząsa na widok jej narezczonego Karola Lipińskiego, socjologa, współredaktora „Płomienia” i „Odnowy”, działacza konspiracyjnego (ZNAŚ).

„Poznałem tutaj pewnego młodego chłopca (...) Jest bardzo ładny, chociaż niewysoki, z grzywą czarnych włosów na czole (...) Jest to jeden z najciekawszych umysłów, jakie spotkałem nie tylko w ostatnich czasach, ale w ogóle. Przede wszystkim zadziwiająca dojrzałość jak na takiego smarkacza i to nie tylko w kwestiach naukowych czy społecznych, ale nawet czysto życiowych. Zdumiewający stosunek do kobiet (...) obtrzymuje oczynianie (...) Jest socjalistą, przy czym wielbicielem De Manta (...) Co za szczęście, że istnieją jeszcze takie jednostki jak on! (Karol – przyp. A.S.-1).

De Man, filozof belgijski, którego Iwaskiewicz poznał w Brakelsi, początkowo socjalista, później przeszedł na narodowy socjalizm. Szkanął został w 1946 roku na 5 lat więzienia za profaszyzowską postawę podczas niemieckiej okupacji. Uciekł do Brytanii, gdzie zmarł w 1953 r. Iwaskiewicz nie miał o nim dobrego zdania jako o polityku, dyplomacie i filozofie. Jednak Lipiński i jego warszawscy przyjaciele zaczęli czytać i w dyskusjach De Manta i usilowo realizować pewne jego koncepcje. Pan Jarosław postanowił to całe konspiracyjne towarzystwo poznać bliżej. Miał dla nich w styczniu 1942 r. wykład o poezji polskiej, po którym wysnuł refleksję dość żalona: „Dlaczego mimo to wrócić nie mogli”, mimo dzieł i autorów znanych, o których mówić. Chyba tak spowodowały okupacyjną rzeczywistość przeszerstającą okrucieństwem i podłością kowalską, o czym dotąd polska poezja traktowała. Nie był to zachwycony „konspirator”, zdawkowo wspomina wstrząsa w Siwaku Ewę i Karola jak małe matulonki. Jakby dawny czar trochę przyszedł. Myślę, że także za sprawą listu Karola, w którym mimo zdaniem wyraźnie „faszystuje”, „Europa powstanie tylko wtedy, kiedy powstaną nowi Europejczycy – jak mówi De Man”. To zapewne musiał być szok intelektualny dla Iwaskiewicza, który dla człowieka, pisarza i poeta był przecież łącznikiem między epokami kulturalnymi przed i po wojnie.

Sądząc, że gdyby Lipiński przeżył okupację, byłby znakomitym działaczem (wodzem) każdego systemu totalitarnego, które zawsze zrywają z przeszłością i na jej gruzach budują, na ogół nieudolnie, ten wyimaginowany świat i za każdym razem nowe społeczeństwo.

Fedeliem poglądy Iwaskiewicza wyrażony w *Nowelach wrocławskich* o „wiecznym pierwiastkach naszego bytu, z których wypływa nasz istotne celowościowość. Miłość, przyjaźń, przygoda – najstarsze elementy opoziacji, stały się dla mnie najważniejszym wynalazkiem”. W powolno do *Notatek 1939-1945* Andrzej Zawada zauważa, że między cytowanymi *Nowelami* i *Notatkami* „literyzowany zostaje delikatny związek zasadający się na wpisaniu w obydwieli kulturalno-przeżyciowej o niemożliwości intelektualnych aspiracji człowieka gwarantujących trwałość i triumf kultury”.

Kto nie szanuje przeszłości, nie jest godzien swych przyszłości – mawiał Józef Piłsudski.

Podróż trzecia (lipiec 1942)

„Cień czarnych skrzydeł musnął nas po czole – i odleciał.” Trzecia podróż była pechowa, bo w towarzystwie folklojdzkiej i jego rodziny. Ten od początku zainteresował się warszawiakami o elegancji okupacyjnej. Ogromnym wzrostem Iwaskiewicza dostrzegła wysokość kłosa Wanda Telłowska w butach jak podłoki zbrodziej od architektki Tadeusza Zielińskiego z przyjaciółmi wyróżniającymi się ubiorem w stylu „młodej architektury”. A że jeszcze towarzyszyło to dopiewkowi do durnego i dżubrę wypaszonego folklojdzkiego, co zapewne choć częściowo słyszał, narodził się spaliłkowi, który wysiadł w Dęblinie, gdzie telefonował i w Pulawach odbyła się rewija, szeregówko, połączona z reżaniami, które gestapowców rozniezionych upalem zapewne zmudziły i wreszcie zostawili naszych podróżykujących w spokoju.

Nawet sprzecznoci w kenkarce u Iwaskiewicza (sadownik) z jego piarsztwem, na którym gestapo go przylapalo, uszyła płazem, choć piarsz sugerował, że jedzie po drzewka owocowe (w lipcu!) do Kazimierza.

Miasteczko powitało ich swojako, litemi-nostalgicznie. Ciekawie, że mimo częstych spotkań u Michałaka, autor *Notatek* słowem nie wspominał o gospodyni tego domu, Marii z Chylewskich, na której ślubie z panem Antonim rok wcześniej świdawakowa, bawół się na haczym wreszcie we dworzec w Zagłobie.

A pani Maria była osobą co prawda niezwykłej skromności, oddaną sokołowicie mejowi, później też dwóm synom, sara emnencją w ciemni kochanego małtonka, sknerowanego i przykrogo niekiedy. Jak mi kiedyś wyszło, byłbyż ona też nie potulnego wrobla. Wiele, wiele wybaczała. Była osobą bardzo inteligentną i oczynaną. Przyjaźniłymi się przez ostatnie 10 lat jej trudnego, oraz bardziej niedołączającego syna. Nasze rozstanie kosztowało mnie sporo nerwów: „Panie Andrzeju, ja już odchuję i tracę chęć do życia, jak trędowaty. Chcę, żeby mnie pan pumiał tak, jak teraz, a nie w stanie jeszcze gorszym. Ale na pogrzeb pan przyjdzie!”.

Szedłem ze ścięniętym sercem na szarym kołku połączną jedną z najzłaźniejszych Dam Kazimierskich. Nie doczekała się ani portretu, ani nawet szkicu sangwina, choćby swego czasu pan Antoni tak szczerze odobrowywał swoim przyjacielu, choćby Iwaskiewiczów.

Ostatnie zdjęcie pani Marii wykonalem w 1987 roku. Mojej żonie, Elżbiecie, zasugerowała kiedyś, żeby dopilnowała, bym zdążył ją zrobić पासом w stylu „quattrocento” z uwagi na wyraziste rysy twarzy. Mile to i... zabawne, choć sztuczkiem zawiewa.

Kazimierz leży częściowo w dolinie Grodzarza, najniższej części rzeczki w Polsce, która wylewała po słynnych „złupach kazimierskich”, czyli po nagłych nawalnicach burzowych, zanikła zupełnie po ujęciu jej w dolnym biegu w kamienio koryto. Otóż na spacerze wzdłuż tej dzikawczej strugi Iwaskiewicz notuje: „W zeczenie, zaraz za rynkiem, leży wielka pergaminiowana księga zapisana hebrajskimi literami. Niki nie chce jej wyciągnąć z płytych, brudnych łab, woda spłukuje litery... jak to zwykłe było po deszczu. W pogodnie dni struga prawie wyluska i księga leży spokojnie”.

To był rok 1942, tuż po likwidacji kazimierskiego getta. Osiem lat później, gdy Kazimierz odwiedził Schneiderman, w owym czasie dziennikarstwa amerykańskiego, ale tu wrodzony – sijał ten sam widok. Później księga zniknęła – ustawałem ją odszukać, ale za radą zaprzyjaźnionego pana Tomczyka zrezygnowałem, bo jego zdaniem oparte tomisko woda zmioła do Wisły. Wraz z zapisami narodził, ślubów i zgonów Żydów kazimierskich, podobno od pierwszych przybyszów w XIII (7) wieku.



Pani Sabina Królikowska, pamiętająca wizyty J. Iwaszkiewicza w Białym Dworcu.
Fot. autor, 1998.

Zaskakująco była indolentna mieszkać w mieście, którzy na pewno wygiętnieby 5 złotych za brudów Grodzaru, no ale... księgi? W czasie okupacji teren był podobno pod ostrzałem snajperskim. A przez późniejsze osiem lat? Że też Iwaszkiewicz czy Michalak jakoś energicznie nie zadziałali w tej kwestii. Dziwne. A może jednak ktoś księgę uratował? W biurze gminy są tomy zawierające najstarsze wpisy o społeczności żydowskiej z okresu po powstaniu styczniowym.

Treścią podróży do Kazimierza zaowocowała także uroczonością *Listów z Lipca*, czytanych głośno pierwszym słuchaczom, wśród których byli Ewa Grochowska i Karol Lipiński. Iwaszkiewicz, myszujący nadal wokół osoby i pochodzenia Karola, sugeruje, że jest on kazimierszanie i nosi zupełnie inne nazwisko! Mieszając tu ryzykuje bardzo, bo zna go każde dziecko. Nie udało

mi się dociec prawdziwego nazwiska Karola, wśród żyjących potomków rodziny Filipkowskich pamięć o nim jest zadziwiająco kłopotliwa.

Nie utrwalił się też w pamięci pani Sabiny Królikowskiej, dziś 94-letniej babuni, niegdyś aktorki w Teatrze Greckim i częstego gościa w pensjonacie, od którego mieszka 200 metrów w górę wawozu Małachowskiego. Nie pamiętają go także inni lewicy kazimierszanie, co świadczy, że Karol był jednak dobrze zakomponowany. Pani Sabina wspomina, że od właścicielki pensjonatu pobierała lekcje francuskiego, a Ewa z narazaniem życia przewioła do Wyszawy i ukryła dwojkę żydowskich dzieci legendarnej już nauczycielki, pani Wiszni, która w 1941 roku uciekła przez Wisłę do Janowca, bo tam jeszcze było mieszkańców w komorach gazowych w Treblince.

Wspomnienie smutnym w mgiełce papierosowego dymu nie było końca. W pamięci, podobnie jak i ja, jest niekonformistka od przeszło pół wieku. Nalóg nam szkodzi, ale daje przyjemność i jest dobry w chwilach nerwicy, na chandry, duchotę i zlewę kazimierską, na takąż nudę i obłudę. A zaczęła śnić w czasie okupacji hitlerowskiej, ja zaś, gdy zmarł towarzyszył Stalin, ale nie z rozpaczy, wręcz przeciwnie. Gdy zalewicie dwa lata temu likwidowała swoje gospodarstwo i zmiała sprzedać ukochaną krowę, stara, ale jeszcze dobrze mleczna, przeczyła jeden z najsumniejszących dni w swoim długim życiu. Zgłosiła się dwóch kupców. Ten spod Opola Lubelskiego chciał krowę nabyć na rzeź, pilno mu było, dobrze płacić. Ale pani Sabina chciała jednak pupilkę sprzedać na chów, nie na rzeź. Krasuła przyszykująca się targom odwaca głowę ku właścicielce, z wielkich smutnych oczu spadają łzy. Lize jej spracowane, wykręcone reumatyzmem dłonie. Obydwie płaczą, i mimo że gospodyni całe życie pracowała w księgowości i zna wartość pieniądza – sprzedaje krasułę rolnikowi z sąsiedztwa za Kępską cęcę, ale z gwarancją, że zwierzę będzie żyło. Wieszorem ktoś łomocze w okno chłapy pani Sabiny. W maroku majczy się łeb krasuła... Połowę resztki życia він odda za tę miłość, ale zatrzymać jej nie mogłam. W głowie się kręci, nogi odmawiają posłuszeństwa. Wzruszenie, niezdarnie gasimy papierosowe pety.

A na czytaniu opowiadania Iwaszkiewicza byłam – zmienia temat.

Gdy podczas czytania *Listów z Lipca* spoglądał na Ewę i Karola, zadrzeł im serody, młodoci, pańi, bunta... Ścisła mi się serce niedobrym przeczuaniem. Iż ich, młodych, nie dozna nigdy tych gorzkich uczuć – króćmżnają w sobie ziarno słodyczy. Rozczarowanie, rezygnacja, powolne zachodzenie. Oni chyba odejdą gwałtownie, z gniewem w sercu i niewyrozumiałości. Gdzie jest więcej szczęścia? Niemożność przerzucenia mostu między starymi i młodymi..."

O śmierci gwałtownych tych młodych, pięknych i gniewnych przeczuć go nie omýliło. Ewa zginęła w powstaniu warszawskim, Karola zamakali faszyści w 1944 r., gdy likwidowali więzienie na zamku w Lublinie. Onakolich tym samym dyktowały Iwaszkiewiczowski staności. Rozdział między nimi, a naj-młodszy mi coraz głębiej, zaczynają mnie nienawdzić. To dobrze, tak powinno być, jeśli chcemy dokądy dojść. Nie wolno się zatrzymywać".

Znam ten ból, wąpięć jednak, czy tak być musi, choć wiosem racjonalny, że nie powiem ewolucyjny. Sądzę jednak, że szaleństwa młodości (a chyba i głuportu tego okresu w życiu) z wiekiem bledną, przechodzą w refleksję snutą z doświadczenia, a której młodość nie chce zerpać, wolał błądzić, kaleszyć siebie i innych na zdobywaniu walecznych, tych samych zresztą co poprzednie pokolenie, doświadczeń. Wałe to nie przypiesza ogólnego trendu rozwojowego.

Andrzej Sas-Jaworski

Cytaty w cudzysłowach pochodzą z esejów J. Iwaszkiewicza: *Księga moich wspomnień* (1975), *Podróż do Polski* (1987), *Notatki 1939-1945* (1991), *Marginalia* (1993).

KRZYSZTOF PACZUSKI

Małgorzata (fragmenty)

Prolog

Szczyty Senir i Hermon porosły szafranem.
Przeleżał wzdłuż strumienia stado owiec.
Kaźdą z nich dwa jagnięta nastąpi przy sobie.
Słońce drogę rozbiła znad stoków Ammana.

Winnice słodkim śpiewem wiatru usypiane,
dokąd lot gołębiczy rozkaże ci zmierznać,
przebudzą się sierpniowym opasane nowiem
i drżące będą czuwać, śnić nadejście Pana.

Sulamito, podążaj białych owiec śladem,
dokąd lot gołębiczy rozkaże ci zmierznać.
Tam kwitną wiecznie wonne ogrody i sady.

Od dziś do ciebie będzie wyłącznie należał
sen niewydziony, marzeń najjaśniejszy diadem,
wejść śmiało, Lilio Dołin, w domostwo Pasterza.

Popatrz, niebo się chmurzy. Pierwsza kropla deszczu
w kąkicach ust zastęga w śnieżny kryształ soli.
Promień słońca w obręcznie zamigotał jeszcze,
białym ogniem ją rozgrzał i stopił powoli.

Zarak strycyki piorunów zawisną i jasność
toporem wół rozplata najśliczniejsze drzewo
i zaśnie ten, kto czuwał, zbudzi się, kto zasnął,
a ziemia będzie drżała od płaczu i gniewu.

Utapią pod tarasem grzmotów wrota świata.
W przęgi Ksiąg Ciemności w długi, czarnym płaszczu
podtrwó ci słowami: witaj Małgorzato,
bądź dziś w nocy królową, uczyni nam ten zaszczyt.

*

Popatrz, niebo się chmurzy. Lecz nie bój się śmierci.
Ona nie boli bardziej, niż słońcem pokute
oczy. Mniej śmierdzi także od palonej sierci
i dźwięk wydaje cichszy, niż depnicze butem.

Spal swą słubną suknię. Wyrzuć wór pieniędzy,
a kołyskę dziecięcą przynieś na brzeg rzeki.
Zaczerpnij wody w dłonie, umaczaj w niej język
i włosy swoje dobrze natrzyj zabim skrzykiem.

Kołyskę spuść na fale. Gdy zniknie w szuwarach,
usłyszysz niewomlewcę płacz, albo krzyk kaczkci.
Jak ryba bruchem błysnie rzeki zimny szmaragd
i skończy się twój poród, zanim bół się zacznie.

Wnet stągwie się napelniaj po brzeg mocnym winem
o barwie rubinowej, głębokiej jak pamięć
i rozkażesz, by kielich twoje płynu przynieść
młodzieńcowi o głosie smutnym jak aksami.

A kiedy pusty puchar rzucony za siebie
ze śmiechem się rozsypie drobnitkami łzami,
wtedy włosów twych dotknie gwiazdnych ławic grzebień
i chłopak w noc wybiegnie, a ty pójdziesz za nim.

*

Tam, gdzie się kończy pamięć, jest początek drogi
i narodziny bólu trwającego jak potok.
Tam po raz pierwszy we mnie rozmawiała z Bogiem
i ścierała trzy słone dziecięcym kłopotom.

Któs potem obcą dłonią dotknął twoich piersi
i rozpalł ci włosy niebieskim płomieniem.
Odąd marzałeś często o pieszczołach śmierci,
widząc cień białej róży wbity szpadlem w ziemię.

I wreszcie nadszedł spokój, znalazł cię splakana
i brakiem słońca nocy czerni, i przerzanie
thumaczył. Uwierzyłaś, oddałaś mu ciało,
odtąd w poduszce gorzkie chroniłaś marzenia.

Lecz bądź pewna, że jeszcze świeci twoja Gwiazda,
że odnajdziesz ją kiedyś, jak zgubioną perłę,
bo musi istnieć, jeśli dźwięczy nazwa,
i biel gdzieś musi krwawić, gdy czerni się czerwien.

*

Popatrz, niebo się chmurzy. Właśnie w takiej chwili,
gdy gaśnie słońce, ziemia spód nog się usuwa,
czyjeś gorące usta poczujesz na szyi.
Po pierwszej części ongi nastąpi część druga.

Popatrz, niebo się chmurzy. Wiatr, cichy wielbielcu,
kolczykiem szepu będzie nakrwał two uszy.
Nie odpychaj go, szep nie przemieni się w wycie,
a wycie w płacz, a płacz ten do płaczu ci zmusi.

O świcie, kiedy rosa ostudzi powieki,
a słońce siwe cienie wymieści pod ścianę,
pająk sam nad twą twarzą roztoczy opiekę
i w ścień schwyta szept cichy: kochana, kochana...

KREYSTOP PACIENKA

Cóż jeszcze muszę zrobić, by ciebie odnalazł:
pachnących ziół ususzyć, złotą rybę złowić...
A może try otrzeć i nie czekać wcale,
tylko nocą zaprzędać duszę szatanowi.

Słyszysz krzyk niemowlęcia, plusk fali, zgrzyt kłucza,
złofistę syk trucizny muszajęcej w szklance.
Nie, to cma w szklanej kuli o ściany się tłucze,
to tylko drzewo w szybie stuka czarnym palcem.

Zwróćcie mi mego Mistra, a mołżcie zabnąć
różaniec z łez, z krwi dywan, kościół z moich kości.
Wylupcie oczy, ciało pościarajniec szablą,
między gwiazdami z ramion rzech zbudujecie mosty.

Serce czarnym rumakiem w zaprzęgu szatana
niech pędzi, jeśli złotym nie może być berłem.
Umierających do snu moich włosów hamak
niech kotłuje, gdy jemu nie mogą być wiechem.

*

Z tajemnych zaklęć nową układam modlitwę.
Strojną przywdziewam suknie, rozczeszuję włosy,
lecz lustro spuszcza oczy i milczy, jak zwykle,
a zegar się spowiada zawstydzonym głosem.

Choćbym znała języki ludzi i aniołów,
i gdybym samym wzrokiem przesuwała skały,
w ustach twego imienia gorejący piolun
podpali słów najczulszych rozgwieżdżony całun.

Pamiętam jeden wieczór. Milczałaś, a dłonią
na mej twarzy magicznie rysowałaś znaki.
W ognisku zory krwawo cały pokój płonął,
wiatr ciszę w próchno zmierzchu poroziewał makiem.

I nagle w twojej twarzy zobaczyłam zbrodnicę,
kłamstwo, podłość, występek, bezwzględność i zdradę.
Wszystkie grzechy jak z krzyża wyciągnięte gwóźdźce,
całuję jak relikwie i na sercu kładę.

Tyś światłem moich oczu, płac natchnieniem – diabłem,
dał ciębie każda poródów choć ciepłiec bez twógi.
Opętałeś mnie czernią, zrozumiałam nagle,
że biała laska ślepa może stać się Bogiem.

Wicher szumi trucizną pieniącą się w szklance –
to są nasenne ziola, wypij, wypij do dna.
Ciszej na pół rozkrwawia jęku cienki lancet.
Jeszcze krząta się w kuchni – zmęczona, pogodna,

jeszcze brząka zastawa... nie, to szcękę łuficuchów.
Po niebie przemknął uśmiech pierwszej błyskawicy...
Pamiętam jej sylwetkę zgarbioną i kruchą.
Spójrz, ten cień drobnie kształty po niej odziedziczył.

Jest późno. Już myślałam, że nigdy nie wrócisz.
Wstaj się zjawi Atropos, słyszysz cienie nożyce.
Wicher ustął, deszcz przesnął i placz dziecka ucielił.
Chcę być mi dłoń na czole spoczonym połoty.

Ostatni raz. Tak długo na ciebie czekałam
twój głos słyszałam w akreskach nadpalonych szlów.
Teraz, gdy płonie przy mnie twego szepotu szlaf –
jest późno, bardzo późno, za późno, mój Mistrzu.

*

Początek dobiegł końca. Ogień zgasił na zawsze.
Zmartwychwstał wreszcie chaos, porządkując rzeczcy
i czas, co siedł bez sensu, bezpamiętnie nadszedł.
Temu, co twierdził idąc, nadchodząc zaprzeczył.

Spójrz, znów jesteśmy wolni. Las podszedł do okien,
słońce zółte mimozę rzębi w brudnym śniegu
i hardość szyb się skrapla przezroczystym sokiem –
nie ma kart, nie ma figur, nie ma żadnych reguł.

Jest tylko gra, jest obłęd. Nie ma pokonanych
i zwycięzów szlag trafili, i przepukniętych sokiem.
Szrezeło pole szachowe, zielony akasmit
nasiała rdzą zegarów, zatrzymanych w pędzie.

porzućmy świat skazony – to serce wariata,
przekłute słonym dziobem płochliwej rybitywy,
świat uwikłany w ciągłą obronę i atak,
w system zbrodni i kary, przekleństw i modlitwy.

Jak można słowo: „kocham” w „nie kocham” przemienić?
Łatwiej kamienie w perły a kółko w pszenicę,
wulkany łzą ostudzić, bieg wstrzymać strumieniem,
rozkopać kurhan, w ciało tchnąć na powrót życie.

Mój Pan powiedział: miłość i On rzecze: miłość,
i twoje usta: miłość będą wzywwały.

Leż was trzeci, czy o jednej miłości mówilo?
A jeśli nie, to która gwiazdą ociemniałych?

To nie sen, Małgorzato, ten świat musz zginąć.
Rozszarpią go na dwoje Lucyfer i Anioł,
bo łatwiej był bezgrzesznie, albo umrzeć z wina,
niż zgorzeć calopalną ofiarą kochania.

Rozdarta ludzkie serce i prawą komorę
wypchnięto cyklohem zakażów i młotów,
do lewej ostatecznych praw wyspano worek,
wieczną zmarzniętą wiedzę, mądrość stalaktytu.

Źródłem miłości zawsze włośnią otworzony
bok, z którego do dzisiaj krew i woda płynię
i nieprzebrzmiałe mody więźniów Babilonu,
to dzięki nim kusiiciel przegrał na pustyni.

Czarnoksiężkie zaklęcia i słowa litanii,
i zdania z Gilgamesza przyjęte na wiare
miłką jak szupy soli, gdy zza słuchu granic
wiatr przeciąga złowrózbie: Manos, thekel, fares.

O gdyby mnie całował mój miły tej wiosny,
gdyby osobno każdą pierś innym imieniem
miły swe py przyzywał – gdyby ciała kosmos
wypełnić mogła gaju oliwnego zieleni...

Blednie róża Saronu, umiera winnica.
On stoi w mgły wieczornej kładziny dymie.
Odwracając się, nie dostrzegł szarej głębości,
idzie skacząc po górach, roztopia się, płynie.

O Panie, płacz nad światem! Wyszuszony był
bez twoich łez się kruszy, usidiony w perzach.
Myśl, jak woda wylana – wiary pragnie wiader.

Przed potokiem Beliala nadzięty żołnierz
chró, ty co wstrząsnął piaskiem na pustyni Kadesz,
Ty, który zginaś cedry – otwórz drzwi na ścieżaj.

Lublin, lipiec 1984 r.

Krzysztof Patczowski

MICHAŁ GŁOWIŃSKI

Druga do Druskiennik

To była pierwsza podróż, jaką – choćby w okrucach – zapamiętałem; wiem, że poprzedzały ją inne, nieliczne zresztą, ale z nich żadne wspomnienie nie pozostało, czemu zdziwi się nie należy, byłem małym dzieckiem. Pierwszy wyjazd wakacyjny i to bynajmniej nie bliski, do podwarszawskiej miejscowości znajdującej się w zasięgu ręki, ale odległej, bo aż do Druskiennik. Jechałem z Matką i z dziadkami, Ojciec zjawił się trochę później. Moi dziadkowie wyjeżdżali co roku bądź do Ciechocinka, bądź do Truskawca, tym razem zdecydowali się jednak na rówień, a może jeszcze bardziej oddalone udrowskie nadmienieśkie. Nie wiem, co zaważyło na takim właśnie wyborze, może chcieli zobaczyć okolice, jakich nigdy dotąd nie widzieli, bo te dwa letniska, w których z niejaką regularnością bywali, już im się zmudziły. Tego wszakże świadom jestem doskonale, było to ostatnie wyznaczą w ich życiu, choć z pewnością nie zdawali sobie z tego sprawy, gdy w pierwszych dniach września roku 1938 wsiadali na nowo wybudowanym warszawskim dworcu do pociągu.

A nie mógłbym fascynowały od samego początku, od najwcześniejszego dzieciństwa. Dom moich rodziców znajdował się nieopodal kolejowego toru, a więc mogłem je widzieć i słyszeć. Wydawały mi się uosobieniem ruchu, wspaniałego pędu i były tworem jak z baśni, cudownie rozproszonymi, jadącymi w nieznanie. Nieobca już mi chyba wówczas była piosenka: „jedzie pociąg z daleka, na nikogo nie czeka”. Nawet wytwarzane przez nie hałasy, stukot kół przemieniał się w niebiańskie harmonie, a gwizdy i świsty, uchodzące z kominia lokomotywy, zważył jeszcze wówczas parowozem, wydawały mi się nadzwyczaj piękne; nie wykrywałem, że podobnie postrzegałem unoszące się nad nią dymy. Najbardziej wszakże podobał mi się krótki pociąg, złożony bodaj z jednego segmentu, nazywający się – tak w każdym razie jego narzę zapamiętałem – lux-torpeda. Różnił się od innych, był nie tylko krótszy, ale także kolorowy, żółto-niebieski, tak jak pociągi podmiejskie, którymi już jeżdżaliśmy, bo rodzice zabierali mnie czasem na wyprawę do Warszawy. Opowiedziano mi, że owa lux-torpeda jest najszybszym pociągiem w Polsce, nie tylko blyskawicznym młynie do Łodzi i naprawdę na nikogo nie czeka. Jakże pragnąłem nią się przejechać! Nie było mi to wszakże dane.

Ale i podróż zwykłym dalekokończym pociągiem podziśniętym też mnie cieszyła, stanowiła wielką atrakcję, radowałem się nią od pierwszego momentu, gdy się dowiedziałem, że udamy się na letnisko o tak dziwnym nazwie i że znajduje się ono gdzieś daleko. Niewiele z podróży zapamiętałem. Utkwiła mi w pamięci nazwa miejscowości – Grodno, mówiąc się, że pociąg zatrzyma się tam na dłużej. A epizod ow utrwalił się może dia-

tego, że w czasie tego postoju babka sięgnęła po kubek z wiktuałami – i zaczęła się picigawo konsumpcja, niczym nie skrępowana, bo w przedziale nikt chyba nam nie towarzyszył, w całym postoju pasażerowie nie byli zbyt liczni. Należałam do dzieci, które na brak apetytu uskarżały się nie mogąc, zabrałem się do jedzenia z ochotą. Pamiętam, że babka wyciągnęła z pergamina pieczoną kurę, już chyba podzieloną na porcje, a także dużą bakła, która nazywała się paryska, choć z pewnością nie była bakietką w ścisłym sensie. No i ogromny termos, w którym herbata zachowała swą temperaturę. Ta uczta w przedziale zapisała się w mojej pamięci jako swego rodzaju obrzęd, a babka jako osoba, co dla o wszystkich – i jest wielką szafarką, rodzącą dobrą.

Z samych Druksieniak, poza pejążem, którego głównym akcentem były parki pokózone nad wolno płynącym Niemnem, pozostało niewiele, właściwie dwa tylko punkty czy epizody. Najpierw stojąca w parku laweczka z małym niepozornym stolikiem, odgrozona tak, by nikt na niej nie siadł, bo jest pamiętką czy zabytkiem. Powiedziano mi: było to ulubione miejsce marszałka Piłsudskiego – i wtedy może nie po raz pierwszy uszyliśmy to nazwisko, ale po raz pierwszy je zauważyłem i zapamiętałem, zapewne dlatego, że związane zostało z konkretnym przedmiotem, z ową skromną laweczką, która z pewnością, gdyby nie była ogrozona, nie różniłaby się od innych, a nie bawowało ich w druksienickim parku. Myśle, że zwrócono mi na nią uwagę nie przypadkiem, w mojej rodzinie lubiano, ceniono, poważano Marszałka, choć powiedzieć, że uprawiano jego kult, byłoby niewątpliwie przesadą. Sądzono – a opinii tę słyszałem jeszcze sporo lat po wojnie, od mojej Maki – że gdyby żył dłużej i dłużej kierował polskim państwem, w drugiej połowie lat trzydziestych nie rozpieniłby się ten straszny antysemityzm, który sprawiał, że coraz trudniej było oddychać.

■ Zapamiętałem też pewną scenę. Byliśmy z babką i Makią siedzieli na rozłożonych kocach, a ja bawiłem się, nie spuszczałem mnie z oka, bym zbytynio się oddalał. W pewnym momencie przerażenie się, bo tuż obok mnie nagle wyłonił się obrady mężczyzna, który wydał mi się stercem, brodą, z kosturem i węzełkiem przewieszonym na plecach, w jakim zapewne trzymał cały swój dobytek. Przekłoniłony widokiem niespodziewanego gościa, w te pędy pobiegłem do Maki. Po chwili zbliżył się, wyciągnął rękę, poprosił o wsparcie; to nie ukazał się zjawą, jak w pierwszym odruchu pomyślałem; był żebrakiem, przesyłanym dziećmi. Babka, osoba dobra i ludzkiem życzliwa, sięgnęła już po portmoneetk – i wtedy ostro interweniowała: ziadek: nie mu nie dajam, ma dziurawę rękę. Dzisiaj myślę, że pragnął on, mieszczańskim w starym stylu, by bidak tych paru groszy, które ewentualnie miał dostać, od razu nie przepuścił, ale jeszcze coś z nich zaozszechdził. Wtedy jednak nie zastanawiałem się nad koncepcjami ekonomicznymi mojego ziadka, przenośnia do mojej wyobraźni formula „dziurawę rękę”. Wziąłem ją dosłownie, ten brodaty stercz wydał mi się stercem tak dziwnym, że nie stało na przeszkodzie, by także jego rękę różniły się od tych, jakie mają inni ludzie. I od razu pomyślałem, skoro one są dziurawe, to dlaczego nikt ich nie nosi, mogłaby to zrobić babka lub Matka już teraz, mają przecież ze sobą jakąś igłę z nitką. Rozmawiałem logicznie: gdyby dziury zostały zacerowane, babka mogłaby mu dać tych kilka groszy. I ta wizja dziurawych rąk jest jednym z najmocniejszych obrazów, jakie mi pozostały nie tylko z wywczesności w Druksieniakach, ale z całego wczesnego dzieciństwa. Żyje we mnie do dzisiaj i kła-

nia do zastanowienia: dlatego przetrwał on właśnie? Dlaczego nie zatarł się nawet w czasach okupacji, kiedy miałem do czynienia ze strasznościami aż nadto konkretnymi, nie wymagającymi udziału dziecięcej imaginacji.

■ Nie pamiętam z tej podróży niczego więcej. Nie pamiętam przyjazdu Ojca, nie pamiętam powrotu. Studnie pamięci okazują się tutaj wyschnięte, pozabawione wszystkiego, co mogłoby je ożywić. Wiem tylko, że latem następnego roku niedzie już nie wyjeżdżałem. To już nie był czas po temata. Rodzice nie mogli sobie nie zdawać sprawy, że apokalipsa zbliża się milowymi krokami, choć nie przypuszczali, że straszność, jaka zapanuje nad światem, będzie aż tak potworna.

wrzesień 1998

Święte obrazki

Było nas z pewnością nie więcej niż piętnaścioro. Wyruszałem w podróż w nieznanie razem z nieznanymi osobami – pod opieką nie znanej mi zakonnicy. Wyruszałem – jak moi towarzysze – z przystanku na ulicy Boduena, tego, w którym przebywałem dwa, może trzy, a może nawet cztery dni, bo stamtąd brano dzieci, by umieszczać je w różnych zakładach. Nie wiedziałem, gdzie właściwie jadę, poza tym, że w miejsce odległe, leżące gdzieś daleko, tam, gdzie nigdy nie byłem, w okolicy, której nazwa nic mi nie mówiła, choć przecież, gdy znajdowałem się za murami, studiowanie wielkiego atlasu stanowiło moje ulubione zajęcie. Nie wiedziałem w istocie niczego, niczego nawet sobie nie wyobrażałem, musiałem przyjąć, że jadę w jakieś miejsce za siedmioma lasami, za siedmioma rzekami, bo tak trzeba... Trzeba i już, koniec i kropka... Nawet nad tym nie mogłem się zastanawiać. Bałem się wszystkiego, a więc ta podróż w nieznaną świat niczym się nie wyróżniała, była jednym ze stadiów w przetrzywaniu strachu, nie potężniejszym niż inne doświadczenia. Kto wie, może nawet czułem się bezpieczniej w grupie, niczym przecież się nie wyróżniałem, tak mi się w każdym razie wydawało. W jakim sensie na moje samopoczucie korzystnie wpływała niewymięlna symplokacja zakonnica, żywciała i opiekuńcza. Niebawem miałem się dowiedzieć, że jest to siostra Hermana.

■ Nie wiedziałem wówczas, nie wiem zresztą i dzisiaj, czy w tej kilkunastoosobowej grupie chłopców i dziewczynek byłem jedynym żydowskim dzieckiem. O tym w ogóle myśleć nie chciałem, wystarczało mi, że wiedziałem wszystko o sobie, że znałem swą groźną tajemnicę, świadomy, iż jej ujawnienie w każdej chwili może skończyć się najgorszym. Tym przede wszystkim, czy wólkó mnie jest ktoś taki jak ja, nie interesowałem się, choć nie umiem po latach orzec, czy była mi to sprawa obojętna, czy też po prostu tak było, bo inaczej byłby nie mogło. O tym nie myślałem, nie zatem osobliwego, że nie jestem świadom rzeczy. Dziwi mnie wszakże, iż z całej tej podróży, tak przecież w moim życiu ważnej, niezwykłej, bogatej w konsekwencje, pozostały w pamięci jedynie okruciny, z których trudno złożyć zbrońną całość. Pozostaje ona dla mnie w dużej części niewiadoma, otacza ją niewiedza i ciemność. W pewnym sensie ciemność jak najbardziej dosłowna, jechaliśmy zimą – to był początek roku 1944 – narok zapadał

wcześniej, wagon, w którym się znaleźliśmy, nie był oświetlony. Ale dużo wyraźniej niż ciemności pozostało mi w pamięci zimno, dokuczliwe i przemiękające, nasycało powietrze, otaczało nas zewsząd, trudno było się przed nim schronić. Siostra Hermiana poradziła, byśmy siedzieli obok siebie, bo będzie nam ciepiej. Tak też się stało. Wspomnienie zimna jest najsilniejsze, pamiętam, że towarzyszyło nam przez cały czas, a jechałiśmy długo, tego jestem pewien, choć nie potrafię nawet w przybliżeniu powiedzieć, ile godzin ta podróż trwała. Nie wykluczam, że to w przesiadkach około doby. A przesiadki niewątpliwie były, pewien jestem zresztą tylko jednej, przeszliśmy do koleją wąskotorową, i ona miała nas dowiedzieć na miejsce.

Obok mnie siedział chłopak będący moim rówieśnikiem lub nieznacznie młodszy, bardzo spokojny, odzywający się z rzadka i chyba niechętnie. Zapomniałem jego imienia, zapomniałem jego nazwiska (może zresztą nigdy go nie znalazłem), po przyjeździe trafiliśmy do różnych grup, ja – do siostry Rózy, on – do siostry Józefy. Nasze zadziernięcie w wyznaczonym przedziale kontakty urwały się, objawiliśmy nietowarzyscy, objawiliśmy się cicho, po prostu nie było okazji, by z sobą gadać, mimo jedności miejsca, bo przecież wszystko działo się w tym samym budynku. Skoro zapomniałem, jak się nazywał, muszę go jakoś określić, bo jeśli ktoś poznałbywony jest imienia, nie sposób o nim opowiadać. Niech mam będzie Franek.

Otóż Franek w pewnym momencie się ożywił. Powiedział nam, że ma skarby, minnowie zbiera święte obrazki i zgromadził ich już chyba około dwudziestu. Nie trzeba było wielkiej domysłowości, by się zorientować, że ta kolekcja jest powodem dumy, że w niej umieścił wszystkie swoje ambicje; mówił o niej z miłością, tak jak zwykło o swoich zbiorach wypowiadać się zapaleniem kolekcjonerzy. Zaprzagnął nam ów skarby pokazać, co się wiązało z pewnym kłopotem. Nie obciążały nas bagaże, on jednak miał ze sobą jakiś węzeł, to w nim trzymał swoje obrazki. Przy pomocy siostry Hermiany dopiął węzeł, było jeszcze – a może już – widno, mogliśmy zatem podziwiać to, co nam pokazywał.

Oglądałem obrazki, wszystkie w niewielkim formacie, tak by się mieściły w książeczce do nabożeństwa, za zainteresowaniem, było to urozmaicenie w długiej, ciągnącej się w nieskończoność podróży. Nie wszystkie były dla mnie jasne i zrozumiałe, wtedy dopiero wchodziłem w świat religii, o nie jednak nie pytałem, nauczony i przez dorosłych, i przez samo doświadczenie, że takich pytań zadawać mi nie wolno, nie miałem prawa przyznać, że czegoś w tej materii nie wiem. Nie miałem także wtedy, gdy obrazek przedstawiał coś, co było stosunkowo mało rozpowszechnione, na przykład ilustrował opowieść rzadziej przywoływaną, czy stanowił wizerunek mniej znanego świętego. Nie miałem, bo przecież nie dysponowałem kryteriami, które pozwoliłyby mi odróżnić to, czego znajomość jest absolutnie obowiązkowa dla pobożnego młodego katolika, bo o tym wie się od zawsze, od najwcześniejszego dzieciństwa, od tego, co może pozostawać w sferze nieznanego, nie budzić żadnych podejrzeń.

A więc oglądałem kolekcję, jaką demonstrował nam Franek, z przejęciem i uwagą, z ochotą też słuchałem jego komentarzy. Obrazki były ładne, w żywych kolorach, zwykle na białym tle, a w jednym czy dwu przypadkach przetykane były czymś w rodzaju złotej nici – i to właśnie stanowiły ozdobę zbioru, Franek był z nich szczególnie dumny. Można było ujrzeć Matkę Boską z Dzieciątkiem, Trójcę Świętą, Pana Jezusa, a ze świętych –

dwa czy trzy wizerunki Stanisława Kostki, owego świątobliwego młodzieńca, który dla Franka miał być wzorem niedoścignitym.

Jak już wspominałem, po przyjeździe straciłem go z oczu. Usłyszałem o nim ponownie kilka miesięcy później – i to właśnie w związku ze zbiorom świętych obrazków. Nie przyniosło ono swemu właścicielowi szczęścia. Pewnego dnia rozesała się wielka niezwykła: Franek, zawsze spokojny, grzeczny, pobożny, zniszczył swoją z takim oddaniem składaną kolekcję. Nie wiem, co się stało przyczyną działania tak niespodziewanego, zaskakującego wręcz, nieoczekiwanego, ale tego nie wie nikt. Nagle, mi z tego, ni z owego, Franek wpadł w szal, zaczął krzyczeć, tupać, wykonywać dziwne miny i gesty – i drzeć z wielokrotnością obrazki, drzeć w drobny mak, tak by już nie z nich złożyć się miało. Pasa i zapamiętanie w nieustwierne równały się zapalowi, z jakim te obrazki zbierał.

Podobno nikt nie rozumiał, co się właściwie z Frankiem stało, co go skłoniło do uczynienia czegoś tak strasznego, bo przecież wątpliwości nie ulegało, dokonał aktu profanacji, zniszczył coś, powodowany nienawiścią, co wprawdzie nie było poświęcone, ale do sfery świętości należało, przedstawiało to, co dla każdego, kto w Boga wierzy, najdroższe i najświętsze. Ten ów gotowy był przypuszczać, że we Franka wstąpił zły duch, że – krótko mówiąc – opętany został przez diabła. O ile wiem jednak, egzorcyzmowi go nie poddano. Gdy się uspokoił, miał przystąpić do spowiedzi, wyznać swój straszny grzech, odbyć pokutę. Później już Franek nigdy w szal nie popadał, demony dały mu święty spokój. Znowu był cichy, spokojny, nie wadził nikomu, należał do tych, co każdemu z drogi ustępują. Myślę, że po tym, jak w przypływie szalu pozbył się tego, co darzył miłością, tego, co stanowiło powód do dumy, życie jego utraciło resztki sensu. Nadal się z nim nie stykałem, nie pamiętam, jak naprawdę się nazywał, nie pamiętam, jak wyglądał.

grzesień 1998

Michał Głowiński

Książki nadesłane

„Norbertinum” – Wydawnictwo, Księgarnia, Drukarnia, Lublin

Mieczysław Paszkiewicz: *O Bogu*, pojęć 1999, ss. 123.

Czesław Gregorowicz, Dariusz Salata: *ZWZ-AK w obwodzie lubartowskiem 1939-1945*, 1999, ss. 472.

Stanisław Burda: *Kawalerowie polski Poezje*, 1998, ss. 56.

Agnieszka Hala: *Królowna iść Poezje*, 1999, ss. 56. Biblioteka „Scriptores Scholarum”, Artyście poetyckie, t. 2.

Henryk Hoffman: *Z Drohobycza do Ziemi Obiecanej*, 1999, ss. 135. Seria: *Głosy oszołoty*, t. 1.

KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI

szatan przemawia przed obliczem boga

wzschławił nie jest już nakręcana zabawką
czas istnieje bez względu na intencje władców
fakt, w palacach nie dzieje się nic ważnego
a rock'n'roll wciąż jeszcze przypawia o zawrót głowy
to prawda, ale nie o tym chciałem mówić
bez wątpienia wiek ten dobiega już kresu
elektryczność zamknięta i zapakowana szczelnie
jest lżejsza niż woda w plastikowej butelce
stalowe maszyny wzbijają się ku słońcu
czasami nurkują w mętnej otchłani oceanów
a dryfujące w letnich wodach dusze
odgadują swoje nowe postaci, czasami wspinają się
na wysoki brzeg i głaszczą jasne główki dzieci
z ich zamysłonych oczu spływają krople morskiej wody
nikt żywy nie obawia się jednak czynić zła
a dobro w ogóle nie jest brane pod uwagę
tak, od kiedy poeci stali się politykami
i popychają naiwne narody do wojen
szaleństwo Hamleta udziała się również Fortynbrasowi
policjanci przebijają opony w szkolnych autobusach
teologowie obliczają na palcach tysiąclecia
dzieląc ich od potopu i od siódmego dnia stworzenia
boskie imiona nadaje się domowym zwierzętom
televizja pokazuje zegar, czas cofa się i przybliża
cóż w tym dziwnego, skoro każde słowo przeczy sobie
starec ćwicząc na świeżym powietrzu a dzieci w szkole
uczy się zapominąć natychmiast i bezboleśnie
oto i wniosek: akt stworzenia jest zakończony
wszystko zostało dokonane raz na zawsze a obecność boga
nie jest w zasadzie konieczna

bóg tymczasem usnął i śniły mu się wszystkie odcienie prawdy
całe wieki nadziei
całe przestrzenie miłości

siedem pieczęci

wszystko co udało się zamknąć
pozostaje otwarte
wszystko co policzone i zapomniane

38

zwraca się przeciwko sobie
wszystko czemu potrafię zaprzeczyć
jest częścią mnie
nie potrafię zgrzeszyć moje oczy
mogą wylupić oczy
nie potrafię zgrzeszyć mój język
mogą wylupić język
nie potrafię zgrzeszyć moje ramię
mogą wylupić ramię
i niechaj wszystko co bez grzechu
nie potrafimy cię zhabwić, mówiący oczy
język i ramiona
układają się do smu wiecznego
w pudełku po butach
uporządkowane
według daty nazwy i przeznaczenia
wiem że jest ich zbyt dużo albowiem
wszystko czego pragnę
jest milczeniem
a wszystko co jest milczeniem
jest wszystkim o czym mówię
a wszystko o czym mówię
pozostaje tajemnicą

bóg rozmawia z poetą

nie lubię rozmów z poetami
ich zapach przypawia mnie o młodości
spiewają fałszywe chorały przegładając się w lustrze
spoglądają w głąb siebie jakby spodzielali się znaleźć
głębinę zamiast kilku białych plam pamięci
i spuchniętej wątroby
a później powtarzają moje imię w wywiadach
przypisują mi słowa, których znaczenia nie rozumiem

nieczęsto rozmawiam z poetami
nie dostrzegają moich słów, nie słyszą wzruszenia ramion
ich noce kończą się o świcie, a radio
ogłasza prognozę zmian w rządzie
i śmierć pogody która zmarła niespodziewanie
po serii udanych operacji i zabiegów
a pewnego dnia oni także umierają
jest listopad, wrunę recytują ich wiersze

kiedy rozmawiam z poetą
traktuję to jako żart metafizyczny, czyż bowiem
rozmowa ta nie jest metaforą milczenia
poeta pochylony nad recenzją swego życia
nerwowo liczy słowa i litery, ogłada skrawek papieru

39

na którym zbyt łatwo skreślono kilka zdań
litery układają jego imię, nazwisko, wiek
rozpoznanie *umor prostante* oraz postępowanie
które zapewni ma młodość na kilka ostatnich tygodni

choć nie cenię poetów

w końcu dochodzi do rozmowy
słowa utraciwszy swoje znaczenie są tak tragicznie puste
że nawet paradoks ich intencja nie może powstrzymać ciszy
poeta spogląda bez zrozumienia na pełkającą lustrą
na pusty parnas i chęry anielskie snujące się po parkiecie
szatan w rozpiętym do pasa szlafroku
szczy przed kominkiem jakłowońkę i płacze jak poeta i
jak poeta nie potrafi zrozumieć swej porażki
i jak poeta wypowiada wiele słów
jego anioł stróż zasypia skulony w kącie
róża rozsypuje się pozostawiając cichy zapach strychu
i wszystkie światy zatrzymują się na chwilę

* * *

szatan jako subtelny intelektualista
zbiera cytaty i książki które czyta
konstruuje systemy albo odnajduje prawdę
w niezmiennych konstatacjach faktów
doskonałość świata, cóż, doskonałość
w ogóle jest opozycją boskiej dekadencji
co konstatuje nie bez satysfakcji
aby opisać w systematycznie prowadzonych
dziennikach, które czyta poruszonym głosem
zdzicinniałym staruszkom i ofiarom wypadków
pogryza przy tym ciasteczka kruche jak cisza
krzyżując nogi z elegancją nonszalancją
tyle na temat szatana
bóg jest postmodernistą, chociaż właściwie
nie lubi tego określenia, śmieje się głośno
odkręca potencjometr świata i hałas zabija ptaki
jego twarz jest piękna, brzydka albo zupełnie zwykła
jak każda kapryśna twarz boga, na białych fotografiach
najlepiej komponuje się z butelką koniaku
i anielcami pijanymi nadzieją, smutkiem, niewiedzą
wolne chwile spędza na znużonym oczekiwaniu
choćczas właściwie wszystkie chwile są wolne
a czekać nie ma już na co

postmoderniści

grzebię się w słońcu odbitym
od murów starego świata
kopuły orientu i miękkie falowanie oceanu

fasady wspaniałych budowli zachodu
plony minionych upraw, wszystko
istnieje w naszym imieniu, nie
istnienie wszystkiego nie przeczy
istnieniu każdego z nas, to przecieć my
przecznymy swemu istnieniu i wszystkie
nasze pokolenia schodzą coraz szybciej, tak
potykając się, zatrzymując nagle i znów
ruszając jak lawina, zbiegamy cieniasta aleją
a w dole bije źródło prawdy
i nie jest to prawda jakaś tam
ani nie jest to prawda obiektywna, nie
nie jest to osobista prawda każdego z nas
ani nie osobliwa prawda przywódców
ale właśnie jej pragniemy i spragnieni
schodzimy i jesteśmy coraz bliżej
czując ciężar spiętrzonych ponad czasem historii
moc grawitacji napędzającej nasze kroki
słodkie berzemie miłości własnej
miłości tak wielkiej, że poza nią
nie ma już nic, miłości do wszystkiego
bez względu na to, jak bardzo niedojrzałe
jak romantyczne jest to uczucie
a później siedzimy wokół ognia
jest noc blyszcząca wszystkimi światłami
nasze ciepło wabi owady, nasze słońca
odbijają się w oczach emy
rozkładającej beładnie skrzydła

schody do piekła

kiedy szatan zapytał o sens swego istnienia
zakłopotany bóg uśmiechnął się niepewnie
nie miał ochoty tłumaczyć swych czynów
teraz, kiedy dzieło stworzenia zostało dokonane
ptaki muły rozwiązania wszystkich zagadek
wąż recytował wzyry na zachowanie energii
i dwie rymujące się zasady termodynamiki
zaskachany szatan nieomal zapominał o swoim pytaniu
koty opiewały zmianę czasu zimowego na letni
albo przysiadły na gałęziach rajskich drzew
kwalifikowany cieśla kończył budowę schodów

kiedy szatan przestępując z nogi na nogę
choćaż był zakłopotany, to pewnie
zapytał w końcu o sens swego istnienia
bóg uniósł brwi i wzruszył ramionami
czyż bowiem stworzył czego dokonał nie było dobre
czyż katedry nie wznośli się dumnie ku niebu
w świetle wiraży organisty cztery nową fugę
na rynku młodzież smakowała pierwsze owoce

koszty i zyski zostały już podliczone
urząd antymonopolowy nie zgłaszał wątpliwości
choćby niebo w całości przypadło jednej stronie
przelatując nisko samoloty pozbawia przestroni
cieśla Józef osadzał ostatni stopień

kiedy szatan zdobył się na odwagę
i wypowiedział swą pierwszą wątpliwość
bóg zamknął wielką księgę losów tego świata
wszystko zostało już postanowione i uporządkowane
to absolutyzm, rzekł szatan, zamach na wolność jednostki
ale on sam nie wierzył w swoje słowa
wolność istnieje tylko tam, gdzie szatanie się reguły
władnie hierarchie sprawiają, że możliwa jest równość
powiedział bóg i wskazał na zbierającego narzędzia cieśla
hulał dusza, piekła nie ma, zaśpiewał szatan
i stepując *when the saints* zbiegł po schodach

Krzysztof D. Szcrawski

Książki nadesłane

Poezje

Bolesław Taborski: *Przezwrocie Państwowy Instytut Wydawniczy*, Warszawa 1998, ss. 71.
Ryszard Kolodziej: *Umiały z Burlington*, Wyd. Scriptum, Kielce 1998, ss. 46 (debiut poety mistycznego w USA).

Ihor Kalnyk: *Karpat lub kępa z Poezja*, Zima 1980 – wiosna 1982, Przekład i objaśnienia Tadeusz Karabowicz, Wyd. TYRSA, Warszawa 1999, ss. 163.

Marek Gał: *Nieoprotznie nikomu do szczęścia*, Wyd. FALL, Kraków 1998, ss. 66.
Władysław Misiura: *Krasowe improwizacje*, Wstęp Waldemar Michałczak, posłowie Maria Dulowska, Wyd. Zakład Poligraficzny, Zamost 1999, ss. 80. Tom ilustrowany grafiką Alfreda Przybyła.

Janusz Adamski: *Z dzieła i z błeka*, Wyd. CD-Triumf, Świdnik 1998, ss. 27.
Marian Stanisław Hermaszewski: *Ojczyste moich wierszy*, Nakład własny, Opole 1999, ss. 71.

Jerzy Franczak: *Someosobnaga*, Wyd. Krakowski Klub Antyestetyczno-Literacki, Kraków 1997, ss. 79.

Lidia Irena Węglarz: *Zagroźa z deklaracji*, Oficyna Wydawnicza „MAZD”, Białyńsk 1998, ss. 37.

Nadja Stepka: *Inne niebo*, Tłumaczyli z ukraińskiego: Tadeusz Karabowicz, Jan Leociak, Waldemar Michałczak, Romuald Mieczkowski, Wojciech Piotrowicz, Wydawnictwo „MIG”, Radom 1999, ss. 46.

Laszlo Wajtkiewicz: *Ordnosnostroje*, Wyd. Polihymnia, Lublin 1999, ss. 60.

Jarosław Klejnocki: *Katka historia przestępstw (epigramaty)*, Wydawnictwo „Czarne”, Czarne 1999, ss. 40.

Lech M. Jakob: *Ból i pechola*, *Notatnik poetycki*, Kolobrzaniek Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, Kolobrzeg 1999, ss. 109.

Wojciech Kuczek: *Lawno*, (brak wydawcy), Katowice 1998, ss. 24.

Ryszard Kubicki: *Znaki lipki*, Wyd. Regionalny Ośrodek Kultury, Sieradz 1998, ss. 60.

Stanisław Burda: *Pańskie pojedynki*, Wstęp Grzegorz Romanowski, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1998, ss. 79.

CZESŁAW MIROSLAW SZCZEPANIAK

„Cholernie bolą mnie pięty od tego myślenia...”

Widokówki Edwarda Stachury

Podczas zbierania materiałów do książki *Poezja, proza, listy* Ryszarda Milerczewskiego-Bruno (Warszawa 1989) natrafiłem na 11 widokówek pisanych przez Edwarda Stachurę do poety z ulicy Kalinkowej w Grudziądzu. Te miniliry są ważnym dokumentem przyjaźni między poetami. Trzeba od razu dodać: należy unikać wszelkiej gloryfikacji znajomości autora *Calej jaskrawości* z Brunem, gdyż Edward Stachura wywspadał się wiele razy w różnej tonacji o tej przyjaźni pod koniec życia. Ich drogi zaczęły wówczas jakby „chodzić obok”. 18 października 1972 roku zamotował: *Pociągłem do Wrocławia 15,27 dwie i pół godziny jazdy. Padła śnieg, dżdżesz i grad. Wiatr porwisty: O 18.00 Klub Nauki przyjechał na Plac Granwaldzkiem. Wieszczę Brunu. Wspaniale wieszczę Brunu jedyny „czarzą” – naciganie rzeczywistości do własnego obrazu świata w tych wierszach, *Przedziada z tymi nożami. Anaki potem na Brunu ze strony nauczyli. Zabraliem głos. Mówilem. Jak zwykle nie miałem z kim rozmawiać. Ciekło jest cofać się z miejsca, skąd się jest, do siódmej klasy szkoły powszecznej.**

Bruno polakuję „chwili” się po wierszowe kwiatki, nakazami kolegium. Nie podobu na się to. Ciepło to samo. Ciepło to granie na jednej stronie. Ale co zrobić? Zaprzęgam mnie do P. Biory adres, choć wiem, że nie pojędę.

Drobne nieporozumienia między tak różnymi indywidualnościami i wrażliwościami wynikały z odmiennych sposobów manifestowania „bycia poetą”.

Edward Stachura w jednej z odnalezionych widokówek, pisaną w Cisnej dnia 9 marca 1973 roku, wytyka autorowi *Poboków*: ... *Ale czytałem Twój list w biuletynie ZLP. Jak Ty dbasz o ty sława. Alz wstał! Alz przylem! Wół jak piszere do mnie niż do biuletynów.*

Nie znaczy to wcale, by poeci wzajemnie się nie dopiechali i nie pisali do siebie serdecznych listów. Po prostu: ich przyjaźni była oparta na szczerości. Bez udawania i obrywania listków uśmiechu. Były wżolty i upadki. Sińce i zadranki.

Bruno był człowiekiem, który nie potrafił ukryć swych astypatii. Mówił wprost. Nie chował żalu w karwasimnie plotwie i dlatętego był tak samotny. Buziacznie szedł przez życie. Z sercem na ramieniu. Przyjaźni z autorem *Nie ma zegarów* do latwych nie należała. Tak już jest, gdy ktoś żyje na dwóch skrajnościach i nazywa rzeczy po imieniu.

Postać Stachury zajmuje sporo miejsca w poezji Brunu. W tomie *Poboki* pisze: *Stachury bure (Spryd) Wiersz Dziedziczo dedykuję Stachurze, zaś w książce Podwójna naleźność zamieszczają wiersz: *Sted! – tak**

przy piwie się mie! Do tańca prosić: nawet prosiem; zakończenie tego wiersza jest jakby pointą, która wyprzedzała życie: *Sted! – to już piach nasz ostami! A pierwszy w zawiaty tropin zaletałwa. W wierszu pt. *List z Polski do przyjaciela w Meksyku* m.in. pisze: – *Chłoni – o, senior – głowy nad przepaścią! Polska pozostała unosić zawiesz w kręku –* Klęka Stachura był w Meksyku – opowiadał mi Bruno na Festiwalu Poezji w Łodzi w 1974 roku – pozostawił swą piękną lub oraz spóźnie. Bruno pokazywał i finalnie się, że Stachura jest w Meksyku i w Polsce.*

Edward Stachura wiele razy wspomina Bruna. W książce *Wszystko jest poezją* opisuje spotkanie nad Wisłą na 834 kilometrze najdłuższej rzeki: *Z Brunem skończyli na poboku, do miejscowości Klóbska, gdzie Osa i „Bar: nad Ogi”*. Po wielu straszliwych i nocach samowypizania się, zamierzania się nawiedzić mnie przepastny opyć, co było jedyną i oznak, z tych rzeczy niemyślących, że może uścać mi się kolejne zmartwychwstanie. Bruno zjadł gigant-golonkę, a ja, jak jeden głupkowaty, cztery talerze wolowych flaków. Potem zakupiliśmy butelkę wina i udaliśmy się nad rzekę. Rozsiadliśmy się na łące, przy śluzie z mostkiem i było tak jak powinno być. Wrzemiwione słoneczko grało nasze kości, blask głaskał po ryznach, pasły się krowy, kwitły wysokie mimozy, na drugim brzegu trzyosobowa rodzina ziofka była bez reszty myciem i pacowaniem szep i ślinczy zamocznada, czyli „oczka w głowie”, huczada woda jak wielkie roje os, ale nie przeszkadzały; naszym z rzadka rzucanym do siebie słowem, nie wyrwaliśmy sobie butelki, przekazywaliśmy ją sobie najserdeczniej i naprzemiennie z ręk do ręk, w powietrzu smuła się niesamowita, wstrząsająca lagodność.

W wierszu Stachura zaznacza: *Przy wyszczałki jesieni i Bruno/ to i ja zwycięży. W powieści *Cała jaskrawość* przyjaciela powieźdźnika Bruna (wódkę lubi dymić!). W *Pisemkach*, pod koniec swego życia, Stachura wnosi poprawkę. Być może zaważyło tu spotkanie, w którym autor *Brzeźmień słońca* miał pretensję o legendę, jaką robił wokół siebie Edward Stachura? A swoją drogą, są przecież granice ludzkiej wytrzymałości na różne zarczki i chłosty. Ale wracamy do tekstu *Nie rozdziobią mnie kraki* (*Pisemki*, Wydawnictwo „Pojezierze”, Wyd. II, Łódź 1980). W pierwotnej wersji, publikowanej i wykonywanej przez Edwarda Stachurę przed 1980 rokiem, pisownia nosi tytuł *Nie rozdziobią nas kraki*. A refren już brzmi:*

*Ruszaj się, Bruno, idziemy na piwo,
Niechybnie brulaję nam nasi!
Od nimia w miejscu nigdzieś już zstąpił,
Nigdzieś zginął już kwiast!*

Zamiast Bruno wstawia Stachura głowę. I wyszło to tak: *Ruszaj się głowo, idziemy do słońca*. Komentarz pozostawiam wrażliwym na słowo poetyckie czytelnikom.

Styczna ballada *Biała lokomotywa* to pomysły świętego Brunona (?), który powiedział kiedyś podczas spotkania ze Stachurą u Andrzeja Różyckiego, kręcącego film pt. *Spotkanie autorskie: – Jeśli mnie kochasz, co jest niemożliwe, kup mi, moja najdroższa, białą lokomotywę.*

Edward Stachura i Ryszard Miłczewski-Bruno to ci, o których możemy powiedzieć słowami Bolesława Lesimiana piszącego o Światowidzie: *Oddał więc dzieła tu, co miał w sobie najwzrówniejsze – oddał życie.*

Pora opublikować w całości kartki-widokówki Edwarda Stachury do Ryszarda Miłczewskiego-Bruno. Otworzył on oczyszcz. Szczególnie teraz, gdy sztuka epistolografii ginie na naszych oczach. Uważam, że warto, choć – być może ktoś będzie krepił nos, że za dużo pisze autor *Całej jaskrawości* o szlachetnych plynach. No cóż! Nie patrzmy na pruderję, jaka nas zewsząd otacza. Pamiętajmy o tym, co pisał Jan Kochanowski:

*Znal kto kiedy powię trzewego?
Nie uczni taki nie dobrogo.*

1. Widokówka czarno-biała. Poznań. Fragment Starego Rytku. Stempel pocztowy. Poznań 27.7.67. Stachura pisze niebieskim długopisem.

Poznań 25 VII 67

*Ten co mnie widzi przy zbiegu ulic
po nadłonecznicęj jasznej stronie
lub w cieniu przeciw ległym
lub gdy wyzłomam się z kawicy
na mur za kioskiem piwo pic*

*ten co mnie widzi na lam
i sądzić może że mnie widzi
myli się
– oko jego zawounde*

*bo głowa moja płowa
kula się gdzie indziej*

*po drugiej stronie wzdęza
bród chaszcy granatowych*

*śródmieście i kamieniarz awyśk
jak śpiących nigdyj jak Gloria Lawina
a śpiących gdyż owem snem nie-zwykłym
tam się katalika głowa moja płowa*

Całuj Cię Bruno. *Sted. Jestem lekko podcięty i zrzepie mnie czubka.*

* Fragment, który w nieco zmienionej wersji znalazł się w poemacie *Przysięgę do Ciebie*.

2.

Widokówka kolorowa. Bydgoszcz. Zabłykow spichrz nad Brdą. Fragment stempla pocztowego z BY – obok datownik skłuznicowy: RADIOTELEWIZOR w każdym domu i na wsi ZURK X 1957-1967. Stachura pisze niebieskim długopisem.

*Drogi Bruno,
Dziękuję za kartkę, z której jak zwykle niewiele wyłiterowałem. Ale i tak
dzięki bardzo. Dziękuję też za wiersz.*

*Wybac, że nie wpadłem, choć blisko byłem. Teraz już muszę do Poznania
i potem dalej.*

*Jak będę jechał na statek do Gdyni, to postaram się zatrzymać w mieście
Grudziądz, dzielnica Targno i buch, buch – ślucha na dwóch.
Zgubiłem Twój adres. Napisz do W-wy, czy dostalęj ty kartkę.
Sted*

3.

Widokówka czarno-biała. Toruń. Fragment Rytku Starejmiejskiego z gotyckim kościołem NMP (XIV w.). Stempel pocztowy: Toruń 28.2.68. Jaskrawościowy datownik: KIEROWCO – TYLKO BEZPIECZNA SZYBKOŚĆ POZWOLI TOBIE DOJECHAĆ DO CELU. Stachura pisze niebieskim długopisem.

*Nie klinij na mnie, że będąc w Toruniu nie zjechałem do Ciebie, do Grudziądza. Chciałem bardzo i nawet Wojdę Roszewskiego namówiłem. Dzwoniłem do Poznania, że najpierw jedę do Ciebie a potem do Nich. Ale muszę wracać do W-wy. Zresztą stępnielem się już, bo dwa tygodnie się
płtom po kraninie. Wiersze dostaniesz. Sciskam Cię. Sted*

Jeśli przysyłają Twój adres jakiegoś do mnie listy, to wysyłaj do W-wy.

4.

Widokówka kolorowa: Leszno. Barokowe kamieniczki w rynku (XVII i XVIII w.).
Stempel pocztowy: Głogów 26.3.68. Stachura pize niebieskim długopisem.

Slichyngowa, 25-III 68

Drogi Bruno,

Podziwieniam ze Slichyngowej przesyłam. Nie piszę dużo, bo trudno mi się pisze. Tyle tyko, żebyś wiedział, że żyję. Wtedy do Poznania nie mogłem jechać.

Ścisłkam Cię. Sted

Podziwieniam dla Grąjewskich oraz Trynkę – żyły twojej.***

* Regina i Leon Grąjewscy, sąsiedzi Bruna z Grudziądza, którym dedykował wiersz pt. *Stół zamieszczony w debiutancie* tomiku wierszy *Brzegiem słońca* (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1967).

** Ryszard Milczewski-Bruno w wierszu *Dziedzictwo* (z tomu *Poboki i Wydawnictwo „Pojezierze”, Olsztyn 1971* m.in. pisze: *Trynko żyło moja i dziedzictwo. W felietonie Nad Trynką dodaje: ...Dzisiaj siedzę sobie w Tarpiu, zwanym kiedyś Małym, nad Trynką, kanałem, nad którym siedzi także Grudziądz, puszczając Wisłę z lewej strony do aż rozwiędli, gdzie Lenioka i Nogat... i Bałtyk (...)*

5.

Widokówka czarno-biała: Toruń. *Pokój krasiński* – obraz Mariana Jarczyńskiego. Stempel pocztowy: Toruń 31.5.68. Okolicznościowy datownik: KIEROWCO – TYLKO BEZPIECZNA SZYBKOŚĆ POZWOLI TOBIE DOJECHAĆ DO CELU. Stachura pize niebieskim długopisem.

Drogi Bruno,

Przyjechałem wczoraj z W-wy autostopem. Dzięki Ci za listy i zdjęćka. Bardzo fajne. W niedziele chcę jechać do Lipna, a stamtąd do Słepego na odpust.

Przyjdź buty, bo na pogodę nie chce się wyklarować i dzisiaj zresztą lato, więc jedyń przydadzą się.

*Ścisłkam Cię mocno oraz Yrę**.*

Napiz,

Sted

* Gumowce, czasami myłone z walonkami, które mają ocieplacze. Dziś w czasach śniegu już nikt na takie różnice nie zwraca uwagi. Nieraz, kiedy mówię o omacach, niejednemu myśli, że znova słyszy z moich ust neologizm.

** Irena Milczewska, żona Bruna. Nazywana w wierszach Zia albo Y.

6.

Widokówka kolorowa: Poznań. Uniwersytet im. Adama Mickiewicza – Collegium...
Stempel pocztowy: Poznań 2.6.68. Okolicznościowy datownik: NOWE ZOO w POZNANIU. Stachura i Różański piszą niebieskim długopisem.

Drogi Bruno,

Tajemniczym jakimś obrotem rzeczy znalazłem się wczoraj rano na dworcu w Kościelcu. Stał pojechałem do Poznania, gdzie jestem z Włkiem na rynku. Na odpust do Słepego oczywiście nie pojechałem.

Ścisłkam Cię i cabuję oraz Yrę.

Sted

*Drogi Bruno tym czasem jesteśmy we dwoje ze Nadem Alą i ty jesteś z nami i w ogóle ty masz „leb” Witek**

* Witek Różański, poeta. „Szm Bogini” jak go nazwał Edward Stachura recenzując jego debiutancką książkę poetycką *Dziecko idące* jak włoczenia śpiewało.

7.

Widokówka czarno-biała: Toruń. Fragment Dworu Mieszczańskiego z ok. 1400? Stempel pocztowy: Toruń 11.7.68. Okolicznościowy datownik: KIEROWCO – TYLKO BEZPIECZNA SZYBKOŚĆ POZWOLI TOBIE DOJECHAĆ DO CELU. Stachura pize niebieskim długopisem.

Czworek 10. VII 68

Drogi Bruno,

Siedzimy z Ziąq u Wujtka Rozzewskiego i pijemy extra tymią. Wójtnek na targ poszedł i kiedy sprzedaliśmy wino, poszliśmy na goralkę, na bum-starara male, na m^c.*

Trzymaj się, szkoda, że Cię tu nie ma.

Sted

* Zya Oryszyn, żona Edwarda Stachury. Autorka wielu powieści i opowiadań.

8.

Kartka pocztowa. Stempel pocztowy: Warszawa 26.9.68. Stachura pize niebieskim długopisem.

W-wa 26. IX 68

Drogi Bruno,

Cof to wszystko dziwnie wyszło. Dlaczego nie przyszliście do mnie. Byłem wprawdzie zarżnięty robota, ale te pół można było obalić. Nie wiem co o tym myśleć. Mitek jest u mnie i zalatwiamy jakiś druk, lazimy po redakcjach i tak dalej.*

*Ścisłkam Piz na Kotła 196, pow. Głogów, woj. zielonogórski**. Sted Przezwlebiam – pozdrawiam. Fac kolonne obiecał na listopad. W grudniu mogę być pewny. Ja siedzę na wsi u matki. Co u Ciebie. Napiz na adres: M. Czychowski: Dżebenin, pow. pocz. Ostrołęka.*

Grabula – Mitek

* Mitek Czychowski, poeta, autor artykułów na temat sztuki, malarz, grafik, malowniczo postać z życia Wybrzeża. To był wspaniały człowiek. Choć nie miał prawej ręki, potrafił cudownie rysować i malować. Uwielbiałem jego miniaturki. Kiedyś sobie dobrze pogadaliśmy przy kawce, słodkościach i papierosach, wszystkie te artykuły w owych czasach były na „kartki”. Mitek mówił, że te, które konsumujemy w pokoju Leszina, (Młodzieżowa Agencja Wydawnicza) pochodzą z paczki „do Włajęty”. Jedliśmy dary! Do dziś jestem tym wzruszony. Panie Prezydencie, że nie zapomniał Pan o Mietku Czychowskim.

Dziś tamten czas wspominać jak chwile, kiedy to zza krzaków w Kopanie obserwowałem jak jadła labory Cychówna, naród braci i siostr z zakurzonych dróg, rzewnej muzyki. Cychanie byli dla mnie dziełarzewcami tęczy. Kiedyś chcieli mnie zabrać swoim taborem, choć bronilem Papuszy. Trzeba przejść przez piekło i czyścić życia, żeby zatęsknić za niebem.

Dzięki Mietkowi i Tadziovi Machnowskiemu, i Janowi Jastrzębskiemu mam sentymenty do Kurpi i Podlasia.

"Jak Czopik-Leżachowski zwany Jaskolubny. Poeta, prozak. Urodzony w 1938 r. Zginął w wypadku samochodowym w 1977 roku. Pochowany na Wólce Węgłowej w Warszawie. Na ponurym i szarym cmentarzu. Jego grób znajduje się nie opodal grobu z kamieniem Edwarda Stachura. Postać zapominana. Obył się mylił. W numerze 9 z 1981 roku „Poeci” opublikowała piękny szkic Jana Czopika pt. *Po tej stronie rzeki. Z tego tekstu porwolę sobie przepisać fragment: ... Jędzadła let temu. W roku 1967 mieszkał u nas przez kilka miesięcy Edward Stachura. Pracował przy wyrybie lasu pod Gruchowicami i pisał książki. W „Sielankie i adale albo ziemi leśnych ludzi” Gruchowice nazywają się Bobowice. Kola – Hopta. a Majka Nowak uchodziła za najlepszą dziewczynę we wsi i kocha się w niej kula młodzież z podgrodzia. W mojej powieści „Góra-dół” Gruchowice nazywają się Kosowice, zaś Edward Stachura w karcie marki „Douglas” gra na bębnie, zastępując prawdziwego bębniarza, którego okarzał zległa żona. Nie muszę dodawać, że gra zachwycającą, nie tylko gra: wszyscy Czopika czasami przypominają w Polskim Radiu Wacek Tkaczuk i chwala ma to za.*

9.

Widokówka kolorowa: Ciecchoćnek. Klub-kawiarnia „Bristol” i pijalnia wód mineralnych. Stempel pocztowy: Ciecchoćnek 21 A.71. Stachura pisze niebieskim długopisem.

Ciecchoćnek, 21.IV 1971

Bruno,

rozmawiałem przedwczoraj w W-wie z tym i tamnym. Więc nic z tego, bo nagrodę mają przysłać już w tym tygodniu. „Poboki” zaś, jak mnie informowała, mają ukazać się dopiero w maju. Więc do przyzłorocznej nagrody będą kandydować z niewątpliwym, myślę, powodzeniem. Ścisłkam Cię. Do zobaczenia na Festiwalu w Toruniu, jeżeli zaproszę. Śted

Edward Stachura

W-wa 26 ul. Rębkowska 1 m 15. Cieszę się z Twojego nowego mieszkania.

10.

Widokówka kolorowa: Poznań, Palmiarnia w parku im. Marcina Kaspraka. Stempel pocztowy: Poznań 2 (...) 8.72. Stachura i Różański piszą niebieskim długopisem.

Bruno!

Jestem ze Śtedem. Jest jasno. Po południu. Trzeba się wybrać do Ciebie. Kalinkowa” widnieć. Idźcie jesień. Tobie włosy linieją. Śted pisze przy stoliku fabule rasę. Nie pijemy, gdyż Śted otrzymał zastrzyk. Myślę, że po bokach zakwitły atry.

Witek” zorientował mi trochę miejscu na pobokach. Na Uralu na pewno by nam było elegancko. Trzeba o tym pomyśleć. Ale czy ja mam za wszystkich myśleć. Cholernie boli mnie pięty od tego myślenia. W połowie sierpnia chyba zawieje mnie do Grudziądza. No to żyj, pisz te wiersze. Ja przestalem.

Śted

"W Grudziądzu przy ulicy Kalinkowej mieszkał Bruno. Poezjowórca uliczka doczekała się niejednej wzmianki w jego poezji i prozie.

"Witek Różański, gdy zasiada przed kartką papieru, to przypomina o całym świecie. Jego rękopisy trudno rozczytać, tylko Janusz Kukliński z Lub-

lina potrafi rozplątać ten charakter pisma. Witek ma sobie tylko znane klucze stenograficzne. Słowa nie nadają się za jego myślenia. Tak to już jest, gdy ktoś jest z krwi i kości poeta. W moich zbiorach mam sporo listów, które czekają, żeby je do końca doczytać, ale... czy to warto?

11.

Widokówka czarno-biała: BIESZCZADY – Taraśca (1348 m) i Krzemień (1335 m). Witek z Halicza. Na pierwszym stronie, gdzie gościł lasy w miejscu tuższej placu, Stachura narysował kwiatostan. Stempel pocztowy: Ciesna 8.3.73. Stachura pisze niebieskim długopisem.

Ciesna, 9.III.73

Drogi Bruno,

od tygodnia nie buszuję. 13 lutego nie udało mi się być świadkiem uroczystości podniosłej we Wrocławiu wręczenia Ci nagrody jubileuszowej. Ale czytałem Twoją list w biuletynie ZLP”. Jak Ty dbasz o tę stawę. Aż wstyd. Aż przykro. No, ale!e!e! Wolę jak piszesz do mnie, niż do biuletynów.

Ścisłkam Cię mocno. Dziękuję Sławkowi” za cyraneczkę!

"Nagroda im. Tadeusza Peipera.

"Biuletyn Związku Literatów Polskich nr 28, Warszawa 1973. W „Dziale kronikarskim” ukazała się notka: *Nagrodę im. Tadeusza Peipera przyznawaną corocznie za najciekawsze tomiki poetów młodego pokolenia, otrzymali as ex aequo: Ryszard Miłczewski-Bruno za tomik „Podwójnym należność” (LSW) oraz Henryk Wolski za tomik „Proch” (Oxoliteum).*

"Syn Bruno, któremu poświęcił wiersz pt. *Tak bandzo i nie. Ślawek nalezł mój wielki! Urodzony w epoce szkła tłuczonego! Mnie nie gra ani ojca szana!* Tak bandzo mnie bandzo mnie tłumacz! W jej oczach i czytaniach domu! Gdzie Yra odłuchona wpię daleka! Bura szczytka na liaty i prosz! Wstała obok że można do niej! Ołna w gruszkach cule i bosc! Nad klatrymi czerwonodzielne kaczki! A w dalebocch szczytynie grzywie! I kolek: *pałków angil strż - / Gdzie przost ludzi coraz więkz! A czielwika coraz mniejs! Ślawek synek mój wielki! Który mnie jak bandzo i nie.*

Czesław Mirosław Szczepaniak

Książki nadesłane

Wydawnictwo Obserwator, Poznań

Rafał Grępiński: *Bięz w ciemności*, 1998, ss. 52.

Jan Kasper: *Miano nad wodą*, 1999, ss. 38.

Piotr Kępiński: *Wzrusz to więcej*, 1999, ss. 54.

Maciej Rembarz: *Lucidum instrumentum*, 1999, ss. 54.

Krzysztof Maria Załuski: *Szpielt Polonia*, 1999, ss. 158.

Krzysztof Śliwka: *Rzymska czołwka*, 1999, ss. 46.

Lukasz Gorczyca: *Najpiękniejsze polskie opowiadania*, 1999, ss. 91.

SLAWOMIR POKRAKA

Ściana

Ręka uwieźta mi w ścianie. Wreszcie po przeszło 42 milionach prób udało mi się. Te 16 lat nie poszło na marne. Prawdę mówiąc spodziewałem się czegoś więcej. W końcu jest różnica między jedną, a setką nagrod w totołotki. Myślałem, że kiedy już nastąpi niepowrzymy euforii, a to stało się tak nagłe, niespodziewanie, cicho. Ulga. Nawet się nie umiechnąłem.

Nigdy nie jadłem szczupaka. Pamiętam, że tylko raz widziałem żywego, gdy poszedłem ze stryjem na ryby. Zajął go z haczyka i pokazywał mi ostre, różnobarwne ukośnice ku wnętrzu żołądka. Ofiara, która raz między nami trafi, nie ma już szans ucieczki. W tym momencie szczupak machnął parę razy ogonem, wyśliznął mi się z rąk i zniknął w wodzie. Stryj zaklął.

Trzy miesiące temu minęło zszesnaste lat, odkąd zacząłem igrzać z losem. Wykładałowa fizyki powiedział kiedyś, że nie może wykluczyć możliwości przejęcia człowieka przez ścianę. Mówił też, że potrafi sobie wyobrazić swoją śmierć przez uduszenie, gdy cały ten z pomieszczenia skupi się w jednym jego rogu. To możliwe, ale mało prawdopodobne. Wtedy postanowiliśmy spróbować szczęścia. Dwie godziny dziennie spędzaliśmy na próbach włożenia ręki w ścianę. Nigdy nie zapamiętałem sobie powod. Teraz też tego nie zrobił żadne się, że to wreszcie pierwsza rzecz, która zrobiliłem bez powodu. Powinnetem być szczęśliwy, bo przecież poświęciłem rzeczy niemożliwej w sumie zaledwie ponad rok życia. Wygrałem, mimo bezładnej sytuacji. Obniżałem niemożliwe. Co więcej można zrobić?

Do stryja należał duży kawałek ziemi, las i ten niewielki staw otoczony z trzech stron trzcinami. Z gałęzi brzozy rosnące na pobliskim wzgórzu, staw wyglądał jak niebieskie oko z trzcinowymi rzęsami. Lubilem przebywać tam ze stryjem. Nasze wspaniałe wędkę były świeżymi leśnymi rybami kłujkami z żyłką i haczykami kupionymi na pechlim targu. Spławiki zrobiliemy ze styropianu i gęstych pędów. Wspaniałe utrzymywały się na wodzie i dobrze reagowały na branie. Pamiętam, że mimo to niczego nie złowiłem. Ciągnąłem albo za wczesnie, albo za późno. Zawsze byłem łajza.

Znam setki ścian. Gdziekolwiek byłem, dwie godziny rezerwowane dla swego nalogu. To był hazard, który wciąż wygrywał mi dłuższy był uprawiany bez powodzenia. Moje perfekcyjne ruchy wymagały zapewne jak napady nerwowego tik. W końcu przyciągała nie sama próba, ale każda nowa ściana. Inaczej brzmia ściany działowe, inaczej nośne. Beton, drewno, gips, rozmaite rodzaje tynków, tapet, faktur powierzchni. Człaiem to wszystko, mimo że już po trzech miesiącach od rozpoczęcia prób opuszki moich palców były twarde jak opony w stryjomym traktorze.

Zastanawiające jest, że opony jedynie wkładam rękę głębiej, ale już wyciągnąć jej nie potrafie. Wydaje mi się, że uścisnął tam na dobre. Nie ma co się nad sobą rozczulać. Mam czego chcieć. Pozostaje mi albo wderować po większych targowiskach z kawałkiem muru w miejscu dion, albo sprawdzić, co jest po tamtej stronie.

Palimpsest

W słabym świetle dochodzącym zza kuchennego okna i wpadającym przez otwarte drzwi do sypialni widać: było ruchome cienie, które raz po raz przybierały ludzkie kształty i na powrót rozciągały się tworząc niewyraźne plamy. Wszystko działo się w absolutnej ciszy za sprawą miękkich dywanów w całym domu, upału i braku wiatru.

Zły pocałunek. Fałszywy nawet tę namiatkę rzeczywistości, która ma się stać podstawą reszty kłamstwa. Najlepszym jest prawda. To nie działo się w przeszłości, lecz odbywa się właśnie teraz. To ja jestem jednym z tych cieni, a drugim jest nieprzytomna Justyna, która próbując zwoleć do sypialni. Ciężka jest Justyna. Ciepła, bezwładne ręce, którymi mogę poruszać. Nigdy nie mówię: Kocham cię. Śmiejesz miś bulgotanie w twoim podbrzuszu. Miało pójść tak łatwo, a ty ciągle wyllizujesz mi się z rąk. Może rzeczywistość lepiej będzie ciągnąć cię po podłogę... Nareszcie umiemy wyciąć. Dobrze, że dywan nie płynie za nami. Korzysta wyglądał stąd upornie. Zapewnie jak w niemym filmie. Szkoda, że nie można tego zobaczyć. Hop i już leżysz wygodnie. Jeśli nie chcesz miś słuchać, mogę włączyć radio. Dobrze, bądź mówić. W takiej chwili znikają gdzieś słowa, które w myślach były powiedzione już setki razy...

Zawsze był dla mnie najważniejsza... Pozwolił, że będę cię rozbierał? Koszula, spodnie i już spoczył mi się dionie. Nie potrafię nad tym zapamiętać. Postępowała dziesiątka tuż przy kołnierzyku. Gazik tworzył się przez chwilę w ciemnościach. Teraz zdejmę ci skarpetki. Czteryś pannożki. Tak pięknie je pomałowało. Dla niego. To on bada jąderki krawędzi czerwonych płytek, zaspokajając swą żądzę dotyku. Każde słowo starsi się sprawdzić opowiedzieć do koleżanów bawo. Rzeczywistość jest niewzruszona. Jest. Dobrze, że włożyłaś stanik rozpiany z przodu. Tak będzie wygodnie. Albo lubię takie. I jedno, i drugie. Muszę wyjść do łazienki, bo lepią mi się ręce. Trzeba zyskać na czasie. Nie zmorszę tego, ale zawsze tak jest, lekroć się dotykam. Woda studzi moje dionie. Nic nie ostudzi głowę. Muszę je przedchłodzić, by nie wracać to za chwilę. Patrz w lustro. Działanie to największy grzech przeciw równowadze. Nienawidzę siebie, ale ty jesteś piękna. Już do ciebie się. Ogrzeję mi todotowe pałce.

Alteż masz ciężki tyłek. Nie mogę zdjąć twoich majtek? Przywarły do ciała niczym moje dionie za pierwszemu razem. Pamiętałeś? Udało się. Nareszcie jesteś naga. Twoje pierzy wyglądają dużo lepiej, już leżysz. Nie dlatęgo, że wydają się mniejsze. Są teraz po prostu bardziej kształtne. Kocham nakrywać je lekko dionie, ale teraz szybko muszę to nudzi. Pragnę być dalej, głębiej. Działam i domawiam działania. Wilgotne tno. Pamiętam ten zapach... Sztybko kęciukami badam pępek i już jestem w miejscu najpiękniejszym. Żakże rozkoszuję się, stojąc z tyłu, dotykając krawędzi twoich żeber. Palcami wakużkami zakotwiczyć dionie, by kęciukami badać miękkość pierzy. Zawsze w jednym spoiście i podatność. Pocałunek, już zetknięty się zębami. Teraz nie chce mi się ciebie odzwadzać. Nie, nie chce już tego. Chyba pójść po brzytwę.

Justyna leży w sypialni, a ja szkamam teraz narządzia. Mam zamiar naciąć jej skórę. Można by to zrobić skalpelem, ale to mało plastyczne. Nacię ją gdzieś tutaj – te, która zginęła Tomasowski. Zawsze nosił ją przy sobie, bo tak czuł się bezpiecznie. Pewnego dnia jednak znalazła się w mojej kie-

szeni... Nie ma jej tam! Nie wiem już, gdzie mogłaby być. Chyba trzeba będzie wykorzystać skalpel.

Zastanawiam się... Przypomniała mi się Justyna sprzed lat. Brak piersi i mała, bezwłos ciępa. Tak samo wilgotna, tyle że bez zapachu. Piękne czasy. Wspominałam wciąż tamte szalściejsze pocałunki, których nigdy później nie udało mi się powtórzyć. Nawet z nią.

Przeżyłem mam brzytwę w plecaku. Dobrze pamiętam, jak przyjemnie było ostrzyć ją na marmurze, gładzić na skórzanym pasku, potem delikatnie owinać w liginę. To musiało być zrobione z pełną ciekawością, a na pewnością podnosi rangę czynu. Później zawiąniętko znalazło się w ciasnej kieszeni plecaka. Tak, w te!

Ktoś chodzi po domu. Cisza, gdy się już do niej przyzwyczaić, nigdy nie jest absolutna. Słychać szeleś ubrań, skrywane klapy, każdy ruch zamka blyskawicowego... Wiadomości używają wystarczająco, by rozemnieć się w tym świecie. Ale jak długo można wstrzymywać oddech, by swobodnie nadsłuchiwać?

No, moja droga, czas na prawdę. Jakie to straszne. Cóż z tego, jeśli największą z pól jest unikanie sztućczyka. Nawet nie wiesz, ile razy byłaby zabijana w myślach. Teraz już mogę ci to powiedzieć. Oto pełna asertywność z pełną autentycznością. Kochanie ciebie jest trudniejsze, niż możesz przypuszczać. Postaw się na moim miejscu.

Najpierw myślisz, że nigdy nie zrobisz jej krzywdy, nie potrafisz zranić. Potem rozumiesz, że możesz skarcić kochaną osobę bardziej nawet niż odnieść konie z cukierkami. Ona śmieje się za ścianą - do niego. Jego zdjęcie w jej portfelu i na jej biurku. To nie do zmyślenia. Najpierw paraliżuje, potem kurwiona... Obejmuję cię, całuję i zniszczę. To nie do wszystkiego załatwi. Ty nie możesz już tego znieść, ale czujesz też, że w właśnie teraz mocniej niż kiedykolwiek... I nagle myśl... Przerwał ten paraliż.

Od czego mam zacząć kochana? Wolisz male naciepnie na prawym uszku, brzuca ci może któreś z pięt? Tobie jest to zupełnie obojętne, prawda? Skoro tak, to - jeśli pozwolisz - ząmję się uchem. Może od razu odciąć ci kawalek płatka, powiedzieć do otworu na koleżyk... Albo ujechać ci pół ucha, suko! Spokój... Zaczne od drobnej rany. O tak. Mało krwi. Niezrównany smak twojego ciała i krwi. Zbyt drogi, by móc zapomnieć. Jest wspaniały: słodkawo-cierpki. Sprawia ból moim kubkom smakowym, choć może bóla od wrzasku, którego trzeba było próbować, żeby nie oszaleć.

On tego nie robił, prawda? Nie smakował twojej krwi? To by było nie do znieśnienia. Nie zabierze mi ciebie, nawet jeśli ty sama nie potrafisz mu się oprzeć. Pora, by wreszcie odsoniło boskie krawędzie twoich żeber. Nikt mi już ciebie nie...

Co to, budzisz się?

- To ty? Co się stało?

- Wiesz... Straciłaś przytomność w kuchni...

- Boże, nie nie pamiętam.

- Rozciągnęłam sobie ucho. Nie... miałam nic pod ręką, więc... wysłałam ranę.

- Jestem nago?

- Miałam cię położyć do łóżka w ubranis! Wiesz, całe szczęście, że byłam dzisiaj z toba, bo gdybyś leżała tak, jak leżałaś, to na pewno był się uduśca.

- Dziękuję...

- Justyno! Od czego ma się starsza siostra.

1996

Towarzystwo Krzewienia Pokrzywy

Pracuję w „Głosie Ciotczy” - gazecie naszej wsi. Jestem tu nie tyle kim, bo zastępcą naczelnego. Co prawda w całej gazecie pracuje nas tylko dwóch, ale zawsze lepiej powiedzieć, że się przybięło drugim, niż ostatnim. Nie mamy czego się wstydić w naszej gazecie. Tydzień w tydzień sprzedajemy 600 egzemplarzy „Głosu Ciotczy”, co przecież we wsi liczącej blisko 3000 mieszkańców jest nie lada wyrzynem. Wiadomości jest jeszcze lepiej. Nie czyta nas tylko Karol Młot - on naprawdę tak się nazywa - który dawno temu pokłócił się z naczelnym, bo wydrukowałymi, że u Młota na podwórku jest brudno. To przeszłość, bo teraz Młot ma najczystsze gospodarstwo we wsi, no może po wójtowny, ale zgody nie ma i pewnie nie będzie. Tak więc co tydzień drukujemy 650 egzemplarzy „Głosu Ciotczy” - gazetę naszej Małej Ojczyzny i 50 z nich zostawiamy w archiwum dla przyszłych pokoleń.

Robota w gazecie jest teraz lekka, bo mamy komputer. Cały numer składamy na komputerze i od razu wypuszczamy na folię, a sam druk to już przysze. Na dobrą sprawę teraz to nie trzeba nawet znać ortografii, bo komputer i tak sam wszystko sprawdzi. Zamiast dajmy na to, chyba że dwa razy napisałem w gazecie „huliganji” zamiast „huligani”. Sam nigdy bym nie zauważył, ale powiedzieliś mi o tym moja Anetka, która w naszej szkole uczy polskiego. W lutym zresztą się pobieramy i już może w listopadzie przyszłego roku doczekamy się tu w Ciotczy następnego dziecka z rodziny inteligencji.

Ciotcza to wcale nie jest taka prowincja. Mamy elegancką remizę, bibliotekę, Klub Inteligencji Katolickiej, chór kościelny i Towarzystwo Krzewienia Pokrzywy. Pewnie się niektórzy, najpewniej ci z miasta, ma się rozumieć nie takiego jak Kock, ale dużego, jak Lubartów czy Puławy, zastanawiają, co takiego można pisać w gazecie wiejskiej. Ano takich zobacz naszą gazetę i niech wiedzą, że na wsi można pisać o czymś więcej niż tylko o opryskach. Mamy strong informacyjną, sam ją przygotowuję. Chodzę co wtorek do wójta i on mnie informuje o tym, co się dzieje we wsi. Czasem te informacje mają formę apelu, żeby, budzi, a potem wiem, nie wiadomo - nie ma komu posprzątać. Są oczywiście wszystkie uchwały Rady Gminy, ogłoszenia parafialne i aktualności. Są informacje dla rolników. To robi naczelny, bo skończył Akademię Rolniczą. Jest też w naszym „Głosie Ciotczy” strona kulturalna. Bo trzeba wszystkim wiedzieć, że Ciotcza jest alnie związana z kulturą kraju. Zatrzymał się tu kiedyś na jedną noc Bolesław Prus, na krótko przed napisaniem „Lalki”. Poza tym właśnie stąd pochodzą rodzice Sławomira Świeżawskiego - lidera grupy „Fire Boys” - najpopularniejszego zespołu nurtu disco polo. Od razu widać, że nie mamy się czego wstydić.

Mamy w Ciotczy doskonały chór chłopięcy przy kościele św. Wojciecha. Chór prowadzi pan Karimierz Gryko, który mówi o sobie, że pół serca oddał Hendrikowi, a pół św. Franciszkowi. Nie bardzo się to podobą naszemu nowemu proboszczowi, bo - jak mówi - jest raczej przychylny tradycji dominikańskiej, cokolwiek miałyby to znaczyć. Czego by jednak nie mó-

wił, to proboszcz się cieszy, a z nim cała wioska, bo ostatnio pan Kazimierz razem z zespołem zdobył zaszczytne drugie miejsce na Międzynarodowym Festiwalu Piosenki Religijnej w Białymostku. I pomyśleć, że takie międzynarodowe gwiazdy śpiewają do mszy właśnie w naszym kościele.

Różnie to u nas jest, o czym nie każdy wie. Na przykład wójt i zastępca mają dyżury co tydzień, na zmianę. Czasem, jak to w grminie, może się zdarzyć, że przyjdzie ktoś z jakąś sprawą, skarga czy zażalenie. Pół biedy, jeśli trafi do wójta – to dobry człowiek. Z nim i porozmawiać, i wypić... Gorzej, jeśli w danym tygodniu dyżur ma jego zastępca. On się wcale nie wszystkim boi. Gdy tylko dowie się, że ktoś do niego przyszedł, natychmiast zamyka się w swoim pokoju, a sekretarce mówi, że jest zajęty aż do przyszłego tygodnia. Tak więc wszystko przechodzi przez biurko wójta. I cała wieś wie, że ważne sprawy można załatwić co drugi tydzień.

Nasza gazeta ma oczywiście swój program. My nie gonimy za tanią sensacją, nie szukamy afer. Chcemy, jak mawiał wcześniej, opisywać naszą Małą Ojczyznę pokazując jej plusy, bo to nieprawda, że nasza wieś nie ma zalet. Tu po prostu zachowaliśmy te wartości, które w dużym mieście być może nie istnieją. Nie szukamy negatywu, a staramy się wypunktować pozytywty. Lepiej przecież pokazywać tych, co dają dobry przykład, niż robić sobie z ludzi wrogów, tak jak to było z Młotem. Innym przykładem może być wysypisko śmieci, które jest zaraz za wsią – wcale z niego nie śmierdzi, a jakie daje korzyści. Mamy nowy asfalt, wodociąg, chodniki, telefon – same plusy.

Nie chwalcę się, ja także przyczyniłem się do rozwoju Ciotczy. Przyszedł kiedyś do mnie Wacek Gieralt, który wtedy nie był jeszcze dyrektorem wysypiska, tylko pracownikiem firmy, która miała je budować. Siedliśmy sobie, pamiętam, w redakcyjnych fotelach i Wacek poprosił mnie, żeby nie pisać w gazecie źle o budowie, bo nikomu to nie jest potrzebne. Zaproponował też, zupełnie nieoficjalnie, „drobne wynagrodzenie”, jak powiedział. Na początku nie wiedziałem, co zrobić, ale po paru dniach przyszedł do mnie wójt i mówi: Młody jesteś, trochę grosza ci się przyda, a przecież nie złego nie zrobisz, tylko wszystkim pomożesz. I tak zobowiązałem się. Kupiłem sobie później samochód – to i ludzie zaczęli mnie bardziej poważać, i moja Anetka się ucieszyła.

Zapomniałem zupełnie o dumie naszej wsi: Towarzystwo Krzewienia Pokrzywy istniejącym na tym terenie od pięćdziesięciu lat. Tuż po wojnie zawiązała się w naszej wsi Grupa Inicjatywna – niewielki, bo dwuosobowy organ założycielski Towarzystwa. Tymi dzielnymi ludźmi byli: Andrzej Paśko, aktywista, późniejszy dyrektor PGR w sąsiedniej wsi, oraz Walenty Krassowski, wybitny polski botanik, który tuż przed wojną skończył studia w Moskwie. Wtedy jeszcze powszechnie uważano pokrzywę za zwykły chwast. To Walenty Krassowski po raz pierwszy pokazał naszym rolnikom, że można nie uprawiać ziemi, zostawić ją – niby odłogiem – na rok lub dwa, by pokrzywa mogła się rozkrzewić. Później znłwa i gotowe. Pokrzywą można wykarmić bydło, zrobić doskonałą zapę pokrzywową, a z saszonką bogatą w witaminy herbatkę. Uprawa pokrzywy to drugie po wysypisku śmieci największe źródło dochodów Ciotczy.

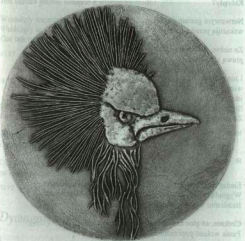
Poszedłem niedawno do siedziby TKP. Chciałem napisać artykuł o historii Towarzystwa, jako że zbliżała się wtedy pięćdziesiąta rocznica jego powstania. Rozmawiałem z Alojzjem Kulka – sekretarzem. Odpowiedział mi historię maszynopisu *Dejów Towarzystwa Krzewienia Pokrzywy w Ciotczy*. Cała

praca wykonywała, jeszcze w poprzednim systemie, dwie długoletnie pracownicy Towarzystwa tuż przed wziętą wojewody czy kogoś takiego. Miśną rok i z półki w gabinecie prezesa *Dejów*, przeniosły się do jego domu. Tam zostały przepisane, zapewne przez jego żonę, opatrzone nazwiskiem prezesa i wydrukowane w Jednostce Ciotczy i okolicy. Po dwóch latach maszynopis porzucił od prezesa jego siostrzeniec, wtedy student historii, a obecnie dyrektor szkoły w Ciotczy. *Przedział Dejów...* podpisał się pod nimi i obronił jako własną pracę magisterską.

Gdy rozmawiałem z Kulka, *Dejów Towarzystwa Krzewienia Pokrzywy w Ciotczy* były u pierwotnych autorów, które je poprawiali. Trzeba przecież zapamiętać o wylicze sekretarza KW PZPR, nagrodzonego Komitetu Powiatowego i tym podobnych wygłupach. No i koniecznie trzeba się pozbyć apelu z maja 82 do rolników o uprawę roli, naszczyplenie, dzieci o naukę i całej reszty, by robiła swoje i nie poddawała się plotkom, intrygom i namowom wewnątrz i zewnątrz barczelijskiej spokoju. Poza tym przydałaby się historia jakiejś tajnej komórki opozycyjnej...

Na koniec Kulka zaprosił mnie do siebie, kiedy już nowe *Dejów...* będą gotowe i poprosił, żebym po ich przepisaniu podał w gazecie nazwiska autorów. Zgodziłem się z nim całkowicie. W końcu nie odmawia się przyjacielom. Ucieszył się, Przeczuczuwam, że niedługo dostanę od wójta podziękę.

Slawomir Pokraka



Jolanta Słomianowska: *Zaraw karolinazy*, 1995. Wydruk w kolorze. Płaski jednostronny, brąz liny, pstrykany, Ø 15 cm.

KRZYSZTOF LUTOWSKI

* * *

Szukam drogi.

Jeżdżę zabytkowym
pomiemieckim rowerem.

Zaglądam w oczy,
Oczami daję znaki.

Którędy?

Nerwowym gestem żręcin,
wskazują przed siebie.

Za siebie, w stronę
prawą albo lewą.

I nie patrzę
więcej na mnie –
idą.

Się gapię. Nie dowierzam.
Za proste – myślę.

VII 97

* * *

Siedzę na krześle przy stoliku w Poradni Przeciwwgrzecznej
Wygląda trochę, jak w przydrocowym Barze Mlecznym.
Bezdumni włączą z butami w życie normalnym.

Czekam, aż głos zza drzwi wezwie panów.
Panie wołano poprzednio. Zdążyły już wyjść.

Inni panowie też czekają.
Brakuje herbat z cytryną podanych w szklankach bez koszyczka,
lecz na szklanych podstawkach z bardzo pospolitą łyżeczką

wetkniętą w zabarwioną wodę.
Nikt nie nie mów.

Patrzę na tabliczkę z przekreślonym papierosem,
na wypelnioną przeze mnie kartę prześwietlenia,
na planszę z wypisanymi brązową kredką godzinami przeżyć.

Niczego nie próbuję zapamiętać.

Niczego nie rozпаміаję.

Nic mi się nie przypomina.

O niczym nie myślę. Nie filozofuję.

Skupiam się na odczuwaniu, aby
zdać sobie sprawę, że teraz jestem tutaj.

V 97

* * *

Ta noc jest tak piękna.
Wyszedłem się trochę schłodzić, ochłoniąć.
Samotnie pospacerować po parku.

Jest bardzo późno, listopad z wtorku na środę.

Wejdnięty szczerlinie w obszyty ciepłym futerkiem kaptur.
Wejdnięty w głowę.
Coś tak właśnie postanowiło.

XI 97

* * *

Stoję w oknie. Spoglądam na czarne kikuty drzew,
wystające z parku za ulicą.

Ja za brudną szyba, ten budynek
i te drzewa odarte z liści.

Dla gołębia, który rozplaszczony leży
na lewym pasie.

XI 97

Dywagacje

1.

Te spotkania na szczytce niewiele wnoszą.
Ono godzin spędzamy na rozgrywkach męskich.
Wiesz, ty masz wielką, owłosioną,

wymalowaną na czole.

To jest twój trzecie oko, którym na mnie patrzysz.
Miej oko, ale patrzaj w sens.

2.

Wiesz mała, najgorsze, jak niedorobieni poeci,
zasiądą do konsumpcji poezji. Rozbierają ją.
Ja nie mam niczego przeciwko.

To byłby święty widok. I dowód na postmodernizm.
No wyobraź sobie panią poetkę, w smiałej bielźnie,
rozkładającą nogi na okładce poważnego pomograficznego pisma.
Matka jadalna niektórych pomników.

Mała poplakała się
i odeszła.

3.

Karty zostały rzucone. Gra się rozpoczęła.
To koniec, ale i początek. Teraz już trzeba
się tego podjąć. To nie, że ryzykujesz kulę w plot,
ocenę ostateczną. Karty krążą w rękach szalatorów.
Gra się toczy.

4.

A gdyby tak podłożył bombę w kilku miejscach w mieście?
Zabić 160 osób w dwie godziny?

(cyt. i tak dalej mniej więcej w tym stylu)

5.

Rozmawiałem z Krzysztofem Siwczykiem przez telefon, jego głos
mnie zaskoczył. Zapomniałem powiedzieć mu to, co w życiu
najistotniejsze,
umówiliśmy się, że to ja przyjadę do Gliwic, zrobimy większą orgietkę,
będziemy się sobą onanizować.

6.

Wsunąłem palec w jej śliczną pupę. Niech przemówi
do mnie. Niech jęczy. Niech napisze się beze mnie,
a ja się pod tym podpiszę.

7.

Do dzisiaj rozpedziłem się do granic zastosowania praw fizycznych.
Na drodze musiałem koniecznie cofnąć się do mieszkania,
w odwrocie nie wytrzymałem, wyrzygałem się na trawnik.
W ten sposób wyhamowałem.

8.

Przyjęte do korka, wiszą niezapłacone rachunki.
Są też inne zobowiązania, tyle rzeczy najistotniejszych.
A ja jak głupi bronię jej.

KONIEC

Pałę papierosa. Nie smakuje mi w ogóle. Jest do niczego.
To Mocny. Był Wojacek, co ostro wojował. Był Bruno-Milczewski,
co bardziej był Brunem niż Milczewskim. Czy możliwe, żebym
urodził się jeszcze raz?

VIII-IX '98

Krzysztof Latowska



Jolanta Skornisowska: Tęczęce, 1997.
Terakota, wysokość 32 cm.

Kresy we wspomnieniach

Niemal każdy, kto sięga po książkę o kresach czyni to z nadzieją, że czeka go zupełnie niezwykła przygoda czytelnika. Pejzaż kultury kresowej od czasów „Pana Tadeusza” jawi się nam jako kwintesencja polskości, tego co w naszym narodowym dziedzictwie najistotniejsze, najwartościowsze, najpiękniejsze. Od czasów romantyzmu i głównie dzięki romantykom pejzaż ów uzyskał w powszechnej świadomości Polaków formę zmitologizowaną. Ale przecież kresy, ta przed półwiekiem na zawsze w sensie politycznym utraczona dziedzinia, ciągle są czymś więcej, niż tylko barwna legenda. Ostatnio to są chwile, kiedy ci, co urodzili się w pełni ukształtowali swą osobowość na kresach, sami mogą o swym życiu opowiedzieć. Mamy tę świadomość i tym większą ciekawość, a tym większym wzruszeniem ich słuchamy.

Wydawctwom „Norbentium”, jak gdyby odpowiadając na to zapotrzebowanie wydało, jedną po drugiej, dwie autobiograficzne książki, których autorzy – niemal równieśni – urodzili się na Wilenszczyźnie, studiowali w Uniwersytecie Stefana Batorego, po wielu zakrętach życiowych osiedli w Lublinie, na tutejszym Katolickim Uniwersytecie osiągnęli godności profesorskie, wysokie pozycje nie tylko w krajowych środowiskach akademickich. W serii, którą wydawnictwo nazwało „Mistrzowie”, jako pierwsza ukazała się w 1996 roku książka prof. Czesława Zgorzeleckiego pt. *Przywołane z pamięci*. W roku 1998 do krzyżownika trafiła następna pozycja z tej serii, książka prof. Ireny Sławińskiej *Szlakiem moich wód*. Książki te zdają się wzajemnie uzupełniać: mówią o tym samym czasie, tym samym środowisku, ale same nazwiska pojawiają się w obu tomach. Autorki – niegdyś uniwersyteckie koleżanki, potem połączeni zostali przez los znaleźli się w Toruniu, gdzie właśnie powstawała wyższa uczelnia. Debiut autorki Ireny Sławińskiej był pierwszym obronieniem w tej uczelni. W następnym roku doktoryzował się tu Czesław Zgorzelecki. W końcu 1949 roku oboje, w ramach politycznej czystki, z toruńskiego uniwersytetu usunięto. W 1950 roku przybył na zaproszenie ówczesnego rektora KUL do Lublina i związała się z tą uczelnią na stałe. Już chociażby z tego względu książki te mają ze sobą wiele wspólnego. To są książki jedne, z dwu tomów złożona całość. Poza już wymienionymi łączą je jeszcze i ta istotna cecha, ich autorzy – „mistrzowie” w dziedzinie swych profesji, w pewnym sensie także w dziedzinie życia są ponadto mistrzami w sztuce narracji, co sprawia, że czytelnik czuje „jednym tchem”. Lekturna jest tym bardziej fascynująca, że książka z opowieści powstała pisano, jakie wyświecała na niej osobowość narratora, dzięki temu każdy z tomów oferuje inne satysfakcje, inny rodzaj czytelniczej przygody.

Obie książki sprawują wrażenie powrotu po latach odjeźdu („współczesnymi Odyssami” nazywa to pokolenie biskup Józef Zieliński we wstępie do książki Ireny Sławińskiej) do rodzinnej Itki. To rodzaj sentymentalnej podróży do krainy „sielskiego” dzieciństwa i „głębnej” młodości, realizacja marzenia, która w sytuacji tych autorów jest zrozumiałe – wzniesić życie powrotem do źródeł. Czesław Zgorzelecki, dokonując obrachunku lat, które

więzały go z różnymi miejscami, wylicza, że okres lubelski jest o kilkanaście lat dłuższy niż przedwojenny czas jego życia. Mimo to – stwierdza – Lublin nie stał się jego „miastem domowym”. Tym na zawsze pozostało Wilno. Tak pięknie pisze o swoim emocjonalnym związku z tym miastem, z Wilenszczyzną: *Jakbym dziś jeszcze, po 86 latach, z taniej ziemi czerpał siłą żywota, jakbym tam tylko mógł odczuć swojski powiew wiatru i zapach piły rodzinny*. Wyraźnie czuje się, że oboje autorzy odwołują swą sentymentalną podróź pod najwzwyżym patronatem bliskiego im Prosty, mamy wrażenie, że od niego zaczerpnęli wódt powrotu wspomnieniami do utraconego kraju urodzenia. Nie sposób nie myśleć o Mickiewiczu, filomatach, ówczesnych entuzjastach nauki, duchowego samokształcenia, a także wspólnej zabawy, kiedy czyta się w obu książkach o pierwszych rozmakach studentów odrodzonego po długiej niewoli Uniwersytetu im. Stefana Batorego. Ci młodzi ludzie po I wojnie mieli mocną świadomość dziedzictwa romantycznego. W ich oczekiwaniu świat romantyczny był mediaki, wszystkim wokół w tym niewychowanym mieście zachowało o nich pamięć żywa, naruszona. Stapali po śladach swoich poprzedników na dziedzińcach uniwersyteckich, te same przemierni ulice, zaułki, te same mijalni domy, do tych samych zachodził kościółów, te same podziwiali widoki, oddychali jakby ta sama atmosfera. Świadomość, że świat opowiadany w obu książkach posiadał tak bliski, tak ściśły związek z rzeczywistością, która dla większości dostepna jest może niemal jedynie poprzez legendę, nieodczuć nie towarzyszy także lekturze wspomnień. Jeszcze jeden sam je lekniący! „Mistrzowie” oprowadzają nas po uniwersytecie i jego okolicach, oddają urodę miasta i urok młodości, sprawiają swoim przedmiotem, że poznając ich świat czujemy się tak, jak gdybyśmy poznawali zarazem i ten świat z początku XIX wieku.

Losy autorów książek nie we wszystkim układały się podobnie. Irena Sławińska nie miała domu rodzinnego w takim znaczeniu, jakie jest pojęcie w dzisiejszym, przywołuje ona na pamięć dom swoich krewnych, dla Czesława Zgorzeleckiego „powrót do Itki”, to powrót najpierw właśnie pod rodzinny dach. W pierwszym rozdziale swojej książki Zgorzelecki wydobyla we wspomnień wszystko, co pozwalało mu dom odтворzyć jak najdokładnie. Aż wzruszający jest ten wysiłek, by nierzaz ze strzępów zapomnianego wywołać wyraziści, żywy obraz dziejstw! Wszystko jest dla niego rzeczywiście ważne: informacje o członkach rodziny, o stanie majątkowym, najdrobniejsze szczegóły wyglądu ojcowieckiego świata, pobudowanego na „napoleońskim trakcie” w Boryczewie, nieopodal Radziwiłłowskiego Nieświeża. W opisie gospodarstwa czuje się wrażenie Pana Tadeusza, którego obecności autor jest zresztą w pełni świadomy. W Boryczewie, jak w Sopolniczu, panowały porządek i dostatek. Pełne są stodoły, spichrze, stajnie, chlewnie, dwór jest okazały, ma sporo gości, życie w nim toczy się bujne. Niestety, wojna załamała historię Boryczewana. Gdy się czyta o tym świecie zgodnie koegzystencji narodów i kultur, świećcie jakby do zaobanego i szczęśliwego życia stworzonego, gdzie nawet przyroda nadzwyczajnie zdawała się ludzkom przyjaźliwej, upiększała ich egzystencję, nie można się oprzeć poczuciu, że historia – zwłaszcza historia XX wieku – obeszła się z nim okrutnie. Za sprawą upadku najświetniejszej nawet majątki, zdesztawowana została kultura, wykończyli się losy ludzi, z których tyłu zginęło w głębi Rosji, rozszarpało się po świecie. Zacytujmy tu Irenę Sławińską: *Każdy z nas, urodzonych na terenach byłego Wielkiego Księstwa, wie, jakie to echo leśne do dziś tam błędzi i jakim walkom doją świadectwo. Puszczka Nalibocka... Zimnie, czuję! Radziwiłłowski, potem Hohenzollernów i rodziny Hohelmele, w końcu XIX wieku drogą romantycznych procedur przechodziła w ręce ostatnich tam z dawna polskich rodzin: Rutkowskich, Howorków, Głogowskich, Dzierżyńskich, Wydmu...*

... A losy tych rodzin? Bilniczka podobnie: aresztowani pierwszej wojen-
nej strony, więzieni, deportowani w głąb imperium, straceni, rozstrzelani
gdzieś po drodze, zaginęli bez wieści. Niekiedy kobuły wróciły po latach,
nie próbując już zakładać gospodarstwa ani domu, przycupnywszy gdzieś
w małych miasteczkach w Olzyskim czy Zielonogórskiem.

Ze wspomnień Sławińskiej szczególnie klimat kresowego życia emanuje
jeszcze mocniej niż z opowieści Zgorzelskiej. Autorka *Szokiem moich
wład*, jak już było powiedziane, nie otrzymała od losu miejsca najpierw-
szego, najmocniejszego zakorenienia, które jest miejscem *gdzie dziecko
rodzi się i dojrzewa, pod opieką rodziców, rodzeństwa, ale i tych samych
rodzi, tego samego Burka. Domu, który zna się na pamięć, do którego wraca
się na święta i podróży – i gdzie ktoś czeka i wita na ganek*. Sławińska tak
żel swoisto na tego, że w Olzyskim do domu rodzinnym zawład w
jakimś stopniu literacki wzruszenie. *Może to w konwencji drobnozalach-
kiej, z Pana Tadeusza – próbuje jakby bronić tego z czułością wpięto-
mowego wyobudzenia – ale przecież za dła mego dorobczystwa były takie
dworki i ganeczki, gdzie stał ojciec, matka, często babcia... Trwały do 1939
roku, a czasem dłużej. Wizerunek, który o sobie przyniósł na pamięć,
myśląc o takim właśnie domu, to dworek dalekich kuzynów. Niestety, ten
obraz pamięci też został oskaleczony. W straszna zima 1940 roku rodzina
ową wywieziono w głąb Rosji. Był to dom, nad którym „przewalicy się róż-
ne burze dziejowe, przemarsze wojsk, odwroty armii, zmuszające rodzinę
do krycia się lub ucieczki”. Wytrzymał wszystko aż do 1940 roku.*

Irena znalazła się w nim wtedy, gdy czający jego chwały były odległe
przeszłości. Ale o dawnej świetności zaświadczą jeszcze „wielki salon,
rozcignięty między dwoma ganeczkami, a w nim fortepian, mebel zupeł-
nie nieużyteczny, poza oczywistą funkcją prestizową, którą starał się pełnić”.
Poza tak charakterystycznym dla narracji Sławińskiej zarbitlowanym
wytęsmem daje się wyznaczyć głębokie wzruszenie. Nigdy potem nie miała domu
z prawdziwego zdarzenia. Los odjął jej szansę założenia własnej rodziny –
ukołochany mężczyzna zginął w Katyniu, a ona pozostała wierna jego pamięci.
W warunkach PRL-u nie mogła nawet marzyć, by w pojedynkę, z uniwer-
syteckich poborów układać na mieszkanie, o którym można byłoby myśleć
- „dom”. Cale swoje życie przemieszczała w sublokatorskich pokojach. Jak
że w tej sytuacji nie dać się ponieść wzruszeniu, gdy mówi się o domu, który
był jej najbliższym marzeniem!

Dziesięć-u lat nauki Ireny Sławińskiej nie były dostatek, musiała
przeżyć wiele ciężkich chwil. Ale nie rozpaczyła jej głębiej, zdaje się
nawet pewne bolesne sprawy pomijać. Natomiast zatrzymuje się raczej na
tym, co pozytywnie zapisało się w pamięci. Nie miała rodzinnego domu,
ale miała rzekę swego dziedzictwa. To w Wilni po raz pierwszy znalazła
przyjacielskiej wspólnoty. A potem były spotkania z Niemcem, w latach
studenckich wędrowki kajakowe, spotkanie z „najpiękniejszą rzeką świata”
Zejmiana. Wodne włościęży stały się pasją Pani Profesor na całe życie. Zeg-
lowała po jeziorach mazurskich i po wodach Poczepszczyzny-Leczysko-
Włodawskiego. Pływała po Morzu Śródziemnym i Morzu Karaibskim. Życie
wypełniała nauką, wędrowaniem po świecie, poznananiem ludzi, pielegnowaniem
licznych przyjacieli. Czytamy jej książkę jak opowieść o życiu bogatym,
spełnionym.

Oboje autorzy starają się dystansować wobec niejako narzucających się
konwencji literackich. Wykazują wielką troskę o to, by ich dzieła miały cha-
rakter faktografii – niektóre partie *Szokiem moich wład* noszą nawet zna-
miona pisarstwa typu naukowego. Czytający te książki znajdując się w kom-
fortowej sytuacji: może być absolutnie pewien, że podawane przez autorów
informacje, zwłaszcza gdy dotyczą wydarzeń i faktów o znaczeniu
historycznym, są absolutnie pewne, że nie ma w tych wspomnieniach tak dla
tego gatunku pisarstwa charakterystycznych przekłamania pamięci, błędów,
pomyłek. Może być pewien rzetelności narratorów, bezstronności ich relacji.

tego że ich oceny są zawsze wyważone, formułowane najpierw z pozycji nie-
emocjonalnej, lecz intelektualnej. W taki oto sposób trująca na wspomnie-
nia profesjonalne nawyki pisarskie autorów. Podnosi to wartość książek.
W drobiazgowych opisach wojennej działalności Cz. Zgorzelskiej i Sławińskiej
świadomość naukowa, który po czasie uzyskał gruntowną wiedzę o tym,
w czym brał udział. *Przywołane z pamięci nie jest strumieniem swobodnie
przepływających wspomnień, lecz obrazem w najbardziej przejrzystych
uporządkowanym, głęboko przeżytym, gruntownie przemyślanym.*

Jesli dążność do ścisłości, precyzji, operowania faktem nie zdominowała
dykturą to dlatego, że oboje autorzy potrafili równie swobodnie operować
literackimi formami wypowiedzi. W *Szokiem moich wład* znajdujemy
partie narracji, które wydają się bardzo piękne. Są to przede wszystkim niezwykle
plastyczne obrazy życia na Wileńszczyźnie, portrety niektórych ludzi.
Kapitały jest portret ciotki Hani, widzianej jakby nieco przez pryzmat
Marty z *Nad Niemnem*, ale posiadającej własne, nader osobliwe cechy,
których tu w komplecie nie będziemy przytaczać. Ciotca Hania, prawdzi-
wa kresowa heroina, bez pomocy męża lekkochwała z najwyższym trudem
zdolna wykształcić synów, na zesłaniu na siebie wzięła walc o przetrwa-
nie, ocalała córkę i wnuczek, wszystkich dowiodła do Polski. W książce
Sławińskiej jest sporo znakomych anegdot, autorka świetnie je opowia-
da, świetnie potrafi „obejść” czytelnikowi pokazać osobliwości kresowej
kultury. Nie można nie przytoczyć tu choćby drobnych przykładów.

Oto jak autorka *Szokiem moich wład* wprowadza czytelnika w świat
kresowej hierarchii społecznej. Obowiązujący kodeks towarzyski w pew-
nych sytuacjach przesuwał granice sfery, o przekształcaniu do niej
decydował nie aktualny stan posiadania lecz zawodowo-własna sytuacja
majątkowa. Fakt, iż dziadkowie byli w powstaniu, nobilitował; dzięki temu
że jej dziadek był i w powstaniu, i na zesłaniu, autorka książki – jak pisze:
- „nie musiała się peszyć”. To oznacza, iż rodzinę zaliczano do „sfer”, im-
no jej niskiej kondycji materialnej.

Dwór ciotki Hani [o tym miejscu łączny się wspomnienie autorki
domu dzieciństwa – przyp. A.K.], *jak to na kresach, był gotynicy, ale gości
dobierano starannie. A dalej czytamy: nie bogactwo domu, ale raczej
parantele (któ kogo rodzi) i nieokreślone bliżej ambicje decydowały o
hierarchii społecznej. Ambicje te miały swoje wykładniki materialne, swoisty
status, na przykład w zakresie zapewniania przed koniec polozodów:
powód w paru słowach? wolano? faszion? mieszka? wasąg? Sławińska nie
zapomina, że większość jej czytelników to ludzie, którym obaj bracia trze-
nawet podstawowe kwestie świata, odbieranego przez nich jako tyko-
tyczny. I oto dla nich konieczne wyjaśnienia: „oczywiście linijka była tyko-
do wyjazdów w pole, a kareta czy lando – do dalekich podróży”. Rewe-
lacja jest następną informacją, z której wynika że podstawą zaliczenia do
dobrego towarzystwa mógł być też „elegancki” język. *Celowo w nim pan
Alfons – z uśmiechniętym wpatnieniem Sławińska sąsiada z Mieszkać – Kom-
pletny pan Alfons zjadłszy mi zaliczoną stinę: Ach, jak jestem panią
zaispanowany!... „Jak pięknie ta sukienka pani imituje” czy „Niech pani
będzie moim wzrotem przy stole”.**

Jak widać, kryteria, wedle których ustalała się wówczas hierarchia
towarzyska, były dosyć złożone. Sławińska opowiada o tym w sposób
niezwykle interesujący. Gdy czytamy poniższy fragment, jako żywo
przypomina się nam nieszczęsny Jacek Soplica, który zapomniał, że tylko
z powodu kaprysu magnata wprowadzony został na pokoje:

*Powjele osiągnęła granicy Stawowskich towarzyskich byli oczywiście wytu-
lowane właściciele latyfundiów (Czarnowyczy, Potoccy, Platnerowie), ale i
dwory Wąpnersów (Wielkie Szalenicki, Potoccy, Platnerowie), ale i
powjele dołnej granicy leżały zaścianki szlachyckie, a jętkę, ale na ogół por-
bowione służby folwarczne. Słyszałam tam taką rozmowę w Zatorze:*

Ciocią Hania: – Wanda!

Wanda: – A?

Ciocią: – A chciw tak przyzedł?

Wanda: – Słachcic jeden.

Ciocią: – To prof do kuchni.

„Słachcica jednego”, to jest sąsiada z sąsiadką, przyjmowało się w kuchni.

W tym miejscu cytowanie z załem przerywanym, czytelnika zapewniająca solemnie, że dalsze fragmenty tej partii książkę są zarówno pod względem treści, jak i samych sposobów opowiadania jeszcze bardziej atrakcyjne. Opisane przez Sławińską jej niedawne „spotkanie wagnowne” ze „stara babiną”, od Olzyna jadącą „swojączką”, to filariki klejnotów, nie powstydziły się tego obrzydka najlepszy piątą.

Książki obojga „Mistrów” mimo wielu pokrewieństw są zarazem bardzo różne. To kwestia nawięz do odrębnych osobowości, ogromnej różnicy temperamentów. Sławińska swobodnie wędruje, żeby nie powiedzieć – „plywa” (bo choć jest to metafora w pewien sposób sprowokowana przez nią sama, to może nie najlepiej się kojarzy) po tematach, po rozdziałach swego życia, zaś Zgorzelski jest pedantyczny, skupiony na głównym wątku swego opowieści, nie ulegający żartobliwym nastrojom. *Szłakami między wód* jest książką zwolniczną, jej zawartości najlepiej odpowiada określenie, które autorka podawa sama – „memorie inuilli”. Jeśli wypadła podać jej własny żartobliwy ton, to można powiedzieć, że autorka – zamitowana wędrowniczka – włoży się po szlakach swojej pamięci. Przypomnie bliskich sobie ludzi, miejsca, sprawy, ogłada siebie sprzed lat, przegląda sympatie i pasje. Całość skomponowana została z tekstów napisanych w różnym czasie i wczesniej już publikowanych. Biorąc jednak pod uwagę główną zasadę narracji, teksty te zdają się dość spójnie składać w jedną całość, nie odbiera się jako wady tego, że obok rozdziałów, opierających się na anegdotce, fabularyzowanych, lokują się rozdziały maksymalnie nasycone informacjami, referujące zagadnienie. Ze Sławińska starała się zmknąć pułapek, które czyżają na autorów autobiograficznych wspomnień, dowiadujemy się od niej same. Wylicza takie oto pułapki: *zwyczaj ludzka próżność, mniej lub bardziej zakamuflowana, która skłania do wybiórczej prezentacji faktów – do uszlachetniającego rensau: nadgorliwość historyka, przytaczająca fakty, niekierowanie wzmianki albo też przecięnie – skłonność do ubarwiania relacji krzewem prawdy. Odbiór pamięci tej udało jej się szerdzićwie omniać – także z lektury wynoimny wzniesie. Różnorodne formy narracji – to jakby sposób zabezpieczania się przed nią.*

Na końcu książki Sławińskiej znajdujemy recenzję tomu Cz. Zgorzelskiego. Któż mógłby być lepszym od niej recenzentem *Przywołanego z pamięci*? „Jest to lektura OBOWIĄZKOWA i – zobowiązujała” – kończy swoją recenzję Sławińska, wystawiając tym samym omawianie pozycji najwyższą ocenę. Książkę Zgorzelskiego czyta się jak opowieść o losach pokolenia krzesowego, które urodzone przed II wojną światową, wyprodukowane po jej zakończeniu w filarceji niejako atmosferze, pochłonięte zostało przez łary i konspiracyjne działania II wojny. To im, żołnierzom Armii Krajowej Okręgu Wileńskiego i Nowogrodzkiego poległym w walkach o wolność, ich pamięci – zadekował swą książkę Zgorzelski. On sam, trzykrotnie uwieczniony, ocalał jakby cadem. W swoich wspomnieniach koncentruje się właśnie na losach działalności konspiracyjnej. Jako pracownik BIP-u zajmował się redagowaniem podziemnych pism. To niebezpieczeństwo czyściło polegało na dosłownie, *znadnie pismo, nie stwarzało okazji do spektakularnych gestów. Jednak* Profesor tak jakby w pamięci, że jego relacja wypełnić może jakimś blade plany w historiografii AK na Wileńszczyźnie, opowiada o swym udziale w konspiracji bardzo szczegółowo. Wśród wielu postaci z przeszłości, z najserdeczniejszą pamięcią przywo-

tuje księdza prof. dr. Henryka Hlebowna, rozstrzelanego przez okupantów w 1941 roku, oraz majora Kotwicza, w cywili – inżyniera Macieja Kalenkiewicza.

O niejednej z tych osób czytamy także w książce Sławińskiej. Powtarzając się nazwiska to przede wszystkim nauczyciele i wychowawcy, przyjaciele oraz koleżdy z czasów studenckich. Po lekturze jej wspomnień wyraził się także w wyobrażeniach czytelnika obraz zaskakujący na pamięć pięknej sylwetki ks. Hlebowna, a także drugiego duszpasterza młodzieży akademickiej – ks. Waleriana Meysztowna. Po lekturze obu tych książek bliższy staje się uniwersytet, którego pierwszym rektorem był Piotr Skarga, a najświetniejszym uczniem poeta Adam Mickiewicz. Ogromny dystans jaki stworzył czas, pogłębiony przez historię, czy też ściślej mówiąc – politykę, skraca się, studenckie lata obojga autorów i Czestawa Miłosa, zdają się tak nieodległe. Bliskie i w powian sposób drogę staje się Wilno, nad którego najbardziej osobliwą ze wszystkich jego osobliwych cech tak oto zastanawiał się Cz. Zgorzelski: *jak oddać tę rzadką właściwość indywidualnego oblicza [miasta – przyp. A. K.], która sprawia, że nawet obcemu przybyszowi niemal natychmiast staje się równie bliskie jak jego ziemie rodzinną? Ze istniecie tak jest, potwierdziło może właśnie doświadczenie. To dlatego lektura obu omawianych książek sprawila mi tyle przyjemności. Była czymś w rodzaju podróży ze znakomitym przewodnikiem.*

Nie sposób przekazać słowami atmosfery Wilna, opisać tego fenomenu, o którym Cz. Miłosz tak mówił: „odnoszę wrażenie, że miasto mają swoje go ducha czy aurę i chwila, chociaż ulicami Wilna zdawało mi się, że to aurę czuję w sposób niemal zmysłowy”. W tym niezwykłym, malowniczo położonym w głębokiej dolinie z biegu dna rzeki i otoczonym pasmem wzgórń mieście sercem jest właśnie uniwersytet. Nie sposób zrozumieć Wilna, gdy się nie pozna dziejów uniwersytetu. Po dwóch latach niewoli wkręszony został w 1919 roku i nawiązał do tradycji Skargi, do tradycji Lelewela i Śniadeckiego. W odczuciu północno-wschodnich ziem Rzeczpospolitej. To był bardzo ważny okres w dziejach uczelni. Funkcje rektora sprawowali m.in. Marian Zdzichowski i Stanisław Pięgoń – uczeni, których ranga znana jest każdemu humaniście. To, czego z książek Zgorzelskiego i Sławińskiej dowiadujemy się o M. Zdzichowskim, jest tym cenniejsze, że po wojnie jako filozof-katolista-faszyści skazany był na nieistnienie. Wśród wybitnych indywidualności uniwersytetu w Wilnie otrzykujemy również informacje o Henryku Elzenbergu, Manfriedzie Kruliu, Konradzie Górskim, Stefanie Srebnym, Stanisławie Kosciółkowskim, Ferdynandzie Ruszczyca – to cała plejada w proforskim gromie uczelni. Odcisnął oni silne piętno na osobowości swoich wychowanków.

Uniwersytet zamknięto w 1939 roku, ale – jak pisze Sławińska – została po sobie ogromne dziedzictwo. Oprócz spuścizny ściśle naukowej pozostał wykształcony przez te uczelnie elit, na który składa się specyficzna kultura człowieka i jego kultury: to grecka idea kalokagatii oraz idea uniwersalizmu. Uczelnia dawała o szeroki rozwój intelektualny wychowanków, o wszechstronny rozwój osobowości. Studenci mogli szukać każdego z interesujących ich wykładów, uczestniczyć w teatralnych działaniach, podejmowanych na Wydziale Sztuk Pięknych i przez klub Włoczęców. Uniwersytet im. Batorego integrował naukę ze sztuką, zabawą. Otwarty był na wszystkie środowiska i wyznania, rozbudził poczucie tożsamości narodowej nie tylko wśród Polaków, ale także wśród Białorusinów, Litwinów, Żydów. W społeczności studenckiej włączył by także Rosjanie, Tatarzy, Karaimi. Wykładowcy zachowywali dbałość o poczucie więzi z kulturą regionu, jaki stanowił obszar Wielkiego Księstwa Litewskiego. Program wykładów z jednej strony stwarzał poczucie więzi z „małą ojczyzną” z drugiej – otwierał spojrzenie na ojęzyczny kulturą, Europę, na jej źródła

kulturowe. Była to uczelnia ze wszech miar europejska. Wiele profesorów to wychowankowie zagranicznych uniwersytetów, autorytet, jaki z czasem uzyskali, rosłowił się szczególnie w Szwecji. Po latach jej wychowankowie zaczęli się pojawiać na zagranicznych uniwersytetach w roli wykładowców. W Europie i w Ameryce wykładali m.in. Cz. Miłosz, M. R. Mayenowa, I. Ślawińska.

Lektura omawianych tu książek pozwala sformułować odpowiedź na pytanie, czym wyróżniało się pokolenie, którego przedstawiciele wymieniam, a którego losy wpisane są w obie powieści. Najbardziej syntetyczną odpowiedź byłaby taka: jest to pokolenie zrodzone na kresach litewskich i wychowane przez uniwersytet wileński, stanowiące mimo rozproszenia w świecie – zamknięty klan. Cechuje tych ludzi nieprzeciętny format intelektualny, a także – moralny. Posiadają silne poczucie wiary z „ojczyzną domową”, a zarazem swobodę obywateli świata. Jest to niewątpliwie wzorcze postawy godnej akceptacji i upowszechnienia.

Ogromnie wiele korzyści wynosi czytelnik książek *Przywołane z pamięci* oraz *Szokami moich wód*. Wspomnienia Cz. Zgorzelskiego będą rarytatem dla historyka I wojny, I. Ślawińskiej – dla historyka teatru. Dla wszystkich fascynujące są kolekcje fotografii, dzięki którym miniony czas nabral wyrazistości. Bardzo przydatne są indeksy osób. Wydawcy należą się słowa uznania za wielką staranność edycji.

Alina Kochanyc

Czesław Zgorzelski: *Przywołane z pamięci*, Wyd. „Naszkotano”, Lublin 1996, s. 342
Irena Ślawińska: *Szokami moich wód... Wód „Naszkotano”*, Lublin 1996, s. 210.



Jolanta Stomasińska: *Park w Naleczowie, 1997.*
Plakietka jednostronna, smolisty łaz, patynowany, 15,5 x 11,5 cm.

Razem osobno

MACIEJ CISŁO, ANNA JANKO

Listy z pokoju do pokoju (3)

Dlaczego liryka jest „najbardziej erotycznym z wszystkich rodzajów literackich”? Oktawio Paz w „Podwójnym płomieniu” pisze: „Erotyzm zawieszona celowość funkcji seksualnej, [zaś w poezji] język odchyła się od swego naturalnego celu, jakim jest komunikacja”. Można by do tego dorzucić, że miłość była rewolucją, a współczesna liryka notornie realizuje, przekracza normy i bariery. (Długość teń chętnie oskarżają się o „niezrozumiałość”).

Oktawio Paz powiedział, że w wierszu „język odchyła się od swego naturalnego celu, jakim jest komunikacja”. Ale nie tylko to. W esaju, z którego czerpięz, wyjaśniał dalej, że „podstawową cechą języka jest jego linearność: słowa kolejno łączą się ze sobą i mowy da się porównać do strumienia wody. W wierszu ową linearność elega wykorzystania (...). Wzorem nie jest linia prosta, lecz koła lub spirala. Nadechłszy moment, kiedy język nie posiada się już naprzód, lecz jakby wznosi się i zawisa nad próżnią”.

Czy nie czulek tego czasami piszę, jak słowa wiersza pną się coraz wyżej, niesione pragnieniem dotarcia tam, gdzie uczują bogowie? Zanim zostaną stracone, zawisają na momenty przymując w siebie blask niezmiennego obrazu, zyskują wiedzę, która nigdy nie będzie użyteczna w prostej komunikacji, lecz pozostanie zaklętą w wierszu jak w kryształ. W tym sensie wiersz nie odpowiada, lecz jest, jest bytem. Ta próżnia, o której pisze Paz, to nie nicłość, to brak słów, przepięknie zmienna nie zdobyte przez język, odkryte tajemnica.

Czyż w najwyższym uniesieniu erotycznym kochankowie również nie biorą w siebie owego niezmiennego blasku? Chcieliby wrócić z nim na ziemię i opowiedzieć, co „widzieli”. Na jedną chwilę ogarnia ich wieczność, a androgyniczna tęsknota skierowana w stronę cudownym poczuć rozproszonego wszechświata nie wiadomo w jakim świecie.

Oktawio Paz nazywa to w „Podwójnym płomieniu” „narcyz porcji raj” lub też „powrotem do Wielkiej Pełni”. I już niewiele więcej da się powiedzieć: w pamięci pozostaje złości ślad po dotknięciu Tajemnicy.

Wujmimicinia

Zbyt wspaniała rozkład

Uderza w łonie ciała

Kamienie węglowe

Szybie barok ciał i płkima

I rzeki Bóg kochankom:

Jestem wyżej

Szyfje

Gdzie może być dzisiaj raj? Cała przestrzeń zaistniała zdaje się w czasie Wielkiego Wybuchu, a więc nie ma co szukać nieba „tam, w górze”. Można by raju szukać wstecz, w bezwymiarowym punkcie, od którego zaczął się świat. Jest to jednak zupełnie abstrakcja.

W końcu prą okazuje się bez-miejscom, pozrywaną utopią, w którą wielu wierzy... Chodź, Aniu, szepcz Ci do ucha: moim rajem jesteś Ty... Sartre napisał: „Piekiło to inni”. W takim razie i niebom są inni!

Słowa są gestami języka

Tak jak piszczoła jest słowem ręką

Spójrz jak się uaktórniła twa istnienie

Przez mój nieustanny głód ciebie!

Kocham iskry w twoich oczach

I srebrne iskry w twoich włosach

Mam zimne rękę

Wkładam ci je pod sweter

Chłosta miłości dobrze leczona

Nigdy się nie leczy

Umrzynij kiedys w swych objęciach

Przychodząc na Taństen Świąt jako biko śmiecia

Śmierć: w Starym Testamencie śmierć jest kara za sprawiedziwiadomego jankła. U amerykańskich Nawąjów Kojot, bóg-oszust wprowadził na świat śmierć przez łódź, że cisnął w rytuałną kałużę zamiast patyka kość, którą władnie ogryzał. U Melanazyjczyków Kojot, bóg-oszust sprawdził się rywalizacją ziem- To-Kabinem i nierozgarniętym To-Karwuru. dzy dwóch braci: madrym To-Kabinem i nierozgarniętym To-Karwuru.

Hinduiści uważa, iż ucieleśnienie jaźni są wieczyste i nie przemijają. Po wielu wiekamiach nasze dusze odchodzą do Brahmana, ale nie rozpykają się w nim: Odmiennie jest w buddyzmie. Tutaj nirwana oznacza zupełną nicotć. Znika ludzkie „ja”, a także świat, który ową „ja” dostrzega. Ten świat był pozorem. Rzeczywista jest tylko Pusztka. Bogowie, dusze, ciała – wszystko to dym, senny koszar, „jasłona maji”.

Evangelie chrześcijańskie ogłosiły zupełne zwycięstwo nad śmiercią, przy czym zwycięstwo Chrystusa „rozciąga się” na całą przyrodę, nie tylko ludzkość, o czym jest mowa m.in. w pierwszym Liście do Kološan: „... i przez Niego wszystko zostanie ze sobą pojednane”.

Jak w praktyce miałyby wyglądać uniemiśnienie wszystkich istot i zatrzymanie naturalnego kołowrotu narodzin i umierania, o tym Biblia milczy, jeśli nie liczyć ekspresyjnych metafor z Apokalipsy św. Jana czy z Księgi Izajasza.

Zwróć uwagę, Aniu: ludzkość coraz później kładzie się tak do snu codziennego, jak i wiecznego. Wciąż doskonalące lampy i przyjemniejsze rozrywki wydłużają nasze wieczory, są medycyna – wieczór żywota. Ale po co? Czy to zdrowo? Niedawno umarła Jeanne Calment; była najstarszą Europejką, miała 121 lat. Widzieliśmy ją razem w telewizji, pamiętasz. Jeszcze żywa „Mumia” – powiedziała, przyglądając się z odrazą plastm- cie cienkiej skórze opinającej czarkę kobiety. W odczołdach Jeanne tliły się pozamiśnienie już iskry. „Czy wolno być aż tak starym?”

I oto paradok: starość jest dziś coraz poważniejszą osiągalną, lecz traci swój ustalony sens. W czasach analfabetyzmu człowiek sądziłby był wy- ceniona skarbinka wiedzy lub tradycji, lecz w erze piśmnia, nagram mechanicz- nych i mózgow elektronicznych wiedzy umysł człowieka się nie liczy... Jaka szkoda, że religijni fundamentalisci przeskądają lekarzom w pow- szecznej posłudze dobrej śmierci. „Kto nauczył się umierać, odczuł się bycia niewolnikiem”, napisał Seneka. W związku z eutanazją straszny się nam możliwości nadużyć medycznych. Dobrze, niech by więc sądy wzięły rzeź w swoje ręce. Całowik występuje do sądu o rozwód i występo- wałoby też o prawo do ostatecznego rozwodu z samym sobą.

Śmierć zaledwie wstąpiła, a zetarla 120-letnia dusza Jeanne Calment rozpyliła się w powietrzu jak drobny kurz.

Być przewlekłe chorym na nieśmiertelność! I w nie- skłonczoność wysuchać jak owad gździen na parapecie światła, gdy tymca- zem pory roku mająją szybko jak kłasnienie w dłoń.

Czy to nie Eos Różanopalcu wyblagała nieśmiertelność dla swego ziem- skiego kochanka, zapomniewszy przy tym zapewnić mu wieczną młodość? I oto nieśmiertelność okazała się paluchą! W hańsie w wieczności ciało ukochanego Titonosa obfylało swą normalną drogą ku zatrąceniu.

Wyobraźy sobie rozpacz boskiej, wiecznie młodej kobiety, gdy pochyła się nad kłóyską, w której złożyła wciąż wycięte truchło ukochanego. Kim stał się poczemniały, suchy szczzek bez imienia? Czy odczuwał jeszcze swą oso- bowość, choćby w granicach cienkiej kłóyski folia?

O, niewysłowione szczęście śmierci, która przychodzi o czasie! Dzięki niej zachowujemy godność; unikamy zniszczenia dziecięciowej; zaniemowimy, zobrzadziwujemy, starujemy. Eos, dając kochankowi anabiotyk na umie- ranie, bezwiednie straciła go do piekła nie kończącej się destrukcji. Niech żyje śmierć!

Pamiętam, z jakim przejęciem czytałem kiedyś „Życie po życiu” Ray- monda Moody’ego. Człowiek przeciska się na tamten świat przez czarny tunel, przez fizyko-metazjyczną powłokę... W wielkim religijach śmierć i naroz- dziny są tym samym.

Realny jest może jeden ten-tamten świat, na którym zjawiamy się wciąż w innej postaci... Jesteśmy miaromierzą nicowianym w śnie śmierci, obraca- nym podszewką na tyścieńną lewą stronę. Ci, co wierzą w metempsychozę, twierdzą że pamiętają swę poprzednie wcielenia. Dlaczego Bóg tak dzwicznie się z nami bawi, czemu nas zabija? Czy Bóg jest na pewno Miłośnik? Miał Upadku biblijnego niewiele nam wyjaśnia, bo ciępią też zwierziara, które nie uczestniczyły w grzechu Ewy i Adama.

Kto kogo będzie sądził na Sądzie Ostatecznym – kto powinno sądzić? Czyli Stworzyciel swoje stworzenie – czy również on Jego?

Tu, że Bóg bawi się z nami w chowanie,

I w pochowanie; i to niepojęcie

Umiera, będąc się może bał i śmiał.

Śmiejąc sprzeczołność, maski, zasłony;

W samej istocie odworzonego życia

Tkwi codzienny i nierozstajny.

Dlatego też wzdryżamy się upruiwie miłość

na oczach naszych dzieci,

Kłórz z niej się przecież narodoby.

Ten świat jest jawna rzeczą.

I znakom czepki skrytego;

Ten-tamten świat – dzieło

W potrafiwaniu autora.

Napisałś niedawno: „Patrzyłem Ci w oczy, umierając z rozkoszy... Ciociąłym wiedząc, że Bóg jest dobry i że kiedys, gdy będę umierał, popat- rzy w me oczy, tak ja Ty...”

Oczy najbliższego człowieka jako brama zatrącenia...

Zrenicie ukochanej istoty otwierające przestrzeń, w której ginie „ja” i „ty”...

W miłosnym zwiarcia przeżywamy uczucie pełni i nicotci, umierania... Rozkosz jest jakby losem do wielkiego Wnętrza, w sedno istnienia. Wszelkie formy bytu materialnego okazują się tylko delikatnym rzużowaniem, które wstaje pominięciem. Rzeczywistym ciałem zaś, paradoksalnie, okazuje się świetlista energia istnienia. Tak więc kobieta i męłczyzna, ja i Ty, na chwilę nie istnieje, naprawdę przechodzą na drugą stronę życia. Orgazm (nazywamy przecięt nawet „małą śmiercią”) odbiera kochan-

kom tmioma, unicestwia tosamole, rozlęca z ciałem – porwiję duszę w tnąt czasoprzestrz.

Kochankowie jak najchętniej i bez lęka godzą się na to wszystko. W blasku miłości strach przed utratą siebie zostaje przeczyszczonej.

Człowiek myśli analogiami... Skoro śmierć jest właśnie utratą siebie, to może nie trzeba się jej aż tak bać? Może roztopienie się w Bogu, w imię absolutnej miłości jest cudem podobnym do tego, którego doznajemy dzięki miłości ziemskiej?

Umiarać z rozkoszy – rozkoszować się umiarem...

Może to nie są przeciwieństwa, a kontynuację się jakości stawy ducha?

Kogo kochać

Kogo kochać Ojciec benedykta

Święci dobitna masyz katusi szczęście

Ładne pogody opowiada kłtyczyno nice

Ala czyja jestem – pyta – ogryzak Boly nie człowiek

Spragniona ma tylko lasterko do picia

Gorąco goly tyłażecz zimo zst i siebie w niej

Historia przedświata łachman czuły

Na dotaz tak lekko bez celu się płazce

Ten list będzie o śmieciach... Zda się, że cokolwiek może być śmieciem, gdy nie pasuje do otoczenia. Reklamka na kościele, nawet pobozna, jest śmieciem. Radio Maryja każdemu Rzydzka reklamuje się na wielu kościołach. Cywilizacja nie zharmonizowana z naturą jest śmieciem. Człowiek to zwierzę, które najczęściej wytwarza fabrycznie nowy złom... W sztuce nakazy awangardy doprowadziły do tego, że również i artyści krzają się razno wokół brzydoty i bezsensu. Ponieważ dla awangardy jedyną regułą jest „brak reguł”...

Ala ja właściwie chciałem mówić o zwykłych śmieciach... Otóż pod Twoją nieobecność Aniu, wybrałem się do Lubnej, gdzie jest wysypisko dla naszej części miasta. Wiele razy zdziwiła się widząc porządnie wyglądających ludzi grzebiących w śmieciach. W Lubnej zobaczyłem setki takich! A wcale to nie znaczy, że łatwo jest każdemu grzebać. Dowiedziałem się, że potrzebna jest tu koncepcja, która wyduje zarząd wysypiska. – Inaczej przez tlok nie przedarzą się śmieciarze – wyrażał się śmieciem dozorca.

Tutejszy zarząd, jak dotąd, wydał zezwolenia 333 osobom. Ludzi takich nazywa się „nurmami”. Dla części z nich wysypisko jest jedynym źródłem utrzymania. Inni tylko dorabiają sobie. Trafiają się też zapalczywi, miłośnicy śmieci!

Patrzyłem na ciężkie spychacze, które ugniatały szczyty góry odpadków. Śmrad był potężny. Wiatr rozmiatał lekkie torbelki z folii. Obiegnę bym kilka okolicznych drzew. A nad wszystkim, jak skwiram i krakaniem polatywały rybitwy i gównowce.

– Codziennie można tu trafić złom, makulaturę, przetworzone konserwy – opowiadał dalej dozorca. – A pan z gazety? – zainteresował się nagle.

Podobno LOT czasem wyzucca makulaturę butelek z alkoholem, nie wypytam prze pasażerów Butelki wedruga od razu do wysypiskowej staryczary albo ochroniarzy. Tak jest to byczaj.

Zdarzają się też słabiej jak z bytli. Tegoczynnym przebojem była zbitwiała komedia, pochodząca z rozbitej kłójki nudy. W środzku jeden z nurków znalazł prawdziwą ziutę biżuterię. Kłof inny z nadgłnitéj podarki wyciągnął zegarek z diamentami. Na kopercie było wygrawerowane: „Z naprawy, 1903 r.”

Najlubniejszą, zdaje się, historią dozorcy Lubnej jest opowieść „polityczna”. – Pewnego dnia kobitka znalazła tekturne pudełko, oklejone

taimą. Zarwał tamta, a wtedy wiatr wywiał z wnętrza plik dolarów. W kilka dni później na wysypisku pojawiła się zrozpaczona żona znanego polityka. Pani ta pod nieobecność męża zbyt dokładnie poszperała pawlicz. Teraz błagała o pomoc. Oczywiście pieniędzy nie odryskala.

Jaki sens ma proza realizacyjna w świecie dławiacym się od nadmiaru znakomych faktów? Po co właściwie zapisałem moje odwiedziny w Lubnej? Realiami bombarduje nas telewizja, radio, gazy, ich smroczny malarz, reklamy i tak dalej. Może w sztuce sowa pura na dobre pojęzną starodawny mimetyzm i skupić się na projekcji wnętrza, ekspresji, na esjeju, fantastyce, micie i poezji?

Pytałaś mnie kiedyś, Aniu, o fantastykę, dlaczego jednak jej nie lubię... Otóż chyba dlatego, że wydaje mi się ona gorszym mitem, jego karykaturą. Autorzy powieści fantastycznych próbują jednoosobowo wymyślić alternatywne światy. Są to zwykle światy ubogie i lozne, gdyż ich smroczny malarz mierzą z imaginariem powszechnego. Nawet wielki Tolkien, czytany w mitologii germańskiej i celtyckiej, urodził w końcu hobbita, który przyswaja mi nie ziewanie.

Z miami jest jak z językiem. Spójrz, nie da się jednoosobowo stworzyć języka, o czym przekonał się Ludwik Zamenhof, wypracując esperanto. Dopracowane w szczegółach przeszło sto lat temu esperanto okazało się w końcu tylko ciekawostką lingwistyczną. Z mitem jest też może tak, jak z istnieniem miasta. Piękne miasta cechuje złożoność i tajemnica. Bywają one owocem współdziałania wielu twórców, otaczającej przyrody, a także szczęśliwego trafu. Ich przeciwieństwem są nudne blokowiska spotykane od Pekinu do Brazylii. Tylko takie legną się w głowach pojedynczych demingów wspomaganymi totalitarną techniką.

W supertechnicznych Stanach Zjednoczonych powstaje więcej niż półmiliardów indiej książek fantastycznych. Był w Ameryce i wiesz, jak to wygląda. Ubóstwo kultury duchowej równoważy się tam bajkami dla starych dzieci. Państwo amerykańskie ciepi na ubóstwo miu i historii (w sensie europejskim). Jest też właściwie od początku plebejski, od osiemnastowiecznej Deklaracji Niepodległości, demokratyzującej podstawy społeczeństwa. Pisał o tym przenikliwy hrabia de Tocqueville.

Amerkańska fantastyka ekranowa, która pasmoży się teraz w polskich kinach, adresowana jest do prostactw. Fabuły są tu czarno-białe: sprawdzają się głównie do walki dobra ze złem. Niezależnie od nadelczek, libermenszaj, po przełożeniu wyraża na język angielski, okazał się aniołem stróżem Jankesów, Supermanem... Szkoła, że znakomity wynalazek zabiera literację dla dzieci zwany Role Playing Games opiera się właśnie na fantastyce. Powtarzaj: fantastyka jest karykaturą miu.

Anioły fruwają i Superman też fruuwa. Wyobraźnię fantazmatyczną cechuje nieznosna lotność, lekkość. W świecie, w którym wszystko może się zdarzyć, nie w końcu nie jest ciekawie, realnie, „Duchowi ludzkiem nie skrzydeł potrzeba lecz obłęd” (to znaczy niezachwiania na ziemi), pisał kiedyś francuski Baccos. Nudnym jest język realizm pod postacią „literatury faktu, ale też nudny irealizm, fantastyka...”

W pół drogi między realiami a fantazją mamy poezję. I Ty, i ja kochamy poezję.

Poezja odkrywa niewykryte zwykłego świata; to jest zdaje się jej największy czar. Technopol informacyjny uniezwykła rzeczywistość starając się ją zdektominować, „Dobra wiadomość to zła wiadomość”, głosi znana zarządowa Prawa. W telewizji samoloty tylko spadają, choć w rzeczywistości wylotki dołstaje do celu. Poezja umie dojrzeć, że samo istnienie światła jest dziwne. „Dlaczego istnieje raczej coś niż nic?“, pytał kiedyś Gotfryd Leibniz. „Nic byłoby prostsze i łatwiejsze, aniżeli coś”.

Lubimy obie Ballady o zejściu do sklepu Mirona Białozwieskiego. Jakże autor tego wiersza bezładnie unia znajdował fantazmatyczny w zwykłych zdarzeniach! O, to jest fantastyka, która robi na nas wrażenie, prawda?

Ballada o zejściu do sklepa

Najpierw zeszedłem na ulicę
schodami,
ach, wyobraźcie sobie,
schodami.

Potem znajomi nieznanymi,
mnie mejali, a ja ich.
Zabijcie,
znacie ich nie widzieli,
jak ładnie chodzą,
fabrycjel!

Wagałem do zupełnego sklepu,
palily się larypy ze szkła,
widziałem kogot, kto usiadł;
i co słyszałem?... co słyszałem?
Szum terob i ładnie mówienie.

No naprawdę,
naprawdę
wróciłem.

Maciej Cisło, Anna Janko



Jolanta Stomianowska: *Henryk Sienkiewicz*, 1997.
Plakietka jednostronna, mosiądz luty, patynowany, 19 x 19 cm.

SZCZEPAN WORONOWICZ

z cyklu *Diario hermetico* *Zbigniew*

Zbig – chwalić boga,
w ogóle nie Brzeziński –
lubi jabłka,
klejanie kopert
i grę na nieco rozstrojonym
pianinie.

Absolwent konserwatorium
w klasie fortepiana,
ostatnio grywa trochę lepiej.

Zaszczyca mnie krótkimi
rozumowami
o jabłkach, Mozarcie, Mendelssohnie
i przemianiu.

Jego przypadek
najwyraźniej
przeżył tezie,
że chemia można
wszystko.

Śmierci matki nie sposób
zrównoważyć – jeśli w ogóle
można to jakoś przeżyć,
opisać.

Wojtek

Swoje wizyty tutaj
zawdzięcza temu,
że ma przeszłość.

Młwina widzenia:
skazuje mu się Margaret Thatcher
jako kobieta numer jeden,

jakieś dziwne lampy i
szerokie żółte pasma.

Nie wiem czy nie ma
zbyt wybujałej fantazji
i czy przypadkiem
nie pogrywa.

W każdym razie korzysta
przemierza wciąż
fantastycznie sprzężonym
krokiem
i spogląda na świat
bardzo chłodno.

Zygmunt

Ludzka wytrzymałość
może być bardzo krucho.
On załamal się od nie dokończonego
remontu mieszkania.

Teraz powoli cędzi chwilę,
przez filtr mijających dni.
Codziennie z godnością dosiada
rydwanu łózka,
tylę że konie
wyprzęgnięte.

Anna

Anna ma kobiecości
na cały ocean.
I rozważy tylę, że
wystarczyłoby
do ostatniego tchnienia.
Anna sama dba o to, by
się rozgospodarować.
I spokojnie macha ręką
jeśli ktoś powie, że
jej mąż
pije piwo
z inną kobietą.
„Jak ktoś się wypina
to każdy rąbie” – mówi
i myśli o małym chłopcu
utulonym
gdziś

pomiędzy jej pełnymi
piersiarni, które zazwyczaj
służą do dermatologicznie
korzystnego
wytrysku.

Ballada o otwianym żołnierzyku

zamiast serca
order
zamiast gestu
kalasz – jak mówi mój
czternastoletni –
zamiast krwi
olów
zamiast głowy
wybuch

otwiany żołnierzyk
też chce
co dnia
dostać trochę ciepła

Ballada o zamknięciu

zamiast szerokiego horyzontu
jedno zgrzytnięcie klucza
zamiast wysokiego nieba
syjący się dach wiaty
zamiast przestrzeni w sobie
odległość między guzikami
zamiast silnego rozmachu
węzeł z długich
rękawów kaftana

Krzysztof Skośne Oko

Ma gotowe poglądy,
ale nie jest
w stanie
ich wyrazić.

Buduje swój świat wytrwale
ale
nie wie, że za duzo
gruzu na
krzywych
fundamentach.

Marzy mu się pogoda
ducha
małego chłopca

i czystości nietkniętej kobiety, dziś
biały kruk.

Ale kłpina w spojrzeniu, w gestach
i w mowie nie prowadzi go tam.

Powiedzieć: dobrze
wyszkolony
w żonglowaniu życiem.
Krupier wielkich szans.

* * *

Nie możesz przecież
przewidzieć
końca wędrowki,
więc pozostaje
ci tylko
ryzyko.

Nie możesz obliczyć
wyniku,
więc pozostają
ci tylko
szacunki.

Nie możesz przewidzieć
kształtu wierności,
więc pozostaje
ci tylko
zaufań
w ciemno,
a zatem
idziesz – jak mówią –
va banque.

Nie możesz ustalić tempa,
więc pozostaje
ci tylko hiec co tchu.

Czy możesz tak bez końca?

Arkadiusz

Zapłacił bardzo wysoką cenę
za chęć pomocy innym.

76

Teraz nie wie, co będzie jutro.

Na dygot
nie pomoże nawet
placz matki.

Stabat mater dolorosa, na przykład
Penderecki, mówię cicho.

Odjechał
zanim zdążyłem
zmienić
(jego świat).

Jacek

Jacek bił do
nieprzytomności
własną starą matkę,
która, chcąc się
jakoś odwdzięczyć:
załatwiła mu w końcu
nieduże mieszkanie.

Później miał
wypadek samochodowy
i trepanację czaszki.
Przywrócono do życia
z dziurą w głowie
jak dłoń
i widoczny
niedowładem lewej ręki.

Potem spalił
mieszkanie
ale sam
się wyratował
i od tamtej pory

Lekarze uważają
że Jacek nie
może żyć
samo
dzietnie.

Idealnie
dopracowany
wrak.

Szczepan Woronowicz

85

Miary i miary powołań... onaj nigdy nie, jak się tam
 dokoła... logich się
 analogii i analogii... i twierdzenia
 i twierdzenia... i twierdzenia
 i twierdzenia... i twierdzenia

SLAWOMIR BURYŁA

„Oni byli estetyczni i dyskutowali na niby”

O podobieństwach między prozą Tadeusza Borowskiego i Leopolda Buczkowskiego

W kilkudziesięcioletniej historii recepcji utworów Tadeusza Borowskiego i Leopolda Buczkowskiego pojawiały się co jakiś czas głosek akcentujące podobieństwa między dwoma autorami.¹ Czynniki to różni badacze i przy różnych okazjach. Mając na uwadze podobieństwa i zbieżności między twórczością Borowskiego i Buczkowskiego jesteśmy jednocześnie świadkami, że nie może to być myślowo o jakimkolwiek nasładowictwie czy nawet inspiracji. Względnie powinowactwa wynikają raczej z wspólnego obywatelstwa pisarzy, krytycznego nastawienia do tradycji i cywilizacji europejskiej do ówczesnego zagłady. Nasze przemyślenia będącej snąc w kontekście literatury martyrologicznej i niemartyrologicznej.

1.

W końcowym rozdziale *Zwyczajnej apokalipsy pt. Konfrontacje* Andrzej Werner dokonuje przeciwstawiania literatury martyrologicznej i literatury „kamiennego świata”, jak ją nazwał.² Badacz wyznacza najważniejsze punkty, które decydują o zasadniczej odmienności obydwu opcji pisarskich. Za centralny Werner uznaje stosunek do faszyzmu. Literatura niemartyrologiczna, w której mieszczą się również powieści Buczkowskiego, widzi w niemieckim narodowym socjalizmie wytwór kultury europejskiej, finalny efekt zabiegów państwa-ogrodnika. W wewnętrznych prawach rozwoju cywilizacji europejskiej insynuoi od początku mechanizmy, które przygotowały grunt pod powstanie faszyzmu. Różnica jednak między Borowskim a Buczkowskim polega na tym, że o ile pierwszy przyzywa zła widzi już w starożytnym niewolnictwie, o tyle drugi jest bliższy tezom Baumana, iż do epoki nowocześniejszej oświeceniowej rozum, lepij lub gorzej, radził sobie z niedogodnościami, które sam wytworzył.³

Faszyzm w opinii Borowskiego i Buczkowskiego nie jest nihilizmem. To zbyt proste postawienie problemu uwalniające jego neutralizację. W opowiadaniach oświeceniowskich, w rozmowie Geila z Bafeczymkim w *Czarnym potoku* faszyzm jest absolutyzacją wartości.⁴ Nie trzeba dodawać, że i tym

¹ Na analogie między twórczością Borowskiego i Buczkowskiego wskazywali m.in.: Z. Trzaska: *Dialog niewolnicy i pisaney*, [w:] *Wszystko jest dialogiem*, Warszawa 1984; H. Kiercher: *Współ do B. Buczkowski. Pierwsza świadomość*, Warszawa 1986; W. Leopold: *„Droczki kragaczka”*, „Twórczość” 1958, nr 5; S. L. B. Orzelski: *„Wierzy” Leopold Buczkowski po dwadzieścia latów*, „Twórczość” 1956, nr 6.

² Por. A. Werner: *Zwyczajna apokalipsa. Tadeusz Borowski i jego wiza obywatel*, Warszawa 1981.

³ Z. Bauman: *Nowoczesność i tragedia*, przeł. F. Jaszczki, Warszawa 1991.

⁴ Por. T. Krotki: *Faszyzm a tradycja europejska*, [w:] *Rozważania wokół Hegla*, Warszawa 1960.

razem obydwa autorzy sytuują się w opozycji do pewnego stereotypu myślowego, który pokutuje jeszcze w niektórych kręgach naukowych, a tym bardziej w świadomości powszechnej, do dziś.

Równie ważna dla określenia różnicy między wydzielnymi przez Wernerów nurtami literatury wojennej jest relacja kategoria ofiary. W literaturze martyrologicznej podmiot funkcjonuje na zewnątrz zła. Pomiedzy plaszczyzną dozna (ofiara) i zła (kat) istnieje nieprzekraczalna granica. Borowski, ale także Buczkowski – podobnie jak czynił to w piśmiennictwie dotyczącym łagrów sowieckich Leo Lipski i Paweł Mayewski⁵ – opisują sytuację uwikłania kategoria i ofiary w system produkcji zła. Pojawiają się tutaj dwa rozwiązania. Po pierwsze literatura „kamiennego świata” może akcentować poczucie winy wynikające z dopelnienia przestępstwa wspólnie doświadczenia historycznego, które stanowiło się udziałem tak samo bijącego jak i bitego. Jest to rodzaj hańby znany bohaterom Borowskiego i Buczkowskiego, który bierze się z faktu, że się widziało okrucieństwo, mrok, cierpienie i poniżenie człowieka. Ale jest to też swoisty rodzaj winy, akcentowany w opowiadaniach oświeceniowskich i powieściach twórcy z Konstancja, wyikajacy z tego, że się przeżyło, a inni zgineli. To dręcząca świadomość, że nieumyślnie przesygnieł się do śmierci innego człowieka. Bohaterem utworów Borowskiego i Buczkowskiego binka jest wypowiedziana w piśmiech Lévinasa zasada odpowiedzialności za Drugiego. „Ja” nigdy nie może być pewne, że dopelnio wszystko, by móc ratować życie Innemu. Jest skazane na egzystencję, której nie opuszcza nigdy przewidzenie, że „ja” poprzez sam fakt istnienia może ograniczać wolność Drugiego.⁶

Obok tak radykalnie pojętej wspólnoty, rodzącej się ze wspólnoty doświadczenia, możliwa jest również inna sytuacja, wciągająca ofiary do uniwersum zła. W *Nowoczesności i tragedii* Bauman wymienia przykłady, w jaki sposób hitlerowcy wykorzystywali ofiary do współpracy. W tym miejscu chcemy tylko powtórzyć za autorem *Erzki ponowoczesnej*, iż bez udziału więźniów, ofiar nie byłoby efektywne funkcjonowanie ani obozów koncentracyjnych, ani getta. Powody, dla jakich część hitlerowców decydowała się przyjąć rolę pomocnika kategoria były różne. Jednak ich skalę można określić pomiędzy chęcią oczenia siebie, a pragnieniem wyciągnięcia zysków z posady więźnia funkcjonującego. Nie zawsze wszakże współdziałanie z oprawcą miało oznaczać wykonywanie obowiązków kapo bądź biokorwetu. Często była to wykalikulowana starannie przez niemiecki aparat nadzoru Oświeceniowski bezwzględna walka o byt, dzięki czemu lamano solidarność więźniów. U autora *Czarnego potoku* tematyka ta uzyskuje swe ciekawe dopowiedzenie. Pisarz wprowadza metaforę zarzucenia złem przez ukłucie wilkolaka. Bodaje najpełniej motyw ten został opisany w takim oto fragmencie *Czarnego potoku*:

Wilki nie można się, ale powstają z człowieka. Bywają tacy popełniacy, że całe wiewe, wiele ludzi zamieniają w wilki. Wilki owe przebiegają do lasa, napadają Żydów. Światem wracają do domu z najciemniejszym zabitych.⁷

Wyraza ona realne niebezpieczeństwo sprzeniewierzenia się kodeksowi moralnemu, niebezpieczeństwo, które stale istnieje w duszy ofiary. To jednocześnie system wczesnego ostrzegania etycznego. Jedną zatem z najważniejszych funkcji artysty jest pamięć o „czasie kalekimi” i okrutnej prawdzie o człowieku.

Postaci kreowane w opowiadaniach oświeceniowskich, powieściach-dokumentach to nonkonformiści. Problematyka odpowiedzialności i sposób jej rozumienia proponowany przez pisarstwo Borowskiego i Buczkowskiego prowadzi nas do etyki absolutystycznej. Twórcą *Pierwszej świadomości* znaj-

⁵ Por. L. Lipski: *Doświadczenie i noc*, Paryż 1957; P. Mayewski: *Rzeka, Londyn, Kraków* 1960.

⁶ Por. E. Lévinas: *O Bogu, który narodził się*, przeł. M. Kowalska, Krynki 1994.

⁷ L. Buczkowski: *Czarny potok*, Warszawa 1986, s. 70.

duje się na poręczach bliższych egzystencjalizmowi Strzeleckiego, jak również poloholastawowej myśli etycznej Emmanuel Lévinasa. Charakterystyczne, że w prozie Borowskiego i Buczkowskiego pojawia się swoista pochwała miłości, która ontologicznie się na pobojowisku idei Europy. Bardzo szybko zamawdzało to krytyka. Jednak błędem jest podnoszenie miłości do rangi uczucia stanowiącego przeciwciężar dla fatystycznego kultu siły i wyzrodniałego socio-darwinizmu.¹² Dla autorów *Pożegnania z Marią* i *Czarnego potoku* taką instancją zdolną przeciwstawić się naporowi idei przetrwania za wszelką cenę jest sumienie jako kategoria stojąca w opozycji do kodeksu etycznego konstruowanego w oparciu o pryncypia rozumu. W wieku XX rozum zbyt często był na usługach zbrodni. W czasach zagłady myślenie logiczne sprzyjało realizacji planów hitlerowskich oprawców. Znana jest słynna sekwencja z powiadania Borowskiego o nazijskiej, która paraliżowała sprzeciw więźniów. Chłodne logiczne myślenie uprzedziwiała często kolejne kompromisy moralne. W rzeczywistości zdegradowanej zasady postępowania dostosowane do zapisów kodeksu etycznego kapitalowały w obliczu skomplikowanych sytuacji życiowych, dla których nie można było znaleźć odpowiedniego paragrafu. Szkanie odpowiedzi w utartych formach kodeksu etycznego był przjawem konformizmu moralnego, duchowej postawy. Tylko nie ugruntowane na chłodnych prawach rozumu sumienie, posiadające się często irracjonalnym aktem moralnym, dawało szansę przeciwstawiania się złu. *Twórca Konieńskiego świata*, nabuwający do pisania o obozie w pierwszej osobie, ma na uwadze również tę stronę wiedzy o fenomenie Auschwitz. Piszcze o obozie w pierwszej osobie, czyli pamiętając, że może was rozgrzeszyć jedynie wasze indywidualne sumienie, a nie jakikolwiek kodeks laicki czy religijny. Pamiętając, że człowiek zawsze posiadał grzech niedostatecznego dopełnienia dobru. Nie bądzcie jak zadowoleni z siebie formalisti.

W odróżnieniu od znacznej części literatury dotyczącej niemieckich łagrów Borowski i Buczkowski rezygnują z trybu oszczepiającego kierunku cierpienia. Przy czym w utworach obydwa interesujących nas autorów warty nie są dane raz na zawsze. Do potrzeby dobru dochodzi się poprzez opisanie i zgłębienie ohdy świata. Dla Borowskiego i Buczkowskiego ból jest nadmierem. Jak w filozofii Lévinasa jest Inym, a więc pozawerbalnym, czymś, co nie daje się zamknąć w przekazcie literackim. Stąd właściwe obydwa autorom dążenie do stworzenia formy, która spróbuje pokonać tę granicę. Jednak poza wspólną interesującą nas twórców przesłania arcywzajemnych źródeł wypowiedzi pod wpływem zagłady, łącząc ich także funkcja i sposób, w jaki wykorzystują niektóre z nich. Najgłębszy zauważył sam jako rola i miejsce groteski oraz ironii. W zamysłu obydwa pisarzy groteska i ironia są przede wszystkim środkami okiełznania owego ekscesu bólu, wedle określenia Lévinasa, poprzez sprowadzenie demoniomu zła do śmieśności.¹³

Naokoło pufki stoi tłum promieniagawej. Jeśli Juli jest dziesięć, to Romeów (i to nie było janki) z trzysię. Szedł przy każdej Julii tók i konkurencja. Romeowie stoją w oknach przelichy bloków, krzyczą, sygnalizują rękoma, wabią i [...] Niejedną z Julii ma statego adoratora i obok zapewnienia o wiecznej miłości, o szczególnym wspólnym życiu po obozie, obok wyrznię i przekomarzać się, słychać bardziej konkretne dane dotyczące mydła, perfum, jedwabnych majtek i papierosów.¹⁴

Wspominane środki pisarskiej ekspresji służą też odniesieniu racjonalizmu. Przeszczepiając zasad chłodnego i obiektywnego racjonalizmu, narracja opowiadał oświeceniści jest zakamuflowaną drwiną z racjonalizmu.

¹² Czytali m. in. Ryszard Oleczak w swej recenzji *Oficera na niezapobieg* (Buczkowskiego *Świat rozbitny*, "Miesięcznik Literacki" 1976, nr 2).

¹³ Por. W. Koyser: *Podoba odwieczności* (zarys groteskowości), przeł. R. Handke, "Pamiętnik Literacki" 1979, z. 4.

¹⁴ T. Borowski: *Utwory wybrane*, Warszawa 1997, s. 78-79.

Kultura racjonalistyczna zbyt łatwo przekształca się w kulturę totalitarną, a "kultura na wkłótkę racjonalna jest kulturą totalności i konieczności, przemocy i nieludzkości."¹⁵

W utworach obydwa *Bitwy pod Grumwaldem* i *Powstania na Żoliborzu* groteska wspiera także antybohaterską tendencję w prezentowaniu wojny. Być może najbardziej ujawnia się ona w opisach śmierci. Twórcy unikają estetycznej manieri upiększania i uwznioślenia śmierci ofiar. Śledzimy do dwóch fragmentów z powieści Buczkowskiego:

Była ciepła lenia noc wówczas, przed laty, kiedy wykoczył od swojej dzielnicy i zabrał zabitego, był wiloczyzn w asfalt i potopyany oficie koniskim gnajem.¹⁶

Sere i wtróba Arbuzowiczki zostały nie pochowane, lisy przewlekły to wszystko za kilka noj.¹⁷

W epoce pieców odejście ze świata żywych wplecione zostało w mechanizm ekonomiczny. Z punktu widzenia kasta mord nie był już kwestia przekroczenia tabu kulturowego, lecz problemem natury technicznej. Zabijanie zastępowano określaniami w rodzaju "odswadzanie" czy dbałość o higienę społeczeństwa. Ale odzierzowanie śmierci następuje też od strony ofiar. W *Grzaskim sadzie*, *Powstaniu na Żoliborzu*, *Bitwie pod Grumwaldem* śmierć jest przypadkowa, absurdalna. Ofiara nie przyjmuje jej już jako wotum złożone na ołtarzu ojczyzny czy jakiejś idei przetrzającej wartość pojedynczego istnienia.

To z perspektywy nieredukowalnego zła, jakim jest cierpienie każdego człowieka, obydwa autorzy eskarżują kulturę. I to właśnie te prawdy zawiera w sobie uwaga Buczkowskiego o tym, iż Sokrates chimeryczny oraz również znany fragment z Borowskiego o kłamstwach filozofii Platona. Twórcy *Pożegnania z Marią* i *Czarnego potoku* uchylają kulawy osłony. Odrzucają metafizyczną nadbudowę pozwalającą na usprawiedliwienie cierpienia poprzez odniesienie go do Transcendencji lub do abstrakcyjnych idei. W opowiadaniach oświeceniści i powieściach-dokumentach ich autorzy stawiają sobie za cel w pierwszym przypadku dotarcie do fenomenu obozu, w drugim – wwoj. Dlatego też obydwa ograniczają swe kompetencje pisarskie do zestawiania faktów, unikając bezpośredniego komentarza autorskiego. Oczekującą przekaz literacki z emocjonalizmu Borowski i Buczkowski posługują się metodą dokumentarną, odwołują się do behawioryzmu. Zdarzenia, dla uzyskania efektu groteskowości, zestawiane są obok siebie na zasadzie kontrastu z wykorzystaniem technik montażu (szczególnie często obecne w utworach Buczkowskiego).

2.

Literatura polska unikała radykalnego postawienia pytania o zło w kontekście tragedii obozów. Istniała granica, której nasi twórcy w zaprzęgniawiu o zło nie chcieli przekroczyć. Wyznaczała ją najczęściej religia chrześcijańska bądź ideologia marksistowska. To w ich obrębie formułowano pytania i odpowiedzi. Razdkiem zjawiskiem są gruntonne i komokwetyczne przetrzawotowania całej kultury jak u Theodora Adomko czy sfery etyki, jak u Emmanuel Lévinasa. Często natomiast pisarze i poeci podejmują wątek zagłady wykazywali niepomaganą skłonność – tak jak w *Nocy Jerzego Andrzejewskiego* – do okrywania mrokami źródeł dwudziestowiecznego zła. Gehenna Oświeceniści i Kolywni nie odmówiła romantyzmnych zapytawo do dobrotu Boga. Literatura religijna wyszła z tego nadzwyczajnie zwycięsko. Nie dość na tym, wydawała się bardziej okrzepła i niezachwiana w swych

¹⁵ C. Wodziński: *I odtąd po filozofię...*, Warszawa 1992, s. 209.

¹⁶ L. Buczkowski: *Pierwsza ofiara*, Warszawa 1966, s. 7.

¹⁷ L. Buczkowski: *Czarny potok*, op. cit., s. 124.

śdach. Dowodzą tego nie tylko powieści Zofii Kossak-Szczuckiej, Jana Dobrzańskiego czy *Kontata* Wojciecha Zukrowskiego. Wspomiane utwory należą do grupy najbardziej reprezentatywnej dla zjawiska, które miało w wiele szerszy zasięg. Z katalizma wojennego powstał idea Boga misiońskiego, a teodycea chrześcijańska pozostała nie tknięta w swoich zasadniczych zrybach. Na marginesie dodajmy, iż dla wielu myślicieli żydowskich, ale też niektórych teologów, pytanie to w kontekście zgładzi stało się poważnym argumentem w dyskusji nad sensem teodycei.¹¹ Zabiegi szeregi pisarzy w utworach dotyczących ostatniej wojny przyczyniły się ze sobą w dwóch punktach. Pierwszym była obawa przed uzmysłowieniem sobie tego, o czym pisze Zygmunt Bauman komentując okrucieństwa Zimbardo, iż w każdym człowieku „drzemie maly esstman”.¹² O drugim wspominała Maria Janion w *Legendzie i antylegendzie* wojny wprowadzając określenie „sektarizacja historii”. Chodziło o funkcję, jaką często pełnił w naszej literaturze pisarze strzegący utrwalonej, budowanej na tradycji romantycznej, wizji dziejów Polski.

Inną furtką, którą mogli wybrać piszący polscy reagujący na kataklizmy ostatniej wojny, była gnostyczna teza o radykalnym skądzeniu świata przez zło, o pomyślnie błąd i cierpienia w historii ludzkości. Symptomy podobnego myślenia dają się wyczuć w opowiadaniach ówczesników Berowskiego. Powinowactwa ze światopoglądem gnostycyzm zdradzają też wiersze z tomu *Gdziołkiewicz ziemia*...¹³ Widac to szczególnie na płaszczyźnie ikcie manichejskiego sposobu obrazowania, w którym dominuje m.in. obraz nabrzmiałego nieba przysiągającego swym ciężarem ziemię, jak również w powracającym motywie ciężkiego snu obwidzającegoś moce duchowe człowieka. Również Buczkowskiemu nie jest obcy gnostycyzm typ obrazowania. Szczególnie w *Czarnym potoku* widoczna jest fascynacja obrazami czerni, ciemności. Rzeczywistość przybiera wymiar i charakter snu. Bohaterowie pierwszej powojennej powieści Buczkowskiego błądzą w ciemnościach świata. Jest to jednocześnie wędrówka w sferze duchowej i rzeczywistości realnej. Podobny motyw pojawia się później w cyklu *Gdziołkiewicz ziemia*...

Lekcja, która zdnaniem Berowskiego i Buczkowskiego ludzkość winna wnieść z zagłady, a których niestety nie pojęła, są dwie. Holocaust pokazał przed wszystkim kruchość podstaw kultury europejskiej, nietyralność zabezpieczeń, które miały chronić ją przed katastrofami takimi jak obcy śmiertelny. Jednak zagłada nie była, jakby chciano to widzieć dla spokoju sumienia, planem złego boga wobec świata. Za to od początku do końca fałszemu ujawniana swa ludzka natura. Był to też w zaskakującym konsekwentnym stopniu wynik rozwoju cywilizacji. Zagłada jest obaleniem najciężniejszego ston ówczesnego prymatu rozumu.¹⁴ Paradoxi polega wszakże na tym, że ludzkość nie wypracowała mechanizmów, które groźną ponowym holocaustem i żyje na bombie zegarowej.

Druga lekcja, którą przekazał nam holocaust, jest lapidarna – największe zło jest w nas samych. Kat z warszawskiego getta, z Auschwitz i Treblinki nie wyróżnia się z tłumu. Na co dzień jest, jak pokazał przykład Hessa, dobrym mężem i przykładowym ojcem. Borowski i Buczkowski przejmują w pełni przedstawioną przez Hannah Arendt definicję „banalności zła”.¹⁵ By pokazać tę prawdę o człowieku twórcy *Podlegania z Marjii i Doryckiego* krążylika porównują zlo jego „narodowych” bródeł. Prasy da wyznaczania w literaturze martyrologicznej limes dobra (Polska) i zła (Niemiec) zaciemnia się i rozmywa. Również twórcy okazuje się dokonanie podziła według indywidualnych cech jednostki.

Uzwyklemie zła, kata, śmierci to jeden aspekt zjawiska. Drugim jest anonimowość i masowość cierpienia, bólu. Wielk dwudziesty dokonał znaczącego przesunięcia od indywidualnego do masowego, poprzez osiągnięcia techniki, zadawania cierpienia i produkcji śmierci.

3.

Literaturze czasów wojny i okupacji nie tylko zakreślono granice tego, co można powiedzieć, ale wymagano też od niej funkcji oczyszczającej. Powieść, opowiadanie, utwór liryczny miały przejść rolę antycznej tragedii z konstytucyjną ją kategorią katharsis. Umoczone hitlerowskim terrorem społeczeństwo polskie oczekiwało jasnych rozgraniczeń między dobrem a złem, katem a jego ofiarą. Kryło się w tym także pragnienie ekspiacji za grzechy, w których się brało udział osobicie, czy to przez, używając pojęcia chrześcijańskiego, zamieniania dobra. Tymczasem utwory interesujących nas twórców nie spełniały powyższego nakazu oczyszczania sumień. Ani Borowski, ani Buczkowski nie ofiarowali swym czytelnikom ukwienia, pocieszenia, które należało się ofiarom (być może jedynie zapłaty, jaką te mogły przyjąć). Sytuacja stawała się jeszcze bardziej skomplikowana, kiedy podważano także czystość ofiar. Wzięciu, uczestnik ruchu przestawali być wyłącznymi nośnikami wartości pozytywnych, tak jak kat przestawał być utożsamiany z demosem zła.

Teoria tragizmu, która można zbudować opierając się na utworach Borowskiego i Buczkowskiego, w sposób najcięższy łączy ich pisarstwo, ujawnia zarazem jego najistotniejsze wymiary. Prasa obydwu twórców nakazuje zwrotaoficowac tradycje pojejei tragizmu w epocie pięciu.¹⁶ Opowiadania ówczesności i utwory Buczkowskiego (opisy śmierci w *Grózkim sadzie* i *Powstaniu na Żoliborzu*, *Czarnym potoku*) przedstawiają zbliżenie się tego, co patetyczne, podniośne do zwykłości, a nawet śmieśności, co w przypadku interesujących nas twórców najpełniej oddaje poetyka groteski. Nie była to bynajmniej jedyna droga do rozprawy ze wzniosłością w czasach pogardy. Równie skuteczna (obok barbarzyństwa i przygadocowości) okazała się powszechność i anonimowość śmierci. Jeden z dotychczasowych filarów tragiczności – indywidualny charakter ludzkiego cierpienia – został zakwestionowany. Również pytanie o przyczynę cierpienia, wuj bohatera tragicznego, w obliczu zbliżności związku między przewinieniem a rodzajem wymierzanej kary utracilo swe znaczenie. Pod znakiem zapytania stało także zagadnienie odpowiedzialności kati. Dokonał się tutaj proces, którego ostatecznym skutkiem było wyrugowanie poczucia winy. Był to wynik tego samego postępowania w wieku dwudziestym z dużym nasileniem zjawiska biurokratyzacji stosunków społecznych. W biurokracyzacji zhierarchizowanej strukturalnie nastąpiło zmieszenie odpowiedzialności poprzez jej rozdrobnienie. Za konkretnym czynem stała cala masa urzędników i przełożonych. Uwikłany w sieć uzależnień i powiązań pracownik administracji troszczył się już tylko o to, by praca, którą wykonuje, spotkała się z uznaniem przełożonego. W niezwykłe przelicznych esajech z czasów wojny Milosz pisał na ten temat: *Zadawanie śmierci wywala się z oporów demosemu, wyrzuca namienia ty, akceseridze Szekspirowskiego dramata. Młodzi chłopcy w czystych mundurkach mogą wtedy rozstrzeliwać przyde błąpy z synką. Z tym łączy się jeszcze jedna nowość: prawo karme, idzie nówoleknie z rozwolciem poczucia etyczne społeczeństwa cywilizowanego, łączyło karp z faktem winy. Powieźwał X jest winien, X musi umrzeć, albo musi zwałec się za krakami więzienia. Dniaj sprawa winy schodzi na plan dalszy, a na pierwszy plan wysuwa się szkodliwość albo zbędność dla społeczeństwa danej jednostki. X ginie, chociaż nie zrobił nic złego, ginie, bo kolor jego włosów, kształt nosu, czy pochodzenie jego ro-*

¹¹ Por. m. in. W. Hryniewicz: *Niepojęty Bóg w odbiciu piórel świata*, „Znak” 1996, nr 4.

¹² M. Janion: *Legenda i antylegenda* wojny, „Literatura” 1975, nr 22-23.

¹³ T. Adomo, M. Horkheimer: *Dialektyka oświecenia*, Warszawa 1984.

¹⁴ H. Arendt: *Eichman w Jerozolimie. Rzecz o banalności zła*, przeł. A. Sztokiewicz, Warszawa 1987.

¹⁵ Szerzej pisano na ten temat w szkicu *Nowocześnie odmienny tragizm*, „Zpragad Artystyczno-Literacki” 1997, nr 10.

dość są uznane za dostatecznie znamiona jego szkodliwości.¹⁹ Prawo stało się bezpośrednim prześledzeniem władzy i jej wyroków dotyczących przeznaczenia i losów człowieka.

Koszmarr Życia w czasie wojny, który – jak pokazuje Buczkowski – bardzo często upodabnal się do życia w obzbie, sprawdził też wolność wyboru do determinizmu. Okazywało się bowiem, że każdy wybór stawał się moralnie dwuznaczny.

Wobec podważenia przez zagłady tradycyjnych filarów tragiczności jedynie, na formuła tragizmu. Jaka wydaje się odpowiadać epoce pieców, jest wyłożona przez Brach-Czajnie teoria tragiczności jako absolutnej negatywności zdarzenia bez możliwości odienienia go do Transcendencji.²⁰

4.

Borowski i Buczkowski burzą budowany na stereotypach obraz wojny. Złożoność relacji etycznych w epoce pieców, łączy i odmienności postaw polskiego społeczeństwa akcentowała, obok pisarzy, niektórzy krytycy. Wśród nich Kazimierz Wyka w *Życiu na niby* i ostatnio Jan Błosiński, który w książce *o Biedni Polacy patrzaj na getto* wywodzi o „urzędna naukę przeszłości o prawdzie”. Krytyczny stosunek do narodowej przeszłości, do sfery romantycznych mitów i świętości jest, po własnej lekturze, najłatwiej nazywalną cechą dzieł obydwu autorów. Najbardziej wyeksponowanym elementem polemiki, a jednocześnie tą jej częścią, która stanowiła przyczynę najcięższych ataków ze strony przeciwników twórczości Borowskiego, był spór z utrwaloymi w dziewiętnastowiecznej historiografii przekonaniami odnośnie historii Polski i jej przyszłych losów. Posiadała on nihilizm, cynizm, prowokację moralną, na które narazona była proza Borowskiego należy wiązać właśnie z naruszeniem szeregu narodowych świętości. W przypadku Buczkowskiego można jedynie przypuszczać z dużą dozą prawdopodobieństwa, że *Grzaski sąd* i *Powstanie na Żoliborzu* wywołały podobne reakcje, gdyż dziennik Buczkowskiego ukazał się tuż po wojnie – w czasie, kiedy był pisany *Autof Czarnego postoka* stał się natomiast dla części polskiej „historia formy”. Leopold Buczkowski przynajmniej od *Pierwszej świętości*, jeśli nie liczyć niesprzyjającej recenzji Sandauna z *Czarnego postoka*, funkcjonuje jako znak rozpoznawczy tych wszystkich zagrożeń, jakie niosą ze sobą eksperymenty z formą.

Dla Borowskiego i Buczkowskiego krytyczny obraz romantycznego dziedzictwa oznaczał fragment szerszej problematyki, wynikł z koncepcji człowieka, rozwoju cywilizacji i stałych mechanizmów obowiązujących w kulturze. Proza Borowskiego i Buczkowskiego ilustruje w pełni tezę, którą postawił na początku wieku Max Scheler podsumowując sytuację Europy po roku 1914: [...] „człowiek w zasadzie bardziej cierpi z powodu tego technicznego świata środków, z powodu jego prawidłowości, jego przypadków i nieobliczalności, aniżeli z powodu niedostatków [...] do których usunięcia został on wymyślony i wytworzony.”²¹

Walka ze stereotypem oznaczała też wystąpienie przeciwko kanonicznym i skostniałym ujęciom historii. Friedrich Nietzsche we wczesnej pracy *O politykach i szkodliwości historii dla życia* wymienia trzy rodzaje stosunku do historii. Historia monumentalna układa wydarzenia minionych epok w gmach, w którym każda epoka miała wzbudzać szacunek i stanowiła przedmiot naśladowania. Innymi słowy, historia tak rozumiana ma być przede wszystkim „nauczycielką życia”, zbiorom prawn, które należy sobie jak najrybziej przyswoić. Takie widzenie dziejów żywi się uogólnieniem i mityzacje rzeczywistości: [...] *historia monumentalna nie potrzebuje [...] pełnej*

*prawdowości; zawsze będzie zerwaliwa, uogólniała i wrzeszciała ostatecznie rzeczy różne, zawsze będzie zacierała odmienności motywów i bodźców, aby kasztem cause zromantyzować effectus, to jest przedstawiać jako wzór godny naśladowania [...]”*²² Ale też: [...] *„dopóki przeszłość musi być opytano jako godna naśladowania, możliwa do naśladowania i powtarzania – dopóty zachodzi niebezpieczeństwo, że będzie nieco przekraczana, upiększana interpretacja, a tym samym bliższa otworom wolnej fantazji [...]”*²³ Bardzo podobnie postępuje człowiek, który deklaruje antyhistoryczny stosunek do dziejów. Historia antyhistoryczna zamierza wywinąć z nas przekonanie, że wszystko, cokolwiek może zdarzyć się w przyszłości, znajdujemy uważnie śledząc wieki minione. Podobnie jak w przypadku jej poprzedniczek skazana jest na martwość, jeśli nie przekaże jej choć trochę żywości. Nie negując roli dwóch przedstawionych ujęć historii, nie podważając konieczności ich istnienia dla prawidłowego funkcjonowania życia społecznego, Nietzsche odkrywa przed nami trzeci – dodajmy – filozof wyznaczków do historii – nastawienie krytyczne, które – dodajmy – krytycznik nie preferuje. Historia krytyczna jest domena jednostek twórczych, znaczenie przekraczających ramy własnej epoki. Ma ona często charakter wyrzeczny: *„Aby żyć, człowiek musi mieć siłę i niekiedy potokże się nią do stłamania i rozbić przeszłość; osiąga to w ten sposób, że pozyska ją przed sobą, poddaje ją skrupulatnemu prześledzeniu i na koniec wydaje wyrok skazujący; każda przeszłość na taki wyrok zasługuje, gdyż tak to już jest z ludzkimi sprawami: gwałt i skłótkę zawsze miały w nich zawsze udział.”*²⁴ Przeszłość winna być przenykana wielokrotnie i osądzana przez każdą epokę i każde pokolenie na nowo, gdyż jest to warunek trwania kultury.

Stawiany obydwu pisarzom przez recenzentów i krytyków literackich zarzut nihilizmu posiada nadwój wymiar. Przyjmujemy, że punkt wyznacznik Borowskiego i Buczkowskiego jest, w dość poszerzonym rozumieniu tego pojęcia, sytuacja nihilistyczna. I Borowski, i Buczkowski sytuując się poza tradycję literacką i kulturową (w przypadku twórcy *Czarnego postoka* jest to szczególnie silne odrzucenie konwensów powieściowych) znajdują się w miejscu poza wszelką hierarchią estetyczną i etyczną. Ale [...] *„sian, w którym nie można się oprzeć na niczym, należy być stałym godnym człowiekiem; sian, który pozwoliłoby więcej wrzeszczać zachować się antyhistorycznie; jak tego zawsze filozofia od niej zależy.”*²⁵ Po doświadczeniu zagłady nihilizm uzyskuje inny wymiar i inne znaczenie. Nihilistami są ci, którzy nihilizmem przeciwstawiają coraz bardziej wybitnie pozytywności i przez nie zyskującą się z całą utrzymującą się trywialnością, a w końcu i z samą zasadą destrukcji.²⁶ W akcie zniszczenia i odrzucenia świata wartości, który podważała wojna, mieściąca się zaląki przyszłych sensów. Nie afirmacja, lecz destrukcja i przewartościowość okazują się postawą najgłębiej twórczą. Tak rozumiany nihilizm nie ma nic wspólnego z identyfikowaniem go z nicnością. *„Świat stworzony jest dla niego zgnostyczny światem radykalnie złym, a jego negacja jest możliwością świata innego, jeszcze nie istniejącego.”*²⁷

5.

Obydwaj interesujący nas autorzy dobitnie stawiają pytanie o miejsce sztuki w czasach pogardy. W opowiadaniach Borowskiego i prozatorskich fragmentach Buczkowskiego sztuka jest wartością wymienną za pieniądze. Wobec barbarzyństwa zagłady dzieło literackie czy malarskie staje się

¹⁹ C. Milosz, *Legenda nieznajomości*, Kraków 1996, s. 191-192.

²⁰ Por. J. Brach-Czajnie, *Tragiczny instytut*, Warszawa 1992.

²¹ M. Scheler, *Cierpienie, miłość, dalsze życie*, przeł. A. Węgrzecki, Warszawa 1994, s. 26.

²² F. Nietzsche, *Niewczesne powstania*, przeł. M. Łukasiewicz, Kraków 1996, s. 99.

²³ Tamże, s. 99.

²⁴ F. Nietzsche, op. cit., s. 106.

²⁵ T. Adorno, *Dialektyka negatywno*, op. cit., s. 534.

²⁶ Tamże, s. 536.

²⁷ Tamże, s. 535.

duchowych anachronizmem oraz, z punktu widzenia warunków i prawidła wojennego świata, niepotrzebnym bagażem doświadczeń. Ale też proza Borowskiego i Buczkowskiego przedstawia sytuację odwrotną. Artysty i twórcy ich ducha ponoszą odpowiedzialność za tragedie obozów. Dzieła te, co zostało szczególnie wykazane w utworach Buczkowskiego, racjonalnie prawdziwie obraz świata. Artysty popielali ciężkie grzechy upiększenia rzeczywistości, wytworzyli w czytelniku poczucie bezpieczeństwa i złudne przekonanie o pierwotnej dobroci natury ludzkiej.

Autor *Pożegnania z Marią* i twórca *Czarnego notatu* mieszają trywialność schematów i skonwencjonalizowany technik literackich, za pomocą których pisarze opiswali doświadczenie ostatniej wojny. Przy czym każdy z nich okazuje się nie tylko twórcą odrębnym, o zupełnie niepowtarzalnym warsztacie literackim, ale też artystą, który posiadając świadomość potrzeby zweryfikowania dotychczasowych metod twórczych w konfrontacji z epoką pieców, wypracowuje indywidualną receptę na opisanie istoty doświadczenia wojennego. Zdziwiani woł – pamiętając o całej odmienności wyobraźni twórczej – wspólna obywateli pisarstwo wrogów, jaką objawiają wobec fikcji jako elementu w znacznym stopniu organizującego fabułę utworu literackiego. Uwidczając przywidy do kategorii dokumentalnych odwiecznych status dokumenta próbują się osiągnąć poprzez wykorzystanie stylu dokumentarnego, oczyszczenie opowiadania z analizy psychologicznej. Jednak najbardziej znaczącym zabiegami mającym uwidocznić przedstawianie zdarzenia jest zastosowanie narracji pierwszoosobowej i konsekwencji, jakże za sobą pociągają podobna struktura podwacza.

6.

W latach 60., kiedy Werner przeprowadzał rozróżnienie między literaturą martyriologiczną i „kamiennego świata”, europejska myśl filozoficzna i socjologia dotycząca totalitaryzmu mogła się już rozwijać na tyle tak znaczących prac, jak *Dialektyka negatywna* Adorno i Horkheimera, *Ucieczka od wolności* Fromma, *Korzenie totalitaryzmu*²⁸, a przede wszystkim *Eichmann w Jerozolimie. Raport o banalności zła* Arendt. Od tego czasu w Polsce, szczególnie po przełomie w 1989 roku (pamiętać bowiem należy, że książki szkoły frankfurckiej czy Hannah Arendt nie były znane szerzemu gronu czytelników chociażby ze względu na ich dostępność jedynie w językach zachodnich), pojawiło się wiele nowych analiz przewrotkiujących nasze widzenie brunoinego i czerwonego totalitaryzmu, a potwierdzających zarazem konkluzje Borowskiego.

Utwory mieszające się w tegoż dołku artystycznych literatury „kamiennego świata”, „odległej cywilizacji”, a także eksperymenty formalny powieści Buczkowskiego, wyznaczają trzy istotne punkty wyjścia naszej rodzimej twórczości w refleksji nad okupacją i światem obozów. Droga, którą wyczyły z jednej strony *Pamiętnik z powstania warszawskiego*, a z drugiej *Czarny ptok* i opowiadania oświęcimskie nie znalazła jednak wiele nasładowców.

Refleksje Zygmunta Bauman'a czy innych uczonych, w których pośrednio przynajmniej się wiążąca doniośle pojmawca literaturze kręgu „kamiennego świata”, nie dokonały radykalnych zmian w układzie sił między tymi dwoma różniącymi się między sobą sposobami prezentowania wojennej rzeczywistości. Odtwarzające spory kłopot ludzi i twórców wymagujących się z raz przytępnego, przyszykającego sobie prawo do wyznaczności, stereotypu w widzeniu epoki pieców dowodzą, iż martyriologiczna perspektywa jest silnie zakorzeniona w świadomości społecznej.²⁹ Nie tylko więc tego typu

naruszenie równowagi nie miało miejsca, ale również ilościowe porównanie zasobów dzieł realizujących wizję obozu i okupacji bliższe często naszym, choć pisanym w dobrej wierze, powieściom Kossak-Szczepkiewicz i Dobraczyńskiego. Perspektywa martyriologiczna czy, by tak ją nazwać, wartościocno-moralizatorska, jest nam nadal bliższa niż niemartyriologiczna. Nieprzepracowana rola odczyna i odgrywa tu sfera ideologiczna, narodowego mitu, wewnętrznej i zewnętrznej kultury. W tych punktach diagnozy Wernera pozostają w mocy, choć trudno przewidzieć jak dłużej będą aktualne, mając na względzie przemiany obyczajowe, jakie dokonują się w naszym społeczeństwie w ostatnich kilkunastu latach.³⁰

Werner, zastanawiając się nad przyczynami tego zjawiska, motywował to między innymi w taki sposób: *Przelatni warunków dominancie literatury martyriologicznej istniały zawsze... I zapewne długo jeszcze [...] punkt widzenia ofiary, problem wiry i odpowiedzialności będzie podziałem naszego stosunku do wydarzeń ostatniej wojny... I... literatura martyriologiczna wpływa z pewnego rodzaju historycznej inercji, jest bezgłównym odbiciem nastrojów panujących w społeczeństwie, wyrazem świadomości potocznej.*³¹ Badaąc, poszukując twórców o zbliżonej do Borowskiego wizji rzeczywistości koncentracyjnej, zwraca swe zainteresowania badawcze ku dwóm grupom twórców wyodrębnionych na zasadzie wspólnoty pokoleniowej. Wśród autorów czarnego pokolenia oraz rówieśników Borowskiego zblizną do autora *Strasznego z Biblią* wizję pisarską reprezentuje Nałkowska w *Medalionach*. Do pierwszej grupy należą też równolatkowie pisarza. Wśród nich Zofia Posmyrz jako autorka *Pianżerki*³² i Stanisław Grzesiuk, twórca *Pięciu lat kaczki*. Wymieniał należy jeszcze groteskowy utwór Grochowiaka *Trismus* oraz Ryszarda Gerta *Trzeba głęboko oddychać*.³³ W latach 60. następuje krótkotrwały renesans utwory niemartyriologiczne. Z podobnym jak Borowski sposobem prezentowania rzeczywistości obozowej zaczynają się utożsamiać twórcy przyjeżdżający po wyzwoleniu albo tacy, którzy nie czynie wojny mieli po kilka lat. Jest to druga grupa pisarzy, która nie tyle należałoby wyodrębnić przedmiotowo za kryterium przynależność pokoleniową, co odrębność doświadczenia historycznego i życiowego. Werner wymienia tu kilku młodszych wówczas twórców. Jego szczególną uwagę zwracają *Widanie* Hio-ba Bogdana Wojdowskiego i *Witkę* Janusza Krasińskiego. Pojawiają się też nazwiska Andrzeja Brychta (*Dancing w kwatery Hitlera*) i Henryka Grynberga (debiutancka *Ekipa - Antygona*). Z naszej perspektywy, której – pod koniec lat 60. ze względu na obecność cenzury – nie mógł ujawnić Werner, dowodzą do tego wykazy jeszcze pryzmat łagrów sowieckich i utwory, powstałe na przesileniu trzydziestych lat, jakie upłynęły od chwili ukazania się *Zdążyć przed słońcem*. Ofiara w świadectwach pisarskiej literatury łagrów, której właściwe bogactwo możemy odczuć dopiero teraz, w przeciągu ostatnich dziesięciu lat, gdy pojawiły się stony książki (wspomnianie, utworów o różnym stopniu udziału fikcji literackiej), za którymi idą opracowania badaczy zamierzające przedstawić syntezę tej części naszej literatury³⁴, potwierdza jedynie uwagi o przewadze utwory martyriologiczne-

²⁸ H. Arendt: *Korzenie totalitaryzmu*, przeł. D. Grinberg, M. Szawid, Warszawa 1993.

²⁹ W najnowszej historii Polski, także, a może przede wszystkim, w dziejach naszego piśmiennictwa nie brakuje dowodów na aktualność martyriologicznej perspektywy.

³⁰ Por. także:

³¹ A. Werner: *Zwycięstwo apokalipsy*, op. cit., s. 235-236.

³² Werner utwór *Zwycięstwo apokalipsy* mieszczącej literaturę martyriologiczną i niemartyriologiczną, podobnie jak powieść Holuba *Koniec naszego Świata*. Por. także, s. 228.

³³ R. Gert: *Trzeba głęboko oddychać* [w:] Kominy, Warszawa 1962.

³⁴ Por. m. in: Czapliński: *Polaka literatury łagrowej*, Warszawa 1992; i. Sarusz-Skapska: *Polacy Świadostwie GULagu*, Kraków 1996.

go.²² Jednym z wyjątków są wspomniane już opowiadania Pawła Mayewskiego z tomu *Rzeka, Dzień i noc* Leo Lipskiego oraz *Scopa za jałuinami* Tadeusza Nowakowskiego.

Pisarstwo Borowskiego i Buczkowskiego, co należy jeszcze raz podkreślić, różni się na płaszczyźnie rozwiązań formalnych – tutaj każdy z autorów okazuje się twórcą autonomicznym, zupełnie niepowtarzalnym, zjawiskiem literackim na skalę literatury światowej – ujawnia wielkie podobieństwa w stosunku do kultury europejskiej oglądanej z perspektywy doświadczenia zagłady. Zamiarem naszym było prezenalizowanie kluczowej dla obydwu twórców problematyki relacji między kulturą i zagładą. Praca niniejsza nie wyczerpuje tematu. Jest to zagadnienie bardzo szerokie i z pewnością wymagające dalszych studiów. W swoim szkicu staraliśmy się jedynie systematyzować i rozwinąć to, co często pojawiało się – w mniej lub bardziej odważnych – sugestjach badaczy.

Slawomir Buryła

²² Wymieniamy tylko dwie, bardziej znaczące pozycje autorów różniących się diametralnie światopoglądem: opytka chrześcijańska – Beata Obertyńska (*W domu niewoli*) i marksiowska – Władysław Grzybowski (*Między miastem a kowadłem*). Pomijamy perspektywę martyrologiczną z niemiarytologiczną znajdującą się „*Literatura solidarniej pamięci*”. Sytuacją się w niej m.in.: Agnieszka Stojanowska (*Na nieślodkiej ziemi*) i *Wspomnienia starobiałokie*, Włada (*Mój wiek*), Naglerowa (*Lasie sponiewierani*), Czuchrowskiego (*Tyfus, teraz słowki*).

Książki nadesłane

Oficyna Konfraterni Poetów, Kraków, 1998

Stanley Kunitz: *Passing Through/Przechodzenie przez*. Przekład Adam Szyper. ss. 87.

Jaak Leht-Kräsina: *Obok*. ss. 76.

Adam Szyper: *Wyznanie*. ss. 85.

Andrzej Słomianowski: *Alchemia*. ss. 85.

(Wszystki tomiki ukazały się w Serii Jubileuszowej X-lecia Konfraterni Poetów.)

Wydawnictwo Portret, Olsztyn, 1999

Joanna Wilęgowska: *Zapiski wiewsuła*, ss. 72.

Tomasz Karnowski: *Higijie w dzień*, ss. 32.

Karolina Madej: *von von*, ss. 43.

Krzysztof Kowalewski: *Abdykacja*, ss. 48.

Mariusz Sieniewicz: *Prababka*, ss. 146.

URSZULA GIERSZON

Figurka

A więc nie wiesz z czego rzeźbiłeś moją postać?
Ociosywanie chłodu z kamienia jest tradce

i zawsze boleśnie Z drewna trwałoby krócej
ale tam były soki owoce i liście

Już zapomnieliś że ulepiłeś mnie z gliny?
... Nie stukaj w mnie tak mocno!

Jestem Chociaż nadal nie tylko dla siebie Nóż
codziennie nie posiekał mnie W każdej dobie
miejszej jak czarny chleb jestem taka sama

Z podniesioną głową wchodzę w krętę zaulki
Oto moja stopa która lekko ściągnięta
spływa ku ziemi A ona ciepłem oswaja

moje kroki Szepcze: nie bój się idź to mnie nie boli
To moje wyciągnięte dlonie niosą smukłość
palców Dotykam powietrza a ono lekko

muska mi ucho pocałunkiem przyzwolenia
– Śmiało wejdź we mnie – mówi – będmie jednością
Mijam drzewo a ono nachyla się do mnie

i śpiewa gałęzią: wiem że mnie widzisz jestem
Czas powoli skubie moje ciało i ja też
rwę jego zakrzywioną mroczną formę jak chleb

Rozdrapane sny

Byłam jedynie widzem w tym teatrze
znieczona monotonią treści wyczerpana
natarczywością barwnych obrazów zasnąłam

Obudził mnie z odrętwienia gwar i zabawa
Widzowie przywdziewali kostiumy Otworzono
granice pomiędzy sceną a widownią

Aktorzy wmieścili się w tłum Każdy ma swoją
maskę i swój kostium Tańczą śmieją się mówią
o nowej formie teatru Nie mam kostiumu

zabrano mi miejsce i numer do szatni
Słyszę jak z głuchym łoskotem drzwi kolejno
zamykają przestrzeń Patrzę z nadzieją

w górę Wysokie sklepienie dachu i sztuczne
jaskrawe światło uświadamiają mi: jednak
wniebowstąpienia nie będzie Nie wyjdę już stąd

Chowam się pod krzesła może mnie nie zobaczą
nie zalepczą nie zmuszą do tańca Przeczekam
kiedyś otworzą się drzwi opadnie kurtyna

* * *

Teraz nie noszę już ozdób i nie dham już tak
bardzo o stroje Nie pytam po co istnieję

dłaczego i dokąd zabierę swój cień Żyję
ponieważ żyję Naszycie ciuchy przypinkowię

i czarną torebkę do białych butów Teraz
... teraz tylko jestem

Stodki zamysł

Zanurzyłam cierkpi owoc głęboko w wodzie
wywieńconej idealami Miał być słodki
Często wyjmowałam próbowałam i znowu
zanurzałam – smak się nie zmieniał Dziś wyjęłam
samą pestkę Słodki zamysł został na ustach

Wydawnictwo Państwowe, Warszawa, 1979

Boso

Należę do tych ludzi którzy gubiąc jeden
buz wyrywają drugi A jeśli właśnie jest
zima wierzę że niedługo nadejdzie lato

* * *

Ach jestem przecież nie tylko tym pyłkiem
który z rozmachem rzucasz to tu tam
moje ciało bardzo unerwione
labirynty ciemne wypełnia lepka czerwona stal
a rozpięte struny kryją całe gamy dźwięków
od ciszy po wrzask

* * *

Potrzebuję słońca
by oświecić zgłuszcza
i wiatru aby rozwałił popiół
A w mnie jeszcze słaba iskra
pogorzelsko żywe trzyma
Więc tylko o deszcz proszę
a on wciąż pada
na zewnątrz i w mnie
iskra nie gaśnie
pagórek popieliska
rośnie nade mną
w kamień

Urstula Gierzon

Wiersze z tomu *Wszystko jest w sobie*, który ukazał się w Wydawnictwie Lubelskim



Jolanta Słomianowska. *Spojnik zwierzętobudo*, 1996.

Rzeźba, brąz + granit, 65 x 15 cm.

SERGIUSZ STERNA-WACHOWIAK

„Gniazdeczko na listku i pracownia przeczaceń”

Poezje Adama Mickiewicza i Karola Wojtyły
jako dwie metafizyki rzeczywistości

Mickiewicz i New Age

„Uciec z duszą na listek i jak motyl szukać! Tam domku i gniazdeczka...” – pisze Adam Mickiewicz w okresie 1839-1840, Mickiewicz późny, mówiący gnomami, fragmentami, dwuwierszami na chwilę przed zamknięciem. Twórczość poety z lat 1829-1855, z okresu podróży i emigracji, a szczególnie *Zdania i uwagi* i tak zwane *Liryki lozowskie*, a więc poezja metafizyczna – uchodził czasami, nie bezpodstawnie, za zaprzeczanie stylu i poetyki, wizji świata i widma jej wyrazu z okresu wileńskiego-kowieńskiego 1817-1824, z dwóch tomów *Poezji* (1822 i 1823) łącznie z *Dziadami*, jak też z okresu rosyjskiego 1824-1829, a nawet wraz z *Panem Tadeuszem* i sonetami oraz *Sonetami krymskimi*. Czym ono zaprzeczanie stanie się w literaturze polskiej „po Mickiewicza” – wiemy świetnie. W totalitarnym wieku dwudziestym, który rozpoczął się w roku 1918 a zakończył w 1989, w Polsce czytano się Mickiewicza poecie narodowo-romantycznego inaczej, niż Mickiewicza metafizycznego, i nawet metafizyczny *Pan Tadeusz* stał się w pierwszym rzędzie epopeją naradową. Stereotyp Mickiewicza wieścza i trybuna, pisarza martyrologicznego, dolorytycznego i trytejskiego w jednej osobie, paradoksalnie sprzął ukurowaniu się stereotypu „drugiego”, „innego” Mickiewicza, przywrażeń, konfesyjnego i kontemplacyjnego, porwanego najpierw przez Andrzeja Towiańskiego do Kola Sprawy Bóżej i przebywającego w Kole między latem roku 1841 a latem roku 1848, a w tym samym czasie i nawet już wcześniej coraz wyraźniej dezertującego z narodowej trybuny, profesorskiej katedry i towiańskiego ambony do zaciężnego konfesyjonału, do świętych ksiąg i pism mistyków, na ustronie metafizyka. Gdy w 1977 roku Ryszard Ruciński wydawał poza cenzurą *Nasze życie różne*, tom jego poezji świadczącej i sprzeciwu otwierało motto z Mickiewicza: „Wzywając przyszłe ma szpieg nieznanomyj/Walkę w nim stoczy sąd krzywozprężyonyj”. Lecz w roku 1989 w tomie Krynickiego *Niepodlegli nicości ważniejsze i doniosłe* okazało się inne motto z Mickiewicza: „Uciec z duszą na listek...”, położone przy wierszu pod wymownym tytułem *Kogo pocziesz?*

*Kogo pocziesz
złanie z metalu?
Wolę czytać na listku
wiersze *Ilmusa*, *Isis*,
który już raz, po złodziecach
przywiódł mi palną wieść
z wolnego świata.*

Podobnie Tadeusz Żukowski, autor poetyckich świadectw i sprzeciwów z tomów *Znaki czasu* (1982), *Z ostatniej chwili pokoju*, z *Pierwszych miejczy wojny* (1984), *W czarni, w białej* (1985) czy *Epoka lodowcowa* (1987) – po wierszach „czarnobielych” ogłasza w końcu *Wiersze nagbuziec* (1986). Jego *Łza* (1991) pełna jest placzu metafizycznego i też zachwyta, nie placza martyrologicznego i też bezsilny, toteż jako motto *Łzy* kładzie Żukowski – no proszę – Mickiewicza: „Uciec z duszą na listek i jak motyl szukać! Tam domku i gniazdeczka...”, a misją poety czyni przejęcie, przebiecie się „na drugą stronę” rzeczy i zrozumienie wszystkiego. Czyli epifanię, w której miejsce klimata Isy zajmuje złotocokowy sieciak, inne upostaciowanie poety nowego:

Zielony
delikatny jak
bieszcz pylek
komar

próbuję przejść
na drugą stronę
białej kartki papieru.

Jak ja
który prągnę
zrozumieć
(Na drugą stronę)

Gdy Eugen Drewermann w *Isotonno nie widać. Rzecz o „Malyh Księgach”* chce rozdzielić między Iza bezsilny a Iza zachwyta, powiada: *Nierównoległe „Maly Księgi”* *Esapury*’ego w porównaniu z *antybabiloniami* *Kafki* przedstawia się jak *oaza na pustyni*, a jego „*Twierdza*” jest *niły kwilący ogień* w zestawieniu z *lodowatym zagubieniem* w „*Zamku*” *Kafki*.¹ W Mickiewicza mieszają może *Maly Księgi* i *Józef K.* z *Procesu* *Kafki*, ale „w jednym stoją domki” niekoniecznie jak zabawni antagoniści *Pawel* i *Gawel*. Odróżnienie Mickiewicza *Ballad* i *romanów* oraz *Dziadów* od Mickiewicza *Zimy mijskiej* oraz *Pana Tadeusza*, jak odróżnia Czesław Miłosz, jest zrozumiałe, jako postawiającemu styl i poetyki, wizji świata i widma jej wyrazu, lecz bywa zadowne jako znakanie usłoko i czy zerwania ciągłości wewnętrznego doświadczenia człowieka. Istnieją oczywiście stopnie prawd i Mickiewicz w *Zdaniach i uwagach* z *dejt* *Jakuba Bema*, *Aniela Słazka* (*Angelus Silesius*) i *Sp-Martena* zaleca ich stosowanie.

*Są prawdy, które mędrzec wszystkim ludziom mówi,
Są takie, które szepce swemu narodowi;
Są takie, które zwiera przyjaciółom domu;
Są takie, których odkryć nie może nikomu.*

(Stopnie prawdy)

Stopnie prawdy nie nadkruszają jednak przecie integralności bytu i istnień, a także samego dogmatu, który mówiąc jednym racją to, innym racją tamto – pozostaje sobą, posiada wtałmaczenie w *Calosé*. Mickiewicz metafizyczny nie jest mieszanką samego tylko szczytu piramidy, który szeroko podstawę tworzą prawdy mędrca przeczaceń *Iza* wszystkich ludzi, pierwsze węższe piętko – prawdy szepcane swemu narodowi, drugie, jeszcze węższe piętko – prawdy zwierzane przyjaciółom domu, a wierzchołek pełen prawd, których nie można odkryć nikomu, przypromina bebek szczyt z tonującym na nim milczącym mędrcom. „Ten, kto mówi” w pódnych wierszach Mickiewicza, na chwilę przed zamknięciem, przedewolował wszystkie kon-

¹ E. Drewermann: *Isotonno nie widać. Rzecz o „Malyh Księgach”*, tł. J. Prokopuk, Warszawa 1996, s. 129.

dysgnacje piramid i wszędzie zostawił ślady. Istnieje piramida w tajemniczym i nieopisanym, lecz widzialnym i wyraznym, choć więcej się meandrującym duktie, niż w otwartym i doświadczenia wyszczególnionym i konsekwentnej ewolucji religijnego ducha Mickiewicza. Autorka *Złoty męskiej, Romantyczności, Pana Tadeusza* szuka, tak samo jak autor *Złoty i swary* oraz *Liryków łozackich*, tradycji i przelotowej swej metafizyki. Choćż, zgodnie z nauką Hegla, i jego słowa „wyłtuje o zmierzchu”.

Wielkopolska pod pruskim zaborem, do której Mickiewicz zjechał w połowie sierpnia 1831 roku, dla urodzonego w Zalesiu koło Nowogrodzka powołała może i była Polaką Centralną, jak chce Stanisław Baraszkiewicz, w utworze *Jak wyglądał „Pan Tadeusz”, gdyby w latach 1830 nie było jeszcze w sprzedaży programów komputerowych i polskimi czasopiśmi.* Poetycka zabawa programodawcy „romantyzmu dialektycznego” z Poznania, późniejszego autora w Bostonie antyromantycznej antologii pastiszów *Bóg, Trąba i Ojczyzna. Słota a Sprawa Polska oczami postów od Reja do Rybnickiego* (1995) – polega na napisaniu inwokacji *Pana Tadeusza* bez użycia słów ze znamiątkami dyktandycznym, takich na przykład, jak słowa „Czysta tocha”. Zabawę tej mieszanki moich stron rodzinnych zarchiwizuję wprowadzenie Wschowy na karty *Pana Tadeusza* i tam, gdzie było: „Panowie święta, co Jasnej bronisz Częstochowy! w Ojstwy świeżacz Bramie”, będzie teraz: „Panno sakralna, Ty, co grodek powitamy! w Polsce Centralnej, blisko Chorowa i Wschowy?” Z Wielkopolski jako Polski Centralny Mickiewicz wywołał i przeprowadził do swych dzieł nie tylko *Rekord Ordona* (1833), nekrologi wskazy, obcyżanie i zjawiska, uwiecznione w *Panu Tadeuszu* (1834), wyw. „nowego i szlachetnego”. *Historia przyszołoty* oraz fragmenty *Noclegu, Ucieczki i Śmieci polowników.* Czaszy wielkopolskie i następujący po nich okres dredeński 1832-1834, nadzwyczajnie płodny, być może odwołany przed przyszłym autorem *Złoty i swary, Liryków łozackich* i szkicu *Jakub Boehme* (1853) dziedzictwo historycznego polskiego pogranicza zachodniego, wielonarodowych, wielowyznaniowych i wielokulturowych Kresów zachodnich. Były one nie jako nauka, korzeń, lecz jako akt manifestacji „wieloznaczenia” dyktandów, świątek, raduwskich i luzkich mistyków z Jakubem Böhmem (1575-1624), niemieckojęzycznym Łużycańcem, protestantem, szwycerkiem ze Zgorzelca na czele, jak też dołnosłajskich siemennastowiczych poetów metafizycznych, łacińsko-polsko-niemieckich, ceniących także żydowską Kabbalę, na czele z Johannem Schellernem (1624-1677) podpisującym się Angelus Silesius (Aniol Ślązak), autorem zbioru arcydziełnych gromniczych dwuwierszy *Cherubinów i Wnuczynów* (*Cherubimische pieterny*). Do ich kregu myśli i epikany Mickiewicz wchodził (szczęśliwie Claude de Saint-Martina (1743-1803), mistyka francuskiego, wyznawca systemu Böhmego. Możliwe, że Böhmego i Angelusa Silesiusa autor *Konrada Waldenroda* odkrył dzięki romantykowi i filozofom niemieckim, angielskim czy dzięki symbologom francuskim, w każdym razie nauki i metafizyki mistrzów z polskich Kresów zachodnich głęboko wryły się w dzieła mistrza Adama z Litwy. Co ważniejsze, pozwoliły mu one narodzić epikę i dobrze nazwać pewne dawne intencje metafizyczne, uświadomić sobie ich tradycję i wyobrazić ich przyszłość.

Przyszłość metafizyki, której tradycję odkrył Mickiewicz z Böhmego i Silesiusa, wydaje się nam dziś New Age. W popołudniowym ujęciu, odwołującym się zawsze do kultury masowej i sekularizacji gnozy, sam *rich New Age* nie przedstawia się jako religia, lecz jest raczej „sposobem na życie” obejmującym wiele dziedzin ludzkiej egzystencji. *Śięga po tradycje ezoteryczne i okultystyczne, by „ichnąć” życie „na przykład w odrodzonych różniczkowcach (-), teozofów, antropozofów... Płynie z nich przekonanie owego ruchu o dostępie do odwiecznej, a tajemnej wiedzy. Panstewiczania*

wizja Wszecziwiata, przemierzanie elementów religii Indii, Dalekiego Wschodu i chrześcijaństwa oraz wiara w pomoc kosmicznych cywilizacji wyrażają się w „swopółczelności” „obłądzonej, dualistycznej i omdlejącej. Głównym założeniem dziejowym jest przezwycięzenie, że chrześcijaństwo mieszczące się w Erze Ryb ustępuje zdołanej Erze Wodnika – a wraz z nią nadejdzie tysiąclecie panowania pokoiu, miłości i harmonii.” Rzecz jasna Mickiewicz, a z nim Böhmie i Silesius niewiele mają wspólnego z tak pojętą Nową Erą, ale też nie o podobnym, zewnętrznym i płytkim wymiarze New Age myśle. Podążasz gdy bowiem niektórzy teozofowie, zwłaszcza chrześcijańscy, obławiają się Nową Erą jako nauką kulturowo-egzoterycznego i tym bardziej jako inną psychodramy człowieka, druzdy chrześcijaństwa i teozofów dostrzegają w New Age zrab przelotnej religijnosci i nieczłowiecznej teodramy. W swej głębokiej, wewnętrznej istocie – tylko na jej spotkaniu mi tutaj zależy – New Age jest przezwyciężaniem panstewiczania, nie panstewiczania, czyli spotkaniem z Bogiem zaistnowianym i jednoczesnie wcielionym. Może dlatego New Age – człowiek wie jakby więcej i lepiej o Bogu osobowym i zaistnowianym niż o wszystkich konsekwencjach Boga wolaenia w rzeczywistości i materię – wynosi czarnymi Miłostk posad Wiary i Nadzieję nie jako sentyment serca, lecz spoiwo wiary, podnosi to wielkono zwierzęta, rośliny, gwoździe i minerały, szerząc nowo animizm, wyznawa „to rzeczywiste” w opozycji do „tego co fizykalne” i zarazem z opozycji do „tego co idealne”. Odkrywa świat jako tajemny Rekopis, a Pisma nie odróżnia już nigdy od Czymu.

Wojtyła i uniwersalności

Mickiewicz jest wielkim nieobecny w poezji Karola Wojtyły, a znaczenie tej nieobecności trudno przecenić. Poetyckie traktaty i w ogóle literacka twórczość autora *Przed świątecznym Jabłoniem* (1900) nie jest objęta na tradycję romantyczną Słowackiego i zwłaszcza Norwida, lecz paradoksalnie nieobecność Wojtyły na nieobecny w jego dziele Mickiewicza jest czynny zupełnie szczególny. Innymi słowami: Mickiewicz jest tu właśnie nieobecny wielkim, jego nieobecności niepodobna nie dostrzec, zdaje z niej sobie światnie sprawę także czy przede wszystkim sam kreator i w jednej osobie gospodarz swego poetyckiego świata, Karol Wojtyła.

W artykule „*Dziady* i dwudziestolecie (1961) Karol Wojtyła odkrył dla siebie Mickiewicza napośm, nie zaś narodowego wieszaka czy historyzofa. Kongenialność Mickiewiczkowskich *Dziadów* jako dzieła rapsodycznego polega z jednej strony na charakterystycznej fenomenologii słowa, z drugiej zaś na niezmiernie istotnej, empatycznej fenomenologii człowieka. *Słowo nie jest podporządkowane akcji, spełnia ono jakąś rolę nadrzędną, przechodzi przez wszystkie swoje możliwości i konfiguracje: epicką, liryczną i dramatyczną, aby w całej pełni wypowiedzieć to, co jest do wypowiedzenia. (...) Książę Piotr obłąka się przede wszystkim ię postacią, która najbardziej przenie porusza się na granicach wszystkich trzech wymiarów. W pewnych momentach to poruszanie się przechodzi w jakby pełne zatrzymanie o rodaków „człapanie” mnicha i właśnie wtedy widnieje naj najbardziej człowieka, który w roli wizerona nie znalazł się przypadkowo, lecz zrodziła się ona w nim z tej samej miłości, co troska i współcierpienie.” Empatia również, troska i współcierpienie są więc zarazem problemami człowieczeństwa Konrada-Gustawa, przegrzywającego przecież na tym po-*

¹ E. Kravickova: *Nowa heresia w stylu New Age*, w: *zbiór tłum. Innowacje, odzyskiwanie kwerce*, red. B. Judkowski, E. Nowicka, B. Steniewicz, „Poznańskie Działo Polonistyczne”, Seria Literacka XI (XXIII), Poznań 1996, s. 314.

² K. Wojtyła: „*Dziady* i dwudziestolecie”, cyt. wg K. Wojtyły (Andrzej Jawień, A. J. Stanisław Andrzej Gruda, Piotr Justoń), *Poezja i dynamy*, wybór i układ z uwagami Autora M. Skwarcnika, J. Turowskiej, wstęp M. Skwarcnika, redakcja filozoficzna J. Okoń, Kraków 1979, s. 359-400. Fragmenty dzieł Karola Wojtyły, jeśli nie podano inaczej, cyt. wg tego wydania; po cyt. podaję stronę.

³ Zob. S. Baraszkiewicz: *Pezag zółbita. Poezja nonsumus a tyste codziennie: wprowadzenie w prawną teorię ganków*, Londyn 1995, s. 67.

lu z „człapiącym” Księdzem Piotrem. Wielka nieobecność Mickiewicza w poezji Wojtyły jest najpierw nieobecnością Mickiewicza wieszca, narodowego Tytusa, autora *Diadusiów*, *Grażny*, *Konrada*, *Waldemara*, jak też historiozafa z Collège de France i redaktora z „La Tribune des Peuples”, autora *Książki Narodku Polskiego* i *Przeglądu Polskiego*. Ale zaraz potem jest nieobecnością Mickiewicza *Zimy miejskiej* i *Pana Tadeusza*, a w końcu i wielką nieobecnością Mickiewicza późnego, metafizycznego.

Inaczej niż Mickiewicza kraj lat dziesięcimy i domowe strony, „znala ojczyznę” i „dziesięcy kraj” Wojtyły nie odziedziczył swych powiddoków w poezję. Także poezje historii Mickiewicza i Wojtyły niewiele mają ze sobą wspólnego i duch dziejowy, przechadzający się po kartach dzieł obu poetów, za każdym razem w innym przychodzi przebraniem. Innymi duktami chadza się tu i tam, w autora *Nad wodą wielką i czystą* i autora *Nad Tivolą białą mogiłą*, po bibliotece kultury średniowiecznej i pinakothece naszej europejskiej wyobraźni. Ale też inaczej, choć równie przemużając i mocno, stępa się po ziemi i spotyka z bliźnim, szuka słowa i poznaje Boga. Wiadomo, że wydzieleniem i odróżnieniem od duchowości i jej intelektualnym wyrazie były u Karola Wojtyły spotkania z mistyką św. Jana od Krzyża, z dziełem św. Tomasa z Akwinu i z fenomenologią Maxa Schelera. Trzynastowieczny Tomasz Akwinata podkreśla dualizm Boga i świata, przeciwstawiając się panteizmowi, głosił hierofizmizm przeciw dualistycznemu rozumieniu człowieka i w obronie jedności duchowo-cieleśnej ludzkiej natury, a poznanie sacrum zawieszał od proporcji obiektywizmu, empirii, uniwersalizmu, realizmu i intelektualizmu, który jako nauki o pierwszeństwie intelektu w poznaniu i działaniu przeciwstawiał się nie tylko woluntaryzmowi św. Augustyna, ale w ogóle emocjonalności mistyków. W każdym razie Tomaszowa jest w twórczości Wojtyły sama już poezja myśli, prymat intelektu nad zmysłami i pierwszeństwo figury rozum nad figurami stylistycznymi. Tomaszowe są wreszcie proporcje obiektywizmu, empirii, uniwersalizmu i realizmu, którymi być może tłumaczyć należy także charakterystyczną secesję poety. *Rozmyślenia zostało* (scil. w wierszach Karola Wojtyły) *wytworzone wszystko to, co błąka się na powierzchni naszego życia, wypycha się pod nasze nogi, absorbuje nasze życie. Na dalszy plan odsunąć zostały nawet krajobrazy zapamiętane z dzieciństwa, ukochane Tatry, wadliwie wkradają. Autor małe, lecz trafne poetyki Pana Boga we współczesnej poezji polskiej, Zbigniew Bienkowski, skonstruował przeto zupełnie niezwykłą kreację Wojtyły. Wynurzały, dobrużany, niekonfliktowy, niemal niemalny Bóg Jana Twardowskiego jest Bogiem katechetyczną naukąjęcej dziesiątej przeszny świat budni a jego bezgrzeszonym dziećmi. (...) Bóg Anny Kamienieckiej jest słowem, bezwzględny koniecznością, której poeta chwycił się wycieczkami siłami myśli, serca, ducha, aby nie zginić, nie pogryźć się w iniertelnej rozpacz po utracie bliskiej istoty. (...) Bóg Lieberta (...) jest koniecznością, ale koniecznością pewności. Poeta w potłupchu iniertelnie zagrożonego jest w tej pewności znajduje sens nieuniknionego złoju losu. (...) Poezja Karola Wojtyły nie jest ani głosem świadka, ani głosem ofiary, ani głosem sędziogo. Ogarnia wszystkie strony ludzkiego świata: jest głosem zborowego samienia, wędrownym głosem myśli, wiatry i szczytów. Onu bystemu Boga współczesnych polskich poetów Biedkowskiej preczawistawia „czysty, nieszakony życiowym oportuizmem zachwyty u cierpienia uniwersalizm” Boga Karola Wojtyły.*

Jak Władysław Tatarakiewicz w *Historii filozofii* o Schelerze – możemy przeto mówić o fenomenologii religii Wojtyły, że nie chodzi w niej o powstanie religii ani o różnorodność jej form, nie chodzi o żadne zagadnienie

¹ T. Nowak, Wpływ [w:] K. Wojtyła: *Poezje wybrane*, Biblioteka Państwowej Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, Warszawa 1987, s. 7.

² Z. Bienkowski: *Niewyobrażalny*, „Tygodnik Kulturalny” 1988, nr 14/15-19A, s. 12.

³ *Ibidem*, s. 12.

*historii, psychologii czy socjologii religii, lecz tylko o ustalenie samej istoty boskości, istoty świętości, istoty aktów religijnych. Scheler dowodzi, że akty te ujmują swój przedmiot zupełnie tak samo jak akty poznania, to znaczy bezprzedmiotowo, intuicyjnie: ujmują istoty bytu nadprzyrodzonego, tak jak inne przedmiotowe. Podobnie do tamtych mają też charakter abstrakcyjny. A zarazem obiektywne: nie tworzą swych przedmiotów, lecz je poznają: boskość i świętość nie są wymysłem człowieka, lecz czymś, co istnieje poza nim i co on znajduje, gdy myśli i czuje.” Nieprzeczną z tą fenomenologią religii jest fenomenologia człowieczeństwa i poeta wyznaje właśnie w tejże u jej źródło pierwszeństwo pozahistorycznych, który łączy się z uwołnieniem osoby ludzkiej od kaniaków historycznych o tyle, o ile nie odbiera to jej faktyczności, „konkretnego człowieczeństwa”. We wstępie do dramatu *Brat naszego Boga* (1945-1950) czytamy, że sztuka wina „osiągnąć do konkretnych zasobów człowieczeństwa, aby odnaleźć w nich ten szczególny bytyk na ciemnym tle tej rzeczywistości, przez którą łączy się on z nami”, powiama „odosiłni ten bytyk, utrwalając go równocześnie w dostępnym surowca wyrazu” (s. 109). Kunstworte i intelektualnie doniosły zapis takiej próby wyrazu otwiera poemat *Profilu Cyniecznyka* (1957):*

Profil wśród drzew, Inaczej: profil wśród kolumn.

Inaczej: profil wstępujący w nętkę mroźnego bruku.

Inaczej: profil człowieka w drzwiach własnego domu.

Inaczej jeszcze czwyczeć: w profilu grecki półbog.

Jest profil Cyniecznyka, który najlepiej znam

(...)

O takim więc profilu (...)

niekiedy mówi mi życie.

(Wówczas profil przechodzi w przedził.)

Pochylenie się nad człowiekiem oznacza przeczytanie jego „profilu”, lecz dopiero wpisanie człowieka profilem w żywą, konkretną rzeczywistość jego egzystencji sprawia, że „profil przechodzi w przekrój”. Według tej samej metafory opisac trzeba Wcielanie, przyjście Jezusa na nasz świat: na krzyżu „profil” Boga-Człowieka „przechodzi w przekrój”, a poemat *Wigilia wielkanocna 1966* (1966) zdaje się ukazywać konsekwencje tego o czym myśleliśmy z autorem *Profilów Cyniecznyka*:

– *Nie mado niewiadomy! Niewiadomą nie jest człowiek!*

– *Człowiek napiewający jest zawsze tym, co człowiecze.*

– *Nie odłączaj człowieka od rzeczy, które ciałem są jego historii!*

– *Nie odłączaj ludzi od Człowieka, który stał się Ciałem ich historii.*

tego, co na wskroś człowiecze, nie ocały rzeczy – tylko Człowiek!

Towarzyszem drogi Wojtyły do spotkania z człowiekiem – w poezji i w myśleniu – a przez spotkanie z człowiekiem do spotkania z Bogiem, jest szesnastowieczny karmelitański mistyk i poeta hiszpański św. Jan od Krzyża. *Wojtyła odczytuje św. Jana od Krzyża pod kątem widzenia dwóch wiążących się z sobą pytań. (...) Pierwsze pytanie brzmi: Kim jest człowiek? Jaki jest człowiek? Jaka jest najgłębsza o nim prawda? Pytanie to wyraża z przynajmniej zrozumieniem – mówiąc językiem biblijnym – ludzkiego serca. Z tym antropologicznym pytaniem wiąże się drugie, etyczno-egzystencjalne: kim może się stoć człowiek? Kim powinien się staować? Jaka droga prowadzi do urzeczywistnienia człowieczeństwa? Odpowiedzi na te pytania trzeba szukać wprost w człowieku i jego sprawach, w przy-*

⁴ W. Tatarakiewicz: *Historia filozofii*, tom 3, Filozofia XX wieku i współczesna, wydanie nowe poprawione i uzupełnione, Warszawa 1978, s. 207-208.

⁵ J. Galarkiewicz: *Zbudować dom na skale. Spotkanie Karola Wojtyły z mistyką św. Jana od Krzyża*, „Znak” 1986, nr 7-8/ 380-381, s. 72.

wolnym za Janem od Krzyża „zwywile ludzkiego wnętrza”. W *Zbudowad dom na skale*, esej o spotkaniu Kana Wętyły z mistyka św. Jana od Krzyża, Jan Galarowicz konkluduje: *W wyobła studiu nad dziełem św. Jana od Krzyża Wętyła zarysował wadząc antropologię adekwatną. Jej podstawową tezę jest, iż omówił bytu ludzkiego jest ludzkie wnętrze. A pierwszą prawdą tego wnętrza jest jego zakorzenienie w gruncie wszelkiej rzeczywistości – w Bogu. To właśnie antropologia stanowi grunt humanizmu rzetelnego.*¹⁸

Oznacza to także, że dla spotkania poety z „zwywilem ludzkiego wnętrza” nie miała znaczenia ani Nietzscheńska metafizyczna śmierć Boga, ani letarg czułościowości, doświadczany na przykład przez narratorka *Podróży do kresu nocy* Céline’a. Dno duszy, przynamniej jak u Tomasa z Akwinu mądrze i empirycznie, jak u Maja Schellera istotnościowo i bezpośrednio, jak u Jana od Krzyża rzetelnie i adekwatnie – jest wiecznym mieszkaniem Boga czy też jest „u Boga. Ale inaczej niż prawicowy o „gniazdoszka na listku” Mickiewicz, Wętyła widzi miejsce człowieka w „prawochni przereźnanej”.

„Duch rozkrzyżowany” i „domek mego ducha”

Od konstatacji metafizycznej śmierci Boga – Mickiewicz wyprzedza tu o dwie epoki Nietzschego: *Natura w rozrachku Drieta o Boga – Leczyć pokój był w niebie / Bóg żyje, tylko amar w mędrów ducha (Mędry) – a więc od konstatacji śmierci Boga do nadziei przebudzenia wiedzie stara ścieżka spacerowa mistyków i poetów, a także aleja tych teologów i metafizyków, którzy potrafili swój dukt rozpoznać w nowym pejzażu. Należą do nich amerykański jezuita ojciec Anthony de Mello, autor między innymi *Przebudzenia* (1990) i niemiecki teolog i psychoterapeuta Eugen Drewermann, autor między innymi *Isotopie nie widzi. Rzeczy o „Małym Księciu”* (1984). Jak zresztą pisze polski poeta i teolog, jezuita ojciec Wawławszczyk, w którym dopatrywano się już to rodzimego Drewermann, już to de Mello. *Bardzo trudno powiedzieć, co jest a co nie jest chrześcijańskie i trzeba by zastanowić się również, jak chrześcijańskie jest zjawisko New Age. Według mojego judeochrześcijańskiego myślenia retorycznym jest pytanie, czy może być cokolwiek nie związanego z JHWY? Przecież nic nie jest poza!*¹⁹*

Śmierć Boga „w mędrów ducha” nie zakłada pokoju w niebie, gdzie Bóg nadal żyje, lecz uprawia w drżeniu „nature w rozrachku”, bo w czasach śmierci czy niestawienia Boga natura staje się formą religii, co jest podobnie, jak o kulturze sądzi w świecie nieobecnego Boga dwudziestowieczny T. S. Eliot. George Steiner aktywnej nieobecności Boga próbuje z kolei przeciwstawić te „rzeczywiste obecności”, które znajduje w sztuce.²⁰ Steiner pisze – pisze Tadeusz Komendant – *hermeneutyyczny projekcji Spotkania. Nasza kultura europejska, iwerndi na koniec. Zyla dotąd w przestrzeni Wielkiego Piątku – ogarniała świat, cierpienie i odpuście. Ale archnośce nie czyniła na horyzontie stopniowy czas. Międzykulturowa współczesność jest to, że wkracza w pustą międzyczas. Soboty, które myli jej się z sobotą.*²¹ Mickiewicz Wielkiego Piątku i Mickiewicz Niedzieli nie wyczerpują Wielkiego Tygodnia, bo chociaż nie znamy Mickiewicza Soboty – poety międzyczasu – piszemy bodaj o Mickiewicza Ósmego Dnia. Mistyczna klaszka świata, porażanego odwieczną walką ducha zła i ciemności z Bogiem dobra i światła, wyłożona przez Mickiewicza w *Armyanie*

i *Ornaminie*. Z *Zenda-Westy* – sprawdza się nie do nieustępliwych przeciwnościem góry i doła, światła i ciemności, nieba i ziemi, dobra i zła, lecz do sposobu istnienia Boga jako bytu pozaświatowego i wyalienowanego. Ale „Jest mistrz, co wszystkie duchy wozął do obrotu”, tworczyca „brat”, Bóg-Bóg i jednocześnie Bóg-Całowiek „Szukamistrz ziemski” i Jego „boży syn / Nieznany albo wżardzony od gmin” (Arcymistrz). *Antropologię klaszki* – powiada Henryk Waniek w *Opisie podróży mistycznej z Oświęcimia do Zgorzela 1257-1957 – Bohème zatrzymuje w miejscu odkapietliwego przybycia Boga w człowieka*;²² tak jak autor Arcymistrza. U Bohèmego i u Mickiewicza wcielenia dokonuje Bóg *Księgi Rodzaju*, Bóg Dnia Świątecznego, nie Prewerzego, i wiodła się osobliwie, co przez Chrystusa potwierdzi: *Stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz: na obraz Boga go stworzył: stworzył mężczyznę i niewiastę* (Rdz 1, 27). Wcielenie się Chrystusa w ciało i krewn człowieka piciecznie, przynajmniej w *Roznowie wiecznym*, żywa obecność Boga w dwu światach jednocześnie: w człowieku i w niebie, w materii i w „duchu, w świecie i w porażewicie. Nasz wiatr, nasze ciało i krewn zostają zjednoczone z Bogiem, co według Angelusa Silesiusa odbywa się na pięciu stopniach: „w najniższym człowiek jest tylko służą Boga, najwyższy ma swe źródło w *Pieśni nad Pieśniami*.”²³ Mickiewicz w bardzo Silesiańskiej *Roznowie wiecznej* mówi przepięknie:

*Z Tobą ja gadam, co królujesz w niebie,
A razem gołcał w domku mego ducha.*

Czwelę później rozrachwała się jednak bardzo i od służi Boga, poprzez obłudnicę z *Pieśni nad Pieśniami* wdziera się na jakiś wyższy jeszcze stopień zażyłości, na którym Bóg okazuje się poddanym człowieka: *Najdale wiodasz i słyszysz w pobliżu / Król na niebiosach, w sercu mym na kryzys, Tyś król, a cała! / Tyś mój poddany!* Metafizyczne zachwalstwo Boga prowadzi może Mickiewicza na skraj herezji, lecz także ku świętowi Dnia Ósmego. Nawiasem, identycznie „zichowa się” Angelus Silesius, którego rozważania kończą się niepokojącą dla ortodoksyjnych czytelników konkluzją, że człowiek najbardziej zażyłszy na imię boskie. Gdyby Angelusowi Silesiusowi dane było urodzić się kilka wieków wcześniej, zostałyby może jegoświatem autorem scholastycznego traktatu o wywyższeniu ludzi nad aniołami. *Podobna teza zmieniałaby zapewne oblicze średnio-wiecznej teologii lub doprowadziłaby autora na staz przereźnany dła heretyków.*²⁴ Bóg Mickiewicza, Bohèmego, Silesiusa i Bóg New Age ma by panteistyczny, czyli przeżywa osobowo w pozawieście, a świątyni w ciele i krwi naszego świata; w materii. Bóg panteistyczny jest bezgraniczny, wertykalny i horyzontalny, „rozkrzyżowany”, immanentny i transcendentny. W *Zdaniach i swagach*:

*Obłąd przed zwłokiem kryzys nie pierzchną stoper,
Lecz ich luno opłak dach rozkrzyżowany.*

W nauce Silesiusa Bóg (...) jest bytem całkowicie immanentnym, a jednocześnie bytem skierowanym ku światu. Dlatego nie wystarczy mówić wyłącznie o immanencji i przeżyć panteizmowi; aby poznać tego naturę, lecz trzeba także uwzględnić jego działanie na zewnątrz, czyli aspekt transcendencji.²⁵ W *Zdaniach i swagach*, zaktualizowana *Miara Bóstwa* autor Sfera owoców, panteistyczny Bóg, zaktualizowana „wznosi się tak górnę, tak szeroko łąkę”, a panteistyczny człowiek jest jak dzwero, które „zosi

¹⁸ Ibidem, s. 86.

¹⁹ W *Oszajce: Przy święty i ogarku (romany, esaje, zbiórki, seria: Twópcy pisarzy na Kresach zachodnich. Dzieła – biogramy – portrety*, red. S. Sterna-Wachowiak, tom 2, Poznań 1995, s. 185.

²⁰ Zob. G. Steiner: *Rzeczywiste obecności*, tł. O. Kublińska, Gdańsk 1997, passim.

²¹ T. Komendant: *Sobota*, „Gazeta Książki” 1998, nr 4/73, s. 14, wskładając do „Gazety Wyborczej” 1998, nr 93/2689.

²² H. Waniek: *Opis podróży mistycznej z Oświęcimia do Zgorzela 1257-1957*, Kraków 1996, s. 100.

²³ J. Tomkowiak: *Księga życia Jana Schellera* [w:] tegoż autora: *Mistyka i herezja*, Wrocław 1993, s. 167.

²⁴ Ibidem, s. 167.
²⁵ K. J. Wisniewska OSB: *Teologia Angelusa Silesiusa* (Jan Schellera), Warszawa 1984, s. 58.

pożywe z łona ziemi bierz", „po liściach jak po szczeblach na powietrze wchodzi", „o Owocu dać nie może, tylko w wyższej sferze". W podkrywanym Armandowi Lévy'emu w roku 1853 po francusku szkiu Jakub Boehme Mickiewicz powie: *nie jest dopuszczalne wiedzieć, czym jest Bóg poza obrębem natury; ale natura Boga nie jest tym, co zazwyczaj zwiemy Naturą*¹⁸. Prawdziwie zamieje go więc Boska względność przeciwieństw ciała i ducha, która sprawia, że jak w *Aurorze* Bóhmu życie okazuje się żywym jedynie możliwym, to znaczy tym, w którym dobro odmiennie zryczytowane nad zlem... *Wieg nie doug sine natura* – jak w świętej rozprawie Jakuba Bóhme spotkanie z Bogiem podkreślił Jan Gaweńczik – *lecz Bóg zarzemu poza naturą i w niej*¹⁹. Trudno nie dostrzec, że w kontekstencji w życie, w nasze jedynie możliwe życie, wleje się apokatastaza.

Mickiewicz – jak Ślesisus – nie wskazuje drogi człowieka do zbawienia, lecz tam, gdzie autor *Cherubimskiego pielgrzymo wyimnie „drogę milościi”*, ponad „drogę wiedzy”, tam autor *Romantyzmu i czułości wiary* – *postawia* wyzwał od „medica szkiełka i ła”²⁰. W poetyckiej teologii autora *Liryków loszoidalne Zbawienie to skalenie czołg, co rozbitie, rozczepione – salvus i saos znaczą caby i zdrowiony. Zbawienie jest aktem zniezwolenia przepaści pomiędzy esencjalnym bytem człowieka a jego egzystencjalnej sytuacji. Zbawienie jest religijną odpowiedzią na niedłozone formy wyobcowanej egzystencji*²¹. A więc wiara, czucie z wczesnego wiersza *Romantyzm i czułość* z późniejszego *Rozum i wiara* to według poety nie tylko iść wiara i uczucie, lecz – inaczej – Szekspirowskie „oczy dazy”:

*Rozumie ludzi tyś miaby przed Panem,
Tyś kropła w Jego wozczonojgij dionii;
Świat cię niezmierny zowie oceanem,
I che ka niebu na twej wleczic toni.
(...)*

*A przedm Wiary, kądż Niebo wznieca,
Topi twe kropki, zapala twe gromy
I twe pogodno zwierciadła odwieca,
Acht ty bez Wiary bydyś niewidny.*

(Rozum i wiara)

*Polski romantyzm zaczął starym od płomiennego potępienia rozumu i empirii. Mickiewicz potępiał starym rozumem przekonania do ostatnich zrywów dmi*²² – twierdzi Julez Komerzant w *Upadłym czynie*. Ale ma wagi, więc jak prawdziwie nie jest pierwsza część jego zdania. Przecież gdy by Mickiewicz potępił poznanie intelektualne i empiryczne, nie odrzucałby chyba uczucia, sentymenty, tęsknoty? Co znaczy w *Zdaniach i owogach*, że „Głosnie niż w rozmowach Bóg przemawia w ciszy” wiemy lepiej od czytających: „i kto w sercu wiecznie, zaraz go uszyty” (*Cichłość*). Bóg panistyczny, Bóg wcielony nie jest tak zaborny, by czynić sobie z serc iolatki, przeciwieństwo to jest Bóg aestheticzający i dośw towarzyszy. Pódy Mickiewicz, jak szweczył i mistyk ze Zgorzela Jakub Bóhme, nie będzie stawiał czoła nieuchronności zła przez odwołanie się do niepojętych zamysłów boskich, lecz przez wydobycie na jaw ukrytej, ontologicznej struktury świata, sprzym jego powstania i istnienia²³. Do tego potrzebny będzie metafizykowi i poetyckiemu teologowi nie sam w sobie „gadający” rozum, lecz „ciche serce”. Nie pojmujemy tego dobrze. „czucie i wiara” mają wnikać w strukturę bytu i wyjawiać ją nie po to, aby opisać świat, tylko po to, by zobaczyć Boga.

¹⁸ A. Mickiewicz: *Jakub Boehme*, cyt. wg tegot autora: *Dziela*. Wydanie narodowe, tom 13, *Pisma różne*, oprac. L. Płoszewski, Warszawa 1955, s. 71.

¹⁹ J. Gaweńczik: *Jakub Bóhme spotkanie z Bogiem*, „Znak” 1988, nr 12/403, s. 57.

²⁰ P. Tilič: *Analityczna egzystencjalna a symboliczna religijność*, „M. Wroclawski”, „W drodze” 1975, nr 8/24, s. 31.

²¹ T. Komerzant: *Upadły szczyt. Świat i podj*, Gdansk 1996, s. 71.

²² J. Gaweńczik, op. cit. s. 60.

„Dla krytycyzmu, a co chodzi – niecierpliwii się Jan Gaweńczik – postużmy się przykładem wulgarnym: caba szkiełka zrewolwio obawia się w bucie, but wyraża go wleśnie jako szweca, ale przewieć but nie jest szwecem.” Ta szwecka parabola ma naturę ortodoksyjnie panentystyczną.

„Bóg ukryty” i „to, co ciąży w głębi”

Wielką nieobecność Mickiewicza w poezji Karola Wójtyły trzeba rozumieć jeszcze inaczej: jako numinoniz. Mickiewicz numinonizujący umaza się nad dziełem Wójtyły właściwie stale i od czasu do czasu – bardzo rzadko, coś jakby raz na tysiąc lat – pastuka po nim wyjadaje się mniejsza czy większa niż zwykle. Jedną z takich zapowiedzi wyjątkowych sekund intensywniejszej obecności nieobecnego Mickiewicza mający na przykład w poemacie *Wojtyła Myśl jest przeżyciem diwina* (1952), *przeżyciem diwina* (s. 41). Nie tylko o echu Mickiewiczowskich słynnych słów: *Waluchoć się w sumie wód głuchy, zimny i jednaki / przez fale rozeznac myśli wód jak przez znaki* (xxx *Witluchoć się*...), Idzie o to, że w tym nie dość wyrażystym, odległym, ale bardzo szczególnym miejscu Wójtyły mógłby jawnie spotkać się z Mickiewiczem. Nie spotyka się jednak. Tak według Wójtyły, jak według Mickiewicza Bóg wcielony w materię naszej rzeczywistości czyni ją jednością paradoksalną, złożoną z tego, co zewnętrzne czy zewnątrzwiatowe i co wewnętrzne, wewnątrzwiatowe, z tego, co jawne i co ukryte, z tego, co obecne osobowo i co obecne inwizyjnie. U Mickiewicza jawny jest „szum wód głuchy, zimny i jednaki” niejawną „myśl wód”, którą trzeba dopiero „przez fale rozeznac (...) jak przez znaki”. U Wójtyły również jawne są znaki, niejawnie „to, co ciąży w głębi, co jak owoc dojrzewa w słowie”, a do czego dostęp trudny, wymagający „przedziwienia się (...) przez znaki”. Lecz podczas gdy Mickiewicz rozeznaję „myśl wód” zapragnie spotkać w ich odgadniętej głębi „wszystko co wstrzyknąć” – Wójtyła przedzarszy się do „tego, co ciąży w głębi” pozostanie przy nadziei spotkania „zawsze i wszędzie tego samego”. Nie tylko zatem panentystyczny Bóg, także panentystyczny człowiek Mickiewicza i Wójtyły nie są tymi samymi osobami.

Przedziwienie się (...) „przez znaki” u autora *Promieniwania ojcostwa* (1964) znaczy: sublimowaną istotność znaczenia, sensu, osobowości albo głębokego są, nierodakowalnego „tego, co ciąży w głębi”. Sublimacja dokonywa się do pewnego stopnia przez redukcję. Temsowo proporcje obiektywizmu, empirii, uwalnializmu i realizmu sprzyjają ascetzie, rafinacji rzeczywistości. Schelerska fenomenologia religii, skoncentrowana na rezultatach poznania bezpośredniego i intajncyjnego, funduje poczcie myśli dostęp do istoty bytu nadzprzydzonego nie mniej rzeczywistego niż byty przyrodzone. Przywołany za św. Janem od Krzyża „żywił ludzkiego wnętrza”, traktowal zniechęć i adekwatność, sensu i rozczuływa dokłą żywa, granicza i namacalna. Również rola pierwszawstwa pozahistorycznego w Karola Wójtyły fenomenologii człowieczystwa chroni myśliciele przed pokusą historiofilii amatefzycznej, ślepej tak na duchowy wymiar dziełw człowieka, jak na działanie Boga w historii. Wszystko to – sublimacja, redukcja, uwalnializacja, poznanie bezpośrednie – nie oznacza jednak wcale „skreślenia” czy „wymazania” w człowieku i jego świecie tego, co przypadne, jednorazowe, subiektywne, pośrednie. W Wójtyły jako poeta myśli nie chce odbrać człowiekowi i jego światu faktyczności i konkretności, chociaż inaczej niż Mickiewicz jako poeta wzywi nie chce czy nie potrafi także dobrać obrazom światła i barw, przysięć odczuć zmysłami, a powioków przedmiotami. Powściągliwość wyrazu ma po Norwidowskiu wyudmiadać to przede wszystkim, co w człowieku i jego świecie istotne, to, co „cięży w głębi” albo tai się w „szumie wód” jako ich „myśl”. W *Bracie*

²³ Ibidem, s. 57.

naszego Boga: „Odłup przestrzeń w kamieniu Adama, otwarta tamtym ludzimi, wzbiera nimi. Rzeczywistość”. Ta rzeczywistość przestrzeni wewnętrznej człowieka – Wojtyła mniej prawi o wnętrzu święta, co tak bardzo różni go od Mickiewicza – jest żywa i dramatyczna. Pojęcie „dramaturgii wnętrza” może opisywać tak twórczość dramatopisarską Wojtyły, jak jego fenomenologię i metafizykę człowieka.²⁴

W dramacie *Brat naszego Boga* Maks i Stanisław dysputują o fenomenologii i metafizyce człowieka. W *Każdym z nas* łączy wymiaru jak pieniądź i człowiek niewymienny, najgłębszy, wiadomy tylko sobie samemu. (...) Wystarczy mi prosta świadomość tamtego, który jest niewymienny, i pewna przegródka między jednym a drugim, którą w sobie noszę. Inaczej życie stałoby się poziomem i głupie. (...) człowiek wymienny (...) nie jest ani najgłębszy, ani najmilszy. Najciekawszy jest człowiek niewymienny (s. 112-114). W innym dialogu, tym razem toczonym przez Maksa i Adama, dylematem okazuje się paradoks: człowiek powinien stworzyć wartość z tych zasobów, które w życiu znajduje. A dlatego, że znajduje je przede wszystkim w sobie, musi się w sobie szczególnie zamknąć. W przeciwnym razie rozpróży to, co ma. A to byłaby właśnie postawa przeciwpołączona (s. 124). Można powiedzieć, że aspekt wspólnotowy człowieczeństwa – społeczny (*Brat naszego Boga*), historyczny (*Myśliciel Ojczyzna...*), religijny (*Kościół*), rodzinny (*Przed śkiepem jubileusz*) czy fabryczny, od leśniczego fabry, wytwórcza, robotniczą (*Kamieniolom*) – unieważnia czy zawieszają – przegrodę między jednym a drugim²⁵; między człowiekiem wymiennym a człowiekiem niewymiennym. Tego jednak właśnie Karol Wojtyła w swych poetyckich medytacjach, poproszonymi traktatami teologicznymi i rapularzem mistyka, do swego świata nie dopuszcza. Nie jest bowiem tak – powiada – że społeczna natura człowieczeństwa dotyczy tylko człowieka wymiennego. Przeciwnie, dojrzały człowiek niewymienny nie musi obawiać się otwarcia, które nie było go nie rozpróży, ale jeszcze ubogaci. Proponując związku i łączący pomiędzy człowiekiem wymiennym w nas a człowiekiem w nas niewymiennym ma odpowiedzieć w poręczy czynu i myśli we wspólnocie społecznej, historycznej, religijnej, rodzinnej czy fabrycznej i w *Profilach Cyrenajczyka* czytamy:

Stopy zdołają w trawie – jest ziemia.
Oswady drogi zieleni i słoteczka kołyszą strumień.

Stopy ścierają bruk, bruk ściera stopy na przemian.
Nie ma patosa. Jest myśl nie domknięta w tym tłumie.

Wet myśl – jeśli potrafisz – wet myśl, pozakuszając
w paluchach rękodzielniczków, albo też w podcieniach kobiet
piszących na maszynie po osem godzinie codziennie
czarne litery nawilżane i zutworzonych powiek.

Wet myśl i dokończ człowieka
lub też mu pozwól rozpocząć siebie samego na nowo

Pochwała pracy w *Kamieniolom* (1956) – „przez pracę dojrzewa człowiek”, praca „nieś natchnienie trudnego doba”, od pracy się „to zaczyna”, co narasta w sercu i myślach²⁶ – a więc pochwała pracy dotyczy nie tylko pomnażania się międzyludzkiego doba („jakąż miłość dojrzewa w młotach!”), lecz także wytrącania się w czynie myśli, czyli tego, co niewymienne. W poemacie *Myśl jest przestrzenią dzinną* Wojtyła mówi: *Jeżeli zaś nasze dni wypełniają uczynki żywocenne, w których ciagle samo wnętrze czynna niedostępnia przestępia, to jednak żywym ty pewnością, że kiedyś gest two odwołanie, / a zastanie w uczynkach naszym tylko to, co naprawdę jest* (s. 43).

Pojawia się wielki teoremat metafizycznego ukrycia się „tego, co ciąży w głębi” i zasadniczy problem artystycznego widma jego wyrazu.

„Nierodstępny gest” przesłania „samo wnętrze czynu”, człowiek wymienny przesłania dramat wnętrza człowieka niewymiennego, myśl krywa się w znakach, sens tał się w sztyfich powadźniej codzienności. Ale ich ukrycie – posłaci i formy niejawności – jest zarazem przejawem ukrytego wymiaru całej istoty, niewymiennej rzeczywistości. Podobnie jak niewymienny człowiek w osobie ludzkiej, niewymienna rzeczywistość w świecie znajduje się „głębi i głębią”, w sennie, na dnie, od którego nie można już w człowieku „odchylić duszy”, a w świecie – odzilić sensu. Niewymienność, to co niewymienne w człowieku i rzeczywistości – jest „a Boga” i niewymienności Bóg ma w niej swoją dziedzinę obecności. W *Pieśni o Bogu* ukryty (1944), który „Cały jest w Sobie”:

Jęśli ten kosmos jest gołębica ciężka od lilki,
kórą opłyna światło słoteczka,
jęśli spojrenie jest tonią spokojną,
zaczepnietą na otwartą dłoń –

Węc chociaż lilecie drąg i opadają,
w niedalekiej głębi odłbie,
toż spójnka się ciagle wpatruje
w Ciebie – Ukryty.

To jest Bóg ukryty w krzyżu i w chlebie, w Eucharystii. Jego ukrycie, które ustanawia w człowieku i w rzeczywistości głębie, sedno, dno, ale i przejście z wewnętrznego sacrum do pozaświatołowego rancum – poeta jak mistyk porówna do wejścia w światło. Najgłębsze i najdoskonalsze ukrycie się „tego co niewymienne” w człowieku i w rzeczywistości – to ukrycie się w świetle, czynienie „to co niewymienne” przazwyczajnym. W *Pieśni o Bogu* ukryty poeta zaprzęga: „Powracaj ciagle w ten czas, i głęby utulony tylko Twoją Myślą, /miewnością większą niż dziecko/ i głębią miałem przejrzystość” – ale i podpowie:

Jak się ukryjesz w tym Świecie?
Za mało jest przeczystości,
a janość zwyczajnie śnie.

Wtedy – patrz w siebie. To Przyciucie,
kórą jest jedyną iskrką, a całą Światłością.

Temu też rozwiązaniu teorematu metafizycznego ukrycia się „tego, co ciąży w głębi” towarzyszy rozwikłanie zasadniczego problemu artystycznego widma jego wyrazu. W poemacie *Myśl jest przestrzenią dzinną* można o ópęrze stawianym wyrazem przez myśli i o ópęrze stawianym myślam przez wyrazy, czyli o naturze artystycznego tworzenia. Dopiero w dalszej części tekstu, zażyłowanym *Cyfar-właściciel*, pojawia się refleksja na temat fenomenologii i metafizyki widma artystycznego wyrazu: różnorodność „widzenia i Przedmiotu zupełnego” jako wstęp do gry znaczeń, Traktatem o artystycznym widzeniu jest dramat *Brat naszego Boga*, mający za tytułowego bohatera Adama Chmielowskiego, brata Alberta, malarza, którego pracownia zminiła się w przytulny dla zbrakówku. Rzecz jednak nie w moralnej wyższości przepelnionego miłosierdziem i empatią przytulaku nad zawsze nieco egotycznym atelier artysty. Lucejan, zwracając się do przybyłych do pracowni Chmielowskiego artystów, mówi: *Każdy z was właściwie dostępuje się na płótnie różnych możliwych i kolejnych rozwiązań swego życia; wasze życie rozgrywa się, toczy się na płótnie. (...) Adam inwece. U niego potrzeba płótna i farb więcej niż dziełku za jego najgłębszym żywiołem* (s. 115). Sztuka, która jest zapisem różnych możliwych i kolejnych rozwiązań życia człowieka – to przede sztuka wymienna, mniej interesująca i istotna od sztuki niewymiennej. Artysta nie może

²⁴ Por. B. Taborski: *Karol Wojtyła dramatopisara wnętrza*, Lublin 1989, passim.

porządku narzędzi zapisu rzeczywistości wymieniane ani odwracane się od wszystkiego tego, co przydome, subiektywne, poszczerpane, aby nie zagubił konkretności człowieka i faktyczności jego świata. Poza konkretem i faktem czy ściśle „w głąb i w głąb” człowieka i jego świata znajduje się ich niewymienne sedno, dno duszy, ciaśnie istotne, choć ukryte, o którym nigdy nie wiadomo na pewno, jakim sposobem miałyby uobecnici czy wyjawić się w dziele sztuki. Artysta – twórca dzieła, które pod wymienną warstwą słoń, barw czy dźwięków posiada ukryte niewymienne sedno – powinien najpierw mieć świadomość owego dyskretnego i subtelnej struktury człowieka i rzeczywistości. Powinien – daleki – kontemplować, rozważać, rozmyślać o tajemnicy tej struktury, dążyć w jej głąb od tego, co wymienne do tego, co niewymienne. Dzieło sztuki to co najmniej ową dyskretną i subtelnie struktury człowieka i rzeczywistości, albo więcej: traktat, zapis, poemat o widoku „ja” posiadającego w głąb człowieka i jego świata, albo więcej: błąk obrzydłego, nie wymiennego. Poemat *Myśli* jest prozaiem *dział* czytany jak traktat o sztuce artystycznej zamysła przez przesłonię Dłuz towarzyszy drogą:

(...) w perspektywie myśli niech zjawiają się światła przedmiotów,
coraz ściślej związane myślą i w *coraz prostszy kształt*.
 Wólczacz obrac się nie rozprazca, lecz *ciągnij*. I na to bądź *goni*;
 że masz w sobie ten obrac *adwójność*, że się *cały* zamieniaś w tę *treść*,
 której *apryksja* cieża i *samotność*.
Samotność motława w człowieka,
 motława *dłatego*, bo od niej nie odrywa nikogo *śmierć*.

Karola Wojtyła szukanie pierwiastka niewymiennego sztuki często wyrażał piękne metafory: „profile” i „przekroje”, „wymienne” i „niwymienne”, „srebrzysta laska wody” i „brzemień głębi”, „kropel świętego deszczu” i „ciażenie w nich „blaszki całej zieleni wromyennych liści”. Inna niż traktatowe zdania i poetyckie metafory postacią wyrazu istotnej, dyskretnie i subtelnej struktury człowieka i rzeczywistości – bardzo szczególną – była u Wojtyły sama forma dzieła. Forma jako widmo wyrażonej i niewymiennej dziedziny istnienia funkcjonuje nie tylko w poezji Wojtyły, lecz również w kazaniach i homiliach papięcia Jana Pawła II. Podstawową strukturą wokół której *który* papież *buduje swoje kazania* – pisze Wacław Oszałka – *jest hymn. Jest on różniem kazu, do którego nie występuje jednak w treść. Ta treść, którą autor chce przekazać. Hymn nie występuje jednak w formie czystej, wyodrębnionej, na przykład jako motto czy cyt. lecz jest ukryty, wbudowany w strukturę utworu. Jego postępną rolę stanowi początek nowego wątku treliowego czy też akapit rozwijający temat już przedstawiany*.²² Oszałka w swej interpretacji hymnu jako niewymiennego sedna wymiennych, bo faktycznych i konkretnych treści kazali Oca Świętego, wskazuje zarazem na ontologiczne dyskretną, ukrytą i teologicznie subtelna, żywą naturę „tego, co ciąży w głębi, co jak owce dojrzewa w słowie”. Ukryty w homiliach hymn jest, zmienia się „głębiej i głębiej” w poemat, w pieśń, w *Pieśń nad Pieśnią*.²³

Panenteistyczny Bóg i panenteistyczny człowiek u Wojtyły i u Mickiewicza nie są tymi samymi osobami. Wojtyła jest poetą myśli, Mickiewicz poetą wiary, ale przecież nie styl wyobraźni, język artystyczny i poetyka tłumaczy, dlaczego przedzięcie się „przez znaki do tego, co ciąży w głębi” jest u Wojtyły tak różnym od rozważania „myśli wód jak przez znaki” u Mickiewicza. Droga Wojtyły „głębiej i głębiej” i szukający wiary „wyszystkiego ze wszystkim” świat poezji Adama Mickiewicza – mówimy tu, ni mniej, ni więcej, o dwóch metafizycznych rzeczywistości.

„W głąb”, czyli „wszerz” rzeczywistości

Anthony de Mello opowiada: *Pewien hinduski kapłan aprzezał się kiedys z filozofem, który utrzymywał, że ostania przyszkoda na drodze do Boga jest słowo „Bóg”, pojęcie Boga. Kapłan był tym bardzo zaskoczony, ale filozof dowodził: Z ośia, którego dotychczas, sąś dojeżdżasz do celu – musisz zejść. Używaj powoli; by głębiej dotrzeć, następuje musisz je poruci, więc pozostanie. Nie trzeba być mistykiem. By zrozumieć, że rzeczywistość jest czymś, czego nie można uchwycić za pomocą słów czy pojęć. By poznać rzeczywistość, trzeba wykręcić poza wiedzę.*²⁴

Drewwerman w *Istotnego nie widać. Cóż innego łączy religię z postacią boskiego dziecięcia* jak nie to, że *nazwe serce może teraz powiódć do swego tródnia, a nazwe życie raz jeszcze, jak nowo narodzone, rozpocznie się w świecie, w którym wierzgiła i kwiaty przemawiają ludzkim głosem, a gwiazdy opiewają, jak to się dzieje w „Małym Księciu”*.²⁵ Albo jak to się dzieje – cóż to za wyfratowany paradoks – w *Wierszach Mickiewicza xxx Gdy tu miój trzap...*:

Jest i mnie kraj, ścigająca myśli mojej,
 I licze mam zero mego rodułstwa.
 Piękniję kraj nić ten, co w oczach stoł.
 Rodzina miliza nić całe pokolewistwa.
 Tam, wpródn prac i trosk, i wtródn zabawy
 Uciekam ja, tam ziędn pod jodami,
 Tam leży wtródn bajnej i wonnej trawy,
 Tam pędn z wtródnami, motłami –
 Tam wtródn ja, jak z gonka biała stąpa,
 Jak ku nam w las tródn kłk zielonych łaci,
 Wpródnó zbóć jak w tródn wóć się kępn,
 I ku nam z gór jako jarzenna świeci.

Tak Boga „głęboko” myśli”, „rodzestwo serca” – niepozwalanego rozumem – „widzi” albo doznaje, albo serce. To pierwsze w *sensie religijnym* dysponuje dwiema postawami, które *postępnijają* ma nigdy nie zaprzeczyć się *postępnijają* wiary: *postępnijają* ufności i *postępnijają* wierności.²⁶ To drugie, Mickiewiczowskie serce, także nie jest tylko workiem rozmaitych uczuć. Już raczej przypomina *widzenie* inicjacji intelektualnej, mocą której – wedle Leszka Kołakowskiego – *przejmujemy* wiary nieosiągalne droga rozumowania *matematycznego* czy *też* poprzez *świadczenie* zmysłów.²⁷

Serce, które *przejmujemy* w *sensie* postawowym, związanym z *użytkowaniem* *prawd* religijnych nie jest *postępnijają* uczuciową ani emocją (Kołakowski), serce jako władza inicjacji intelektualnej „widzi” Boga w perspektywie odszukanej rzeczywistości. Bóg jest wówczas *zapośredniczany*. Osobowo przeżywa w *postępnijają*, a w rzeczywistości mieszka *incognito*. Lecz „widzenie” Boga sercem czy oczami duszy *może* paradoksalnie nie w sercach odbić rzeczywistości, tylko w jej wewnętrznych zapośredniczeniach. Mickiewicz jest przekonany o duchowej formie i wspólności materii i wprowadza do świata ducha *liczne* *matki*, *owady*, *ziola*, *minerały*, a nawet całe *Świętoco* i *kosmos* nad *Soplicowem* z poematu *metafizycznego*, a nie tylko *epickiego* *Pan Tadeusza*. *W* *wielu* *baśniach* *bohatera* *zjawiającego* *prawdziej* *rzeczywistości* – *powiada* *Drewwerman* – *w* *granicznych* *śferach* *między* *światem* *zewnątrznym* *a* *wewnętrznym*, *między* *po-*

²² W. Oszałka: *Śl. Od strony języka i obrazów. „Przepląd Powozyczny” 1988, nr 3/799, s. 327-328.*

²³ *Ibidem*, s. 328 i 338.

²⁴ A. de Mello: *Przebudzenie*, t. B. Moderska i T. Zysk, Poznań 1992, s. 132.

²⁵ E. Drewwerman, op. cit., s. 18.

²⁶ *Ibidem*, s. 18.

²⁷ Zob. L. Kołakowski: *Rozum dobry, rozum zły*, serce [w:] *też* *tegoż* *autora*: *Bóg* *nowy* *nie* *jest* *duch*, *Królwa* *nowego* *o* *religii* *Pawła* *i* *ducha* *Janina*, t. I. Kania, Kraków 1994, s. 180.

wierzchnią a głębią, między doczesnością a tamtym światem, spokojną pomocu zwierzęta, które rozmawiają z nim i wskazują mu właściwą drogę do anitywiała jego świadomości.¹⁰ Istnienia pośredniczące mogą odgrywać jeszcze inne role i w poetyceologii teologii Mickiewicza – notabene podobnie jak w praktykach szukającego rzeczywistości Jerzego Grotowskiego, drugiego po Mickiewiczu polskiego humanisty w Collège de France – chodzi o wyjawienie ich duchowej potencji, tej, którą Bóg wcielił napelniał materię.

Takiej właśnie rzeczywistości szukał Jakub Böhme, gdy stwierdził za pośrednictwem się „wszystkiego ze wszystkim”, jak nawiązując do rozrządu płciowego w kwiecie róży – i Angelus Silesius, gdy nie widział żadnej różnicy nie tylko między duchem oceanu a duszkiem kropelki wody, ale między niebem a dnem duszy człowieka. Grotowski na czeluś adeptów udawał się na spotkanie z drzewem w lesie czy rybą w wodzie, z wiara w magnetyzm serc nie mniejszą od pewności metempsychozy. Także inny uczeń Böhme, Silesius i Mickiewicz, Stanisław Grochowiak, w tajemniczym wierszu *Słonecznik* na widok „mędra szkiełka i oka” wola:

*Ala tu powieścić gnatawa się i myli,
I nawet starcy nie są pewni prawdy,
Za obdo było najstraszniejszych chwilił,
Aby rzarżdzić ludzi, światy, gwiazdy.*

Mickiewicz jak ewad potrafił „uciec z duszą na listek”, widział drzewo przemienione w dziecko, gąsienicę albo w węga (*Drzewo*) i pragnął *Wu-rzyc się w lono rzeki z rybami... / Ich okiem niewierzającym jak gwiazda... (xxx Wsiuchać się...)*. Tak zresztą wiedzcy i tak pragnący metafizyki napisali *Zimę miejską* i *Pana Tadeusza*, arcydzieła poety szukającego rzeczywistości tej samej „na listku”, co i w *Soplicowie*.

Między sacrum a sanctum

„Uciec z duszą na listek” – pisze Mickiewicz „Dusza nie jest taka jak liść” – powiada Wojtyła (*Pieśń o Bogu ukrytym*). „Ach, wypłynąć z nurtu ukrytego i przeżyć poza ból przedsmak!” jest marzeniem człowieka o profilu melancholijnym, którego poeta przeciwstawia profilowi człowieka Cyrenejczyka, według którego „Jest życie, proste i wielkie – jego głębia nie kłóczy się we mnie”, a „Rzeczywistość bardziej jest wspaniała niżli bokołesna” (*Profilu Cyrenejczyka*). Mickiewicz szuka momenta wiecznego nadesza („Profilu Cyrenejczyka”), Mickiewicz szuka momentu wiecznego nadesza („Profilu Cyrenejczyka”), Mickiewicz szuka momentu wiecznego nadesza („Profilu Cyrenejczyka”), Mickiewicz szuka momentu wiecznego nadesza („Profilu Cyrenejczyka”), Mickiewicz szuka momentu wiecznego nadesza („Profilu Cyrenejczyka”).

To jest właśnie pytanie. Nie tylko poezja, także filozofia i teologia – i czy nie również po prostu religijna uczuciowość człowieka? – zajął nie od dziś i rozwijają dwie różne metafizyki rzeczywistości, tę, która idzie „głębiej i głębiej” i tę, która idzie „wszerz” człowieczeństwa i świata. Być może, że mamy do czynienia tylko ze zjawiskiem analogicznym do refleksji, przełamania światła w pierwszej grze światła drugi plan obrazu jest wyciąg od pierwowzoru, w drugiej – na odwrót. W każdym razie możemy wyciąg od rzeczywistości metafizycznej, czyli wyposażonej w dyskretną i subtelną obecność sedna, dna, sensu, tego, co niewymiennie.

Pewne jest także, że różnica między „gniazdeczkiem na listku” a „pra-

cownią przeczaczeń” jako różnica dwu metafizyk rzeczywistości nie daje się wyjawiać odmiernymi w poezji Adama Mickiewicza i w twórczości Karola Wojtyły gram znaczeń między *sacrum* i *profanum*. Jeśli trzeba to jeszcze powieścić, mówię: Mickiewicz jest poetą nie mniej religijnym. Wszystkie, prawie wszystkie różnice – antagonistyczne i nieantagonistyczne – mają swe źródło w grze między *sacrum* i *sanctum*, o czym chciałem, aby traktował ten esej.

Sergiusz Sterna-Wachowiak



Jolanta Stomianowska: *Lato w Krakowie*, 1990.

Plakietka jednostronna, brąz, lasek, srebrzony + kamienie, 19,5 x 14,0 cm.

¹⁰ E. Drewemant, op. cit., s. 51.

ADAM WIEDEMANN

Lotta w Krakowie

I. Gdzie byłem? chyba gdzieś pod konie, tego, pogrzebionego we wstępie przez Teresę Zenona, pod konie, więc przekłady, Vrchlický?, Verlaine?, jakos tak, po zajściu. No i tuż po rozmowie czterogodzinnej z Jurkiem, na temat płyty jego z piósenkami, można by ją nagrać w Wiadniu, u Cybacha, zarobić wreszcie jakies poważniejsze pieniądze, kolejność utworów: *Intro*, *Pieśń wielkanocna*, *Sylvia*, *Czajka*, *Pociąg albo Piósenka święta*, *Białe pieś* i *atacka Przyjaciółki hebrajskie*, tyle na pierwszej stronie, co do drugiej, to trzeba by jeszcze dopisać ze cztery piosenki (zrobi się, bez problemu), to naprawdę nie najgorszy pomysł, stwierdził Jurek i wywnioskował do siebie, każąc mi się zastanowić nad tytułem płyty; ja w związku z powrotem za Zenona, bo go już wieciora postanowiłem definitywnie skończyć, *spędzić nad wyszkiem, spędzić w każdej chwili*, a może *jest na dnie ludzkiej duszy ukryta godność*, czytając zauważyłem (w szparze pod drzwiami), że u Jarka w pokoju zgłoś światło, po chwili zapaliło się, *znów zgłoś*, wybiera się gdzieś? idzie spać?, pomyślałem, kaseta grąca zamilkła, więc się zacząłem zastanawiać, co by tu nowego, na co bym miał ochotę, nie nie chciało przysięść na mi, nawiądz się na oko, i dzięki temu używałem cichutko dzwonek do drzwi, nie domofon, tylko właśnie dzwonek, o tej porze?, kto by tu mógł być?, pomyślałem, licząc na to, że może Jarek otworzy, ale u Jarka ciemno, a dzwonek znów się odezwał, więc idę, w latzinie odgłos wody puszczanej do wann, otwieram.

I teraz nie wstąpić, oczywiście pozostalem jak od razu, jakżeś się tu dostawa?, kto ci wpiświ?, wpuścił mnie ktoś, odpowiada, kwiatki trzy, żonkile, daje mi, dostalam, teraz są dla ciebie, ale co, domofon nie działa?, domofon?, który jest wazs domofon? pewnie był się chciała napić herbaty?, kiwa głową, wpuszczam ją do pokoju, zdejmuję kurtkę, nadej sweter, drugi, biorę butelkę, kubki, idę do kuchni, ona za mną, nalewam wody dla kwiatków, wstawiam wodę na herbatę, wracam do pokoju, ona po chwili, takie mam przyzwyczajenie z domu, dokracam kran. Ja wstawiam kwiatki do butelki, puszczam jakąś kasę (Pixies? Jane Birkin?), ona rozsiada się na matraczku, opowiada, pocieg miał dwie godziny spóźnienia, z powodu wiatru, czeguję ją papierosem, w pociągu wypaliła wszystkie, jednego za drugim; jak zastanała się zasonka, to wydawało jej się, że jest sama w tym przedziale, ale jak chciała pociążyć książkę, to musiała wychodzić na korytarz, bo w przedziale się nie dało, z tymi ludźmi, a na korytarzu też: wciąż ktoś podchodził, o coś ją zagadywał, a jej się nie chciało odpowiadać, idę zalać herbaty, wracam z naim, i nagle uświadamiam sobie, że zapomniałem jak ona ma na imię, przelatuję alfabet od początku do końca i nie, więc z powrotem, już jestem przy połowie, wreszcie mam: Karolina.

Mówi cichutko i jakoś niewyraźnie, jakby się jej rzeczywiście nie chciało, mnie też się zresztą nie chce, pozwalam jej mówić, rozumiem piąte przez dziesiąte, jak o coś pytam, to się peszy, milknie, odpowiada dopiero po chwili, jeszcze bardziej niezrozumiale, kaseta ją zgłasza, a ja już się nie odzywam, żeby jej znów nie zapęszczał, zresztą jak na nią spojrzeć, albo tylko przytękać, to też przerywa, po chwili znów zaczyna, ale już o czymś innym, potem wraca do tamtego, po parę razy o tym samym, jakby niepewna czy zrozumiałem (skądinąd słusznie), nagle zrywa mówienia i nagle przestaje, bo jak nie słucham, to też. Wreszcie wypija jej herbaty i niespodziewanie normalnym głosem: w gardle mi zaschoło. Umówiła się z Magdą, że Magda przyjdzie do Roberta i wyjdą po nią na dworzec, ale jak się przyjechała, to ich nie było, widocznie nie chciało im się czekać, a potem jeszcze się zgubiła jak tu szła, to Robert ją tak właściwie namówił na ten Kraków, ale to może za pół roku, więc wreszcie w klasztorze, z pół roku w Chbiała pobyc, u siostr, ale to szkoła normalna jest, gdzieś pod Poznaniem, i chodzą tam same dziewczynki z dobrych rodzin, z takimi falującymi włosami, jak anioły, po lekcjach przechadzają się po ogrodzie i są takie, a może jesteście głodna?, kręci głową i zaraz wyjmuję z kieszeni ciasteczko, częstuje mnie, mówię, że właśnie zjadłem wszystkie krówki, jakby przyszła trochę przedzie, to by się jeszcze zalała, więc uwrę sobie tylko kawalek, na spróbowanie, nawet nieźle, to może jeszcze kawaleczek? urywam tak, żeby było, że zjadłem dokładnie pół, reszta dla ciebie, i są takie wiotkie, wężle, subtelne, siostra mnie będzie podglądała przez dziurkę w drzwiach, a ja jej wtedy przez tę dziurkę długiopisem, zobacząc, może tam wytrzymam tylko trzy miesiące, pewnie ci umiesz w pokoju u jakąś dziewczynką, i będzie cię zamęczała swoimi historiami miłosnymi, nie, coś ty, tam siostry pilnują, nie można mieć historii miłosnych, będę do ciebie piśała długie listy z klasztoru, ale taki list to też musi siostra najpierw przeczytać, a skąd wiesz, byłaś tam?, może jeszcze? (ciasteczko), urywam, przecież każda dziewczynka w tym wieku ma swoją historię miłosną, każda?, nie każda, może jeszcze?, w końcu zostaje jej już tylko odrobina tego ciasteczka między palcami, która też w końcu zjadam, wtedy wyjmuję drugie ciasteczko, to już ostatnie, mówi, więc proponuję, żebyśmy zamiesli je Jarkowi, i sama leżeć w takim miejscu, żeby zupełnie wyschoło, mów, wchodzim do Jarka pokoju, pokazując jej żółty stojak na gumy do żucia, zachwycona, o własnie.

Muszę zobaczyć, jak tutaj wyglądam, przegląda się w moim lustrze, podchodzi tak blisko, że odbija się tylko jej nogi, jak wyglądam?, idę zobaczyć, staje za nią, stroimy jakies miny do tego lustra, siadam na kanapie, mówię, że najlepsze miny wychodzą mi jak jestem sam w pokoju, ona siada na krześle, widzę jej odbicie, teraz jestem taka, a w tym klasztorze będę taka, tylko musisz sobie zapamiętać takie włosy, jak te dziewczynki, przyjadę tam i poznam, która siostra jest taka najgorsza, że wszyscy się jej boja, a ja właśnie ja będę najbardziej lubiła, i taka będę miłutka, że ona mnie też będzie musiała polubić, choć przed wszystkimi będzie udawała, że wcale tak nie jest, i to będzie taka nasza tajemnica, a wszyscy i tak się domyślą, i mnie też się będą trochę bać, ostatnio moja siostra cytała mi z ręki, a ona to zaraz tak jak prawdziwa czarownica, widziam, naprawdę, i mówi tak: masz skłonność do schizofrenii, nasz tato jest schizofrenikiem, potrafi tylko leżeć na tapczanie i palić papierosa, a to się dziedziczy z ojca na córkę, na krzyż, i co, masz już jakies objawy?, objawy nie, na razie tylko

skłonemu, mógłby wyjść ten Jarek, to byśmy wreszcie poszli spać, może się schowam do szafy i jak się będzie kładł do łóżka to wyskoczę, wystraszylby się?

– W pokoju Jarka coś szura, więc Karolina do szafy (mojej), wołam Jarka, wchodzi, zajrzy do szafy, mówię, a co, ktoś tam jest?, nie słyszałem domofonu, zagląda i, wcale nie uciechnożo, o, Karolina, i do mnie:

- Poczęstujesz mnie papierosem?
- Pal swoje i tak będziesz rano wychiewał.
- A ile masz?
- Pięć.
- Ja już mam tylko cztery.
- A ja muszę jeszcze częstować Karolinę.
- Nie masz papierosów? – on do niej.
- Skończyły mi się w pocigu.
- To trzeba było kupić na dworcu, jak ja teraz wytrzymam bez papierosów.
- Mogę iść kupić, jak tu jest gdzieś sklep.
- No, teraz to byś miała trochę daleko, już siedź, kupisz rano.

Siedźmy, gadamy, wypalamy za Karolina po dwa, Jarek trzy, idę umyć zęby, wracam, Jarek stwierdza:

- Mam teraz problem, ale nie wiem, czy wam powieszcie.
- To musi być jakiś strasznie poważny problem.
- Właśnie wcale nie jest poważny i dlatego nie wiem, czy o nim mówić.
- To już powiedz, skoro zaczęłaś.
- Bo zapaliłbym sobie papierosa, ale jak go teraz wypalić, to nie będę miał na rano.
- To nie pal już dzisiaj.
- Ale mam właśnie ochotę sobie jeszcze zapalić.
- No, zapalmy jeszcze – Karolina do mnie.
- Mnie już zostało tylko jeden papieros i zostawiam go sobie na rano; jak chcecie, to zapalcie sobie tamtego na spółkę.
- Na spółkę? – Jarek wzburzony, na co Karolina:
- To może zrobimy tak, że teraz wypalimy tego papierosa, a ja wstaję rano i zaraz skoczę do sklepu i kupię nowe.
- Tylko musisz wcześniej wstać, bo ja chciałabym wyjść przed trzynastą, a bez papierosa nie wstaję.
- To już idcie palić tego papierosa, a ja się w tym czasie przebiore w piżamę – stwierdziłem, po czym wyszedł.

Po jakimś czasie Karolina wraca, w cała świtorem, rozbiera się za szafą, ja już leżę, czytam, wszystko zniknęło przy dźwięku brązowych świateł, trochę się czuję skrępowana, że tak się to rozbiaram, i już stoł przede mną w kosiźnie, w majtkach, mogę tam spać?, od tego w kofieci jest ta kanapa, mówię, nogi ładne, długie, z mięsniaki, włoży wychyla ją się brązowawo, pół-przezerościcie, że aż Ostrowiec, sam miałem wtedy siedemnaście lat, potajemne kapiele w jeziorze, i przez ulamek sekundy, gdy on podaje mi ręcznik, ten sam kolor, a mogę sobie jeszcze przeczytać?, jak skończysz, to wyłącz górne światło.

2. Budzę się koło pierwszej, puszczałam jakąś muzykę, ona otwiera oczy, jakby czekała na ten moment od dłuższego czasu, idę zrobić coś do jedzenia, Jarek siedzi już ubrany, zły, bez papierosów, robię herbatę, chleb z dżemem, Karolina u Jarka, jakiś ożywiona wymiana zdań, wołam ją do kuch-

ni, żeby mi pomogła to przynieść, stawiam talerz koło materacyka, siadam, zawiąmy się w kołdrę, nagle:

- Ty byłas w kuchni w tych skarpetkach?
- Patrzy strwożona, nie rozumiejąc.
- To zobacz, jakie są teraz brudne. Nie waź się ich trzymać na moim prześcieradle.

- Zdejmuje stopy z materacyka, rusza palcami.
- Takie mam długie te palce, zobacz.
- Zaczę że nie masz instynktów przywódczych.
- A ty?
- Ja mam pierwsze i drugie tej samej długości. Za to Klejberg...

- Wziął ode mnie trzy złote i stwierdził, że sam sobie kupi te papierosy, bo już wychodzi.
- No proszę, jaki spryciarz.
- Jemy, już zjedliśmy. Co dalej?
- Może byśmy zapalili teraz twojego papierosa? – proponuje mi się.
- A rzeczywiście – przypominam sobie, uradowany. Wychiam paczkę ze schowka, palimy na zmianę, po dwa machy, ona zachwyca się, idę moja piżama.

- Maszę sobie podotykać. Strasznie lubię dotykać takich materiałów – mówi, dotykając. Dotyka tak i dotyka, do znużenia. Aż wreszcie stwierdzam: – No dobra, a teraz już idź się myć.

Po południu leżymy czytając. Ja na kanapie, ona na materacyku, i spoglądamy na siebie, co jakiś czas przez lustro, albo tylko ja czuję na sobie jej spojrzenie, puszczam w kółko kasętek Krkową z Violent Femmes, nagle przestaje grać, idę zobaczyć co się stało, kieszeń zablokowała, otwieram na siłę, no oczywiście, dawno już nic nie wkreciłam, przeklęłam w duchu, nie lubię niszczyć potocznych rzeczy, wyciągam tę kasętek, odrywam najbardziej poharatany kawałek, składam, sprawdzam z obu stron, jak teraz słychać, jest prawie idealnie. Na to wchodzi Jarek:

- Przyszedł do Moniki ten jej kolega z Lublina i wybieramy się do Hadesu, może macie ochotę?
- Gdzie ja tam będę chodził do jakiegoś Hadesu – odpowiadam niby stanowczo, bo chcę się trochę oswoić z tą myślą.
- W celach poznawczych? Warto raz się wybrać; ostatnio jak tam poszliśmy wtedy po dzianowca, to było od całkiem niezłe. Chociaż też nie wiem, jak to będzie na trzeźwo, wtedy byłimy dość ostro ujarani.

- Patrzę na Karolinę, która też patrzy i ani myśli decydować za mnie, zresztą nie wie zapewne, dokąd właściwie miałbyśmy iść, skąd miałaby widać.
- Działaj tam sobie chyba nie nie uda zalatwieć – koynymuje Jarek – ale pivo możesz tam sobie kupić, jak masz pieniądze, i lustra tam są. Ciekawe miejsce.

- No nie wiem, czy mi się chce. Lustro tutaj też mam.
- Ale nie na całą ścianę. Zresztą chodźcie na razie na Batorego, to go sobie zobaczysz, a po drodze się będziesz mógł zastanowić. Wydaje mi się, że jest podobny do Sońickiego, też taki spojony.

- Na Batorego przejdź się można, bo to dwa kroki, więc ubieramy się, idziemy, już jakby postanowione.
- To się nazywa SKMG – mówi Jarek na schodach – stowarzyszenie katolickiej młodzieży gejowskiej, czy jakoś tak; przy KUL-u takie coś powstało.

- A papież?
- Co papież?
- No, co papież na to?
- Nie lubi pedałów?
- No chyba, miał takie wypowiedzi, biskupi holenderscy go krytykowali.
- A nie wiem, to już jego bzduręś mógł zapytać, on tam jest prezezem. Poważny człowiek, aktywista.

Na Batogoro siedzieli rzeczywiście, można nawet powiedzieć, że czekał na nas, w każdym razie Monika, bo Hary jakis barbarzyńca, pograżony w rozmowie, tamten też, tyle że raczył nas zauważyć, przywitał się, i dalej z Harym o tych tam jakichś ich misjach-profesorach i siostrach-sekretarkach, Monika zabawiła się za kąpielą, my za papierosy, wydławił dym szybko, Hary postanowił zostać, nikt go zresztą specjalnie nie namawiał, ulica Karmalićka cała rozkopana, trzeba tu przejść kładką w socy, mówi Monika, i pograć w kosminotę, nie zawsze jest okazja grać w zasadzonoza półodroci Karmalićkiej, zwłaszcza że cała noc się świeci, jak na stadionie, potem ruszają do przodu, my nieco z tyłu, i co, podobny? pyta Jarek konspirowany szepcąc, ja tam wielkiego podobieństwa nie widzę, ale chyba wiem, o co ci chodzi, mówię, inne okulary, mówi Jarek, Sońskie w ogóle noś okulary?, chyba nośi, zastanawiam się, no jasne, przecież zostawił w pokojku jak odprowadzał Wróbel, ale to nie jest kwestia okularów, ten chłopak się nie potrafi uśmiechać tak jak Darek, skąd wiesz, że nie potrafii, przyjrzałem się.

Dopaliśmy ich prawie, Monika pyta właśnie, czy ma teraz jakiegoś chłopaka, i do nas. Jego poprzedni chłopak został katedrem, ja nie mam chłopaka, tylko partnera, on na to, echa ta ich terminologia, mówię do Jarka, na skrzyżowaniu z Dietla proponuję, żebyśmy po drodze wstąpili do Cichoń, wszyscy paszczają to miano usza, już prawie jesteśmy na miejscu, tylko czy nas wypuszczą?, mówi Jarek, mogą nas już nie pamiętać, on się przedstawi, to nas wypuszczą, mówi Monika, a jak nie, to wnieście oficjalny protest, to może nawet lepiej, żeby nas nie wypuścili, mówię, chikram się, on z całą powagą; jak to lepiej?

Za szaninę trzeba płacić z góry, nie mamy drobnych, składamy się, zamieszanie, tam w przejściu siedzą, słouchają, cabują się, idziemy do tej sali głównej, tam rzeczywiście luźna, świata dyktokotowe, jarmazynka na ultrafoto, paru tańczących, niemiarowo, do tych luster, on już w obciabym podkoszulkę, od razu wkracza do akcji, energicznie, choreograficznie, my ruszamy dalej, chcemy to zwiędzić do końca, a przede wszystkim znaleźć jakiegoś miejsce do siedzenia, znów korytarz, za nim rupiecarnia, stary kontuar, niektóre, wargdzie siedzą, cabują się, jakby gdzieś indziej nie mogli, a może istotnie, nigdzie indziej tylko tu, co za póżworna perspektywa, pomyśl sobie, że już się nieby z nikim nie będziesz mógł całować, do nikogo przyniłał, wyobraź to sobie, to kiedyś! Paszają do mnie, nie mogłem sobie wyobrazić, i zaraz chaos dalszych ciągów, wyobraź sobie, że będziesz się z kimś całować w Hadecie, jak tak tu dłużej pozostanie (Jarek z Moniką pozwili tańczyć, ja kupuję dwa piwa, usiedliśmy z Karoliną na jakimś schołku), to chyba rzeczywiście zaczniemy, rozmawiać się mała, to trzeba siedzieć, przyglądać się, ale to same potopy, stary wydział, żeby choć pół ładnego chłopaka, jeden chady z przyszaną, cały na czarno, samotny półodro samotnie tańczących, śmiejących tą samotnością na kilometr, i rusza się, bo tak trzeba, jakby kij polnąką, i znikąd pomocy, smutno się rohi

od samego patnienia, a tego znam z Zacra, w sukienkę się ubrał i buty na wysokim obcasie, gadał z dwoma innymi, nagle zamieszanie, tragedia, ktoś mu przechodzący, przedkajający się, dziurę wypluł w rajtrach papierosem, białe ciało sypał czarnej licy, zmika w toalecie, a już tam na parkiecie drugi pojawia się, taki sam jak tamten, też na czarno, i już tak jakby ze sobą tańczy, do ucha jeden drugiemu coś szepcze, a rączki krzyczy, bo halas.

Dopijamy to piwo i idziemy, krzyczę do Karoliny, ona kiwa głową, siedzi dalek, dosiada się do nas Jarek, pożyczyć dwie słoty, przecież wiesz, że mam już tylko pięniadkę Optumasa na mieszkanie, jutro ci oddam, teraz potrzebuję na piwo dla siebie i dla Moniki, dobrze wiesz, że nie oddasz, a ty niby skąd wiesz?, to przynajmniej skądś ostatnim razem pożyczysz od Cichoń, od Cichoń to co innego, nie miałem pieniędzy, a teraz masz?, teraz mam, tylko w tej chwili nie mam, a są mi potrzebne, pozwól, że będę się uczył na cudzych błędach, co ty mówisz?, zastośnow się, już się zastośnowiłem, podchodzi do nas Monika, i co?, pyta Jarka, Jarek do mnie; zastośnow się, Monika; jak nie chce, to daj mi spokój, i do nas: czemu nie przyjdziecie potaćczyć?, ja: my już właściwie wychodzimy, wychodziecie?, no wychodzimy. Idziemy do zratni, szatniarza nie ma, czekamy, zjawia się wrzesnie, odnoszę Jarkowi numerki, i już, narzesnie, ulica Starowińska, noc, lekki przymrozek, nigdy nie czulem się tak, mówię do Karoliny, która idzie, uśmiecha się, jakby wcale nie chciała, żebym kończył to zdanie, więc nie kończę.

Adam Wiedemann

Na trzecie Tysięclecie

Krzyż – Drzewo Kwitnące – ogólnopolski konkurs poetycki

- Organizatorkami konkursu są Spółdzielnia Wydawnicza ANAGRAM i Fundacja Skanso na rzecz INTEGRACJI, patronuje konkursowi Krzyż w Warszawie.
- Udział w konkursie może wziąć każdy, niezależnie od przyłączalności do związku twórczego, kto do dnia 30 września 1999 r. nadesłane swoje wiersze; poemat, trzy wiersze, lub pięć miniatur poetyckich. Udział w konkursie mogą włączyć również poetci spowa Polska.
- Prace należy opatrzyć gołztem, a w kopercie dołączyć imię i nazwisko oraz adres. Teksty należy nadsyłać w trzech egzemplarzach maszynowym.
- Do konkursu dopuszczane zostaną także dzienniki i napiski krytycznoliterackie nie przekraczające 8 stron maszynopisu.
- Prace należy nadsyłać pod adresem: Wydawnictwo ANAGRAM, Al. 3 Maja 5, lok. 55, 00-401 Warszawa.
Nadsyłane prace nie mogą być przedtem nigdzie drukowane. Na kopercie należy zamieszczyć "Konkurs Instrukcja".
- Nagrody: I – 1000 zł, II – 800 zł, try III – 300 zł oraz pięć wyśmienitych po 100 zł. Są to nagrody organizatorów konkursu.
Przewodącej się również nagrody osób prywatnych, firm i organizacji. Cześć i szczytymych funduszy organizatorzy przekazują na wydanie antologii prac nagrodzonych i wyrytostych. Dotyczy zastrzeżenie w ufundowaniu imiennych nagród, proponuje się o skonsultowanie się z sekretarizatem konkursu.
- Jury ma prawo do innego podziału nagród.
- Rozstrzygnięcie konkursu i wręczenie nagród nastąpi 13 grudnia 1999 r., podczas ogólnopolskiej sesji Instrukcji w 40-KOCIE ORIENTACJI POETYCKIEJ HYBRIDY.
- Biurol organizacyjny konkursu: sekretarz Magdalena Koperska, Sp. Wyd. Anagram, Al. 3 Maja 5, lok. 55, 00-401 Warszawa, tel. (022) 622-93-26.

AGNIESZKA SALSKA

Galway Kinnell i potęgą formy

Galway Kinnell okazał się niewątpliwie najwybitniejszą indywidualnością w poezji amerykańskiej lat 80. i 90. W roku 1983 otrzymal American Book Award i Nagrodę Pulitzerza za tom *Selected Poems (Wiersze wybrane)* opublikowany rok wcześniej. Jakby broniąc się przed pochopnym uznaniem tego reprezentatywnego wyboru oraz nagród, Kinnell wydaje jeden po drugim tomki *The Past* (1985), *When One Has Lived a Long Time Alone* (1991) i *Imperfect Thirst* (1994). Ponadto, w 1993 roku wychodzi zbiór *Three Books (Trzy księgi)* zawierający wiersze z tomów *Body Rag* (1968), *Mortal Acts, Mortal Words* (1980) i *The Past*. Spielającą moją prośbę o zgodę na druk tłumaczenia poematu *Kiedy się żyło tak długo samotnie (When One Has Lived a Long Time Alone, „Wyjeł Kultury” 5/97)*, Kinnell dotarłszy do swego listu właśnie *Three Books i Imperfect Thirst*. Sądzę więc, że uważa te późne książki za znaczące w swoim dorobku. Podkreślał zresztą w korespondencji, że szereg wcześniejszych wierszy otrzymało w *Three Books* nową redakcję.

Urodzony w roku 1927 w Providence, w stanie Rhode Island, Kinnell należy do całej grupy znamienitych poetów amerykańskich z cudownych roczników 1926 i 1927, które wydały takie indywidualności jak Allan Ginsberg, John Ashbery, A. R. Ammons, Robert Bly, W. S. Merwin czy Frank O'Hara. Sprawili oni, że po Robertcie Lowellu (1919-1977) amerykańska scena poetycka praktycznie nie daje już możliwości wskazania dominującej tendencji czy organizującego centrum. Droga poetycka Kinnella nie była tak prowokacyjnie widoczna jak na przykład kariera Ginsberga, a twórczości nie cieszyła się takim zainteresowaniem krytyki jak, powiedzmy, twórczość Ashbery'ego, którego Harold Bloom mianował kontynuatorem poetyckiego dzieła wielkich romantyków i modernistów amerykańskich. W tym sensie największym sukces Kinnella jest chyba mało amerykański: jest to sukces badawczy latami, raczej na uboczu, choć niezapelnienie w cieniu (uznanie czytelników i krytyki) zyskała zwłaszcza *The Book of Nightmares, czyli Księga koszmarów* z 1971 roku), swzek kogół, kto po prostu uparcie robił swoje bez względu na mody w krytyce i praktyce poezji.

Jego pierwsza książka poetycka *What a Kingdom It Was*, ukazała się w 1960 r., ale jego wierszy (podobnie zresztą jak wierszy Ammons czy Merwina) nie znaleziono w słynnej antologii-manifesto Donalda Allena *The New American Poetry 1945-1960* (Grove Press, New York, 1960). Z wieloma pisarzami swojego pokolenia Kinnell dzielił polityczne zaangażowanie przeciw wojnie w Wietnamie, ale temperamentalnie jest przede wszystkim najczystszy wiodo liryczny, poeta intensywnego przeżywania życia przez pryzmat indywidualnego doświadczenia urody świata, ekstazy miłości i tajemnicy smierci równoważonej barwnością żrłki. Jest poeta jednocześnie zmysłowym i refleksyjnym i bardzo świadomym tak władzy ciała, jak potęgi formy. Krytyka zrykała łącząc Kinnella z Whitmanowską linią poezji amerykańskiej, a sam artysta wielokrotnie potwierdzał swoje przywiązanie do Whitmana. W 1987 roku zreagował wybór *The Essential*

Whitman; jest także autorem jednego z najpiękniejszych esejów o języku i muzyce poezji Whitmana *Walt Whitman's Indicative Words* (*American Poetry Review*), March/April 1973, s. 9-11, przedruk w tomie *Walt Whitman. The Measure of His Song*, red. Jim Perlman, Ed Folsom, and Dan Tampion, Holy Cow! Press, Minneapolis, 1981).

Podobnie jak Whitman, Kinnell wielbi zmysłowe piękno życia. Jego twórczość jest głęboko zakorzeniona w doświadczeniu i mądrości płynącej z wiedzy ciała. Jednak w przeciwieństwie do Whitmana nie używa pod postawą i retoryką rewolucyjnego proroka swoich wiewów z tradycją poetycką. Raczniej stara się że związków z nią czerpał ponadczasową, filozoficzną i estetyczną mądrość. Kinnell nie waha się eksponować własnych dźwięków wobec poetyckiej przeszłości, zarówno angielskiej jak i europejskiej, szczególnie wobec Wilkona, którego nie tylko wcześniej tłumaczył na angielski (*The Poems of François Villon*, 1965), ale też długo nad tym tłumaczeniem miał pracowal (*The Poems of François Villon*, druga seria), i w tym względzie bardziej przypominając Emily Dickinson, która rozumiwała, że chociaż regularność odziedziczona z przeszłości form poetyckich przez współczesnego doświadczeni i wiedzy, jaką mamy o sobie i świecie, to przecież podkoma wyczulność utrwalałone wiktoria praktyka struktury i rytymów (sama używała najczęściej wariantów angielskiej strofy balladowej) w zderzeniu z niemożnością ich pełnej realizacji we współczesnym wierszu podkosa wynikł ekspanywowanie chaosu oraz niestabilności porządku, który poecie udaje się złowudzać. Ten wytyłek oraz kracoch jego ciała uważala Dickinson za podstawowe doświadczenie myślnego i czujnego współczesnego człowieka.

Kinnell ma podobny stosunek do przydatności tradycyjnych konwencji formalnych. Jednak dla Dickinson rozbiżanie regularnego czterowersza podstawowej strofy popularnej poezji angielskiej było koniecznością, narzuconą przez dotkliwość głębokich przemian światopoglądowych, kulturowych i ekonomicznych, które, mimo pustelniczego trybu życia, ją wprowadzała, zwracając ją strakowały. Kinnell z kolei odwołuje się do szeregi kanona angielskiej i europejskiej tradycji poetyckiej z poezji, można powiedziec, post-modernistycznej. Ponieważ chaos, fragmentaryzacja i samotność ludzkiego doświadczenia są naszą zaskakującą kondycją, poeta odwołuje i na nowo tworzy obszary wspólnoty. Takim obszarem jest przede wszystkim wiersz proza wybrzdania, aby ludzkim doświadczeniu na nadat formę, a przez to sens. Pisząc na dominującą świadomość, że wyśkie tworzenia formy jest jednym, niekiek-wskazowanym znaczeniem, jest onowym dostępnym współczesnemu człowiekowi rodzajem transcendencji. I nawet jeśli osiągnięcie porządku jest ułotne, a konstruowanie znaczenie – ułudne, świadczą one o potęgze pragnienia kreującego wizję doskonałego na przykład wszelkim ograniczeniem. O tym, jako o istocie człowieczeństwa, mówi motywo do ostatniego tomiku Kinnella *Imperfect Thirst*:

*Jeli twoje oczy nie dają się oszukać mirażom
Nie bądź dumni z przynikliwości swego rozumu;
Motylów, że wolność od opycznych złudzeń
Zawdzięczasz niedokonałosci swego pragnienia.*

— Szwarnadi

Może najpiękniej widac i slychać zdrona prace nadawania doświadczeniu formy w tytuloonym poemacie zbioru *When One Has Lived a Long Time Alone*. Już sama składnia, a także rytmika tego powracającego w wierszu jak refren sformulowania odsyła czytelnika do znanego sonetu Johna Miltona *On His Blindness (Na swoją ślepotę)* zaczynającego się od słów *When I consider how my light is spent* („Kiedy pomyślę, że straciłem światło”). Echo sonetu Miltona uświadomienie powinowactwa poszczególnych części-strofy poematu z sonetem. Choć kadzy liczył 5, a nie 4 – jak w sonecie – wierszy, slychać w nich metryczną zasadę jambicznego

dziesięciojęzyczny, a polaczone są na sposób korony, to znaczy cyklu sonetów związanych ze sobą formalnie przez to, że ostatni linka poprzedniego jest również pierwszym wierszem następnego, zaś ostatni wiersz cyklu brzmi identycznie jak początkowy. Skojarzenie z koroną i przywoływanie Milтона, odsyłają do barokowej poezji religijnej, do powagi i pasji mitonowskiej retoryki i do tradycji poetyckiej medytacji religijnej na przykład w *Holy Sonnets*, czyli *Sonnetach Świętych* Johna Donne'a (wstęp do tego cyklu to bodaj najbardziej rzadna realizacja formy korony w języku angielskim). Oczywiście poemat Kinnella nie jest religijny w sensie doktrynalnym, jest natomiast religijny w sensie uznania, a nawet pochwały (wzrost korona była oryginalnie formą panegiryczną potrzeby komunii, to jest poczucia przynależności i wspólnoty. Jakkolwiek uprawdliwiona może być niechęć podmiotu do rodzaju ludzkiego i zrozumiała jego decyzja „życia tak długo samotnie”, w ostatecznym rozrachunku to właśnie obcowanie z własnym gatunkiem czyni nas ludźmi. Także jest po prostu prawo natury. Cały poemat „Solemnity” jest na paradygmacie medytacji religijnej, w trakcie której podmiot utrwala sobie groźbę dotychczasowego postępowania i na skutek skruchy dostępuje laski postanowienia poprawy oraz ogłada wizję zbawienia – liturgicznego włączenia w ludzką wspólnotę.

Poemat Kinnella, jak barokowa liryka religijna, wyraża językiem miłosnym i erotycznym obrazowaniem mistyczną w gruncie rzeczy tęsknotę do przynależności i połączenia. Jednak mówiący podmiot cały czas zachowuje dystans do relacjonowanych doświadczeń poprzez odmowę przemawiania w pierwszej osobie. Nieokreślony zaimbek „one” – „ktoś”, względnie „każdy”, konsekwentnie używany w funkcji podmiotu, uogólnia prezentowaną przemianę psychiczną w paradygmat duchowej wdredki współczesnego „każdego”. Poemat prezentuje nie tylko prywatną drogę duchową, ale także prawo, według którego jednostka dostrzega do zajęcia swego miejsca we wspólnocie całego stworzenia, zaś nawyk „życia tak długo samotnie” jawi się jednocześnie jakoindywidualny wybór i kulturowe zrównanie. Ponieważ konfesja intymnego refleksji trzymania jest w rydach decorum, może być postrzegana jako doświadczenie wspólne czy też przykładowe, a z drugiej strony, ramy konwencji, zapewniają dystans do intensyfikacji przeżycia, pozwalają w nim dostrzec zarys formy i celu. Choćby słownictwo poematu jest stosunkowo proste, jego konstrukcje składniowe są karkołomne. Każda z jedenasta trzynastowersowych części – to jedno, wielokrotnie złożone zdanie, niekiedy grammatycznie ogromnie trudne w rozbiórce. Ale jak w przypadku Dickinson, grammatyka na tutaj wyraźną funkcję wspomagania treści. Bolesnie skomplikowana składnia oddaje trudność procesu formułowania myśli w strukturę umożliwiającej ich artikulację i przekaz. Dla przykładu przytoczam część 9 cyklu:

*Kiedy się żyło tak długo samotnie,
skawczony mizantrop dopasowuje sobie
szanowaną przechrastkę, że lepiej zdrzemnąć
w piekle niżi niekoryzić się na ziemi, zapomina
o sniżach – jak tenaz wąż, co już nie próbuje
zunge się na podłogę i ostwa wodzić, ciada
pomarszczyć jego konturę, przyjmując jego
temperaturę – porzucza nadzieję
słodkiej przyjaźni albo miłości,
i wkrótce nieomal zapomina, czym się,
pozdają spokojną nieozapraczoną materię,
samotnożyłnością, ładnie czoraz trudniej wstrzymać,
kiedy się żyło tak długo samotnie.*

Podobnie jak skomplikowana składnia, niekiedy długi cytat w tekście ponownie odsyła do Milтона, tym razem do wielkiego epickiego poematu *Raj utracony* (Księga I, wersy 261-263) poszczególnie w ten sposób pole odnie-

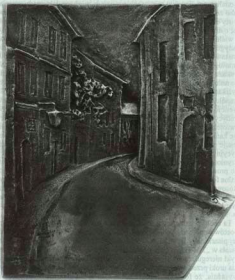
sień i symboliczny rezonans wiersza. Dodatkowo efekt swobodnego przytoczenia, współgrający z zawilciska składni, podkłada tam i następnym medytacji, bliższą głośnemu myśleniu niż publicznej prezentacji programu. Odniesienie do poematu Milтона funkcjonuje więc także jako komentarz na temat zmiany roli poety i sposobu obecności poety we współczesnej kulturze. Paradoksalnie, zarówno długie, skomplikowane zdania, jak i parafraza fragmentu z *Raju utraconego* podkreślają tenatytność tonu poematu. Trudna, pracowna składnia niezwykle pięknie balansuje pomiędzy intymną spontanicznością procesów myślenia a ich formalizacją w trakcie artikulacji i przekazu. Poemat jest nie tylko quasi-religijna czy filozoficzna medytacja, pośrednio jest też refleksja o naturze języka i konwencjonalnym charakterze komunikacji. Znaczenie jest wspólne, albo nie ma go wcale.

Wydaje mi się, że między innymi względu tego rodzaju leżą u podstaw wysiłki rehabilitacji formalizmu w poezji amerykańskiej w latach 80. i 90. (o czym już pisała w „Numerze „Akcentu” z 1995 r. Joanna Durack). W raku 1986 Wydawnictwo Harper i Collins opublikowało antologię redagowaną przez Philipa Dacey i Davida Jausa pt. *Strong Measures. Contemporary American Poetry in Traditional Forms*, która pokazuje żywotność tradycyjnego wiersza w poezji amerykańskiej po II wojnie światowej. Znajdziemy w tej antologii wiersze poetów takich jak Allan Ginsberg, Robert Creeley, Cid Corman, Gary Snyder, John Ashbery czy sam Kinnell, których twórczość nie była w ogólnej opinii kojarzona z formalnym tradycyjizmem. Ten fakt sam w sobie nie musi mieć specjalnego znaczenia, jako że solidna praktyka w rzemiośle powinna zachowywać stanowczy odporny etap rozwoju każdego przynależnego poety. Wystarczy tylko pomyśleć o drodze na przykład Pounda, Roethke'go czy Sylwii Plath, nie mówiąc o wielu innych, aby zdać sobie sprawę, jak dalece jest to obowiązujący paradygmat wykształcenia współczesnego poety, nawet tak rewolucyjnie nastawionego jak Pound. Jednak samo ukazanie się w polowie lat 80. antologii „wspólnej poezji amerykańskiej w tradycyjnych formach” wskazuje na nowe uznanie wagi tej linii poezji amerykańskiej. We wstępie do antologii autorzy prezentują szeroki wachlarz tradycyjnych form wersyfikacyjnych i wyjaśniają strategię ich użycia charakterystyczne dla współczesnej poezji. Dzisiejsi poeci zamazują w swoich wierszach konwencjonalne formy metryczne stosując niepełnie rymy, nakładając na tradycyjne miary kadencje wolnego wiersza, zmieniając ustaloną strukturę zwrotek, skracając i wydłużając przypisaną im liczbę wersów. Przypominając zaniedbaną sztukę wersyfikacji, autorzy antologii mają oczywiście intencje pedagogiczne, ale także demonstrują zaskakującą elastyczność tradycyjnych form wiersza. Pokazują, że zarzut sztuczności i niestandardności, oznaczony tradycyjnie przez praktycznie cały wiek dwadziesty, jest po prostu nieuzasadniony. W rękach współczesnych poetów konwencjonalne formy stały się bardzo osobistym środkiem wyrazu i doskonale przystosowały się do współczesnego poczucia melodii wiersza. Dacey i Jaus wskazują, że „...matieżstwo wolnego i tradycyjnego wiersza jest charakterystyczną cechą przetwarzającej części formalistycznej poezji naszego czasu (s. 9).

Ta cecha naznaczona też wierszem Kinnella oraz wielu innych świętych poetów współczesnych. Reconnaję szczerzy tonik poety znanej czarownicę pisarki Rity Dove pt. *Mother Love* (Matczyna Miłość), Sarah Maguire piła w „The Times Literary Supplement” z 17 listopada 1995, że cały ten cykl nielegalnych sonetów zarządził „potwierdza dezintegrację i odczynę uroku przeciw totalnej ruinie”. A we wstępie do zbioru sama Rita Dove wyjaśnia, że forma sonetu działa w tym cyklu „jak talizman przeciw dezintegracji”. Powrót, choćby bardzo szaczkawy, do historycznie ustalonych konwencji formalnych staje się także dla tej poetki metodą generowania znaczenia, nawet jeśli musi one pozostać niestabilne. Przywoływa-

na konwencja pozwala budować zryty porządku w sytuacji, kiedy brak już innych zasad przeciwstawiania się chaosowi. Praktyka zamazywania konturów form odniesienia stosowana w utworach tego typu odzwierciedla dzisiejszą wiedzę o zasadniczej niestabilności formy i jej problematycznym stanie w współczesnym świecie. Wolny wiersz był w swoich źródłach reakcją na poczucie sztuczności regularnej poezji metrycznej, ale dla współczesnych poetów powrót do historycznych form wydaje się na wskroś organiczny. Ich obecność w utworach takich jak *When One Has Lived a Long Time Alone* albo *Mother Love* jest bezpośrednią funkcją treści, która nie tyle przekazuje charakter doświadczenia, ile stara się je jakoś uporządkować, czyli nadać mu rozpoznawalny kształt i znaczenie. Co więcej, przywoływanie tradycyjnych, a więc „danych”, a nie „uczynionych” z potrzeby chwili form poetyckich, takich jak korona czy medytacyjny cykl liryków religijnych, stymuluje zbiorową pamięć formy jako nośnika znaczenia. Jeżeli formy będące wspólnym dziedzictwem mogą być przydatne przynajmniej w sugerowaniu rozpoznawalnych struktur porządkujących, to wyłania się niemal realna nadzieja na tworzenie obszarów znaczenia nadających się do wspólnego użytkowania, zwłaszcza „kiedy się żyło tak długo samotnie”.

Agnieszka Salska



Jolanta Słomianowska: Z cyklu *Moje miasto – Zaskak III*, 1991.
Plakietka jednostronna, bez tła, patynowana, 16,0 x 13,5 cm.

Wiersze z tomu „Niedoskonałe pragnienie” (Imperfect Thrst)

GALWAY KINNELL

Wiersze z tomu

„Niedoskonałe pragnienie” (*Imperfect Thrst*)

*Jeśli moje oczy nie dają się oszukać mirażom
Nie bądź dany z przelotności swojego neuma;
Módl się, że wolałeś od optycznych złudzeń
zauważyć niedoskonałość swojego pragnienia.*

—Sohrawardi

Dekonstrukcja Emily Dickinson

Kiedy wszedłem, wykład już się skończył,
a profesor odpowiadał na pytania z sali.
Nie wiem, co wcześniej robił z jej
poezją, ale teraz mówił, że padła
ofiara niechętnych wydawców – mężczyźni oczywiście.
Pytania się wyczerpywały, więc podniosłem rękę.
Mówiłem, że głupie poprawki redaktorów ze *Springfield Daily*
Republican

i gruboskórna reakcja panów literatów,
a także przepaść między poetycką gładkością
cenioną wówczas i własną szorstką wiedzą
uczyły ją, że wierzcie, które pisała,
nie znajdują zrozumienia swojej epoki
i dlatego namiętliwie pragnę publikacji
poprzysięga więcej nie publikować. Powiedziałem,
że przystoję jedną z wersji tej przysięgi.

Publikacja – to jest Aukcja –
Ludzkiego Umysłu –

Profesor nie pozwolił mi dokończyć.
„Tak” powiedział „Aukcja – aukcja, od sugere, auctum,
tworzyć, być autorem...”
„Wiersz!” „Chcemy wiersz!” zakrzyknęło kilka kobiet,

bo one w takich sytuacjach reagują śmielej niż mężczyźni, ale ja milczałem, a profesor ciągnął dalej.

„W „sacrum” ekonomia znaku została rozszczepiona, odlanjając podświadomości współczesności w burzynie komodyfikacji świadomości. Kiedy nasza autorka mówi „nie”, niezrefikowany tekst mówi „tak”, „tak!”.

Jego wargi pocałowały się, po czym wrócił do mnie: „A teraz, czy możemy posłuchać wiersza”? Odczekałem chwilę dla pełnego efektu. I nie podnoszę się z krzesła powiedziałem:

„Panie Profesorze, żeby zrozumieć Dickinson nieskonieczne trzeba wyrwać jej słowa z korzeniami.

Cezma najpierw nie spróbować jej *posłuchać*”. Lojalność względem poetki nie pozwala mi teraz recytować wiersza”.

Nie, tego nie powiedziałem. Zdąłem sobie sprząść, że chciałyby, abym go powalił jednym ciosem.

Więc rzekłem: „Profesorze, sądziłem, że ucieszą Pana słowa autorki, o której Pan wykladał, ale widzę, że woli Pan słuchać samego siebie”.

Nie, z tym się też wstrzymałem – bo usłyszałem jak mnie ponagla, abym zwiększył oburzenie w głosie i dodał treści do tej polemiki.

Wstałem tak, aby wszyscy widzieli drwinę w moim uśmiechu. „Profesorze”, mówiłem,

„mieszka Pan w Amherst w końcu dwudziestego wieku.

Dla Pana „aukcja” oznacza lokálną imprezę, gdzie, w letnią sobotę, ktoś zachęca

do podbijania ceny drewnianych kierzemek.

Zapomnijmy o etymologii. Idzie o historię.

W Amherst w 1860 roku „aukcja” oznaczała aukcję niewolników, durniu!”.

No, cóż, tego też nie powiedziałem głośno, chociaż wszystkie argumenty

po wielekroć powtarzałem sobie w środku nocy.

W rzeczywistości wstałem i wyrecytowałem wiersz jak uczniak wywołany do tablicy.

Mój głos stopniowo słabnął, a kobiety,

które przedtem domagały się wiersza

teraz myślały o sprawach

do załatwienia po drodze do domu.

Kiedy skończyłem, widocznie się

„Dziękuję. Tak oto widzimy, że co w pierwszej chwili mogło się

wydać jednoznaczny protest, jawi się teraz jako ambiwalentny,

samo-dekonstruujący się tekst”.

Ludzie wychodzili, a ja przeniosłem się

do tego wewnętrzznego sanctum, gdzie Emily

czasami mówi mi wiersz i naskachiwałem

co powie, na przykład:

„Dziękuję – Drogi – rodaku –

że chciałeś – śpiewać – o Mnie –

po tym całym Bełkocie”. Ale ona milczała.

Jedwabne bieganie

Mężczyzna w wełnie w czarnej jodełce i złotym sznurze pilota i kobieta w panieńskim ożywieniu, które obśgaga pasażerów nosiła w czasach świetności stewardess, przebiegają obok jakby właśnie wyskoczyli z jednego samolotu i podzielił skoczyć w drugą.

Absolutnie wyglądają mi na kochanków;

po tej werwie i lotności sprytnu

można poznać, że wewnątrz

biegną do siebie. Mężczyzna ciągnie wózek

z jedną walizką rzuconą na drugą,

a kobieta – mój Boże, trzyma w ruku

szpilki i biegnie jedwabnie!

Widzę nas, jakby zastopionych w burzynie

czterdziestoletniej whiskey z Tennessee

wlanej na konserwujące kostki lodu: odstawiamy

szklanki i bokiem, przez grupy

i pary nurkując, brzęczące

do siebie wymykamy się za drzwi,

zbiegamy tupiąc i stając przy dwóch piętrach schodów.

Pewnie się zastanawia, co robi żona,

k która została rozeźniana z młodym człowiekiem

wolnego stanu – kiedy ich nie znajduje

tam, gdzie ich zostawił, nie ma ich w kuchni,

nigdzie ich nie ma, wychodzą na korytarz i

słychy, jak na klacie schodowej dźwięczy śmiech

ucieczki z traskiem drzwi wyjściowych. Na ulicy

ona zdejmując buty i biegnie w potoczachach

– śmiejąc się i wołając *knit!*

jakbylny był czcieliśmy w transie biegnącymi

po plaży w Bon-Bora – ku takówce

rozświetlanej z tyłu czerwonym blaskiem hamulcowych.

Kiedy ja wypycham do środka, jakiś głos za nami woła

hop! hop! jakby odgłos strażaka, albo jakiś imię.

Przez tylną szybę widzę go przez moment

zastygłego z jedną nogą na chodniku,

a drugą w rymarkotu, z ręką na sercu. *Jadal jadal*

krzyczmym do kierowcy. Kiedy już byliśmy ze sobą,

ku naszemu zdziwieniu, bo przecież się nie znamy,

mój telefon także zaczyna wydawać mądostwo

niespokojnych, świegotliwych, szlachających dźwięków.

Stawiam go na podłozie z poduszka na wierzchu,

letniymi i z satyryfikacją słuchamy

jego drwówek, jakby były kulami dum-dum

przeznaczonymi dla nas, eksplodującymi w pierzu.

Ciędko mężczyzna truchlający obok trąca mnie w nogę walizką,

ale chyba nie zauważył i trucha dalej.

Czyżył goił tych dwoje od podniebnych rejsów,

których już nie widzę? Czy go zobaczę pod zamkniętym wyjściem do odlotu, zaszytego jak tamten człowiek, czterdziści lat temu, jakby zakłety w drewno i skazany przez swoich morderców na sprzedawanie cygar?

Choroba Parkinsona

Jedną ręką karmi go łyżeczką, drugą – trzyma za rękę, a raczej pozwala leżeć swojej dłoni na jego, która już nie stale się zacina. Kiedy odwraca głowę, ręką sięga dookoła i wkłada łyżkę po omacku. On nie przyjmie następnego kęsa, dopóki tego kalkiem nie przeżuje. Radosny grymas mówi jej, że krewetka, którą przed chwilą podała, jest smakowita. Obok głosu i dotykukochanych osób jedzenie to zapewne ostatnia ziemka przyjemność – skazaniec w celi śmierci zjada swój befszyk małymi kęсами i każdy łyk wina długo trzyma w ustach, jutro będzie za późno, już nie wystarczą z niego dzisiejszej kolacji. Głady wolno jego głowę, jakby osobno chciała pocieszyć każdy włos w zawstydzonym sterzący ze swego korzonka w popusztym mózgu. Stojąc za nim przytula policzek do jego policzka, całuje go w Żuchwę i wydaje się, że jego oczy przestają widzieć, a tylko promieniają światłem. Czy możliwe, że kiedy umrzemy, niebode będzie czasem pamiętania wiedzy, którą ciało miało od ciał? Ciało w jego twarzy jest twarde, pewnie od twardego wpatrywania się latami w innych, póki nie odstąpił, twarde, bo inni latami wpatrywali się twarde w niego, aż musiał odstąpić i jeszcze twarde o i ciągłej wrogości i radości i zmartwień i rzyku i zapewne wściekłych rzygnięć. Jego twarz mięknie w niepewnym skurcu, jakby inne zwierzę próbowało zdobyć umiejętność ludzkiego uśmiechu. Biorąc clastko używa przy chwycie obydwu kciuków i docimnąwszy do wskazującego palca zabezpiecza je tak, by dało się unieść. Potem ona prowadzi go do łazienki,

gdzie mu spuszcza spodnie i wyjmując pieluchę, teraz podtrzymuje wyłot kaczki przy zwidyłym penisie aż wystusia co może, zakłada czystą pieluchę i podciąga spodnie. Kiedy wychodzą, cofa się tyłem patrząc mu w twarz, trzymając za ręce, ciągnąc go kiedy staje, przypominając, że trzeba dać krok, kiedy zapomni i zaczyna padać do przodu. Prowadzi swego starego ojca w przyszłość, jak daleko się da, i w przeszłość, w głąb swego dzieciństwa, gdzie stała boso na czubkach jego butów i tańczyli fokstrota na tym właśnie dywanie. Obserwują ich bacznie: może go uczy ostatnich kroków, których kiedyś i mnie będzie uczył. W tej chwili on jaśnieje promiennie, jakby to miała być tylko mała dyslokacja, która go przemiecisz z tego raju do przyszłego.

Poryw

Czuję, że wysunęła się z łóżka. Znaczy, że jest siódma. Leżę z zamkniętymi oczyma, i myślę, może śnić, jakby wyglądała, gdybym przy śniadaniu opowiadał o tym ukrytym w niej miejscu, które jest dla mnie jak tremolo soprano i wtedy, przy grzankach z dzemem, jeśli takie rzeczy są w ogóle możliwe, ona by przyszła. Wyobrażam sobie, że byłoby to widać, a ona chciałaby to ukryć. Wyobrażam sobie, że włos opadłyby jej wokół twarzy i wyglądałaby trochę zasmucona, tak jak wygląda podczas koncertu, kiedy się wzruszy. Zabawa w sen się kończy i otwieram oczy a ona jest obok, tuż obok łóżka, pochyla się nad dolną szafelką przewracając różne gładkie, czarne, białe i różowe kawalki bielizny. Pochyliła się tak nisko, że płeć trzyma równoległe do ziemi i wcale nie chwieje, nie czuje ciężaru, dzień się ledwie zaczął. Dwa wzgórze mięśni do chodzenia, skakania, kochania wznoszą się ku wschodowi – cóż mogę powiedzieć? Uśmiech jest nieprzydatny. Nie ma nic podobnego do tych wzgórze na ziemi.

Jej pełne piersi zwisają swobodnie; brodawki sutków są mocno różowe w blasku bijącym przez żelazną kratę bramy do podziemi, u której tacy, co nie mogli kochać, cisną się z pragnieniem powrotnych narodziń.

Wyciągam rękę, chwytam ją za nadgarstek
a ona pada na łóżko i natychmiast zaczyna rozpinąć mi piżamę.
Potem, kiedy otwieram oczy, znowu jest przy łóżku
i grzebie w tej samej szufladzie.

Zegar wskazuje osmą, Hmm.

Potężnym, bezgłównym wysiłkiem wielkich
górzystych mięśni ziemia się ciągle obcina.
Wyciąga jakiś kawalek jedwabistego tkaniny
z szuflady i wstaje. Pod spadającymi włosami
jej twarz stała się cicha i zamucona,
jakby cały dzień miała, wśród obcych,
wpatrywać się w nasz porwy głęboko w siebie.

Z poematu

„Waż i szczygiel”

3

Ile w mnie zostało przywiązania do ziemi,
które wstyd i niechęć do własnego życia
i śmierci innych pochłaniająca cząstka nas samych,
wykuszają po trochu w drodze do momentu,
kiedy wreszcie wiemy jak umierać: czepiając się i prosząc,
czy z cichą ulgą, że to już po wszystkim,
gardząc sobą, rozumiejąc, że śmierć jest
zastuchaną karą, czy może jak stary pies,
już nie przyjmujący karmy, który nagle żarłocznie
wylizuje do czysta czubstą miskę, a następnego dnia jest pallada,
Jest w nas niewypielnienie – w niektórych –
tekstota na drzazgowo-czarną nośną,
gdzie odeszli ukochani zmarli i wszyscy
ciępiący i śpiewający, a niepokonani –
który uczył oprawców śpiewając „Idę do domu”
kiedy go linczowali na Lysej Górze
i żydowscy skrzyżkowiacy ciągnący smyczki
po strunach, aż ich powięzeczny głodem czy
wilgotniały i sypały iskry.
A przecież dobrze wiem, że tutaj jest miejsce prawdziwe,
tu, gdzie siedzimy razem osłonięci od wiatru,
przy bochenku wiewięjskiego chleba i pomidorach jeszcze ciepłych
od dalekiego słońca, i przy winie w kieliszkach,
one są dla nas górnym drzewem klepsydry,
co pomieści ostatnią godzinę danego nam życia.

przełożyła Agnieszka Salska

przekroje

Poeeci, poeci...

MAGDA OPOKA

ŚWIAT STOI PRZED NAM I POTWOREM

Marcin Świetlicki zaistniał dzięki Świetlikom. Aby uprecyznić zarzuty – wiem, że „BruLion”, że Milano, że nagroda Kościelichów. Jednak to wystarczy było (i nadal jest) znanie nielicznym. Świetlicki to przede wszystkim lider kapeli rockowej, której wyromowało krakowskie radio. To właśnie z etera młodzież poznała „najlepszego poetę pokolecia trzydziestoletniego”.

Ja także dowiedziałem się o istnieniu Świetlickiego dzięki radiu, a konkretnie dzięki ino-jemu przyjacielowi, który wtedy (w 1995 roku) służył tej stacji radiowej. Mój przyjaciel w knajpek wspominał o nastroju nieprzywykłym, a przychodząc do mnie już w drzewach zamachał, że dyktant kawa-herbata to odpada. Potem zabral mnie na koncert. Na scenie stał floret w czarnym podkoszultku i pałł papietory. Śpiewał, choć właściwie bardziej mówił niż śpiewał. Ale te teksty! Wtedy (a nie znam jeszcze twórczości O'Hary) wydawało mi się, że Świetlicki dokonał niezwykłego odkrycia – mówił po prostu o rzeczywistości! O ponach na koleżajce, o swoim stosunku do kapłanów, o najsmutniejszych wyrazach i o śniegu na ulicach. Lubiący patrzeć trochę poniekąd, bo Świetlicki nie lubi naszego świata i nie ukrywał tego. Jednak gdy znowu rozlega się muzyka, milbby wszelkie urzute głoby i wpatrz się w ubranego na czarno („Ju coś ma znaczyć”) wokaliste, słuchaliśmy. A on opowiadał o brudnym hotelu, o rozkopanych ulicach, o modernizmie (Medwile, że było to imię poematu), że te, o których wspominałem, znan już z późniejszych koncertów czy z płyt.) Po koncercie miał nie miał wątpliwości, że dzień, w którym Kraków będzie następną - jest już bliski.

Po takim wieczorne nie można z pewnością pić się spać. Przynajmniej ja nie mogłem. Zapocząknem sypiać. Dowiedziałem się, że Świetlicki to poeta, że nawet umany. Dotarłem do jego tomików i odkryłem, że Świetlicki pisze o tym wszystkim, im co ja „ciechaliśmy powie-ście, gdybym miała kórępy”.

Mimo popularyzacji Świetlickim wiadomo niewiele. Kładę się w ten sład pochodzi – można przeczytać na okładkach jego książek. Rezerwy trzeba odkrywać samemu.

Z terenów pozaliterackich wiadomo, że ostatnio Świetlicki poblował wrych sil jako aktor (główna rola w „Malizowanie” W. Smarzewskiego) i polityk – miał kandydować na radnego Krakowa. Zrzępnował jednak wczynie, bo – jak napisał w fałkie otwartym do „Gazety” – „koloduję się ze mnie śmiejąc, a syu ma problemy w zerołcu”. Świetlicki tłumaczył, że ta zabawa w politykę, to była tylko promocja *Piękną perfumy* (bardzo skuteczna, jak sam stwierdził). Powstał poeta.

Jeśli ktoś najnowszego tomiku można powiedzieć, że Świetlicki „obrasną” w legendę. I choć pomylbił się, bo Kraków ma już swoich właścicieli, to wciąż czuje się swobodny z tym miastem. Jedną takówką do „Zwisa” i z powrotem, pije z... (wierzech pojawia się wiele nazwisk), wyjeżdża z miasta, by wrócić. Poznaje to „co pomiędzy”, przed wiodonym kołchem.

Jedną z cenniejszych keniaków w Świetlickiego to miłodci. Choć może to za duże slowo. W każdym razie

Te powieści są historiami o kobietach i mężczyznach. Zawiesz

(Dziękuję za te historie o kobietach i mężczyznach)

(Dziękuję za nie!)

(Odkryli)

Te historie są różne. Układ ról – zmienia. Czasem kobieta to wróg, którego należy pokonać, choćby nowymi znajomymi, a które ona robi awanturę. Czasem przegryma jest mężczyzna, któremu kobieta krzywdzi w słuchawce, że ma go dość, kłosem opuszcza i nie chce ponownie „zdecydować, że nie”. Poeta nie zawodzi, jest jak ciemna i ciepła dłoń kawiarki.

Poeta pamięta. Na przykład, co zrobił z 20 zbrojnymi w września 1997 (*Heliosy, awanturami*). Ten kronikarski wiersz kojarzy się z wydania niedawno autobiografii Stanisła. Stał się doświadczeniem podaje ciekawych przedmiotów z przełomu lat 70. i 80. Czy zmieniły się wówczas wioły, wie Świątek ich nie zapomniał. Kronikarz lat 70. i 80. będnie już mieć problem. Dlatego zaprzecza od rana.

Jak na prośbę to Świątek się zadowoławca. Jak Złowaczka na kobietach i męskich dzieciach. (Wiele utworów jest oparych na słowach Małki, które nie miałyby żadnej trafności i zwiadowości. Małki, na przykład, potrafił znieść Nowy Testament w jednym zdaniu: „i wciąż powiększa swoją wiedzę empiryczną.

Z wykształcenia trudnyj sytuacji są trzy wyjątki: „amnezja”, „wychwał”, nie zarogawca”. To już ostrożność. Profilaktycznie należy zabrak dystansu do świata. Zakładaj czarne okulary. Paraskandaliści, to przez nie najwyżej świat, że Świątek nie jest ani wspaniały, ani raśnawy. Świat też przez nami potowem”. A Świątek ci pokazuje, jak go owoć.

Maciej Świątek, *Poeta profanum*, Wyd. Czarne, Czesze 1998, m. 64.

WOJCIECH KUDRYBA

GORZKIE „PRZEBUZENIE”. O WIERZKACH TADEUSZA BASIĄGI

Baszka ludna książka. Czyta się ją z różnągą ciekawością. Tadeusz Basiażki to autor jej bardzo dziwny: oprował wiersze wierszami w stopniu budzącym zdumienie. Wiersze są wypracowane, oparte na koncepcji (*Baszka* – czysto językowym – widać tu czyste Symborowski), polegającym na odwracaniu znaczenia. Jako debiutant Basiażki zadziwia amiezmożliwością konstruowania wiersza (powściągliwość, gradacja negacji, postać), a także miśnianie naczelnej „symborowskiej” *Alchemii* wierszami. Poetyka Basiażki nituje się między nadawaniem materii słownej a realną syntaktyką budową, dlatego też *Baszka* nie narzuca się sprytno od razu. To powieści, które daje nietylko efekt powadźności czytelnika. Głównym wątkiem poetyckiej refleksji Basiażki jest konflikt człowieka z czasem. Tak pisał w wydawniczej recenzji Przebudzenia J. Komhański. A jednak teniek nie ukazał się w wyznaczonym czasie. Wydawnictwo „Jakry” borykało się z różnami kłopotami finansowymi, autor zniechęcał się miał al silne odnoje walczyć o wydanie książki, wychodził z Krakowa. Ostał w Nowym Sączu i właśnie tam opublikował ostatnio swoją debiutancką zbroję.

Drzi czyta się tę książkę jako interesujące świadectwo epoki, która mignęła pod koniec lat 80. Rzecz charakterystyczna: daremnie szukać w tym zbiorze „beoprednis” odniesień do rzeczywistości historycznej. Motywy ówczesnej odośmienności pojawiają się tu raczej w otrybie tow. przedawień wierszów – w metafory, w poetyckim obrazowaniu. Mówi Basiażki o „juznizakurze iimnia” (s. 20), o „juznizakurze słabocioty” (s. 30), o „wylygimowianiu nadziei” (s. 17), o powrocie do kraju, w którym świadcze „Jut al ludów” (s. 43), a więc są „amiatnie z ludz” (s. 27). Najbardziej wyczerpujące odniesienia do spraw nurtujących nasze pokolenie w tamtych latach zawiera wiersz *Powrocie z historii*.

Ami
jak kapłany zbro
nucaczelnio poryty

– tak wtedy myśleli o świecie, tak przewidywali rzeczywistość ojczyzny. Lata 80. – pamiętaj o tym wywarłi użytkownicy pozycji – przyniosły ogromna falę wierszy słabych, al po przelotywano „ryny czepoczkowskie”, których jedyną wartością był mizaj lub bardziej

słazery patriotyzm. Na ile ówczesnej produkcji literackiej Przebudzenie, podobnie jak kłakawanie innych zbrojników z tamtego okresu, adwers dylabierca w przywywianiu realioł historycznych, poetycką powściągliwość – dolać do najlepszych artystycznie wierszy tamtej epoki.

Teniek Tadeusza Basiażki jest jednak czymś więcej niż jedną z wielu pamiętek stanu wojennego. Rzeczywistość historyczna, z jej barzkiej polityczną nie jest ani jednolitym, ani nawet najwzajemnym przedmiotem poetyckiej uwagi autora *Przebudzenia*. Barzkiej niż zbrojowość narodzi i jego dzisiejszych doświadczeń. Interesuje Basiażki jednolika i jej indywidualna egzystencja. Wielokrotnie natrafimy w zbiorze na ludy lęku fascynacji egzystencjalistów – A. Camusa, J. P. Sartre’a – wydróż się nawet i koncepcja człowieka wylinająca się z wierszy, zawarty w nich sposób odczywania swego wiole na wspólnotę z egzystencjalizmem i jego wrażliwością na „absz istnienia”, piękło czułościem, skandali cierpienia i imienia. Uwbery Basiażki polne są tematycznymi obrazami: „Boj bostie modułizacja wykręcona w ty głowę” – piaz w pewnym momencie autor (s. 25), odśladając: istota wiersza, w którym nie było poetyckiej wyobraźni. Na każdym wierszu tomiku pojawia się motyw jakiegoś „doświadczenia negatywnego”: zbroń Basiażki układa się w światła „czarną wyluzację” (s. 69) cierpienia, baktur, zabójstwa, zgniew. Świat, w którym porusza się bohater to swoiste inferno (por. zwłaszcza wiersz *Piekło*). To świat, w którym „koczowalność wliwają jego rzeczywistości” (s. 67), poosi depere „Jadła ojczymy” (s. 36), nieznajomy „kasznie oczy” (s. 27), to świat, w którym torturuje się „swiatła miedzkiego deliriu samienia” (s. 49) i podpada „stony mialnych mgłowo” (s. 22). Bohater lępnki wprawdzie do owego jednego miejsca „w którym świat nie tonie” (s. 42), wspomina „Jedyny dobry kwiat” (s. 41), zamiesz jednak poddany jest silnej presji doświadczeń zła, braku nadziei, rozpaczy: „Szklane odzicia w karofioramie listna / rubnego w przedlestu / narodzin” mówi sam do siebie w wierszu (*Zapowietz się...*) – przekazy o niemożliwym pdkuciu niezmierzającym nasze życie, nasz świat, nas samych.

Jak zatem mamy odczytać tyłową formułę zbioru? Nowojazę ona – przypominaj – do filozofii i religii buddyjskiej, jest jednak dla Basiażki raczej metoda niż pojęcie filozoficzno-teologiczne, nie ma ściślego, jednoznacznego sensu, staje się raczej polu-namitycznym zwoikiem cyklu, spaja wiersze zbioru w poetycką całość. Myślę, że omawia w zbiorze pewien rodzaj rozbudzenia wewnętrznego – skierowania na świat kultury (*wybaczyć*), w przemyśleniu i trydu mialnych wierszy *Bluz*, *Moskwa*, *Trzeci obok*, *Jezus*, *Kon’ Odołna*, *Święt*, *Julka*, potem na rzeczywistość, doświadczenia, a wreszcie na rzeczywistość posiadawioy. Bohater porusza się „wdróż chironami wtrub” (s. 32), „alchemii wdm” (s. 54), wielokrotnie pojawiają się w zbiorze motywy poszukiwania „rzeczki oty” (s. 46), ako spotrzępijącego samą istotę zjawisk, ogarniającego pełnię rzeczywistości, nie bez znaczenia są też motywy religijne, ogólnie zwłaszcz w *Różewcu*.

Poetyckie rozbudzenie wlotu wyczuwa na każdym z tych etapów podobieństwo doświadczenia na przykład w wierszu „Głęboko przetrwałem” – taką formułę można chyba określić zasadniczą tonacją otwartego tomiku poezji.

Tadeusz Basiażki, *Przebudzenie*, Wyd. Książka i Wiedza, Warszawa, Nowy Sącz 1997, m. 72.

RAFAL RYŻNY

IMPRESJE NA KONIEC WIEKU

Formowana przez Stowarzyszenie Literackie im. K. K. Baczyńskiego w Lodzi seria poecka ludna zwraca uwagę skrotno, nie oryginalną, bibliofilską odpycją. Wielkoczuwano okładka, a także wznęta grubo wia, delikatna, niechcący wielka czarna wierzchołki nakłowo niewywarłane co stannu w kompozycji. Działek może ten opta, ale trudno mi odwoływać do siebie wobec trudności, z jakimi sprządzić są sobie czytelnik książek owych pozostają. Ja sam mam załadowie trzy (na przeszło pięćdziesiąt) i żadna nie pochodzi z księgarni.

Każda natomiast jest debiutem. O dwóch miastem już przemyślowiż się na łamach „Frazj” i wstawił „Ody”. Pierwszą obiót wierszy Wojciecha Bonowicza czyta się niegno autora jednego z ciekawych dzieł młodych twórców lat 90. Rok północy (1996)

opublikowana Alicja Romana Heneta nie była już tak interesująca. Ale i rok chyba – pod programem debiutu – nie należał do szczególnych.

Vaterland Tomazsa Różyckiego czytałam jednocześnie z *Ulicą Gwarycką*, drugim tomem Mariusza Grazebaliko. To ciekawe, jak i ci którzy różnią się w podniebieniach, obaj proponując książki spójnie, z wyraznie zaznaczonym kontinuum zamyślenia. Obydwaj są we wspomnianych tomach katalanofiliem. Katalanofiliem Grazebaliko jest bardzo silnie, ale w wyznaczonych ramach katalanofiliem, opartym na przepowiedniach skrzypki i cętki niezłomnym w kato katantofiliem moralnym, opartym na przepowiedniach cętki i cętki dużej bolatona, z kato jego życia. Skrzypki odnajdź czytelnik w omówieniu Ulicy Gwaryckiej, które opublikowały „Kecy”. Katoantofiliem Różyckiego ma wyznaczyć bardziej tradycyjny, desygnuje znaki przychodząco do poety z wznawcą, że świat.

*Niedługo to osłoni się. Jak gładzie słowa, ciekawie
przeplądnie. Ktoś pisał się miłość. Zakłócić pozostanie
tę obok, lecz opowiedzieć obojętnie. Będą nowe,
caudnienie fatywy modlitwy. I może być –
należądy nowe armie, czasu i garsteczka wiatu.*

(To drugie życie)

*I znowu trzeba osłonić. Ty grabią wiatrowi, chorować się
głęboko. A może z imną króćwież. Jaka żyć, jakie i kochać.
Po spoznaczeniu nosta odchodzić nie wiodła, sąpkić
lupaci, pójmy z zachwyta.*

(Hyperbema)

*(...) Kawa otwieram szczyt, odwieram gazę,
otwieram oczy, i nie słowem. O, może być wiat,
zadawie, że jacych mieżcie.*

(Komicie wstępnie)

Omawiając twórczość młodych poetów mijałoby dekady, odwoływałem się często do ter Karola Maliszewskiego. Polemizuję z nim w książce *Pozostanie mi bardzo podzieleni* (1998) zapropozowałem podział młojaków na trzy kategorie z Nowej Huty. Jego – a właściwie ich, bo proponując byłą dotę – odmiennie wyznikał z odmiennego sposobu porzeczenia na wiarę: jako na manifestacji z jednej strony wznoszącej się przemawiającej podniecia, z drugiej – artystycznych przekonań samego autora. Te twożwa była na planie zaangażowania przed blisko trzema laty siatki krytycznej przypominają trochę normowy postaci Balazsa z *Straconych złobotw*. Tam mieliśmy romantyków i Klasycyzm, przy czym pierwszy był zazarem realizmatu, drugi natomiast liberalizmu... Wszystkie te projekcje stają się coraz bardziej powikłane, nieprzezwyciężone, stanowiąc by te może dowód przekonania o jednolitości literatury... I co za tym idzie – wyraz przyjąć odzwadzania w każdym pokoleniu od dawna tradycyjny na regał.

Niezależnie od tego, spora grupa młodych pisarzy nie przystępujących do podziału na barbarzyńców i klasykatów, zapropozowanego przez Maliszewskiego, daje się uściślić górzej na przecięciu tamych kategorii. Wśród nich znajduje się Tomasz Różycki (podobnie jak przypominamy tu Mariusz Grazebalik). Sądzę, że Maliszewski, z pewnością również Miszczyński Osk (jako autor książki *Autokrityka i mitologia*), nie zważałby się uściślić Różyckiego wśród klasykatów, obok m.in. Jarosława Kleinowicza i Roberta Miłobeskiego.

A jednak...

Bliskość i dystans, wygrzywane jednocześnie – oto co dominuje w tomie *Vaterland*. Wierza rozpadła, zagłady form, z jakimi zdążyliśmy się oswoić, ścierna się tu, niemal na każdej stronie, z przygodną form nowych, nowego życia; postawa fideiściowej rezygnacji nakładę się na pełne nadziei, może wręcz entuzjastyczną nadzieję.

*Na początku zjadła mnie, obryła słowu brzoję miasta,
beckomy. Głównie stawać podobać pod apokali (...)*

Świat jestczy się nie narodził, jestczy nie zwa swojego bieżenia (...)

(...) Z każdym odchodem karku się wiod...

(Wpłata)

Ale wszystko to zapewniwie jest jakimś szatastkim humorem, wypłatanym, by perhaps cytynika satysfakcji podporządkowania sobie wiersza, skolonizowania metafor rozrasyanych poród nich symboli. Bo wyznaczenie „Trochę śpie, a trochę cętki” ale klenie

wielę odkładam na jutro” (Vaterland) – nastane chyba żywcem wyjęte z nie zformułowanego programu „naszych klasykatów”, o może nawet „naszych barbarzyńców” – może maskowicie autentycznym walę, jaka toczył na przykład Czechowski, by trzymać się kręgu katoantofiliem. Lecz kiedy kilka linijek niżej poeta uzupełnia je skłoniw: „to jest zdecydowanie, walczenia, grałka solno na dwie popołno po spalonym mlecie, kłone/ sosze w publicku od zrywk”. To już nie wimy, co o tym myśli. Ja sam skłoniw byłem traktować Różyckiego jako jednego z niezłychych przedstawicieli muru kulawego, jegoż żmój odzwęg – ustył na jedne wszystkich o Robertie Miłobeskim, mriąo o Jacku Gutowskim – ograniczył dość krótko i rytmicznie już bardzo, po prostu nudnej ironii, do minimum. Jest więc dla mnie poeta serio, od czasu do czasu stając się przy tym kilkoma linijkami delikatniej kłoniw.

Następnie jego zwiady z „spęją barbarzyńcami” są raczej pokrótce. W omawianym zbiorze pokazują, iż za wyjątkowego niemal można zwrócić przynajmniej estetyczną. Dokładniej niemal wyszło może dalek do takiego przycięcia przekład. Słowe „przycięcie estetyczne” używam tutaj w opozycji do „wiersza”. „Roknienie wiersza za wyjątkowy” przynajmniej krytyka właśnie do „naszych barbarzyńców”. Weobec estetycznego przycięcia wiersz stanowi „wiersz – ale jeszcze-nie-ozwyzniona, skamiesz, niejako syntetyczna. Nowiziam mówią, nieznazę za wszystkiego” rebiliż już Skamiszdry, a projekt ten do skrajności doprowadzają, jak się wydaje dalszaci, także polscy. Czego się może być świadkiem – mniej wrażliwej widowni. A Viterland doskonale mała sobie bez tych dywagacji, które może nie są potężnie jednej czy drugiej książce (zwłaszcza jeżeli jest dobra), jednak wiarę w ich sensa weobec całoci powstającej właśnie młodej literatury.

Viterland to teksty napisane bardzo starannie, z czytelną intencją, lecz dalekie od jednoznaczności. To może zniechęca ich słabość estetyczną, zół powiadają: podniebioduchostwo, wymaczące klimat był poezji, wywołuje niezręczną tęgnotę za wierszem bardziej „zmiętkim”, intelektualnym, obawiającym mierzący się z światem końca wieku, końca milennium.

Częściowo odpowiadając jej ostatnie wiersze tomu, pozycjąją od *Półwieci*, w *żymym* życie. Wędy tu skłoniemy ustył, mniej poetyzowanie. Jest ich chyba o szpordziwając katastrofie, lecz nie ma stabo się zdajeżcie, a

*(...) Cierpienie odzwiera się tylko
na moment, myk rozpoznać mięzwa i opadają powłoki. Trzy razy
budej się zwa, nie wypowiadaj śladów. Za trzecim razem, jak wiam,
te matulacje już wczoraj uwiercił, dawno, jeszcze dawniej,
i pochowane może w innych miejscach, zamierzając przetrwać.
Od tego właśnie powstaniem zaczęło.*

(Jako niejedność)

Tomasz Różycki *Vaterland*, Światowzwanie Literackie i in. K. Białystok, LAI 1997, s. 48.

JAN WOLSKI

MIEDZY ISTNIENIEM A NICOCIĄ

Nielatwo obcować z wierszami Piotra Matywickiego. Opat, jaki każdorazowo pokazuje trzeba przebieżając się przez warstwę słownego jego utworów, jest ogromny. Ale trud ten warto podejmować. Poeta nie tylko nie dostarcza nam łatwych definicji swojego świata, w światła niedościgną ujęcia mędnymi swymi myślami i odrzuci, ale i nieuczucie nie zwrócić, zamawia ścieżki, miły tropu, badając w ten sposób – jak mi się wydaje – możliwości, gwałtownie pozuwając jak i interpretując, dła siebie i dla swych odbiorców. Tym, co najlepiej charakteryzuje jego poezję, co w niej najciekawsze, jest wyobrazienie. Ale to wyobrazienie trzeba dodać, iż nie chodzi tu bynajmniej o jakiegoś swobodnego fantazjowata, jakiegoś niedoścignego marzycza, a czyn wyobraziania w potocznym rozumieniu i bywa ustożkami, lecz o pewną szczególną umiejętność twórczego odwrzania i wyobraziania siebie nowych, nie zawsze znanych, ale możliwych relacji osób i zjawisk, będąca niczym innym jak próbą poznania rzeczywistości, jej istoty, podkrywająca chęcią zrozumienia tajemnicy. Śwobą czasu Kazimiera Wyka sążl terminu „zawo wyobrazienie” objaśnijając, iż jest to na pewno sprawa głębiej poznanej, każdej indywidualności poetyckiej, ale „poznanie rzeczywistości” to nie innego jak „poznanie przez wyobrazienie”.

W tym kręgu porusza się najnowy tom Matywieckiego Zyczenia, zymbolizując powrodo. Sądzi, iż przy całej odmielnosci tematów i kształtów kręgowych jego książek zawierają one pewien szczególny rodzaj kołcości, które prowadzi nas ku określennemu celowi. Stanowią ją wymiar, by tak rzec, choć to nie najlepsze określenie, „czystynielny”. Rodzaj jakiejś postawy filozoficznej, której z jednej strony próbą definiować powinnam, z drugiej zaś, równocześnie, przepełniona jest sioutinnym doświadczeniem ducha i ciała, urad i prozy życia, spontanicznością bycia w każdej sekundzie i chłodnego formułowania jego definicji i uświadczeń. Najgłównie natomiast czuje głęboką treść czegoś doświadczenia, a dopiero potem analizę, próby uogólnienia, nazwania. W ten sposób poeta stara się doświadczyć istoty i sensu, w ogóle głęboko, ale przede wszystkim swojego poetyckiego istnienia i trwania. Wskosi doświadczo bytowi i światu. A to dlatego, że nad życiem krąży śmierć. Chciałoby więc wzdnieć jak i dniego, bo poogno ledź, ale pójdź, aż życie to stan, który nieosiąga się między uświadczeniem a śmiercią. To tak jak z wykształcenia w tytule tematu miłości, która jest „zawycznajna”, bo oszdana w codzienności i w prymym sensie dostępa powozcznie, ale równocześnie przecież ma wymiar „ymbolizyczny”, które to znowu pomieszczają doświadczo o tym, że jest właśnie „powidziwa”. Bo w miłości, w której radość miesza się często ze smutkiem, istnieje wpatrowanie, zaś radość opiera się w jakimś sensie na wierze, bo trudno powiedzieć wszystko raz na zawsze i do końca. Bo także jest życie. Trzeba więc wgię przymować takim, jakie nadechodzi w każdej chwili. Trudno otrzymać skąpli jedyńj wyświadczeń. Ale szukać można jej wszędzie, choćby – a może także – w nichie.

Nieko miłowało i siebie wierzycim.

Bo przecież nie pytam. Bo tylko parzycim.

(*** stalem w głębiokości doświadczeń)

[Tu muszę dodać, że niezwykle ważne wydaje mi się, iż te dwa wersy są ostatnimi w całym, dość obczernym, tomie. Wyznaczyłbym im – jak i całemu wierszowi – rolę poetyckiego credo ich autora.] Zaufaniem i wiarą obdarzony zostaje ktoś (?), coś (?) nie dający odpowiedzi. A w każdym razie nie wprost. To, że się ona nie pojawia, może również wynikać z prostego faktu, iż pytanie nie zostaje właściwie sformułowane, ponieważ jakby w sferze uczuć i intencji. Miłknie ono zdaje się być tu najlepszą odpowiedzią. Skoro ktoś wierszem próbuje, obserwuje świat i siebie w tym świecie, musi zrozumieć, że jedynej jedynej i udzielonej raz na zawsze odpowiedzi nie ma. Ale może być, co nie jest wykluczone. Powiedzieć raz na zawsze i powiedzieć wszystkiego – wcześniej oczywiście trzeba poznać – się nie da. Poznanie, znowu jak miłość, „czemu nie się”, jest tylko przybliżeniem do poznawania. To stan przynależny czułościowym, permanentny i wieczny, a przynależnie tak trwały jak jego intencje.

Codziennie stąpając po ziemi, choć pełne pragnienia wzmiosłości, nie może pochybić się wpatrowaniu, nie może się wczuć bez nich obcy. I może obzaw, w którym daje się ulecieć, w którym nie mają już one mocy. Stanowi go właśnie owa przestrzeń wyobraźni, niepokojącej i niezmiernowocnej.

Najgłównie naczyła się przetrwać – półdniej oczy i nieśnie –

Wydobudziła się.

(*** cicho, cicho, piana znowa między lasami)

A więc wyobraźnia, opiesć tęga, że jest podstawową, coodą, dobową poezji, stanowi materialną powinnam, jest przydatą w imagerii się z codziennością. Pomaga także głęboko ją przetrwać.

Istotnie wydają mi się również refleksje poety na temat sztuki poetyckiej, tego po co, jak i dlaczego tworzy. W bardzo zwięzłym zarysowaniu wierszu *Bywawoz wziętowa*, w jego części czołowej pod równie zwięzłym tytułem *Ami powieca czułości*.

— Dlaczego liczy sięby?

Alby się w rymach podobać?

Liczy doświadczyć nie może sobie wyobrazić.

Dziwku liczy też nie.

W tym jest poweja.

A więc poezja jest to jakiejś swoickie rozumiane zderzenie tego co irracjonalne, podświadome z tym co materialne, zaczerpnięte z cywilizacji, zewnętrzne. Między tym, co rzeczywiste, dostępne naszym uogłwom, a kumulację się w doświadczeniu, a wyobraźni istnieje ścisły związek. Matywiecki światy te miesza, o konkretnym miejscu czy czasie

świadomości, uczucia pisze jak o czymś nierealnym, a znowu o wyspylnym kształcie, jakby go postzegal i doświadczał właśnie teraz, w tej chwili zmyślony w słowach. Może jest to jakaś próba ucielenienia przedmiotu i terminologicznej, której odległość poza czas. Wszak w finale wiersza *Sewobezwa* z proekcją emfazy i przekazaniem stwierdza:

I będzie jeden czas.

Poezja Matywieckiego nie odrzucają co do krytyki, raczej szczyfuje mowę niż stara się dawać jej odbiór. Ledwie coś obzawy, natychmiast szczęście to zakrywa. Dostrzeżenie to już głębi wymaga wysiłku, lekkość bywa na ogół trywialna. Nie powiem, by takie zmierzawia, ale stała jej eksponując jakiegoś dźwięku czasu przycięcia. Poeta troszkę w obczernianiu się nie fceci, więc nie, w różnorodności, nieświe – raz by trzech: bęgnawie tematu, odmieli uczuć, wielości możliwych odczytań, których poeta nam nie skłapi. Które wybrał?

Pierś Matywiecki Zyczenia, zymbolizując powrodo. OFEM, Warszawa 1998.

WJOCIECH KUDRYA

DOM, DWORZEC I...

Dom jest miejscem przytulnym. Dworzec przeciwnie – wydaje się raczej obcy i otwarty na przetrzał. Dom wpatulany jest „świadcim zapachem moim” (s. 14) i spokojem (s. 51), dworzec zaś górkim, niespokojnym zapachem kolejowych pokładow. Mieszajkę zbyt długą w domu muszę się o dwozwać – najlepiej doledek, niepomanych.

dwozcie: gdzieś na końcu świata tuż

jak w kolektoryzacji kolonnie plany

karawal w riu

w takich barach jedzenie pachnie

szczęści smoci garzota zapie

przerzycim się szpachem wiarna

ostrowajego kulejowa pokłady

— mówi poeta. Potęga między sprawia, iż dom jawi się niekiedy jako przetrzał „wymyjnawiana” chwilowo tylko. Wciąż jest on „całością”, „kontinuum”, ale traci już przecież swą moc przytulności. Życie rozpaczają się bowiem gdzieś indziej.

W tym domu jestem tylko kolonnie

gofim, którego za chwily nie będzie

gdy kamosi między się w czernach kszamach

gdzie krąży jeszcze oddech łyck, który odlezi

za kilka dni wradzie do portu

wywarzy w całości niepomany pomysłędy

a potem cieknie cynzelowa bycie gołdica

w życiu do wradzięcia

Kolejżeż nazwa, a także linie tramwajowa i metro mogą zatem stać się miejscem schronienia przed na wpoli wegetatywnym i biernym doświadczeniem, obzawem wprowadzającym w wżycie sposób i intencje – w jaki wprowadzić biologię, wżycie, przesiadający jednak doświadczenie siebie, rozumny zatem i refleksyjny. Wągoty obozowe – widać o tym wiersz podobał – są ważnym odrośmion doświadczeń egzystenjalnych, intymnym obzawem autorefleksyjnym, miejscem, w którym ciekniej niż gdzie indziej intencje przez zapadło naszego losu, przynajmniej się naszem życie. Wierszy, wzbawca dobowych, mówiących coś istotnego o nas samych nie czyta się w domu. Czynnem ten wiersz w pochwycie *tu jeden miłośnik* w którym mogę zastrzeżenie *tu nad sobą* – wymuje poeta. Dobrze wiersze czyta się w wagonie. Nie tylko wozem, czyta, ale i pisze. Kolejżeżże bywać między miłośnikami intymnym doświadczeniem. Metro iandkafico staje się miejscem nietycznym, ejozycywna poetyckiej wyobraźni – podobnie jak Ilin, Drohołyce i Litwa.

Wracajcie wiersze jakie napisalem

i jeszcze napiszę powstaly

w mieście gdzieś pomiędzy pamioty bridge

a w wielkimiobem obczem nie miotam

przy sobie pilna obca nie mi kyla

Miniaturowi komputerowi przypisałbym je
jakby były drożdżami jabłkami
z letniego sadu w porzeczce kieszonki
młga czerem, skądśkolwiek nieczym światło
w zwoleń i wysłanej na papier
z każdym trzasknięciem automatycznych
dźwięk londyńskiego metra.

Stajesz się podmiotami stajemy się więc poetami. Czyż nie wyzwała w nas podróż ukry-
tych mocy? Czyż sam tym kłó, zaplądła kulekowie nie wywołują w nas obrazem emocji,
czyż nie zaplądają wierszem? Kłóć wie, czy zapach smaku, miarowe kobawanie, kłó-
czyż obrzy prunkując jak nergas? nie wyzwalają w nas ukrytych mocy, nie krzeszą (skry
potrzebne), by załazi się wiersz? Kto wie, czy wielce szepcane w dalekobieżnych auto-
sach (jak choćby ta, iż „najlepsze drzewki na świecie są na górnym łące” (s. 18) nie mają
- wie o tym Paweł Szulgi - łaza, szczyt i tajemne zwiłki. Tak jest w każdym razie w
istocie jego wierszy. Podkreślę też poezję, poezja jest podróżą, wędrówką.

Władem czasem do lekkiej łodzi wierzna
opisaniem stopy a białe błoskno staci
kółka taracząc na twódku rzeźki
aż dółki zagłębłi zozła martwo
z wbiłego w porostom drzewca magacie
i rozczudł nakładzaby powoła na brzeg
władę anostą kłópkowaby wyścawa wroty
prąd kłóćm tye rzeka i pozostawa mi się pomieci
śladoko dalszego ładu

Odnosi kołczy się podłoty? Odnosi kołczy się bykoci? - Niech wolno będzie na
koniec zadać i tu pytanie. Chciałoby się na nie odpowiedzieć szczerze i prostodusimie -
w domu. Oto Odyś wraca z babilońskich krain do Iraki zapamiętując z wola o dawnych
podróżach; oto zagłębia się w leżeniu, oto rozprawa w rozmowach z krewnymi, oto
spotyka kolegów, którzy „nie wiedzą jak pió z facetem o dłańskich delikatach jak skłda
kiedas” - nie brak w opisywanych tonie podobnych obaw. Zastanawia i może nawet
domagają tu jest w nim jednak inny, a poetycki obraz - niosąc. Bo tak naprawdę
byćcie poezy kołczy się w miejscu autonomicznym i rzadko przez zwykłych śmieciuchów
odwołanym. Tak naprawdę fali podróżny rozgrywa się w przestrzeni chłodnej, w prze-
życiu rytmu i zapachach z dala niepoetyckim. Tak naprawdę podróż kołczy się w

Pokój w którym gotowały wierzce
jest obładowy jak rzębina
portu zamknięty w nąfta
w nocnym nie jest kołczy
od wypraszonoż zniecierza
z kłóćm odnosi ślody

(...)
jeśli się nie jest zdawne
przegranie się je i pokaje
w srebrne pudroło kontercy
kłóćm blyżczy podłobno łozym

w walcówce nagromadzić tajemni

Ręcznie pisane... tak brzmiał tytuł nowej książki poetyckiej Pawła Szulgi, która ukazała
się niedawno nakładem wydawnictwa „Miniaturowi” w Krakowie.

Paweł Szulgi: *Ręcznie pisane*. Wyd. „Miniaturowi”, Kraków 1998, ss. 40.

Stropowanie

W „Akencie” nr 4 z 1998 r. naszkicował antologii tekstu „Dramat Piłoccy na scenach pod-
kół” (s. 122) znalazło wyodrębkowane z *Młodego literatury*. Właściwie brzmienie nazwało:
Lidia Kuchcińska.

Autorkę i Czytelników gorąco pozdrawiamy.

(ml)

Prozaicy, prozaicy...

PAWEŁ PRZYWARA

SENTYMENTALISTA KRZYSZTOF VARGA

Oto może podróż sentimentalna. Po kilka latach, bez przysłów, którzy
wymyślił z tego kraju, lub udało się na emigrację wyemigrować, iż
większe kłóćm bierze: to jest.

(s. 40-41)

Dariusz Nowacki w jednym ze swoich esejów na temat współczesnej polskiej prozy
stawał rzeszenie pytanie, czy jej fascynacja techniką wideoklipu nie doprowadzi do tego,
że trytyk i trytykier będą oglądaniem rozkładni poezji MTV nie będą rozumeli danego
tekstu [pat. „Prasa” 11-12/1996]. W wydanej w najbliższym roku książce 45 powieści lub
powieści Krzysztofa Varga nie powoła się tak daleko, znaczący jednak punkt wyjścia
i deklara w jego uprawianiu literatury jest popkultura - zwłaszcza muzyka, film, fotografia.

Muzyka, jak to widać po tytulech rozdziałów (ale też po wściele wewnątrztrytykiowych
odniesieniach), pełni dla autora rolę narratorki, aspirując do wiary, do wydobycia
z etniczających go rekwizytów skrytych treści związanych z przeszłością, z tym, co
możliwe i niemożliwe oraz do deformowania rzeczywistości, wprowadzania jej do absurdu.
Film dostarcza Vardze sposobów ujmowania świata, ponownie na zmiany perspektywy
większej świata przedstawionego, na ilustrację „stop-klatki” oraz „zjęcia” (w tekście od-
nosi się na przykład pierwsze- lub trzeciobowebną barwą, zmiannami czasu gramatycz-
nego oraz spotywalnymi zmiannami w opisywaniu poszczególnych przeżyć, spotrzeb
czy zachowań). Fotografia z kolei (jak też obraz filmowy czy telewizyjny) stanowi pod-
stawowy materiał badawczy Vardy. Do niej odwołuje się przeszłość, zwłaszcza ta dawniejsza
[przełom XIX-XX wieki], do której sięgają niektóre opisywane historie, jak ta o twierca
rozczepionem się generacji „chłopaków” i „kóry” nie zbawca?

Varga nie opisuje realnego świata w sposób bezpośredni albo czyli to bardzo rzadko,
dotrzymując w oddzieleniu i zwykłości banal, miłośki, powtarzalność, rutynę oraz
przewidywalność starzeją się ludzi i rzeczy (np. s. 29-30). Mając do dyspozycji prywatne
rekwizyty udało odwrócić świat na różne sposoby, uchwycając w podobie fotografie,
skierując scenariusz przeszłości. Był może wyślich autora warto doemili choćby z tego
względów, że jako 45 podjętych dźwięcy tego samego świata. Pierwszy dźwięk się niejedno-
krotnie się nakładają uzupełniają, on oznacza wolność, że z kilkadziesiątem kawałków roz-
zaki daje się zmajstrować jedna literacka całość. Niewykluczone, że to założenie legło
w podłożu decyzji Fundacji Kultury o nagrodzeniu dzieła Vargi.

Posiadać dostęp do przeszłości (czy szerzej - rzeczywistości) jest dla autora pośredni,
nie dziwnego, że czuje się w niej obco, czuje Sztorkowiak zmierzanie: *Mnie nie ma w tym
świecie, nigdy mnie nie ma w tym świecie* (s. 27). Jedynym środkiem zapobiegawczym jest
czary, wnieśliż czary czary, podważana w wiatoła zabawa ze światem przypominająca
drażnienie kundla przez opozdzenie.

Dystans, jaki Varga zachowuje wobec świata, pozwala mu na przegładzenie się sytu-
cjom z różnych swów, oczyma różnych postaci (najczęściej bezimiennych), a nawet na two-
żenie zbitoczeń bohaterów (typ „mł” - pokolemie; np. s. 109). Rekonstrukcja przesz-
łości (tego - świata) ukazuje jest jednak na niepowodzenie: *Nie ma powoła, awierści,
niepowoła. Jest prima zmianna nęć, nie ma podłoty w czasie. To, co było, zostało zakłóce-
niami, wnieśliż czary niepowodzeniem awierciem. Nie małwa nieczym powołać* (s. 28). Jeśli
bowiem przeszłość czy świat jest zbiorem rekwizytów, to naturalnie, że brak w niej (i w
nim) życia, aktywności, żywiołoci. W niektórych momentach Varga kwitnie to odwołanie
surrealistycznymi obrazami „kopolujących ptaków” (s. 43) czy „kopolujących skielców”
(s. 131), *Chciałoby się, że przeszłość emanoje nie tylko brzdękami życia, lecz wprost
śmiercią. Tym, kim oni byli wczoraj, wy jako bledzieli. Dlatego tak kłóćm są same
fotografie, na których marwi kłóćm spotrzebnie lub wymyślone odniebiają się do
obiektywów* (s. 58, pat. też s. 43 i 83).

Mezłwia jest nawiązaniem do bohatera bohatera dzieł (s. 44-46). Niderlandy leżą jednak na antypodach codzienności autora, zatem nie stanowią właściwego dla niego osobistego historii.

W tym momencie stawiam sobie pytanie, skąd ten straszliwy przypływ w twórczości skandynawki Krysztyny Varg? Co z „obłąkami”? Wynika z tego, że nieprzepracowane się skłoty: obok są przepływały ciemny i chaos, mając kolory stracone zabawy i nie, dzieła, światła pełne i zgniewane wrodzić, nie wiadomo po co przetrwać księgi, które zostały się zapisania (s. 109). Wprawdzie rozdział 38 poświęcony jest balowemu, jednak błąd z niego raczej jest wynikiem niż euforii. Dekada partii skłoty czy (rozdział 45) – jeśliż wczół było to jedno spotkanie egzystencjonalne Varg, to chyba nie mógłby być w społeczeństwie, w swojej na życie i doświadczenie.

Nadać czyż rzyca zycia rodzinnego (s. 96, 99, 106). Jest uśmiech wyzyczny nie tylko u bohaterów doproszonych, ale i u pierwszoplanowych (bez ich ego autoru) powiada, że rzyca i światwidzi na 45 obrotów (bez podziału) jest mniej lub bardziej łagodne zobowiązanie. Świadził się po prostu filmem do obejrzenia z odpowiednim uświadomieniem, który u siebie autora może być sprzyjający (Varga przypływa nazwy zespołów i tytuły utworów ilustrowanych jego zyciem).

Skom i wieć jest filmem, to i literatura musi być filipendowa. W tym akta autor jest kontestacyjny. Ale nie zawsze skłoty perypetycznym (najczęściej zastosowane w rozdziałach 21, 36-39) idę w parze z lipiodukcją języka. Tam, gdzie Varga „stoję” się, niepowiedzenie (rozdział 39) historia nabiera tajemniczości i oddania pisarki zyb. Tam zyb, gdzie zwiada cynetyka z historią, gdzie poista z naga pokazując ją sprężyna w fiela przednia – autor może zbyt wiele i to w nieświadomości mięcijs. Tak jest choćby w historii z Holandią, gdzie obok dobrego zdania. Wzyciu, co się powie lub napisze, ma, jak się okazuje, wartość: narkotyczny podwójnie na widoków z walczą – figurę niepotrzebnie, komentarskie. Czczy wyrazicie i nieopracowane analizę całego zachowań, historyczny dykuzki, nieopowiedzialność i nieopracowane deklaracji (s. 46).

Zderza się autorowi rozmaite powołania pewnych okrelień (np. „moko” mogą być ocy, kobieta, miasto, siła, koncert, powieźta i pochalki oraz zrywająca kaski językowa (np. „anymiczny kawał”, „pełnia się zmiast”, „Judea sandy domów”, „wielki miedzopie”, „kobieta archetypicznie tajemnicza” 39), by nie rze – kity (np. „kobiety zmetropia” ma i zyb kłocia poligamicznych samotnych mięskich), czy „lecho oddajcie się między drzewami niczym cyklotornawo (s. 51-52). Można je spolegliwie potraktować jako zabawę z gazytym hasłem, jeśli nie wolno nagrodzonego zyb autora posiadać o warstwowo niedobrych czy leniwych (vide są B. Zadyary na okładce). Mój język cały jest zaswoiony gzytym kazyt, wymiame on na s. 88 – zyczy by było jedynie oddane przedziałki? Kto wie. Nie tak też podkreśla osamotnienia jak nadmiar przedmiotów dośkole.

Krytyka Vargi: 43 pamphlety na powieści, Wydawnictwo „Czar”, Czarna 1998, s. 142.

ANDRZEJ TCHÓRZEWSKI

BOLIVAR BOLESNY

Tajemnica późnego ukazania się w PRK – przedkładał wówczas książkę obcych była dość prosta. W każdym bądź razie zadanie książki ukazywało się nawet z drzewiennym ogólniakiem. „Norma” było 7-8 lat. Nie tylko w dziedzinie techniki odnowicyfikacji po PRK, sameż zaofernia.

Obocze reguła tryzyna się dobrze, chociaż wywołuje od niej jest coraz więcej. Nie waldeż to nich General w laboryncie (czytany z 1989 r., polski przekład – 1998 r.) – maczac powieści Gabriela Garcia Marquez, napisana już po Nobla (1982), ale poczęta z cudzego patrymali i detykowania pomyślnobdy Alvarez i Mulin. Nie trzeba wiedzy wny, aby upiść na porządku napisania powieści a Simone de Bolívar (1783 – 1830), słynnym „wywieściela” – twórcy wiela państwa Hiszpanozemery i modelu chankiem „miodowewego” Latynośm, wojakowym geniusiu, który swoje życie spędził z całe cywilnych i doprowadził do wyzwolenia kontynentu spod władzy Koery Hiszpanek, a w efekcie

został księpkim politykiem, bieżnie sprzyjającym rozpadowi już zacytowanych się Stanów Zjednoczonych Ameryki Hiszpankiej.

Słynny „Jut z Janaki” (1815) to arcydzieło mędrości, smutku i... pokroczki. Napisany po kłopotach, podkwa zełdani do Kingstona, także burzomiarzem, nakam biskupa La Casa i harona w Humboldt arcy przełożeniem mądrym, który miał nastąpić po zwycięstwach. Iżeszcz dżinaj jabszid Hiszpanozemery i poszukiwanie pobytowym zyciem nieznanego garyka intelektualistą. Między innymi Marquez, który stał się tymtym dżinaj prozatorski apoligii niezno „miodowecznego” wizerona Fiedla Castro.

Bolivar – mł, uczony przez Latynośm bardziej niż wiele świeżych, a Bolívar historyczny – to dwie różne postacie. Należyma, Marquez demitologizuje Jil Libertadora”. W sposób wiarygodny potoczny amtyczny. Trzyk razy, wyrobowany. Przed obchodami dwudziestolecia USA, miszający wówczas w Ryckie Głaz Vidla upublikował skandalizującego „burze a” – powieści o kandydacie na wiceprezidenta USA, dowódcy i pojedynkowca.

Pisany z myślą o „uczestnic” dwudziestulecia urodzin Bolivara General w laboryncie też przedstawiła Twórcę Niepodległości drugiej „Lopazę” Ameryki jako wielbiela niewiedzących wdaków, nieudzielnego kochanka wlokącego za sobą całą babinie, nie tylko twórcę generacji piosenek, wywodzących się z jednej rodziny. Trezba dodać: człowieka wielkiej odwagi i szlachetnej i cynika. Bolívar Marquez tak odpowiada francuzkemu krytykowi, narzucającemu sztafetaż, niestety to nie rewolucja, to było walki kłopotów (s. 162). Jeden ze współtwórczy generala był jego krytyk: „Kwas miś! Przekłócić ocyzmy” (s. 298).

Gdyby przyjąć konwencję Girardoux czy Ballestra – powieści Kolumbajskiego nieobity byłby może miastły tytuł Bolívar 156. Jak nadkreć zjadł Jose Ortega y Gasset największą trudność dla historyka jest odwołanie wiarygodności i sposobu myślenia potoczni działyż w przeszłości. Brakujące fakty można uzupełnić dzięki fantazji, dokumenty wypracowane na nowo, polując za sobą zdarzenia równocześnie, które w historii dafy się odróżnić, bez wyrażonego związku ze sobą. Jednak wiedzy wystarczającej z głębiąk zamocności epoki nie da się podobnie.

Należyma, General w laboryncie nie jest powieścią historyczną. Nie tylko dlatego, że autor wspomina o spókożeniu Bolivara z generałem Harborem – twórcą niepodległości Meksyku, który nigdy nie był rdzemy. Powieść zabudowy, dzielniki i postacie rozszywają: Sueno, Jose Palacios, O’Leary, Santander, Simón Rodriguez (główny Bolívar), San Martín... Znajdujemy również zgodne z historią pewną stwierdzenie, że Bolívar był masochem (s. 138) i miłośnikiem poglądów Rousseau.

Dałaj się już realia idowe. Niepodległościowe poczarki Ameryki Hiszpankiej, może również i Biznys, wyznacza spójny odbiór iświec odwieczności. Jednak nie doradzałym czytania Groszawa w laboryncie z monografią prof. Łepkowskiego, bo wprowadzić do opozycji historycznych nie dozwolimy się, że technicznie miał Bolívar (zanim O’Leary – 35), ale też nie natrafimy na „polki wadek” w postaci rozmowy Bolivara z pułkownikiem Napierkiem (7), weteranem Friedlanda i Lipska, pragmatycznym, wstąpił do armii kolumbajskiej (s. 193).

„El Libertador” Marquez’a to „morobudo” (żywy trup) najgęstszej z chodzeniem (s. 233) i cierpięz na sprzeczny, obstrakty. Prawdziwy Bolívar chorował również na hemofilia – prawdopodobnie – mchoty Nizaleczim i diagnozy dęgliwości, którymi oficjalna historiografia nie zajmowała się „Wywieściela” Marquez’a chce uciec „przed brudem i niezrozumieniem śmierci” (s. 260).

W tym tkwi cały Marquez, przypływający mita na sposób współczesny. Powieści, wspaniale napisana i dobrze zbramczona, zse odzuba od nas jednak wiela pytań o losy prawdziwego Bolivara. Nieufawliwa penetracja archiwów amerykańskich i angielskich przywróciła więcej Bolívarowi na temat polityczny (kaski „Wywieściela”).

Nie byłoby to jednak zgodne z poetyką Marquez’a, który kładąc stary stary wzory nowe, odpowiadając współpracęj waldeżi.

Bolivar – masom, anglofil i cięty przeciwnik prezydenta Jamesa Monroe, budzącej ofiarę polityki nie destruktoryczny sil wewnętrznego przywołania w ogarnięcie ludzkiej, jak tego chce autor General w laboryncie.

Chęć chęć Marquiza: General w laboryncie, przekład Zofia Wiatrowska, Wyd. „Miot”, Warszawa 1994, seria „Biblioteka Borzelewska”.

SZCZEGIŁNY FEMINISTYCZNY I INTELIGENCKI

Uważam się trzech książek stanowiących różne sposoby lektury miasta nie byłoby zapewne tak znaczącym wydarzeniem, gdyby nie fakt, iż dotyczy one Szczecina, który do tej pory nie doczekał się (z powodów różnorodnie politycznych) jakiegokolwiek ważnej próby literackiego owojenia poznawczego przestrzeni, a także zbudowania swoistego myślowego miasta.

Obie książki czynią to do pewnego stopnia podobnie. Przechłamią bowiem granice pomierzy estymacji i krytyki, fabularna, różnorodni godności literackimi, które dopiero w swej wielości mogą zdążyć się na teby ogólniejsze wnioski.

W *Miastu-ja-Miasto* perspektywa feministyczna pojawia się na samym początku. Oto poznajemy przestrzeń, w której narratorka mieszka od kilkunastu lat. Już czwarte zdanie przynosi zmianę znaczenia sposobu obserwacji. Wzajemna wzajemność ustają tymi: "Mrok omyśla, zmienia powoli, daje pierzeństwo zapachom. W upalny dzień i po powiedzeniu. Interesywa wóh, tymczasem stopiona w jedno, nierozpoznawalna" (s. 7). A więc to zmysły, nie intelekt, będą właściwym narzędziem pomiarowym. I tu, zauważamy, nie według trywialnej planistycznej doktryny, więc właściwy narzędziem – wzrok – ale inne, chciałoby się rzec, kobiece – zapach, słuch, smak narwet. Także poznania się opiewaniem przez fragment, czepki, które nigdy nie staną się całocią. W poraż – sugeruje autorka – trzeba opowiedzieć, ale to opowiedzieć (wartości autonomiczne, pewnie także przez wciągając się z nią przedmiot) musi się wyrazić przez indywidualną biografie, więc – autobiografie. Many więc w książce ponury takiej narracji, ale czytelnikowi pytającemu o prawdziwość przywołanych faktów odpowiada się tylko jedno: jest tak lub nie jest, to nieustannie, wadze, że się opowiada (*Pluście*). Jest to więc dowolność hipotetyczna, rozważania o domach, ludziach, fabrykach czepów napotykać we śnie czy poganiaczyni stanie owadomocne (*Słowoślow* dw.). O nich mówi narratorka-bolawka, aby tożsama z autorką, zdolnowiana przez wlane się, marzenia, wspomnienia, projekcje, jakby, które stają się dla niej bardziej prawdziwe niż to, co w rzeczywistości, co jest w stanie zobaczyć i dotknąć. Ale to opowiedzenie nieustannie tropiąca inne, możliwe fabuły, jakby uruchomić mogłoby pojawiające się na kartkach książki postaci, jakby sama chwycić się przed nimi, przed całą narracją, która mogłaby narzucać jej świat (*Wstaj-opowied*, by powrócić raz jeszcze), zmierzając go. Opowiadanie, które nie jest prawdziwe w swej istocie, staje się wyrażeniem manifestu feministycznej świadomości, bojącym wszelkie wzmożenie wrażliwości, nie tylko tej bliższej autorce.

Właśnie z tej przyczyny opiewany i obchany jest świat miejscowy i stworzone przez niego struktury patriarchalne. Jedną z nich jest uniwersytet. Poświęćmy mu tekst (*Uniwerysytet – wystąpienie na Kongresie Feministycznym*) i dobrze uświadomić obrona przez autorkę strategicznie nie analiza „kontentu historycznego”, ogólnych mechanizmów, ale opowieść o tym, w jaki sposób pewna karmicielka się wyraża, przyciąga przez bliździe, dostępność, niezmienność kontekstu wykładów i studentów, wraz ze swym sercem, przekształcaniem w uniwersytet-moche, które kierunki humanistyczne zostały zlikwidowane w „praktycznych kosztach”, zła i walory. Ewolucja zaś doprowadziła do ucielenia ideału wiedzy, kontroli i przemocy stworzonej przez mężczyzn i dla mężczyzn.

Co prawda *Miasto-ja-Miasto* jest manifestem feministycznym, ale jest to książka zamierzona feministyczną dekonstrukcją. I w tym sensie na gruncie polskim praktyczna. Obie podobnie jak książka historycznoliteracka Ingi Białasów *Kryzys w rozdziału Władzomierza Odgrywałego. Próba feministyczna*, Szczecin 1994. Autorka bowiem raz po raz przywołuje feministyczne stereotypy, hasła, slogany – jest ich świadoma i bezlitośnie obnaża ich dogmatyzm oraz wynikające z niego ograniczenia. Widąc to również w nieco ironicznie wydoskonalone wykreślenie podtytułu *Wystąpienie na Kongresie Feministycznym*, stanowiący oczywisty aluzję do tekstów Stanisława Leśmiana. Czyżby, w prezentacji autorki, sprawienie feministom bywało tożsame z fatalnością?

I wreszcie przy okazji dokonywamy się nieustannie różnorodnawienia (wrażliwości, opowieści, dyskusów, przesłania domowej oficjalnej) pojawia się cieleność i erotyzm, ekspresja kobiecego „przemian ciastem”.

O ile Ingi Białasów konstruowała swą książkę, a zarazem – sposób pojmowania rzeczywistości, wokół kategorii wrażliwości, o tyle Artur D. Liskowski zdaje się czynić to wokół erudycji. Sposoby korzystania z niej zdają się zresztą jedną z najbardziej intrygujących i kontrowersyjnych cech *Cahieru pami Kierck*. W tej oporycji wrażliwości i intelektu, pierwszasta żeńskiego i męskiego, jest chyba tak, że Białasów stara się przez zaskakującoznawstwo wyartykułować swą opowieść. Liskowski zaś – może mimowolnie – czyni w tym wyjątko, by wywróżyć się efektu niezakład obelgi.

Jego książka niewątpliwie wpisuje się w całą serię tekstów o utracie miłości ojczyzny, z powiciemni Grassa czy Huellera na czele, ale oczywiście wariata z historii Szczecina sprawiają, że niezmiernie trudno znaleźć stosowną narrację. Dzieje się trochę tak, jakby autor próbował mówić za grubożytnych szczecinian, spojrzeć z ich perspektywy. Tyłko że efekt powożony tego zabiegu zdaje się dość dyskusyjny.

Niekiedy natomiast cały przywołany przez Liskowskiego habet „inteligencji” erudycji kształtowanej przez licealne lektury z serii opracowańki na przykład, ponownie go funkcjonalizował, ale i tak ponownie, we mnie wprawionego co do zasadności obciążenia tym tekstem. Tam bowiem, gdzie oczekiwaliśmy się opowieści, poznawania się historii naprzód, przeczytamy sobie np. o historii wieżowego póra, wyłączenia papierni, produkcji porcelany... Dobrze, niech to będzie wprawdzie dopłone opłone dzięki do pełni, by czytelnik był dobitnie poinformowany o wszelkich szczegółach, by wreszcie zostało mu precyzyjnie powiedziane i wyjaśnione. Może więc – próbuję interpretować – ten artafab mi być znakiem tego, że opowiadanie nie jest możliwe? Ci wznak, którego wypłyde, swoją szczyt na opowieść nie mieli, a przybycie – jakby za nich podejmujemy taka próba, zwrócić się na tyle niezawo, że zamiast miła, który mieliby do zagroponowania ci piowari, ratując się opowiadaniem o szczegółach, katolowymy wylicznikami, przywoływaniem niemię mówiących nazwisk. Tworzy się przeto emensacja nare niemię mówiących, a przez to nieważność, nie ma stonających dla czytelnika punktu odniesienia właśnie przezobliki bądź fenomenologii. *Czy półobitawnyfik polihistor Theodoros Melachouris*, nad którym pracuje bohater *Wieżowego póra*, ma pełnić taką właśnie funkcję symboliczną, metonimijską poczucie nieistotności, jakie rożdzi się w kontekście z neologizmami przeszłości? I nie ma we mnie poczucia winy, lecz jest poczucie nieistotności, gdy zaglądam do suchylnych szaf. Ze w tych przedmiotach, jak na złomowisku, grzebię wznikiem. Jakby to był szaber” (s. 94).

Inna rzecz, że czytelnik, który przytacie narratorka na jakiejś nieistotności (a to także o tyle, że odwołuje się do wstia drzewim) natychmiast może zacząć domniawiać, a przez to przetyć rozważanie co do szczecińskiej opowieści. Tyłko jedno cytat tyłkiem przykład: „Wegan własny wyrażający pod dwoma postaciami – jak Cielu w tyłkiem i wnie? – kalitury i angustii” (s. 14). Nieformalność tego porównania jest tak oczywista, że pozostawiam ją bez komentarza.

Niestety, nie jest książką Liskowskiego próba zbudowania szczecińskiej mitologii. Sam fakt sięgnięcia po przeszłość do okresu niedożywanego o tym świadczą. Nie ma tu wcale miejsca z jego bodaj najpóźniejszej opinii humanizm i reformacji, sprzed powstania prakuskiego A – wónoś aluzji – sięgnięcie do niej stanowiłoby dość kuszące, możliwość konstruowania tradycji wolnej zniewino od niewątpliwie szatacznego dla pokoleń urodzonych w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych kompleksu wypędzonych i kryzysowości, jak i powojennych sloganów o słowotwórczości ery polskobolierii zam na Odą i Bałtykiem.

Ważną zaletą książki Liskowskiego jest bardzo subtelny rytm. Można się nie zgodzić z obroną przez autorkę perspektywy, można podważać w wątpliwość sens artystyczny, można, ale zapiekając się fragmenty da się zostawić z *Zagłady Piotra Sawca*, w który mająca marzanki katastrofist na gorzawo jest tylko np. obrazem ognia trzaskającego w kotłowni kupa dwiatowego.

Ingi Białasów: *Miasto-ja-Miasto*, Wydawnictwo „Kaino-Past”, Szczecin 1994, ss.104 (Biblioteka Stowarzyszenia Piętno Polskość).
Artur Daniel Liskowski: *Cahier pami Kierck*, Wydawnictwo Promocje „Albatros”, Szczecin 1994, ss. 180.

MIERZENIE SIĘ Z KOTEM

Antologia Trzynaście kotów, jak twierdzi w wstępie Danuta Glińska, zbiór opowiadań, który powoli głównie na zamówienie wydawnictwa. Tym opowiadaniem Maczka Alicja Andrzej Sieprawskiego był wyjątkowo drukowane. Autorami są także i cenięci twórcy jak (wspominajmy już) Sieprawski, Mieczysław Wolski czy Jacek Dukaj, ale także i debiutanci.

Można stwierdzić, że twórcy dość gruntownie zapoznali się z symboliką i mitologią związaną z kotami i w różnorodny sposób wykorzystali ją w swoich utworach.

W Kocie typu Strzał Włodzimierza Kalickiego odwołujemy się obrazu egipskiej bogini Bastet – pół kobiecy pół kotki, oraz znumifikowanej kocie zwłoki. Nie jest to jednak opowieść z czasów starożytności. Zauważamy się w laboratoriami, gdzie dokonuje się manipulacji genetycznych na ludzkich i kocich. Nudowaliśmy się – na zakończenie cytujemy: „nie ludzie, lecz koci, a może raczej analogiczne do powidzenia „diabeł wcielony” – wcielone w ludzi koci. Nieustrasze zauważają zwłoki z postawiającymi je przez daleki eksperymencem genetycznym, np. klonowaniem. Opowiadanie odwołuje się także do ekologii – tematu wciąż bardzo modnego i aktualnego.

Tę samą boginię wyprowadza do swojego opowiadania Inga Zółtkowska. Nadala jej imię Bastet, pozwoliła kocim się śmiać i opiewała ich kotem przegrymym wrócić do domu, gdzie „jak wszystkie koty – całą się bryząciami i dębem

Z innego mitologicznego źródła zaczerpnął Konrad Lewandowski. Tytułowy ryban-bogini Frei to nie inożyj jak element skandynewskich wierzeń w boginie płodności, czarów i wróżb, która jednolito wzmor zaprzęgnięto w koty i nosiła rękawiczki z kocich skórki.

Wierzenia te zostały zmaterializowane i połączone z losami parą bohaterów – młodego flozota Tomazsa Koblerkiego, który miał fatalność stworzyć życie wyjątko, imię imię funkcjonalizacja świata, oraz jego ukochankę – Oktavię. To ona swadła doborobnie do rybanu bogini, aby dzięki niezwykłym zdolnościom koców dostać się w wir pomarfanek i stać się bytem polifunkcyjnym (zmianką ze świata realnego). Czyni to żeby ocalić miłość i cyrystole tej miłości, która ze względu na małżeństwo Tomazsa nie może zostać usankcjonowana. Obowiązuje rymaki czerwonicy wymowa przegrywa za miły wyuznawików czarta, a Oktawia w swym postępowaniu przynajmniej Malgrada z Fauna lub Mistrza z powieści Michała Bułhakowa. Sam Tomazs wiezie ma wspólnie z „zaszalełym” przepięknym wywiad Bogu parady i uśmiecha, że do posępnicy kary.

Ciekawie mitologiczne analogie można dostrzec w opowiadaniu Usta Bogu Ewy Bisiolekiej. Tym razem natrafiamy na ślad wierzeń w wychowywane ludzkiego niemowlę przez zwierzęta. Tak jak nad Reumaltem i Remusom opowieść sprawowała wilczyca, tak Miał i Mała opiekują się kotka. Podobnie jest jak w rzymskim mieście dzieje zostają odwołane przez człowieka. Zobiasz przyprowadza do do kapłana. Ten zgodnie z wyobrażeniem jada i dźwięczny samże ze bogini. Myśli się jednak. Fraz-dawka bogini uwalnia wół (mimo myślny zastąpił). Bostwo nie może wiszć znowi wolić ludzi, mały był śdostęptose.

Zupełnie inaczej rozwiązał „koci problem” Jacek Dukaj. Wprowadzając nas w świat technologii przyszłości, sprawozdali świat do relacji przyręczyno-skutkowej, w której kot jest przyręczyno, wszystkie, rzeczy istywn centum światu – jest to walenie tych, których „jamenitarni” uległ uszkodzeniu. Wykorzystując ludzkie wyobrażenia o kociej doskonałości, przyręczyno radobie, doprowadzali do wiary w samogodność niezawalającego przenika kota w naszą podświadomość.

Na podobne cechy kociej natury wskazał – dodając jeszcze eleganckie, delikatne, niezależne, ale i dwulicowe – Piotr Gora w Ale kłno. Przeciwstawia koci charakter (tu podobny kobocemu) charakterowi swa (w osobnoim nowym przez męczyznę).

Charakterystyczne dla XVIII wieku, świeceniom w bajkach przez Ale Fontaine i spjżenie na kota jako okrutno, cyniczne, wyczerz mordoczożono wykształcił, idąc śladami Słowackiego i Edgaru Allana Poo, Marcin Wolski (Wolny). Kretulacja jego opowiadania brzmi: Zabójstwo (... kot w worła stanio agonyzm formi zrealizowalowego hologramu, wosk zaś (...) jest podłożem egzemplarzem cyfrowym).

Exiguizuje Dębki w Ana, koci dwu porozdziżerze kotka do oszkarżono kota. Siegnął do frondowitego przetrzeźwienia, że zwierzę to potrafi wyszć życie z ludzkiego

oddechu. Bohatka opowiadania, posiadająca właściwości telekinety, balustruje zwłoki matki, która prawdopodobnie sama zabiła. Dozwyczenia ma na imię... Kot.

Przewidyw podziw dla autora wzbudza opowiadanie Złote popołudnie Andrzeja Sieprawskiego, nawiązujące do Alicji w Krainie Czarów. Odwołujemy w nim kota z Chestera, który w powycji wyszczotkowanego narratorka-bohatera opowiada nam o wydarzeniach. Znajdujemy się w czasie przed napisaniem książki o Alicji Liddell, a jednocześnie w trakcie jej twórczenia i już po ukoczeniu działa. Mamy to do czynienia z walka Bohara (Chester) ze Złot (Kociłowa Mob) jej żwita Władów Seru i dożare Alicji. Wymy tych zmao jest zaskakujące.

Tędy opowiadani wykazywały swobodnie ludzkie wyobrażenia o jejetyzmym zwierzęcia, jakim jest kot. Razdli on wazchwałwem, łgry życie i śmierć, porwał przemienić się w inny wymy, jest wiszocy i niezmiennazdą, pigury i majstajemyca. Można się go bać, czad przed nim wiszocy, podziwować. Na pewno nie można postać na własnoci. Nikt nie odważył się odmówicowicowic zwierzecia, które od wiodów przynyka noża koty łmytymi ulizkami lub wygrzyna się na fotelu w promieniach słonecznych, cicho mrucząc, że swoje życie. Trzynaście kotów nie jest więc tylko książką dla smutków literatury science fiction. Nad „wirtualną rzeczywistością”, „zwyrodniałą wirtualizacją”, „trywymytnym postawczabnie pomszwalnie”-li, krópie duch bosko-szataniękiego sporu o losy ludzkości, bafiswocw i odniesienia do wielu mitologicznych symboli.

Opowiadanie koci. Antologia. Wstęp Danuta Glińska. Wydawnictwo „pogrzebacz”, Warszawa 1997, ss. 226.

STANISŁAW ROGALA

LUBELSKA ANTOLOGIA PROZY

Z okazji 60-lecia miasta Lublina i 65-lecia Związku Literatów Polskich w Lublinie, ukazała się antologia prozy *Otary zabytek* (obok antologii powieści *Wigwanie światów obaw*). Publikacja nie obejmuje całego frondrowa prozotyków lubelskich, ale doborz narawek jest dla tego frondrowa doborz reprezentatywny. Autorami wyboru – Matylda Włoha – są ci postawia swob przedstawianie „róznorodności tematyki i koncepcji stylistycznych”. Czy tak się stało?

Antologia prezentuje 18 autorów bardzo różny pod względem zainteresowań i sposobu prezentowania rzeczywistości. Wiodło wśród dominując problematyka wypracowana, a zbiór ówczesny Ludwik Grosz-Tikoło opowiadaniem *Okazje* do wspomnień i *Kolaborant*. Powraca w nich doświadczenia twórcy megalomanię problemów oskarżenia Polaków o współdziałanie w holococście, o kolaborację z władzami komunistycznymi. Marian Stanisław Hermaszewski w *Terminasie* pokazuje wewnętrzną przemianę takiego „Jabłobania” w przykładowego chrześcijanina. Do mara obraczkawczego z czasami stalnicowymi nawigacji również Apolinary Nosiński w opowiadaniu *Wzmacnianie kwilgacja*, jakiej poddawana jest przede wszystkim inteligencja wykształcona, przedstawiona jest w tonacji grotesku. Potrzebność „przełoga ludu wiejskiego” może komunistycznej ideologii, pokazuje Stanisław Andrzej Łukowski w opowiadaniu *Święta renca*. Czas wyciury, problem „dziki Zamieszanie” ciągnie się za bohaterami fragmentu powieści Zbigniewa Kosińskiego pt. *Ry nie pałd grom*.

Kilkostronny w omawianym zbiorze pojawia się problematyka religijna i cosny własnego życia, wiodąc zbliżający się śmierci (Urszula Głuska – *Masak*, Matylda Włoha – *Piękno*, Elżbieta Cichła-Czarniewska – *Dom (później zbudowany)*). To szczególnie trudne i bolesne problemy, bo sąją wobec nich ludzie stary, często chore, niedołężni, bezradni, zdani na zwierzęce instynkty swoich krewnych (tu M. Wólty, E. Cichła-Czarniewskiej), oczekujący najeżyczenia na śmierć. Los starych niewolnie zmienił się od czasów *Otkrycia Rzymu*. Problemu śmierci, w płaczącyż niezawziętej obywatelności, dotyka opowiadanie Wiesława Michałkiego *Złota mascha* – groteskowa przegrzyda z ręką parzący nieco łagodni „groźni” popołudniowego spala.

W wiodowym składowym się na antologię *Otary zabytek* problematyka psychologiczna miosa się z obyczajowa. Dla E. Cichła-Czarniewskiej prettekstem do pokazania złożoności psychiki człowieka jest dziejeżca zabawa – koleżka. Buduje wokół niej cie-

kawa i wznosząca fałszywą wykorzystując paraliżem zdziwe. Zawleki cieniem duszy mieniący pokazuje S. A. Laskowski w utworze *Spożyciel*. Akcja opowiadania dzieje się w czasie wykorzystywania do takich celów miejsca – w wioskiej celi, a *Zwandy* bohater ma swój dzień sabbatu i „peka” przed wyprzedzeniem dołki. Typowymi obciążeniami obyczajowymi są prostaute ujęcia tego autora: *Siewca seneca*, *Człowiek z Arizony*, *Kobieta i leśniczy* (motywy często pojawiają się w literaturze, lecz w jej realizacji osadzone nie na parallelizmie lecz na przeciwieństwie zachowań natury, co stanowi o oryginalności tego opowiadania).

Ciekawe, osadzone w współczesności, są opowiadania. Tadeusz Czajka *Tworzył odbitą w bezciele* (uwolniony oparty na prostym motywie przypadkowego spotkania leśnicza z małarką w „hazyrdnym miejscu” podczas urlopu, lecz rodzący się młotek w jej realizacji nie znalazł smutnego rozwinięcia). W. Michalskiego *Żółta* (motywy wydłoty przedmiotem – *szały* – jest ilustracja przemian politycznych i społecznych dochodzących się w kraju na przestrzeni wielu lat), *Sar* (skrótko opowiadanie z przekazu do biblioteki uniwersyteckiej szczególnie cennego księgozbioru) i *Kory w Hądogorzy* (niezależności i osymptomnej przejażdżki snob). Natomiast fragment autorstwa do szkoły powieści Zdzisława Waldemara Okonia *Konwalia* i *działka Tułaję* jest bohem złośliwym maszkarobu Pilsudskiego. Jeszcze inny charakter posiadają opowiadania Mirosława Dereskiego *Bańka i Puzycy*. Są to urokiwo opowieści „z muzyką” o kawalerzyjskim koniu i o koczce. Mają one charakter biograficzny z przywołaniem historycznych postaci (np. Jerzego Zagórnego) i męskowatą warstwę reportażową, która ujawnia profesję autora.

Okol fabularyzowanych utworów o tymczasowej współczesności w antologii *Ostry zabary* zamieszczone zostały utwory oparte na innych zasadach kompozycyjnych. Trzy opowiadania Zygmunta Michalskiego (*Od łoskwi wjeździ*, *Kwiaty za żyłką*, *Ułoty*) są zbudowane z wykorzystaniem techniki szejczek. To miniaturki o starości w pierwszym przypadku, o kwaciach ich wrażeń estetycznych i funkcjonalności w kulturze artystycznej – w pozostałych przypadkach. Wiele w nich autorstwa trybun.

Filozoficznym dywagacjami przeniesione są utwory L. Gierzona *Zdobyli w głębi egiptu* i *Korzenie zła są w sobie* (utwór *Ciekawość* jest typowo humoroidalny). Trochę satomatni narzaw i bliżej określonej gatunkowo utwory Pawła Gemba *Moskwa* i Henryka Makarego *Kafe*. Obydwe publikacje są fragmentami większych kółek. Utwór P. Gemba zachował szczytów fabularności, ale jego wymowa jest bardzo metaforyczna. Natomiast *Kafa ziemska* Makarego to skrajnieżono opowieść stylizowana na biografie, w której elementy poetyckie przeplatają się z reportażowymi, powstawa z ironią i bluznami, przeto są imitacjami.

Oczywiście elementów poetyckich jest również wiele w utworach innych pisarzy publikowanych w tym zbiorze, np. u Michalskiego, Gierzona, Lukwińskiego, lecz nie w takim stopniu jak u Gemba i Makarego.

Dziennikiem pobytu w Stanach Zjednoczonych jest utwór Henryka J. Kozaka *Ameryka, dołary i...*. Jest to rodzaj dokumentu obrzucającego żyłe Polaków emigrujących do USA w latach 80. Lekkie tego tekstu nasowa brzmią refleksje o mentalności naszych rodaków i ich losach za oceanem.

Opisem problematyki współczesnej bogato przenawom jest w antologii problematyka historyczna, a właśnie pisarstwo historyczne uważane jest za mocną stronę lubelskiego środowiska. Tu należy wymienić Longina Ana Gierzona. W antologii zamieszczone zostało jego wielokrotnie już publikowane opowiadanie *Tragiczne dzieje Anny* (wzmianka) okazało się pod tytułem *Wiosenne dzieje piątkiej Anny*, w którym romantycznie jęczy uczuć przepięknie są ukonywmy filitami, co ładnieczy się „Jasminem” i „makiem” sen. Jego główna bohaterka – Anna Maria z Gronowickich Czapkowskichwa (prez. Zamaryńska i Labo-mirńska) – może uchodzić za femme fatale, która jednak ponosi zasłużoną karę.

Obok Okonia piątce utworów reprezentuje Ryszard Jegorow. Przeredukowano tu fragmenty jego powieści *Pierwszy serwa* odwołujący się do czasów powstania styczniowego i na Lubelszczyźnie i Kielecczyźnie. I u Okonia, i u Jegorowa zauważa się podobieństwo w dynamice akcji, *częste zmiany fabularne*, dość przejrzysta konstrukcja i charakterystyka bohaterów.

W antologii *Ostry* zabary może nie dać się dostrzec „ostrego zakętu” w tworzeniu nowych form czy tematyki, ale uplabkowano tu utwory autorów doświadczonego, o boguym dorobku i dużej sprawności i wiarze. Dlatego poszczególne teksta odznaczają się przemyślaną koncepcją, a ich język może uchodzić za przykład prozai, poprawności i klarowności. W większości przypadków utwory te są mocno osadzone w doświadczonej i twórczości poszczególnych autorów, są dla nich reprezentatywne (L. J. Okoń, Jegorow,

Derecki, Mikulski, Kołmiński, Weh). W niektórych jednak są wyrazem poszukiwań artystycznych (Gierzon, Makara, Lukwiński). Ich formy (opowiadanie, groteska, humoraska, refleksja o charakterze esej, reportaż, fragment powieści) wskazują na różnorodność wypracowań twórczych iłotną z bogactwem punktu widzenia.

Ostry zabary: Antologie wypracowań prozy, wybór, wstęp i biogramy Mariusza Witka, Lublin 1997, ss. 236.

OLGA BIAŁEK

„DROGA” CZYLI RZECZ O DYLEMATACH WIEJSKIEGO NAUCZYCIELA LAT STALINOWSKICH

Ukazała się wreszcie zapowiadana o długo w oczekiwaniu Lublinie ogólnopolskim konsekwencje pi. Droga, wyróżniona w 1988 r. w ogólnym w Lublinie ogólnopolskim konkursie literackim. Opowiada o losach wiejskiego nauczyciela w pierwszych latach powojennych. Rzecz dzieje się w swej Zakroczym, sytuowanej w górze na Lubelszczyźnie. Nie zachęca się tu jednak wcale najwłaściwie. Podobny spłot wywodził mógł się wywodzić w każdej innej miejscowości wschodniej Polski, czyż wreszcie tam, gdzie dotarła wojenna zawieruska, gdzie w lasach byli partyzanci, a po 1944 r. ciągle problemem było ustalenie kto „wuj” a kto „wujek”. Mieszkańcy Zakroczym nie odwołali jeszcze z przesyły, jakie przyniosły im lata okupacji niemieckiej, a ich masa ponownie walczyć o własną tożsamość, pogłębiły i znieży.

Nowa władza podzieliła bohaterów na doberych i złych, białych i czerwonych, kulików i makrolników, AK-owców i pongowych wotarych, reakcyjność i ZMP-owców. Nie ma tu miejsca dla „normalnych”, wszyscy muszą się za czymś opowiedzieć, przynależać do jakiejś grupy. Nikt nie powinien się odmieć, wypasć przed siebie.

Mimo to w tej dwubieżnej rzeczywistości pojawia się ktoś, kto próbuje żyć inaczej. Jest to główny bohater, a zarazem narrator powieści. Młody człowiek, dopiero znajdujący swego miejsca w powojennej społeczności. Całkiem przypadkowo, przez po maturze, zostaje wiejskim nauczycielem, właśnie w Zakroczym. Od tego momentu zaczyna się jego dorosłe życie. Próbuje pozostać w zgodzie z partią i z własnymi przekonaniami. Jak się okazuje, jest to jednak niemożliwe.

Przedstawiciele władzy nie chcą być na kompromis, nie uznają innych racji niż swoje – czym uznają do siebie ludność wiejską „Potęgowi”, czyli przedstawiciela gminnego ZMP, jej był oświatowy, czy nowy sekretarz gminy wchodzący niechęć i odrazę. Każdą się z partyjnymi zobraniami, narzucaną siłą kolektywizacji.

Młody nauczyciel mimo woli uczestniczy w szumnych obchodach i ma, przeto, wycie skośmienie w rocznicę Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji październikowej. Ale przede wszystkim obserwuje otaczający go świat. I ku zgrozomie przetransmis dostrzegł głównie jego absurdalność. Co więcej, sam doświadczając ich na własnej skórze. Będąc jeszcze w gimnazjum został aresztowany, miał bowiem „niezgodzić” był system słowna. W Zakroczym już pierwszego dnia „odpuł” miejscowej władzy. Zamiast prowadzić lekcję, pozwolił dzieciom iść na „podwórko”. Co gozeta, sam w szim uczestniczył, a nawet widziwo go koczowł kociołki! W późniejszym czasie, gdy zastał chłopota Płoty, został pomany o prowadzenie nielegalnych zgromadzeń. Powstał rozmawiał z miejscowym księdzem, uszony został za kłeryka. Najbardziej jednak nie podobał się fakt, że przez cały rok nie wypchnł PZP-owskiej deklaracji.

Niewiada była tak odważnych, był walczył z zakłopotanymi „jedomcami”. Zwiększono nowe, komunistyczne władze oblażył wystąpił Sek. Sek. czyli Różek Boguski, jak sam o sobie mówił „mój makroelony chłopca pod Włodzimierzem”, został wykorzystany przez autora *Droga* in obłudny prawdy, wolności, słowa, starego paragrafu. Samotny partyzant, był znośny 27 Września Dwiżygi. AK nie chce się poddać reżimowi – to oznaczaćby utratę idealizmu, w imię byłych walczył z Niemcami. Jako ostatni sprzeciwiały była się po lasach, „za złe karę, a za dobre wygrażasz”. Jego postaci, okoliczni chłopci otaczają legendą. Jest ich romantyczny bohater, jak Don Kichot.

konflikty wewnętrzne. Znany filozof, które popadają ze skrajności w skrajność wyszły jednakoż na okazjonalne cokoły – funduje tyranoń lub w imię dobrej całej ludzkości wzniesły kolejne rewolucje i następe wojny.

Stosunek całości-części (jednostka-powszechność) należy do podstawowych kategorii filozofii. Przeprowadzając się do świata płaszczyznach jednostki, religii, czasu (wieczność-chwila), człowiek-kontes. Ostatecznie jednak to pojedyńczy człowiek dąży w siebie świadomości ogrogu wzręczaczy i różnorakich przeciwiawstawiak, jakim podlega. Całość Prawdy może znać tylko istota doskonała, nacwiprzyją ją Bogiem. Czy można zatem winić człowieka za pesymizm, który po czasie ogarnia, gdy rozum, który bądź co bądź posiada, ma słabyż nie ostatecznie, nie w pełni trudach kłębienia, do ostatecznej kontakcji, że nigdy nie zrozumie, nie ogarnia całości, to jest zastawiona bowiem wyłączenia dla Stwórcy. Tę tażby dokuczliwą w naszym życiu codziennym niedokonałość Stwórcy zrekomponował nam uczuciami, bez których człowiek nie znalazłby ciężara utrzymania, wyposyłał nas w więzi, nadzieję i liczne odmiany miłości. Może jeszcze pokora, która jest najwłaściwą postawą artysty w obliczu ogrogu różnorodności stworzenia, które stała się nasładować czy odwrócić w swojej twórczości (w czym utwierdził mnie ostatnio Wiesław Myśliwski).

Jamny ogień świata, postawę adoracji, umiłowania piękna, choćby w dostępnym, złotej chwili, otaczającej rzeczywistości Pacholki przeciwstawiła „kacykowi manichejskiemu”, który jest niczym innym jak melancholia, w terminologii gortaku zwany mniej ładnie – depresją. „Starem się tak słaby, że jaksakolew aktywność wydawała mi się niemożliwą, a narazem daremna i bezsensowna” – to typowy i częsty objaw tej choroby. Poczucie bezsensu, lek – depresja, to przypadek jakiego powszechnego więdłowidru i nie tylko, według statystyk osiąga tę obojętność ok. 10% populacji. Na przeciwnych biegnących jej nastrojach zawsze samotny twórca popada w otępienie, prowadzące w czułość utraty woli życia i tworzenia, a więc dla artysty racji istnienia. Witkacy, Żechowski, „kaczeni manichejskich baskylem”, walczyliz z nim bez powodzenia. Zastanawiam się, czy ostatecznie istotnie jest co mobilizuje artystę: zachwy nad pięknem obłąkowego ciała (jak w przypadku Kawafli), lek przed niebytem, słony smak chwila (tu powraca do Buñuina), istota wartości utrzymania jest tworzenie, kto sobie to w pełni uświadomił, gwałt jest postawie na jednej szali życie i kawałek doskonale oddanej na płótnie, złotej chwili.

Pacholki, urodzony i zamieszany szperek, filipi, tropy i stara się z pałą i niekłamną erudycją odwrócić nastroje twórców, stara się już nie tylko zanalizować konkretno dzieło: wiera czy obraz, ale doświadcza istoty jego wewnętrznej formy, koloru, kształtu. Dowiadujemy się zatem, nie tylko co namalował Żechowski czy Zenoak, ale nawet jaka była ich intencja (no tego czasem nasz artysta nie jest świadom, gdy obce znaczą nim kierując), ale co leżało u podstaw charakteru twórczości, owe bieguny między kłębny zrywk oswyłow.

Ostatecznie Pacholki nie pozwala sobie na jednoznaczne oceny (wrodzona dbałość o zachowanie smaku i niezatrącanie proporcji), tym samym nie jest do końca za ani przeciw. Jako historyk dzieł sztuki i wyznawca z tego wnikliwi na sztych czystości. Poza tym nacła się ławi, a to uprzejmość w papierkach nieczyjącego obłąkowego piana-matuzymczyka Stanisława Kłuczka, a to wzruszenie w madowicznych „odstępach bieszczadzkiej głuszy”, to mów w eperze poddając się stręczonyj magli bakowatego spłatkaka.

W wesejach Pacholkiego znajdujemy stożową lekkość pióra, pożądaną lekwość w poruszaniu się w różnorodności zagadnień, co graniczyż znamal (bardzo istotno podkreślenie) że zrzecenie dozwolana nenażalność. Może dlatego tak dobrze czyta się *Pacholstwo Stworzenia*. Dobre są i sytuacjami, ja laktana porażające żarost powszechnego magmatyzacji i pominięcia gortaków literackich. Wyraża tęsknotę do czystości i przejrzystości formy Pacholki jest rasowym esnialą. Także dlatego, że w zgłębieniu tematuów, artystycznych analiz nie stroni od życia. Jest na odwrót, znać to pulsujące tętno tenzjażkości. To bez wątpienia wpływ szkoły mistrza Montaigne’a, którego ducha i literę nie bez powodu na naszym wstępie przywołuje Pacholki.

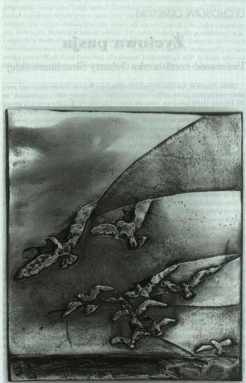
„Jedna kwestia, z którą nie do końca potrafię się zgodzić, to teza o jednowymiarowości miłości. O ile aprobuję słowo Jose Ortegę y Gasset: „Miłość jest dokonywanym pragnieniem pragnienia, cale bowiem okazuje się aktywizacją, działaniem. To nie przesłonił przybywa do miłości, ale właśnie ja zmierzam w jego stronę, po czym staje się jego częścią”, Pacholki idzie zbyt daleko piasząc: *Ow przed – obejmuję, czy przepływa od człowieka do człowieka, od człowieka do Boga, czy od Boga do człowieka – nie może płynąć w próżni. Zamykając namknięcie, cieleśnie piękno – nie leże, po których biegnie prawdziwa miłość. Czy uważa tym samym, że pozbawiona zmysłowości miłość nie jest miłością?”. Miłość niejedno ma imię – głosi sloganem popularnej piosenki; tyle jest miłości, iza jest doświad-*

czonych tu iluminacja i jak różnorodno bywa spojrzenie na najdomojszejszy z aktów stworzenia, jakim jest człowiek. Wszak tę „zależną odwołania” książki poznaże indywidualnie i niekierowniczo za pośrednictwem czy z odbiciem rżaku. Cóż, nam porostaje, stałe to samo, niezmiernie i nieodmienne: le style c’est l’homme.

W *Pacholstwo Stworzenie* Pacholki wychylała z reagującą należnym traktowaną materii naturalka urody życia, nie złudne i doradne przemyślenia.

Jego książka jest jeszcze jednym dowodem obecności ciepłokłębnych bóstw, przysymajnej w literaturze.

Arkadiusz Pacholki: *Pacholstwo Stworzenie*. Tytuł i szczeg. Okładki, słowo-broszura, 1998, s. 148.



Jolanta Słomińska: *Przeobrażenie*, 1998.
Plakietka jednostronna, mosiężne lany, patynowany, 13 x 15 cm.

plastyka

LECHOSŁAW LAMENSKI

Życiowa pasja

Twórczość rzeźbiarska Jolanty Słomianowskiej

Lablin, Otwińsk, M. Konopkińskiej na LSM, Ulisa Pana Balcera, Dobieszycopiętrową, czary Biał z wielkiej płyty, jakich wiele w mieście nad Bzprzycą, smutny wół, wygnaniec, wspaniały" lat 70. Mroczna księżka schodowa, odspasana ścianą obłąkana winda, która wzrosła się powoli z dyktmem i problem. Wzrastanie brud i dźwiękami w szwach cieża, jakby dom był wymarły. Ponad ostatnim piętrzem, na wysokości meczynowi, obok szaszanki, jedna z tzw. pracowni plastycznych. Oddzielona od świata zewnętrznego solidnymi metalowymi drzwiami. Za nimi całkowicie dom rzeźbiarski. Wnętrze emanujące ciepłem i światłem kobiercem, podkreślonym przybiciymi listopłocowym słońcem. Zapraszane do grania wyczołmalici. Trzaski starych, słynnych mebli, z których sięgnąćby wygodnie „modernistyczna” kanapa, masa drobnych bibelotów, wazonny i dzbanki z zamkniętymi kwiatkami, półki pełne albumów i kasetek o sztach, na ścianach grafiki słabych natchnień, a w tym wyczołmalici dziełami – żeby nie powiedzieć setki – medali, medaliów i plakietek, przyciągających wzrok różnorodną formą i fakturą, „Typowe” artystyczne wnętrza, w którym mimo pewnego chaosu wszystko – jak się wydaje – ma swoje miejsce oraz własny umysł i znaczenie.

To nie miarła i twórcy Jolanty Słomianowskiej. Szczęśliwie, raczej dobieła, o poczętej twórcy z wyuczonymi, pełnymi zmysłu uczniami Skapłonia, młodzi z zapaleniem i zaangażowaniem o swojej największej pasji – o rzeźbie, która nierzadko jest jej blisko trydziestki lat. Jest jej zaproszeniem na życie. Rzeźba artystka zamieszkała chwilie największej radości i satysfakcji zaproszenie, uczucie krytycznie oraz napięty w konkursach, a także wenerujący spójność i harmonię, bez których nie mogłoby realizować obywateli w niej wzięci.

Jolanta Słomianowska (rozcz. 1950) jest rodowitą lublinianką. W Lublinie skończyła szkołę podstawową i Podstawę Liceum Szuk Plastyki, w którym między innymi zapoczątkowała świątecznych pedagogów, zwłazcza Eugeniusza Baranowskiego (rzeźba) oraz Władysława Tarczankę (historia sztuki). Ich wiedza, łatwość w dotarciu do uczniów młodzieży, twierdzenie kameralny międzyplaciki, zachęcały do wyboru przez Jolantę Słomianowską dalszej drogi artystycznej.

Po maturze podjęła studia na Wydziale Rzeźby warszawskiej ASP. Początkowo była uczennicą Stanisława Kulona (m. in. autor Panna Saperu w Warszawie, 1973), następnie przeszła przez pracownię Teodora Łęczyńskiego (m. in. współautor pomnika i muzeum na Powiszu w Warszawie, 1965) i Zygmunta Denkowski, wybitnej polskiej medalierki. Jak sama dziś mówi, swym nauczycielem akademickim (Kuloniem i Łęczyńskim) zamierzała wypracować przygotowanie warsztatowe, ponieważ wprawiana przez nich rzeźbiła była jej całkowicie obca. Zarówno pod względem formy, materiału jak i idei. Przerzuciła więc warsztatowych profesorów (z wyjątkiem kameralnych prac Denkowskiego) i skłóciła się z młodzieżowym myśleniem Jolanty Słomianowskiej o sztuce.

Nie granice labelacji, zdemonstrowany przez grupie działających grafików i malarzy, rzeźbiarom przypadała rola outsiderów. Somaty ten fakt zwiadał powstaniem w reaktywomom kilka lat temu Wschodniego Salonu Sztuki. W ramach artysty Salona z 1995 roku zaprezentowano po raz pierwszy – w minięcej galerii Towarzystwa Przyjaciół Sztuki Pięknych

przy ulicy Grodzkiej – dział rzeźby. Liczne przybyła publiczność mogła obejrzeć prace zakochane działających artystów, z których aż siedmiomio artystów w swoim Lablinie, a dwóch (Słomianowa i Zygmunta Strzyżewskiego) w podziemiu Nalicyzowie. Jak na dady, obejmujące swym zasięgiem obszar dawnej klasztornej Lablińskiej Obłąki Labliński ZNP, to doprowadziło miła. Natarliwie, przyciem obłąkanych takiego słowa rzeźby jest wiele, a o najbardziej, zych należy zaliczyć z pewnością zbyt skromną liczbę zamówień i brak promocyjne. Opisanie rzeźby pomnikowej, dekoracyjnej lub portretowej, a zwłaszcza najbardziej nas w tej chwili interesujących medalierów, wymaga nie tylko siły fizycznej i cierpliwości, ale przede wszystkim znacznych nakładów finansowych. Praca przy twórczej rzeźbiarstwie jest bowiem o wiele bardziej złożona od poezymal malarstwa czy nowej grafiki. Wymaga poważnych udziału osób trzech, np. giera, który zajmie się odlewaniem – głównie w brązie i wazeliu – modeli przygotowywanych przez artystę rzeźbiarza.

Z grona lublińskich rzeźbiarzy tylko kilka osób podjęło się w medalierstwie. Za merito tej grupy sztuki należy przede wszystkim Słomianowa Strzyżewskiego (rozcz. 1923), którego pomysł czworobokowata praca zawodowa zapoczątkowała bogatym i różnorodnym odrobieniem. Dla artysty medalierów jest ważne, ale stanowi jednak niłą jeden z aspektów jego twórczości. Największe sukcesy odniósł Strzyżewski na polu rzeźby pomnikowej (m. in. i nagroda w konkursie na Pomnik Lenina, Dąbka 1966, a także w konkursie na Pomnik Pionierów wzniesiony przez UB w Pakowie, 1994). Z polskimi Jolantę Słomianowską łączyła swą drogą postać Marii Stanisławy Góreckiej, absolwentki krakowskiego ASP, ściennej artysty na (miału) już kilkadziesiąt wynaw indywidualności, chętnie uczestniczący w konkursach i wystaw-



Asportret, 1996.

Plakietka jedностronna, mosiężna lamy, patynowana w muszku 0 16 cm.

wach, jak w kraju jak i za granicą. Jest autorką wielu rzeźb plenerowych (np. w Sanoku, 1975; Świdniku, 1979), kameralnych, a także medali. Z artystów artystycznych w polowie lat 50. nie można pominać Zygmunta Strzyżewskiego (rozcz. 1935) i Władysława Zakolowskiego (rozcz. 1937), absolwentów Instytutu Wychowawstwa Artystycznego UMCS, a ponadto Polaków i Wiaruzankę (Strzyżewski) i ASP w Warszawie (Zakolowski). W dorobku plastycznym obu twórców medalierstwo zajmuje miejsce znaczące, ale nie jedyne.

Muzcum Szkoły Medalskiej w Wiewłach, stwo to nie dysponuje odpowiednio dużym budżetem na bieżące zakupy, montaż Szkoła nowożytna, aby w miarę możliwości wzbogacać jego zbiory.

Wydaje się, że taka sytuacja została powstanie artystki. Jolanta Słonimowska jest osobą skromną, nie wciągając się w przebieg przeżyć. Ale skromność, całkowicie oddanie sztuce przez siebie sprawione, to zarówno artyści, zaprawionej jej szereg dzieł, dzięki którym może tworzyć, nie co ma nadzieję.



Papier ze Skoków, 1998.

Pakietka jedностonna, moździał lany, patynowany, 15 x 14 cm.

Artystka ma w swoim dorobku także cały szereg tradycyjnych nabić epizodycznych oraz kilka oryginalnych kompozycji i okoliczności. Do najskrytyczniej i najchętniej zarzucanej, należy zakładać białą tkaninę w kształcie przedziałka i brzoju z przedstawieniem królewskiego Jana Pawła II, wmurowaną w ścianę przy wejściu do Archidiecezji Lubelskiej. To pełne wyszczepione i odgrzybną dzieło, zachowując jak oczekiwane podświetlenie rysów twarzy i gestów widzącego Polaka, jest dziełem szlachetnym, o głębokim przesłaniu. Patrząc na postać papieża można odnieść wrażenie, że jego rękawka uylaną się z metalowego filu i namie malowalniczo w kierunku widowni.

Uwagę przyciąga też słowo zwrócić również jeszcze jedna kompozycja. Istny trudny znaleźć do niej form rzeźbiarskich, dominujących w dorobku Jolanty Słonimowskiej. Chodzi o „Jeleni”, monumentalną formę przetrzymaną na cmentarzu żydowskim w Lublinie. To wykonana z pianki i formy architektoniczno-rzeźbiarskiej przywołująca tym układem zespół macicy. Ustawione pionowo, pochylające się ku podziemiu, atamane i poprzecinane, z pasami palami po „wywaroch” i inskrypcjach, skłaniają do refleksji i zadania rytm, który przesyła i pamiętając o halucynacji.

Także jest tylko coby coby Szkoła Jolanty Słonimowskiej. Bezprzemysłowości, wyważona i refleksyjna, a jednocześnie wyrozumiała, łącząca znakomite przygotowanie warsztatowe z doświadczeniem i wysoką jakością artystyczną każdego dzieła.

Lesław Łanowski

muzyka

LUDWIK GAWRŃSKI

Mickiewicz a muzyka

Muzyka, o ściślejszej pieślo ludowej, odegrała ważną rolę w twórczości poetyckiej Adama Mickiewicza, który już w młodości wahał się w metodzie białorunich pieśni weselnych, dożynkowych i pogrzebowych. Znał też „pieśni polskie, ballady i sielanki, powtarzane między drobną szlachcią i klasą szlachecką, mówiących po polsku”¹.

W latach 1815-1819 będąc studentem Uniwersytetu Wileńskiego, słuchał zapewne wykładowców teorii muzyki, które od roku 1802 prowadził tam Jan Dawid Holland, były kapelmistrz kościoła św. Katarzyny w Hamburgu i opery Radwiłłowskiej w Nieświeżu.

W roku 1823 pan Adam zabrał głos na temat muzyczności *Spiewów historycznych* Juliana Ursyna Niemcewicza:

Opowiadania historyczne również może składać się do muzyki, jak i maroty — pisał do Jana Czeczota: — *Muzyka jest tylko głosem uczucia. Co nie jest namiętnym, nie jest wistawiczym śpiewem. Śpiewy historyczne są muzyką do czepiania się przeszłości i przypominania.*

Już w pierwszych utworach poety, wydanych w Wilnie w roku 1822, znajdujemy wiele zwag autorskich wskazujących na źródła jego twórczości tkwiące w pieśni ludowej. O balladzie *Tu ślub* autor zamieścił uwagę, że utwor ten jest „ulasmaczeniem wiejskiej pieśni”². Z kolei przy balladzie *Świętokośno* many objaśnienie: *Jest wieść, że na brzegach Święticy posadzą się amantów, czyli miłośników, które gnie nazywa Świątokośno. Co do ostatniej świątoli ballady *Uwielbion*, napisanej w roku 1831, poeta pisze: *Niewiasty ballady uleczyl postępi pisanek, Istny nigdyż myślałem na Litwie śpiewając w polsku. Treść i układ zachowałem wiernie, ale wierszy gminnych ludwie kilka zmieniłem i na powietrze i słuchali mi zo wałe stępi.*³*

Mówiąc o Mickiewiczku jako muzyku amatorze wiemy, że grał nie tylko na fortepianie, wiołociecist, gitarze i flecie, a także komponował, śpiewał i tańczył. Przez skromność jednego z jego muzycznych uchodźców w Włocławku w roku 1831, poeta pisze: *Niewiasty ballady uleczyl postępi pisanek, Istny nigdyż myślałem na Litwie śpiewając w polsku. Treść i układ zachowałem wiernie, ale wierszy gminnych ludwie kilka zmieniłem i na powietrze i słuchali mi zo wałe stępi.*

Mówiąc o Mickiewiczku jako muzyku amatorze wiemy, że grał nie tylko na fortepianie, wiołociecist, gitarze i flecie, a także komponował, śpiewał i tańczył. Przez skromność jednego z jego muzycznych uchodźców w Włocławku w roku 1831, poeta pisze: *Niewiasty ballady uleczyl postępi pisanek, Istny nigdyż myślałem na Litwie śpiewając w polsku. Treść i układ zachowałem wiernie, ale wierszy gminnych ludwie kilka zmieniłem i na powietrze i słuchali mi zo wałe stępi.*

Mówiąc o Mickiewiczku jako muzyku amatorze wiemy, że grał nie tylko na fortepianie, wiołociecist, gitarze i flecie, a także komponował, śpiewał i tańczył. Przez skromność jednego z jego muzycznych uchodźców w Włocławku w roku 1831, poeta pisze: *Niewiasty ballady uleczyl postępi pisanek, Istny nigdyż myślałem na Litwie śpiewając w polsku. Treść i układ zachowałem wiernie, ale wierszy gminnych ludwie kilka zmieniłem i na powietrze i słuchali mi zo wałe stępi.*

¹ Cyt. za: Igor Białas, *Między Obojętnością a Romantyzmem*, Kraków 1901, s. 172.

² Tamże, s. 175-176.

³ Adam Mickiewicz, *Wybrana*, t. 1, Wyd. 5, Warszawa 1955, s. 313 i 318.

Teora Mickiewicza przyciąga uwagę przede wszystkim kompozytorów polskich, z których pierwszym był Karol Lipiński, dyryktor Opery Warszawskiej. W roku 1823 przekazywał on na muzykę słowo *Do Niemi*. Podobnie w dwa lata później słynny skrzypek, Karol Lipiński, dokonał tego samego „zabiegu”. Należy sądzić, iż roman Lipińskiego rozbrzmiewał w salonie Szymanowskiej, która nieznacząco koncertowała z nim publicznie.

W roku 1839 Julian Fontana opublikował po raz pierwszy wekalne swego przyjaciela, *op. Chopina. Dwa z nich były to słów Mickiewicza, tj. *Piecz z miosh acze!*, napisana pod wpływem kompozycji dla sceny i operowej Konstancji Gliwickiej, oraz znana pieśń *Moja piewczoko*. Kiedy to Chopin uwziwał Maria Wodzicką za swoją narzeczoną, w latach późniejszych do tekstu Mickiewicza komponował twórcą opery narodowej – Stanisław Moniuszko. Obok muzyki do wierszy lirycznych jak *Sen, Moja piewczoko czy Rozmowa skomponował on muzykę do ballad *Tęcza Budynów, Czuję, Piękno, Piękny świat, Światłość*, jak również do sonety *Do Niemi*. Swojezyry także muzykę do olbrim *Sonety* Kryszkieli, które zostały połączone w kantatę na głos solny, chór i miazary i orkiestrę. I w końcu, do tekstu Pani Twardowskiej napisał kantatę-balladę na głos, chór i orkiestrę.¹³**

Twórczość Mickiewicza zmocila uwag również kompozytorów obcych, np. rosyjskich. Najwięcej romanów do jego tekstu napisał Cesar Cui, który compal nactwio do pozycji Mickiewicza przez chór był wika. Swoje wczesne romanse napisał m. in. do: *Rozmowa, Polaly się Iz..., Moja piewczoko, Rzeczynca, Połozynca*.

Ku pozycji naszego wiewca zwoiil się również Nikołaj Rimski-Korsakow, który w roku 1867 przetranpował na muzykę fragment z *Światłozin* w tłumaczeniu Lwa Meja. *Również Piotr Czajkowski w 1875 s komponował dwa romanse do tekstu Mickiewicza, w tym do znanej liryki *Moja piewczoko*. W roku 1880 napisał on muzykę do ametu *Renek i wiewca*. W liście do swojego brata Modeta z 26 lipca tego roku Czajkowski wyznal, że romanse ten, skomponowany „do przepięknych słów Mickiewicza” jestm amemtu „niezwyczajnie się podoba i bez lez w oczach nie mogę go grać”. Zdaniem z ostatnich utworów symfonicznych Czajkowskiego była ballada *Wiewdwo skomponowana w latach 1890-1891 do tematy *Ca*, s wydana polimistrze przez wydawcę Glinkowa*.¹⁴*

Przedstawienie to zadawile szikowo inspirowane twórczością Mickiewicza autorów polskich, jak i obcych kompozytorów przełomu XIX i XX wieka. Pewnie jest jednak, iż obrzcy petykcie autora *Do Niemi* znalazły odbicie w różnych gatunkach twórczości muzyycznej: w operach, symfoniach, kantatach, pieśniach i romanach. Możemy zatem przypuścić, iż teksty i wki twórczości Mickiewicza były nactwio także dla kompozytorów w nadchodzącym stuleciu.

Ładwik Gawrotki

¹³ Jolinda Pastuszko... op. cit., s. 158.

¹⁴ Tamże, s. 162.

W poprzednim numerze:

Berlin – Lipsk – Wiedeń

Rainer Maria Rilke: wiersze • Marian Juszta Kawalko: „Das Dunkel-Buch” • Reiner Maria Rilkego • Henryk Bernika: wiersze • Wolfgang Schlott: *Opadające doświadczenia Luchowca. Literatura wschodnich Niemiec i Polski po szklanym komunizmie* • Hans Haffner: wiersze • Dieter Wellershoff: *opowiadania* • Renate Schmidgall: *Zyczenia* • Adam Zieliński: *opowiadania* • Christian Hecker: *Labalewa wian* • Leonid Izrael: *Przemysł sicyi Celebny* • Helmut Pfisterer: *Wiersze przyciucie w Prosenka* • Danko Foks: *wiersze* • Michał S. Witkowski: *Doświadczenia i Krywoty Śliska wiersze* • Ewa Bielska-Contant: *opowiadania* • Andrzej Appel: wiersze • Izabela Kusio: *Sznatery i satanistki* • Grzegorz Olaszki: wiersze • Henryk Kuc: *opowiadania* • Paweł Przywara: *Tęcza nad Polandą* • Jakub Głazietzki: *Podróże Jasni* • Monika Adamczyk-Garbowska: *Jakub Głazietzki – *Bydowski piazek** • Lubina • *Jezerce nie wieszko po wiewdwole* • Mariamun Makaramin rozmawia Alina Kochańczyk • Mariamun Makaramin: *Do* • Anna Ayyegry: *Zam wiewdwole* • recenzje • Marek Dusznicki: *Wielki kiel* *pochołacie samonactwi* • *Recenzja* • *Noty* • *Bibliografia zawartosci* • *“Akcenty” za lata 1995-1998*

archiwum

MIROSLAWA PALASZEWSKA

Listy Zofii Kossak do Józefa Birkenmajera

W Dziele Rękopiśm Biblioteki Narodowej (tygn. 76077.2.3k. 58-70) wśród spuścizny po Józefie Birkenmajerze znajdując się listy, które otrzymał on od Zofii Kossak. Był autorem pierwszego artykułu o pisarce p. Zofia Kossak-Szczepka, który ukazał się w „*Tęczy*” (1929 nr 15) i przypuszczalnie przypał do gatu pisania, skoro w liście z 23 marca 1931 r. udzielał ona wyczerpujących informacji o poszczególnych twórczości.

W 1929 r. Zofia Kossak miała już w swoim dorobku osiem księzek: *Pana Potopa*, którą zaadaptowała w 1922 r., ukazały się: *Bratnia seryla*, *Złota wiedzola*, *Zmieszka*, *Chłopcy Kasperka gderociego bratowa*, *Wielcy i mali*. W roku znajdujący się tom opowiadań *Szalony Ryby*, Birkenmajer pisał: *Tęczy* był dziełm napisanym zebno kilka po drugich (co riek piosnk, jak *Pan Bóg przyciucie*) nie tylko wzmógł do literatury naszej jak skarbnicy nowych – i towarze to nowych – tonów i motywów, ale też i dla samej autorki są podstawowym coraz to świetniejszego rozwinięciem społecznego smaku wielką prawk naukojeśnieniem talentu (...) Szczególnie nie dziele swym lirycznym dzieł piazary (brak i białozymowa przenożny do swych utworów tylko czepdo jego doboracyzn).

Jak wynika z zachowanej korespondencji, pisarka wysoko cenila sobie jego recenzje. Ujęła ją recenzja *Krywocim* opublikowana w poznańskim „*Kulturze*” (1936 nr 16). Pani Zofia napisała po jej ukazanu: *Pan pierwszy polozyl rękę na wlewidom miazku księzki, obdzajlając ją czerwiek, który dorywocze nie zonal przez takiego zawodowca. Najwazniejszym krytycy, który niozwodził się zeznao, że na kołbie i nukię atronie taki wiewz bez wniwie użyczy – nie spotrzędy tego co w książce najwzobietnie. Pan to dopiero uczynil.*

Nie wiadomo, kiedy pomali się oobici. Przypuszczam, że nastapilo to w Warszawie, Pani Zofia mieszkała wraz z drugim dziełem Zygmuntami Szatkownikami w Górkach Wielkich na Ślasku. Szatkownik, melosnik był zawodowym eferem i pracoil najpierw w arzbudach dwójki kobackim, a potem przeniesionym go do Warszawy. Szatkownik zatrudniamy Górkę, gdzie pozostawała matka pisarki Anna Kossakowa z jej dziećmi (Julkiem i Teodusem Szczepkami z pierwszego małżeństwa oraz Władem i Anną Szatkownikami z drugiego) zamieszkała najpierw przy ul. Ludziej 3/11 (od 16 grudnia 1935 r.), a potem przeniesiła się (w grudniu 1938) na ul. Iłdowskię 40-41. Maria i Józef Birkenmajerowie byli w Szatkownikich w Łusdm. Obieidwiel ich wki w Górkach. Jak wspomina w liście córka Aleksandra Birkenmajera Teresa Chładzińska: *W Górkach byłam 3 dwonie; po raz pierwszy w 1929 r. wraz z Ojcem i moim starszym młodocimem: Zygmuntami, Barbarą i Krywocimem. Dużokmole panimom dam i jego szczydziłam atmosferę przypozym serdecznocią i gołdnicomio gospodarzy (...) Panimom długi, dość moczony psoli jadowale, z wzejsem poprzez swosa do ogrodu, do dzieł jezerce czędy mam ludzkim pozostawionym, które poddawano na deser. Doświadam wiewczor od „Ciośi” Jęj książkę „*Chłopcy Kasperka gderociego bratowa*” z *doświadczeń*. Dla najmlodszej ze swychym mi *Tęczy* – *Autorka* – wiewczorom zrecenzja *Wiewczor*, że Krywoczek żyje na wopomniatym, wswosim srytocy, przelwym zakamarkim. Kolejne odwiedziny Teresy miały miejsce w 1945 roku. Przyciukła wiewczor z córką piazari, Anną Szatkowniką i koleżanką Gemą Góldeskią. Po raz drugi odwiedziła Górkę wraz z matką i dziećmi po powrocie Szatkowników z Anglii w 1957 roku.*

Pani Zofia po śmierci Józefa Birkenmajera opiekowała się jego rodziną. W latach okupacji niemieckiej wyślubiła dzieci na Wyprostkowej walczyki przy znanych. Po upadku powstania warszawskiego znalazła się w Czystochowie, gdzie pisała listy do Z. Birkenmajera i Z. Ochli. Mieszkała tam wówczas Maria Birkenmajer z dziećmi. Jak pisał Tereska Chładzińska w kobymy sposob pomagali my! Malarz, zalamajacy m.in. bezpłanną naszą dła moim i Zosi w Fryzuryw Liczom 53. Nazawimem. Rowimaz za Jej przetrwania Marja strzymala prasy z kielce Prymopolym-Blandowem, organizowazai przez dot. Juliusza Brasna, dzieszenie jej dyktowala.

Po powrocie do kraju z 11-letniej emigracji w Anglii utrzymywała kontakty z Marią Birkenmajer. Kiedy w 1961 r. otrzymała książkę jej syna Krzysztofa Birkenmajera Pod znakiem białego niedźwiedzia, będąc relacją z wyprawy na Spitsbergen, napisała także do niego, gratując mu azyckielwaję książki, która pochodziła od nas.

Odpisy listów pisał do Marii Birkenmajer sprządnione przez samą Zofię, a w przybliżeniu Januszko znajdają się także w zbiorach Biblioteki Narodowej. Ale wolności do korespondencji z Moselem Birkenmajerem. Listy i kartki pocztowe pisane są rękami - tylko ostatni z 1939 r. na maszyni. Obejmują one lata 1931-1939. Jak można zorientować się z treści, nie są to kompletnie.

Mironowa Paluszewska

1.

[Górki Wielkie] 23 III 31
Szanowny i kochany Panie

Z radością korzystam z okazji, by przede wszystkim podziękować Panu za Jego piękne i mądre recenzje, których zawsze oczekiwałem z niecierpliwością. Poca też, że są, moim zdaniem, zbyt pochlebne, są to jedynie, w których naprawdę odnajduję swoje zamierzenia i założenia. Szczególnie gorąco dziękuję za ostatni zsek do Legnicy i „Dnia dzisiejszym”.

Teraz co do moich uprzednich prac literackich:
Wszystcy w rozdziale Jesteśmy mniej lub więcej obciążeni malarstwem. Wielki talent mogo dziadał, który przeszedł „en blanc” na mogo artysta, w trzech pokoleniu rozwinął się na rzekioro umiolkow. Talenta te rozczubowitane, były typowo epigoniczne, zamierzając, czyli te w wieku dziecietym zapowiadają się genialnie, były przedwczesne, pełne obietnic, które nie miały się spełnić, gdyż wtedy gdy normalny talent zaczyna się rozwijać, „cudowne” wznęta Ju[l]iusza Koszka rysowac przetrwały, talent w nich gasł! [...]

Jako była również jednym z tych wysoce uzdolnionych dzieci, z zapalem myślałam o sztuce malarzkiej mającej wypaść mi życie i do 20 r. życia byłam przekonana, że będę wielką malarzką, choć moji talenti już w 18 r. życia widomie odbywał. W miarę, jak wskazywał studiów (Akademia Sztuki Pięknych w Warszawie) i znakomita szkoła francuska rzywniczki w Genewie) nabierałam techniki i opanowania rysunku, zwała więc moja poprzednia łatwość kompozycji, dźwięloty i rach. Wojna i moje zamężność!...

Adresat listów napisał następujące recenzje książek Z. Koska: *Przedświtem dany o karmacie* (o powieści Złota wosława), „Wiadomości Literackie” 1930 nr 8; *Stulecie Bocy* („Gazeta Warszawska” 8 I 1930), *Dzień dzisiejszy*, „Polka” 1931 nr 60; *Legnickie pole* („Polka” 1931 nr 61); *Kwazoin* („Mysł Narodowa” 1932 nr 43, s. 633-634), *Topy i Lapani* („Mysł Narodowa” 1932 nr 43, s. 634), *S.O.S.* („Mysł Narodowa” 1933 nr 1).
Mowa o powieści *Legnickie pole*.

Z. Juliusz Koska (1824-1899), malarz, rysownik i ilustrator, protoplasta rodziny artystów i pisarzy.

¹ Władysław Koska (1856-1942), malarz batalistów, syn Juliusza.

² Zofia Koska w roku akademickim 1912/13 uczęszczała do pracowni malarstwa prowadzonej przez profesora Karola Tiechego (mistrzostwo się przy ul. Hlebu) w warszawskiej Szkole Sztuki Pięknych.

³ Witaz z Wianka Koszeczka wyjechała jesienią 1913 r. na studia do szkoły rysunku prowadzonej przez profesora Johana Simonsena.

⁴ Zofia Koska pobliżała w 1915 r. Stefana Szuczyńskiego, administratora klucza Nowosiółka, tym Juliusza (1851-1944), kierownika szpitala w Antonimach (dobrach brzożego Nieszka Potockiego) na Wolyi.

przeze wszystkim wojna, przekreślająca na długi szereg lat wszystkie myśli o sztuce, odczędzili mi zamierzenia złamania pędzi nad wyjątkowym talentem [...]

Dotychczas też od 5 r. życia rysowałam i równocześnie pisałam. Mój mistrz strażony zapal rywniczki zwałowiał mnie do pisania „wosława”, które sama ilustrawałam. Celem był rysunek nie tekst. Ten zwycięz żachowem pozostał aż jeden okaz, aż jeden rysunek”. Były tego bolszewicy i tomy. Każde zdarzenie domowe, każde wrazenie było natychmiast przez mnie ilustrowane i opisane.

W 1909-1911 redaktor dość smobitowyw mieszczińska Kazimierz Laskowski¹¹ („Wieś Ilustrowana”) zapoznał się wypadkiem z tymi „działami” i zaproponował mi wydrukowanie niektórych bez ilustracji jednak. Ze względu na technikę pisma, które dawało tylko fotografie. W ten sposób ukazały się w owym piśmie (duty nie pamiętam) „O wlika mowa”, „Kuc zdechł” i jeszcze zdaje się coś takiego. Wbrew jednak mojej „Wi” zmieniłam między „dumny” i oficjalny podpis „Zofia Koska” na „Zoska”, co mnie tak oburzyło, że „śmiertelnie” wzrotem przenosiłam się do „Wsi i Dwora”, takiego samego, równie gwałtownie, lecz piękniejszego graficznie mieszczińska, który zaczął w tym czasie robić konkurencję „Wsi Ilustrowanej”. W tym to mieszczińska były drukowane „Bully zapamięt” (czy też „Odznaczenia”), „Przygoda Funi i Niani” itp. Na tym skończyły się moje produkcje literackie przedwojenne.

Poniowem w okresie wojny „skończyły” się również mój talent malarski, a pisanie traktowałam tylko jako dodatek do niego - przede wszystkim zamary artystyczne były od mnie niezmiernie dalekie. Przetę borykaliem się z wojną, potrzebą z rewolucją, potem z nędzą wojenną i antywojenną.

Przez dwa lata w pismku S.S. Urzulanek „Dziś i Jutro”¹² drukowałam rozprawki o kołędach i kantzycach. We wstępie do tej rozprawki opisywałam moje żalnosie wsiłowania umieszczenia jej w „Słowie Polskim”¹³ w 1919 r., aby móc za zdobytę pieniądze sprawić dziećmi gwiazdkę.

W owym czasie (1919 r.) wszystkich nas kresowców raniła, bolała i dorykała zupełnie niewiadomości społeczeństwa fizyczna zaprzeta niewiedzących przyczyn. Typowym objawem było powiedzenie: *awczyszere jednego mogo kresowego, który wysłuchawczy naszego opowiadania rzekł z wstępnieniem: Ach, mój drody, nikt tak jak ja was nie zrozumie!* Wyobraźcie sobie, że w 1915 roku Niemcy zabrali mi trebuchko [!] zapłaciłi po 200 marek, a cena była wtedy po 5000! Tak, to na zrozumiał, podwójnie rozumeli inni.

¹ Anna z Kisielniczek Koszowska (1866-1944).

² W Muzezum Z. Koska w Górkach Wielkich znajduje się osobły rękopis opowiadania Jak podlego chorował zapisanego w 1907 r. przez 17-letnią wówczas pannicę w Kolimie na Łabaliniebrzezim, która do 1910 r. mieszkała Anna i Tadeusz Koskowie. W 1910 r. wyjechała na Wolyę do Skwerodóck, gdzie Tadeusz Koska był dzierżawcą dóbr bez Potosiego.

³ Kazimierz Laskowski (1861-1913), poeta, powieściopisarz, współzałożyciel i redaktor „Wsi Ilustrowanej” (1910). Po śmierci wyłowczy J. Sokołickiego opuścił redakcję i założył konkurencyjny Związyznik „Wiesi i Dwor”. Etwasi w Kolimie z rodzicem przyjechał panice. Jego fotografia Wylewca Anna. Panna Jadwiga Urogi i Zofia Koskowna ukazała się we „Wsi Ilustrowanej” (1910, z. 8, s. 14). Ponadto w tym samym artykule ukazała się sama fotografia naszej bohaterki Panna Zofia Koskowna z uszczern „łowam” (1910, z. 11, s. 3).

⁴ Pierwsze opowiadania Z. Koska ukazały się na łamach „Wsi i Dworu”: *O wlika mowa* (1912, t. 1), *Zdow Masi* (1912, z. 3-6), *Odyzjowany*, *Bully zapamięt* (1913, z. 4) oraz *Konkurencja z Kresowcem* (1913, z. 5-6), *Z Podola* (1913, z. 16). Także podpisane: *Zoska*, *Kosa*, *Z. Koska*; *Stare kanzycy*, *Dziś i Jutro* (1925 t. 12, s. 308-311), 1926 nr 1, 2, 4, 5, s. 18-20.

⁵ Z. Koska; *Stare kanzycy*, *Zapomniane skarby*, „Słowo Polskie” 1920 nr 2, nr 1, nr 5, z. 1-2, nr 7, k. 1, nr 9, z. 1-2, nr 11, s. 1-2.

Sp. mąg mój, ciężko już wtedy i nieuleczalnie chory, prosił mnie niezręcznie: „Spisz wieczorami wszystko jak było od początku, żeby przynajmniej dzieci pamiętały. Niech to dla nich zostanie”.

Zaczęłam spisywać „Pożogi”¹⁴ bez żadnej myśli o druku. Gdy już zapisałam połowę była napisała, choć z krótkowzroczym przeproszeniem wrywki, wpełzła się do myśli, aby te wspomnienia ogłosił drukiem. I zapano je uderzył śmieć i przez pewien czas wybaczałam różne firmy wydawnicze – oczywiście daremnie. Altemberg¹⁵, Wydawnictwo Polisie¹⁶ i inne nie chcieli nawet że mną gadają. Cóż w tym dziwnego? Ja to samo zrywałam na ich miejscu: „Jawia się obdarta „panusia” i nieznaloma wzywająca obłężymy rozmówców nieopierzanych napisany manuskrypt proponuje przeczytanie go. Wszyscy odgryźniali się od tego jak od diabła. Zrygnowaliśmy”.

Lecz przyciśniłam nasz Doroznykiewicz nie dał za wygraną, by tentować¹⁷ i zaczął raz w Krakowskiej Spółce Wydawniczej. Tam Antoni Kirchmayr, zwanym przez jego żonę by członkiem Rady – Jan Starzewski¹⁸ i przy Prezesa Spółki stał się o Koszakównę (Samozwańca) – dziełki tym stosunkami i w wpływom (dziełki dzięki temu rękopis dostał się w ręce rektora Estreichera¹⁹ i K. Giebułtowskiego²⁰, serdecznego, kochanego, mądregonego przyjaciele. Ten ostatni napisał do mnie wówczas list, który był dla mnie objawieniem, re-welacją, cudem – czym, jedyńm słowem, nieżyłuchym).

Potem już wszystko poszło jak z płatka (co do wydawnictwa – ja osobliwie bowiem przedkładałam wówczas najtrudniejsze chwile mego życia). Społeczeństwo nie rzeczywistości nie wiedziało o dziejach krzewu z ostatnich lat, chciało wiedzieć i mój pamiętnik jako pierwszy osiągnął duże powodzenie²¹. Niewątpliwie, gdyby „Na ostatniej placówce” Doroznykiewicz²² lub „Burza od Wschodu”²³ Kozickiej, były pierwszymi, im przypadłoby powodzenie „Pożogi”. Powodzenie to wówczas przynęło jako młode nieuczulone. Mąg mój dogorywał, a w pół roku po przyjęciu książki – zmarł.

„Pożoga”, choć pełna dla mnie bolesnych, ale najdroższych wspomnień – literacko nie jest bynajmniej moją ulubioną książką. Raczej przeciwnie. Przede wszystkim poglądy moje na wiele spraw, zwłaszcza na kwestię rasy, uległy razę potem zasadniczej przemianie i lrytuje mnie dzisiaj mój ciemny partykularny osąd, choć rozumem, że inny wówczas być nie mógł. Poza tym styl jest jeszcze sztywny, zmniejszony. Nie lubię, gdy nie mam pisać „autorka „Pożogi” – Zdziana z moich dotychczasowych prac nie zas-

ługuje zresztą na to, by być w ten sposób wyróżniona. Przec. „Pożogi”, w którą nie włożyłam wcale świadomego podreźnego wysiłku, którą się pisała „sama” i nie do druku, wszystkie moje książki są uświetnionymi nie-zrealizowanymi. Są nieślychymie dalekie od tego, czym miały być. Nie lubię ich. Za nie przeczytałamym żadnej. Putrze na nie jak na poronione wysiłki. Jako swótkra jestem jeszcze młoda, czuję w sobie wiele sił, pomyślały i góracęgo tworzywa, i nie tracę na chwilę nadziei, że nareście dopnę celu i napiszę rzecz, którą sama uznaję za dobrą. Teraz wierzę mocno, że tą rzeczą będą mo wyrażeni „Kryzowcy” (3-cia krajana), do których zabieram się, gdy tylko skłócić obecną pracę, bardzo by może jednak (a nawet na pewno) będzie nią dopiero następna, a może trzecia, a może czwarta, a może dziesiąta. Kiedyś jednak przecież będzie. Gdybym nie miała się jej poświęcić, przestałabym chyba pisać. Ono, zdaje się wszystko co Pan uważa za wiedzę. Gdyby coś jeszcze trzeba, abycie z przemyślenia. Rozpisałem jak tu długo, że nie wiem, czy Pan będzie miał cierpliwość się czytać. Chciałem jednak w jakkolwiek sposób wyrazić Panu wdzięczność za jego dobre słowa – imęgo są nie nam.

Wyrazy szczerego szacunku i prawdziwej przyjaźni
Zofia Szatkowska (Kosak-Szczucka)

Górk Wielkie, 23 III 1931 r.

2

[Warszawa] 20 I 36

Kochany Panie

Będziemy bardzo szczęśliwi widząc Pana u nas. W mieszkaniu nie mamy wprawdzie telefonu, lecz można zawsze porozumieć się telefonicznie z moim Mężem 842 (centrala Min. S. W.) i zażądać wprost przy 24-03. Proszę do niego zadzwonić i z nim ustalić. Wezwoły prawie zawsze sądzymy w domu.

Do miłego zobaczenia niedługo.

Z. Szatkowska

3

[Warszawa] 29 II [1936]

Kochany Panie

Serdecznie dziękuję za udzielenie wiadomości, a przede wszystkim dobroć i życzliwość Pana, na którą doprawdy nie wiem czym zasłużyłam. Dr Polakowski²⁴ „Kryzowcy” zostali wyrażeni przez naszej rozmowie. Dowiedziałam się przedwczoraj, że należymy do tego samego sto [zręszyci] im. P. Skargi. Najbardziej cieszyło podziwiania dla obajga Państwa i całej szóstki²⁵ niewątpliwie również miłej jak poznane przez mnie fragmenta –

Wiele serdeczności

Z. S.

4

[Warszawa] 4 III 36

Drody Państwo

Jeżeli nie macie żadnych innych projektów na sobotę (6 b.m.) czy nie zechceciebyście przyjść do nas na herbatę o godz. 19tej? Bardzo serdecznie prosimy. Moje zadziwienie do Mego Męła (M.S. Wyjść wnetwyrny 2404)

¹⁴ Roman Polak (1886-1972), historyk literatury, odyt. Od 1928 r. profesor Uniwersytetu Poznańskiego. W 1935 r. wybrany na członka koreferenta Polskiej Akademii Umiejscowionej. W 1938 r. otrzymał również swą własność Polakowski Akademii Literatury za twórczość naukową związaną z literaturą piękna.
¹⁵ Dzieci Marci i Kłosa. Biokomponenty: Zygnant Stanisław, Anna Barbara, Krzyżof, Lusia, Teresa Marci, Antoni Kłosa i Zofia.

¹⁴ Zofia wraz z mężem Stanisławem Szczuckim i dwoma synami: 3-letnim Hubertem i 12-letnim Tadeuszem mieszkała u ciotki Zofii Romaszki w Łowicze przy ul. Obuszewo 6.

¹⁵ Alfred Altemberg (1877-1924), księgarz, nakładca, obłąk kierownictwa księgarstwa nakładowej po ojcu Hermanie, która mieszkała się w Łowicze przy ul. Pańskiej 16.

¹⁶ Wydawnictwo Polisie sp. z o.o. mieściło się w Łowicze przy ul. Żybiłkiewicza 15.

¹⁷ Piłkownik, stercz się

¹⁸ Jan Starzewski (1895-1973), prawnik dyplomata, w latach w 1921 roku córka Wojciecha Kosaka Magdaleny, publikująca pod pseudonimem Magdaleny Samozwiecznej.

¹⁹ Stanisław Estreicher (1869-1939), historyk prawa, bibliograf, publicysta i literat, profesor i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego i wiceminister przedwojennych Pożogi. Z Kosak ożo do Bary od Wschodu Marii Dunin-Kozickiej.

²⁰ Kazimierz Giebułtowski (1878-1959), polonista, nauczyciel gimnazjalny, dzielnik społeczno-odwistowy, wydawca, bibliofil, bibliotek. Pracował w Krakowskiej Spółce Wydawniczej. Jako zastępca jej dyrektora Adama Muszyńskiego zajmował się m. in. redagowaniem „Biblioteki Narodowej” oraz „Słownika etymologicznego A. Brücknera (1926). Po bankructwie spółki (1934) przeprowadził jej likwidację. Po nabyciu „Biblioteki Narodowej” przez Zakład Narodowy im. Ossolińskich przeniósł się do Łowicza. W Ossolinie współpracował przy wydawaniu podręczników szkolnych Juliusza Balukiego i Stanisława Marykowskiego (opowiadania do wyypisów m.in. z Kosaka).

²¹ Elżbieta Doroznyka: „Na ostatniej placówce”. Dziełkiem z życia wstę podosiłką w latach 1917-1921. Warszawa 1925. Gebethen i Wolff.

²² Maria Dunin-Kozicka (1877-1948), powieściopisarka. Jako żona ziemniarna Kalkotina Dunina-Kozickiego przebywała na Ukrainie koło Kijowa. W 1920. uciekała do Polski. Napisała „Burza od Wschodu. Wspomnienia z Kijowczyzną (1919-1920)” z przedmową S. Estreichera, Kraków 1925; Przewożone ścieżki. Opowiadania historyczne. T. 1-2, Łwów 1928-1929; Anta i Zechelicki pól. T. 1-3, Warszawa 1931-1934.

podając swoją decyzję, mam nadzieję, że przychylną. Pięknę pozdrowienia łączymy i do zobaczenia.

Z. Szatkowska

[adres zwrotny na pocztówce: Z. Szatkowska, Luźna 3 m 11]

5

Drogi Panie

Nierozeknie musiałam w zeszłym tygodniu wyjechać do Górek i dlatego musielam zamierzoną biystkę w Lublinie odłożyć do mego powrotu do Warszawy. Nastąpi on pewno około 12go b.m. Siość woli do wtorez i cięsz się, że może przed wyjazdem pojedziez tręchą na nartach. Serdeczne pozdrowienia przysłam.

Do zobaczenia niedługo

Z.S.

Studium o Bogarodicy²⁸ przeczytałam z zapalem, podziwiając zarówno olbrzymią wiedzy Pana co trafność i biystkę poglądów.

Z.

[Pocztówka. Adresat: Jw^o Pan Dr Józef Birkenmajer, Warszawa, ul. Gótgerra 12]

6

Kochany Panie

Serdecznie dziękuję za pięknę artykuł.²⁹ Poczekiałam go wieśćdzę z góry, że będzie głębiej i trafniej ujęty od wszystkiego co o „Kryż [owcach]” napisano. Tak i jest. Pan pierwszy połozył rękę na właściwym miejscu książki, odnalazł jej zwornik, który dotychczas nie został przez nikogo zauważony. Najważniejszą krytykę, history rozowdził się szeroko, to na niej i takież strzenie taki wyraz jest wybitnie użyty – nie spotrafił tego co w książce najwznieście. Pan to dopiero uczynił.

Przed dwoma dniami przyjechałam z Górek, dokąd 22 b.m. wracam, ale już na krótko. Od 2-5 VIII pozostanę w Warszawie na stałe. Proszę napisać parę słów, czy Państwo jesteście w mieście, czy na wyuczasz. Chciałoby mi bardzo zobaczyć się z Wami.

Najlepiez pozdrowienia dla całego Domu Pana

Z.S.

7

Drogi Panie

Serdecznie dziękuję za list i wszystko co w nim zawarte, oraz za książkę. Do 15 b.m. jestem po prostu zabita pracą, ale zaraz po tym terminie umówię się na krótką sobotę u nas (a potem na inną w Państwie) wtedy wyślę Pana wszystkie źródła, jakie sobie przypominę.

Straznie jestem Pana wdzięczna za znaczę obrony mojej historycznej uczęszczenia, najlepiez pozdrowienia dla całego Domu Kochanych Państwa łączę

Z. Szatkowska

²⁸ J. Birkenmajer „Bogarodica” wobec hystografii łaciniatki. „Przebieg Katoliki” 1935 nr 22, odb. Warszawa 1935. Napisal także: Wzory greckie „Bogarodicy”, „Pamiętnik Literacki” 1934 z. 4, s. 249-266; odb. Lwów 1934. Adres listów w 1936 r. sabbliowała się na Uniwersytecie Jagiellońskim na podstawie pracy *Patrim carmen „Bogarodica dzierżwa”*.

²⁹ Mowa o rezejnji Kryżowców Z. Kosak pisał J. Birkenmajer. *Kryż Je oczyścić*, „Kultura” 1936 nr 16.

Czy czytał Pan mój artykuł²⁸ w „Kulturze” i „Prosto z Mostu”? Zanosz się na długę dyskusję, gdyż w najbliższym nr „Prosto z Mostu” ma być aż trzy repliki.

Z.S.

8

[Warszawa], 11 VIII 1939

Kochani, dradzi!

Niezmiernie ucieszylam się listem Kochanego Profesora, bodaj bowiem że od Wielkanocy straciliśmy wszelki kontakt z Wami, nie wiedzieliśmy gdzie przebywacie, ani jakie macie projekty. Co prawda, oboje z moim Mętem byliśmy w niestannym „rozgimie” (gwara krasowa wraca mi do głowy, gdyż ostatnio byłam dłużejż czas na Podolu). Chwilowo ja jestem w Warszawie, ale 17 b.m. powracam do Górek, a mąż mój wtorez wyjechał szubowo do Paryża na trzy tygodnie. Oczywiście, placzę, że wyjadę to w takim czasie, iż nie mogę pojedziez z nim razem. Taka okazja! Ale trudno. Wobec sytuacji politycznej nie sposób zostawić familię na niepewne losy możliwej wojny i ewakuacji.

Okropnie mi ucieszyla wiadomość, że ostatecznie kadra lubelska przypadła Panu²⁹, czyli naprawdę najodjeździemu. A zdawało mi się już nieraz, że sprawa jest beznadziejna. Tyłu starych próbków spoglądano na nią poządliwie wyznaczając: zwę prawa wieko! No, chwila Bogu. Co prawda, da mi unierzyć lubelski wyjeżdż na tym o wiele lepiej niż Pan, ale trudno. Ciekawam jak się będzie wam żyło w Lublinie? Ja straznie lubię to miasto, spędziłam w nim wiele chwilei mojej młodości³⁰ mam tam pełno wspomnień na każdym kroku. Kiedyś Lublin był miastem co się zowie i pod wielu względami przodującym, teraz zamiar, jest kryżowizną, trzeba to wszystko przerobić od nowa, nawiązując do starych pięknych lubelskich tradycji.

Ale przed osiedleniem się definitywnym w Lublinie będziecie chyba w Warszawie, by ukłidować mieszkanie? A ze Złotej Potoka tak niedaleko na Słaski? Czy nie wkożycie się do Górek choć na parę dni? powoli 20 b.m. a 1 IX? Okropnie mi się cięszyla. Rozumieć, że przyjadł byłby dla Was może to uciążliwy i kosztowny (dla nas nie sprawiliły przyjęcie Was wszystkich najmniejszego kłopotu. Dwa górecki moje pochłonęli niesamowitą ilość osób, a o ile w lipcu panowało przeludnienie, o tyle w sierpniu nie ma nikogo, wszyscy wywiali przeczornie przed wojną) – wiecie w takim razie przynajmniej dwoje.

W Górkach też najczęściej odpowiadzielibyśmy na wszystkie „zwę”, i pisanja Profesora Kochanego. Mój Boże, jeśli Pan naprawdę jest czyny i cierpliwy, że się Pana chce zajmować moją osobą (i), niedzięczę, ale to przecież wlaśnie obojowoli. Straznie jestem wdzięczną i wyślę się, że co do artykułów nie mogę dać konkretnych danych. Nie zaprzuję nigdy co gdzie piszę, egzemplarzy nie chowam. Pamiętajm, że byłby niedobry moćny artykuł w „I.K.C.”³¹ przeciw reformie piwnicy, że były w „Prosto z Mostu”³² o literaturze, w „Czasie” i na sporze ze Stawągniemerem i „Kan-

²⁸ Z. Kosak: Najbliższe sprawa „Prosto z Mostu” 1936 nr 42, s. 4; 46. Tę p. nie ma wznajacz być wyjęcie „Kultura” 1936 nr 25, s. 1. Polem. Jakubik Zyrard: „Pamiętno”, ale wlaśnie – „dziękuję” (Pani Zofia Kosak w odpowiedzi). „Prosto z Mostu” 1936 nr 44, s. 1; Musielowska Helena: Z powozu artystów Zofia Kosak Tamże, s. 8; Polkowski Czesław: W odpowiedzi pani Kosak. Tamże nr 45, s. 3.

²⁹ Prof. J. Birkenmajer został powołany na katedrę historii literatury w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Wybuch wojny przeszkodził rozpoczęciu wykładow.

³⁰ Zofia Kosak urodziła się w Kofimnie koło Lublina.

³¹ Z. Kosak: Zostanie nam morze co znowi i rógd, który rapidi. Jerzyce w sprawie agraroznej piwnicy. „Biuletynow Kwart. Colizyjny” 1935 nr 77, s. 5.

³² Z. Kosak: Tajemnica wdrowości. W odpowiedzi pani Alfordowej Jentelionowa. „Prosto z Mostu” 1936 nr 34, s. 1-2.

tyczki śnieżne³³ o pojmovaniu prawdziwym lub literackim katolicyzmu. W „Obronie Kultury³⁴ o pacyfyzmie, w „Kurierze Warszawskim³⁵ na przetrwanie tematy polityczne lub społeczne.

Tymczasem chciałbym bandzo, abym przeczytał „Dejanirę”³⁶. Wyjdzie wreszcie, prześlę ją Panu mójczimian. Po liczących „rebołkach” propa-gandowo-dyktandoznych dla młodzieży lub polamałabawstwa (Trembo-wia³⁷ „Warna”³⁸ „Gród nad jeziorom”³⁹, „Na Słasku”⁴⁰) jest to zdow-rzeć pisana, nie wiem, czy źle czy dobrze, ale z całym przekonaniem i pas-ją. Mam wrażenie zresztą, że wywoła liczne spory i dyskutuje ze względu na zawarty w niej problem.

Przejdzie do Górki. Raz jeszcze bandzo serdecznie o to proszę. Pani i dzieciom najserdeczniej i najmiliej wiatki. Panu pięknie i szczerze podziwianiu.

Z. Szatkowska

³³ Z. Kosak: Kwestia dynamu. Na marginesie „Kawczyck śnieżnych” „Jana Szatkowskiej”, „Czas” 1938 nr 153; Pałenska z art. Jana Szatkowskiego: Czy istnieje astatyczna powrośń?, „Czas” 1938 nr 118.

³⁴ Z. Kosak: Pacyfizm i pacyficy. „Obrona Kultury” 1938 nr 6, s. 2.

³⁵ W „Kurierze Warszawskim” ukazały się następujące artykuły i opowiadania Z. Kosak: Cieroty był sobą (1938 nr 63); Po dwóch miesiącach (1938 nr 291, s. 10-11); Rozmowa (1938 nr 166); Znamieniny (1938 nr 242, s. 14-16); Konwja Małej Bostki Pięknokozowej (1938 nr 165, s. 15-16); Wypowiedz moje (1938 nr 252, s. 16-18); Wiosnowa danna Domini (1939 nr 33, s. 6-8); W miewie Bony i Salomei (1939 nr 36, s. 18-19); Krzemienie i licum krzemienieckie (1939 nr 37); Anzalonej gajp (1939 nr 43, s. 10-11); Chocny (1939 nr 46); Pod harem szlachej niewidykaj (1939 nr 57, s. 16); Mielnierz-terba dynamu (1939 nr 64); Śmierciowy świt (1939 nr 78, s. 10-11); Opuszczony (1939 nr 96, s. 4-5); Ścięty dzwonek (1939 nr 98, s. 14-16); Pruito z areo (1939 nr 100, s. 3-4); ...w marcu jak w garmcu (1939 nr 115, s. 4-5); W Lanewille (1939 nr 125, s. 14-16); Kalmier (1939 nr 146, s. 16-18); Paruzca (1939 nr 167, s. 2); Miasto legendy. Złóty legend zandomierskich (1939 nr 173, s. 12-14); Światy obrót (1939 nr 187, s. 9-12); Dwojzy zioni (1939 nr 228, s. 4-5); Stare siediły (1939 nr 229, s. 9); Gwery podziókie (1939 nr 231, s. 4); Na alicach Worszany (1939 nr 248, s. 2).

³⁶ Powieśń Z. Kosak Subota Dejanirę ukazywała się w odcinkach w „Gazecie Polskiej” (1939 nr 126-241). Brakowało ukazała się dopiero w 1949 r.

³⁷ Z. Kosak: Trembowia. Powieśń i historyczna Pomaz 1938, Księgarnia św. Wojciecha.

³⁸ Z. Kosak: Waria (Skio powieściowy). Warszawa 1938, „Biuletyn Polska”.

³⁹ Z. Kosak: Gród nad jeziorom. Warszawa 1938, Gebethner i Wolff.

⁴⁰ Z. Kosak: Na Słasku. Lwów 1939, Palatze. Wydana. Książek Słobianych (zawierała opowiadania: W paucy, Król samofel, Zapisanie, Czarne bogactwa, W górach, Bzdurcie, Po światło).

Jerzy Turowicz (1912-1999)

27 stycznia 1999 r. zmarł w Krakowie Jerzy Turowicz

– pisarz i publicysta, założyciel i przez ponad pół wieku redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego”. W trudnych latach PRL dawał przykład jak mądrze i skutecznie walczyć o ocalenie podstawowych wartości chrześcijańskich. Jan Paweł II na wiadomość o jego śmierci skierował list do kardynała Franciszka Macharskiego, w którym m.in. napisał: Był on człowiekiem głębokiej wiary, opartej na solidnym fundamencie formacji intelektualnej i duchowej, wzmianstwiej jeszcze z „Odrodzenia” i stale rozwijanej. Z tej wiary czerpał siłę do dochowania wierności zasadom, (...) do odważnej obrony człowieka i jego godności.

Pogrzeb odbył się 30 stycznia 1999 r. w opactwie tyneckim.

noty

KRZYŚTÓF GÓRSKI

PO GOSPODARSTWO WATYKAŃSKIE INWESTYCJE JANA PAWŁA II

Wędrując po dawnym Państwie Kościelnym, a zwłaszcza po Rzymie, natrafiamy co krok wykute w kamieniu papieskie niezmięta i świetliste mury, obwieszające, za ten kościół, szpital, przytek, kamień publiczny, a nawet fontańne posłazki z wolii jedo-ki z papieży. Owe budowie, wzniesione na chwałę Boga i na pozysk ludzki, są jedno-czenie świadectwem papieskiego mecenatu i postamiem nakazi architektomizacji.

Mecenat papieży tuzlat raportownie z chwilą zagrożenia pałacu kościelnego przez Włochy w 1870 r., aby odżyć ponownie wraz z powołaniem suwerennego państwa – Mianu Watykańskiego – w 1929 r., ale oczywiście na bardzo ograniczoną skalę. Z tym zastatezaniem Pius XII zabiegau na miarę państwa budowniczego, bo za jego sprawo-chaotyczne zaplecze bazyliki św. Piotra i pałacu watykańskiego przekształcono zostało w system funkcjonalnych budynków i pięknych ogrodów, które możemy dzisiaj podziwiać.

Następnie papieżowie, Piusowi XIII, duno było zrealizować to, oszaniwilo przez pół tysiąca lat gępienie papieży i mactwienie wielkich czynnych w Rzymie architektów; stworzenie monumentalnej drogi wiodącej do bazyliki św. Piotra i dziedzińcy położonej między Zamkiem św. Anieli a placem przed bazyliką – ustraszczoną dla centralnych urzędów Kościoła i związanym z nią instytucji.

Pierwszy sygnał dał niewątpliwie Mussolini, decydujący się na przesiedlenie 5 tysięcy zamieszkałych tu ludzi, wyburzenie chaotycznej zabudowy i konserwację wtopionych w nią renesansowych pałaców, wymagających niekiedy przesunięcia, aby otworzyć perspektywę via della Conciliazione. Wymagało to zgody papieża, który papieży zaspo-łował. Kobiędziła siębyłi rozpoczynać, ale dopiero po zakończeniu wojny Pius XII wybudował wielkie gmachy Kongregacji i innych urzędów kościelnych od strony placu św. Piotra i Zamka św. Anieli. Większość porożonych budowli też weszła w posiadanie Kościoła. Via della Conciliazione została ukończona z okazji Roku Świętego 1950. Misna ufa, że zostanie z czasem zzerwowana dla ruchu pieszego. Może wtedy kroczony niż pielgrzymi i turysty dzieląc sobie spawę, że patrząc na kopułę św. Piotra widzą jedno z naj-piękniejszych dzieł architektury nowożytnych w historii ludzkości.

Paweł VI pierwszy wprowadził do Watykańskiego architektury nowoczesną, budując szura rzędy antycznej i etnologiczne ontz kolonialną, aże Audiencają projekcji aluznego Piusa Luigi Nervi. Postyfikat Paweł VI odengul także nę najbardziej znaczącą w tysiącletniej siedziby papieży na Lateranie. Pałac Apostołski został przywrócony do dawnej świetności i częściowo przystosowany do potrzeb kurii diecezjalnej biskupa rzymskiego (której, jak wiadomo, jest papież). Rozciągająca się za bazyliką strefa eksterytorialna, mieszcząca m. in. Uniwersytet Papieski i Wielkie Seminarium Rzymskie, została rozbudowana i częściowo przebudowana, tworząc harmonijną całość. Paweł VI stał się tym dla Late-rana, kim był Pius XII dla Watykanu.

Postyfikat Jana Pawła II przyniósł w pierwszym sensie zamknięcie przekształceń. Wytka-mo i jego rzymskich snów (stref eksterytorialnej) będących rezultatem traktatu z Włochami z 1929 r. Nie był to więc jak okres budowy i spektakularnych, lecz raczej funk-cjonalnych i precz konserwatorskich. Późna tym pierwsze lata pontyfikatu były obarczone

krzyżem finansowym, a papież dbał przede wszystkim o zapewnienie funkcjonowania kurti będącej na usługach Kościoła Powożaczkiego.

Ale działalność polskiego papieża podlegała również jeszcze ograniczonym, wynikającym z faktu, że jest on powiernikiem najniższego patronimatu artystycznego Włoch. Zapewne dlatego Jan Paweł II nigdy sobie nie pozwolił na wprowadzenie do Watykanu architektury nowoczesnej, jak to zrobił na wielki skalę Paweł VI.

Może najlepszą scharakteryzować inicjatywę obecnego papieża polskim określeniem, że papież zarządza swoim państwem „go gospodarski”. Jak dążyć o „głównym gośpiodzie” każde swoje zabytkowe budowle nie negowały i utrzymywały w wzorowym stanie. W następnej kolejności uwspiernia i unowocześnie funkcjonowanie podległego mu aparatu administracyjnego, wreszcie uzupełnia elementy zabytku i zagięłości samego państwa, troszcząc się jednocześnie o tych, którzy są najbliżsi sercu Chrystusa, to znaczy o biednych. Corocznie wydawane drukiem sprawozdanie z działalności Stolicy Apostolskiej (*L'Annuario della Santa Sede* 1992, 1956 stron) informuje drobiazgowo wyzczepiająco o tych poczynaniach.

Pierwsze miejsce w patronimach architektonicznych Stolicy Apostolskiej jej zajmie bazylika św. Piotra. Zachwiana równowagą kolosalnej fasady z trzynastu wyłozb żurawiej niepokojące, że wykonanie niezbędnych zabiegów wymagało ogromnych środków, często przekraczających możliwości finansowe Watykanu. Na szczęście „Rycerz Kolumba”, pełniąca organizacja katolików amerykańskich, postanowiła sfinansować prace, które trwały kilka lat.

Drugim przedmiotem pensyfikacji, o widywanym jeszcze znaczeniu, jest odczerstanie i konserwacja fresków z Kaplicy Sykstyńskiej, w maszce której pędził Michał Anioł. Jest to jedno z szczytowych osiągnięć światowej sztuki malarstwa. Finansowanie prac stało się możliwe dzięki nakładom firm japońskiej, które otrzymały w zamian prawo reprodukcji fresków. Prace rozpoczęte w 1984, a były dzisiaj lat. W przypadku bazyliki św. Piotra i Kaplicy Sykstyńskiej Jan Paweł II oddał bezceremonijnie patronimatem artystycznym ludzkości.

Prace dokowane w Pałacu Apostolskim, w którym papież mieszka, zaczęły i przynijm, dotyczą wybitnego dzieła XVI-wiecznej włoskiej architektury cywilnej. To rezydencje dwóch poprzedników papieża ozięci szczególną opieką. Konserwacja katedrowych i malarowanych stropów oraz fresków zdobionych ściągą sal reprezentacyjnych trwała od 1979 do 1986 roku. Odnowione zostały posadzki z wielobarwnych marmurów oraz ozdobne kruszaki otaczające dziedzińce św. Damazego, wspaniałe i pięknego św. Piotra. Ostatnim etapem była renowacja fasady. Rozpoczęta od elewacji tyłcej, zakończona została w 1994 z Dopiero odczerstacy kamiercy grzyms pałacu i wreszcie obramowania wian oknem zwężone uwagi popieszonych rzymskich tarasów na zrubach architektury teatru budynku, który, jak na ogół wszystkie pałace renesansowe, nie przywiązuje zbyt mocno uwagi osób nie obciążonych z historią architektury.

Z okazji dziesiątolecia pensyfikacji Jan Paweł II konserwował na piętrze reprezentacyjnej swej siedziby Kaplicę Michała Żwirki (Rodzimego Mater), gdzie przy zachowaniu historycznego wnętrza dawnej kaplicy „Anioły Marydły” (dekoracje freskowe dostrziki Kościoła) wprowadzone zostały elementy sztuki nowoczesnej (grafiki kryzowej, witraże), a marmurowa posadzka została zdobiona herbem papieża (według rysunku Lotto Sorensen).

Skoro mowa o konserwacji dzieł architektury, trudno nie wspomnieć o bazylice Santa Maria Maggiore, jednej z czterech wielkich bazylik papieżskich w Rzymie, która dopiero po udecrstowaniu czterech fund papieżów (Benedyktyni Mater), w sposób dostojny i zarazem fantazyjny style architektury. Wspominał na treza jubileusz o nowym wystrój architektonicznym galerii papieża Jana Pawła II w pałacu apostołskim w Castel Gandolfo.

Watykan jest również siedzibą muzeów. Za obecnego pontyfikatu zostały zbudowane dwa piętra pod pinokotek, powstało muzeum filatelistyczne i numizmatyczne w dawnym budynku stacyjnym w Ogrodach Watykańskich, na koniec zainaugurowano dwa nowe siedziby watykańskiego muzeum historycznego w pałacu apostołskim na Lateranie, co daje możliwość mieszkania wspaniałych sal piętra reprezentacyjnych.

W dziedzinie potrzeb praktycznych wymyślił 5 kilometrów półkę na rechwidy Biblioteki Watykańskiej w nowym lokalu pod dziedzińcem bibliotecznym, półkę na archiwa pod dziedzińcem Della Pigna, całkowicie nowe drukarnie, lokale redakcyjne i administracji („L'Osservatore Romano”, nową aptekę, podziemne schronyżony towarów importowanych do Watykanu, wreszcie stałe modernizowaną stację nadawczą Radia Watykańskiego).

Otak tych przedsięwzięć, w 1988 roku papież święcił w Watykanie jubileusz, który sercu jest na pewno najbliższ: przykład dla najbardziejych „Dzi Mary”. Połecio go budować: dla niej Matki Teresy z Kalkuty. Przytekł ten, dostępy wprost z ulicy (Piazza di S. Uffizio), mieliśmy damową jadłodajnię, ośrodek zdrowia, lokal wyprawy z 70 idormitoriami na 70 osób. Jest tam również rozdzielna wszelkiego rodzaju pomoc.

Kontrybucji, jak wiadomo, wybierają papieży w Kaplicy Sykstyńskiej. W okresie głosowania żyła w całkowicie izolacji od świata zewnętrzznego (konkordat). Przed zwołaniem sejmików w pałacu papieżów na Kwirynale (1870), a potem przybył do Włoch, kościół zbierało się właśnie tam. Pałac na Kwirynale podobnie bowiem spartano zostały pomieścić wszystkich kardynałów. W Watykanie apartamentów takich nie ma. Maszyna imprezować przepięknie na nozlegi, instalacje sanitariat i gospodarce w zapięto się na ten od nie należącego sobie miejscu i pałacu. Te przewidywane działania były możliwe, dzięki liczbą głosujących kardynałów wynoszą 70. Teraz została podniesiona do 120. Jan Paweł II postanowił rozwiązać problem, rekrutując brygady idonistów. Jego Matry, które jest przedmiotem zakazy i kanonów II. Pięta. Powstało 150 takich miszek: rytyna, gabinet, biurowa, biurowa dla pracowników Sekretariatu Stanu i innych urzędów. Miszkantka te powstała do dyspozycji kardynałów za czasów królów. Kardynałowie będą mogli przebiec pod boczny świat. Pięta do Kaplicy Sykstyńskiej, gdzie celebrowano są najbardziej i gdzie dokonywano wręczenia świętowania.

Niebudowa obchodzie będący dwuletnie święto chrześcijaństwa. Owe start w nowo-tytułacie przyzywony został przez siebie Watykański II, którego dzień ukoronował on-tatnie Katozym Kościoła Katolickiego. Celem programowym przez papieża na trzecie tysiąclecie jest nowe ewangelizacja ludzkości. Rzym papieżi od nowym celebrowal uroczystości jubileuszowe chrześcijaństwa, m.in. obwiał Boga niewymi budowania. Jan Paweł II zrobił to w sposób specjalnie dokończony. Polu miliona Rzymian zapyrfierii zamieszkałe dziednie pucharowe katedrowy, marzył więc także budowy w kościołach czasie piędziesiątka nowych kościołów. Jest to w pierwszym rzędzie zadanie dla diecezji rzymskiej, wspieranej przez episkopat Włoch. Chętniejąc z innych prowincji i krajów przewidywać tu tłumnie i na ich przyjęcie musi się Rzym przygotować. Przy każdej gotowości do wykonywania akcji ze strony władz miasta, Watykan projektuje budowę kilkunastowiej parkinga pod względem Janiculum. Zmniejszy to może ilość parkingów w Mieście Watykańskim, ułatwi podjeżdżającym dojazd do placu św. Piotra, muraw, na wszelkie uroczystości i audyencje, a także ułatwi odrodzu amuchodowego monumentalizmu della Concettione.

Krzysztof Górecki

WACŁAW WOŁYŃSKI

POCZET DOSTOJNIKÓW KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO W POLSCE

Biografistyka polska wzbogaciła się ostatnio o kilka interesujących książek prezentujących episkopat katolicki w Polsce. Wartyłyby wymienić wydane w ostatnich latach takie przyrędy jak Piotr Nitelicki *Biaski Polscy w Polsce. Słownik biograficzny* (ODSS, Warszawa 1992), Marcelega Koziarska *Portret prymasa Polki* (Spółka Wydawniczo-Książkowa, brak miejsca wydania, 1997) czy Krzysztofa Krasnowskiego *Biaski katolicy II Rzeczypospolitej. Słownik biograficzny* (Wyd. „Bene Nati”, Pomań 1996). Ta ostatnia uwzględnia biasków obrządku bizantyjskiego, grekokatolickiego oraz emigrackiego, a także osobno ilustrowane na fotografiach.

Wymienione książki w świetle historycznym informują o biaskich kierujących Kościołem w Polsce, od apostoła Wojciecha po „prymasa wspaniałego” Stefana Wyszyńskiego. Zaawizo historyk, jak i socjolog czy polityk zajął w nich interesujące informacje.

Kościołi do rzedowna rzednow powięćciowej odnośni się do publikacji wszelkiego rodzaju biograficznych swoich współczesnych dostojników. Za: katalogi, spisy i tte - były może nie bez znaczenia jest to zawarty konkordat między państwem i Kościołem - sąkają się

SŁOWNIK ENCYKLOPEDYCZNY TEATRU

Mileńskich literatury i teatru zainteresuje z pewnością porównanie wydawnictwa Bordas, znanego z serii niemieckich książeczek znanych przez teatralistów i wnikliwą analizę literacką dokonaną przez przedmiotówkę środowiska naukowego. Wydawnictwo to podjęło się również zadania ilości historycznej, natomiast ile opracowania słownika encyklopedycznego teatru. Owoce tego przedsięwzięcia można było smakować w roku 1995, kiedy to wznowiono z niezmiennymi poprawkami dwutomowe dzieło pt. *Dictionary encyclopédique de théâtre*.

Niemiecki 250-osobowy międzynarodowy zespółowi redakcyjniemu przewodniczył emerytowany profesor Instytutu Studiów Teatralnych na Uniwersytecie Paryżu III, Michel Crozier. Autor znany jest ze swych prac poświęconych przede wszystkim historii dramaturgii współczesnej, zwłaszcza zaktualizowanej i uzbudowanej w 30, estetyce oraz semiologii teatru. Dziełkiem jego książki i artykułów i tłumaczony z francuskiego.

Czytelnikom interesować będzie jednak zawartość merytoryczną i tymi impozyjnymi porcjami. Impozycyjnie zarówno pod względem stanu graficznego, jak i objętości. Ponad 1000 dwukolumnowych stron wypełnia 2400 haseł tak różnorodnych, że aż trudno odróżnić jakikolwiek kłoz, których mogłoby pochodzić są autorzy. Nie umniejsza to jednak doniosłości przedsięwzięcia, w którym znalazło można informacje dotyczące m.in. takich zagadnień jak: historia teatru (teatr antyczny, grecki, bizantyjski), estetyka czy teatralia teatralna. Obszernie opracowano zwłaszcza tematykę i zwroty z teatru iżwie związane, z tego wymode, np. kwestiami czy tak trudne do wiernego przetłumaczenia „emploi” bądź nie do zgrzytu już nikomu i powszechnie używane „Aristoteleowski „katharsis”. Uwzględnienie różnych aspektów, chociażby historycznego jak i estetycznego, porwało mi serce i przedstawił w odmiennych perspektywach, co jest przecież istotne przy dokonywaniu licznych analiz dzieł teatralnych czy z tożsamymi związanymi.

Nie książkę również charakterystyki kierunków, stylów i prądów teatralnych i teatralnych. Hasła dramma i tragedia; dramabiblija, nieścisłości, liternictwo, romanizacja czy w Hiszpanii i w Francji. Ciągłą form autorzy wprowadzili, by przedstawić teatry w poszczególnych państwach i regionach. Wystraszają się tylko jego nazwy, żeby znaleźć informacje dotyczące historii, rozwoju i obecnego stanu teatralnego teatru. Niek czyba jeszcze nie pochwalić się tak liczną reprezentacją jak właśnie ów słownik encyklopedyczny. Bo czy uwzględnienie ponad dwudziesięciu państw (w tym np. Haiti) oraz takich regionów jak Afryka, Ameryka Łacińska i kraje arabskie nie jest zresztą dużym uzasadnieniem? Jak w każdym opracowaniu, słownikowi i tutaj znalazło można obszerny notes poświęcony osobnie aktorom, reżyserom, twórcom orkiestrów teatralnych, dramaturgom, scenarzystom teatralnym teatru, scenografom a nawet architektom. Głównie wspomnianych haseł autorzy umieścili tytuły scenogramów teatralnych, organizacji (stowarzyszeń teatralnych czy aktorów) – niestety w większości francuskich i brytyjskich, pseud autorach, stanowiącymi państwo – teatr oraz oszary.

Nie zapominając o słownikach z pogranicza teatru (teatr eksperymentalny, rytuał, sztuczności i tych realizacjach) do sztuk widowiskowych, balet, cyrk, opera.

Dwuję przygotowano także kolorowe zdjęcia uwzględniające w tym obramach teatralne dzieła sztuki teatralnych, architektury, kostiumów i mask, reżyserii, również liczne rysunki z teatrem czy w końcu scenografii. Stosunkowo wzbogacony również liczny aparat wycieczny przedstawiający np. oświetlenie sceniczne albo budowę sceny i teatru.

Wskazać można epizodytne białogławy, przeważnie w języku francuskim. Często są to tłumaczenia z innych języków, choć znalazło można również porcje podane w oryginalnie. Dożyły to zwłaszcza literatury czeskiej i słowackiej. Połkie książki to najciekawsze tłumaczenia pióra Konrada Jeleńskiego. Kotłali haseł znalazło oczywiście nie od całego zespołu ekspertów lecz od wybranego wetera, który nie posiadała do czytelnika bezinteresnie.

Bogate dane dotyczące literatury zawiera barwnie obszerna bibliografia całości zagadnień przedstawionych w słowniku. Zamieszczona na końcu książki, dzieł się na bibliografię wg państwa i wg dyscyplin, wśród których wyróżniono: literaturę ogólną teatru, estetykę teatralną, teatr, nauki humanistyczne, redakcje i organizacje, formy teatralne i pozateatralne, semiologię teatru, reżyserię, grek aktorów, kostium, scenografię, architekturę teatralną, teatr i publicystykę oraz instytucje i organizacje. W porządku się w gęstym nazwisk po-
można także zamieszczyć indeks osobowy.

niemal równocześnie obszerną publikację, album i słownik, pokazujące „kto jest kim” w polskim Kościele: Krzysztof Rafał Prokopiak, *Biografie Biskupów Kościoła w III Rzeczypospolitej. Lekcyon biograficzny* (Wyd. „Universitas”, Kraków 1998) oraz tegoż formatu z licznymi obrazkami album pt. *Biografie Polaków. W dwadziestym roku powojennej Jana Pawła II. Zdjęcia wykonali Grzegorz Gąlskiak, książkę redagował ks. Edward Dato* (Wyd. „Michałaszewski”, Warszawa 1998).

Chybaże porwie zamknięcie się uwielbiają. Lekcyon Polaków w 137 obrazkach biograficznych z bibliografiami, przeznaczone „dla wszystkich urzędujących obecnie polskich biskupów w Kościele Katolickim”.

Daty, fakty, trybny, wydarzenia, prezencja środowiska, szczegóły pasterskiej, naukowej, społecznej drogi i kariery to wszystko stanowią o informacyjnej stronie słownika. Dodając, że każdy biskup zazwyczaj jest w pełni i de facto biskupem, a biskupom ugrupowania liczące اندكى oraz szkodliwe nazwisk. Braku to tylko zdjęć prezentowanych biskupów. Są one natomiast i – to często w trzech pozycjach (portretowej, gabinekowej w „plenerze”) – w albumie przygotowanym przez ks. Edwarda Dato ze znakomitymi fotografiami Grzegorza Gąlskiaka.

Fieligrzymi z Polski, którzy w latach 1982-1986 zwiedzali rzymski zbytek kościoła „Domina, qua vivitur” przy stajaczym via Via Apia, sportkali na młodego księdza Edwarda Dato, sprężynę w tym kościele funkcję rektora. Niektórym autorem kilkunastu zamieszczonych w albumie niezwykle gustownych zdjęć jest wspomniany już Grzegorz Gąlskiak – „niezależny fotoreporter towarzyszący Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II w jego wszystkich Jego podróżach duszpasterskich”. Jego dziełem są także papieskie albumy tłumaczone na różne języki.

Album *Biografie polscy pryzdki* został na kilka rozdzielnie. Pierwszy poświęcony jest Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II, drugi – *Roll* (zbiórkan, czbionka biografii biskupów w Kościele, licząc – *Nowej organizacji* został w pełni i de facto biskupem, a biskupom ugrupowania liczące اندكى oraz szkodliwe nazwisk. Braku to tylko zdjęć prezentowanych biskupów. Są one natomiast i – to często w trzech pozycjach (portretowej, gabinekowej w „plenerze”) – w albumie przygotowanym przez ks. Edwarda Dato ze znakomitymi fotografiami Grzegorza Gąlskiaka.

Albumowa prezentacja episkopatu składa się z trzech elementów: wspomnianych już znakomitych barwnych zdjęć, krótkiego biografii z przytoczeniem biskupiego smota (bez herbów) oraz z osobistej refleksji na temat osoby i działalności Ojca Świętego – wkrótka album jest dziełem zrealizowanym w XX rocznicę reformy papieża Polaka. I autor sam dostarcza także wiele interesujących porównań. Oto mązki kilku biskupów-seniorów umieszczonych przed I wejściu bawonia, pochodzących z Krakowa i doświadczonego niemieckiego i srodkowicki obywateli i wiejskiego. Ale wśród nich jest wielu i takich, którzy uwolnili się już na II wojnie światowej. Biskup Ncew Żywiec (1948), bp Jan Czarnek (1948), bp Wiktor Szwarc (1948), bp Kazimierz Ncew Żywiec (1950). Umieszczonych z 1950 roku jest kilku, a najmłodszymi to Piotr Jarecki (1955) – biskup pomocniczy archidiecezji wrocławskiej. Szczególnie ci młodzi to ludzie zamieszkali w wykładni, z dyplomami biskupich i obcych uniwersytetów i akademi (głównie niemieckich, francuskich). Z doktorantami, habilitacjami i tytułami profesorskimi. Autorzy wielu książek naukowych i specjalistycznych. Prowadzący wykłady na liczących wyższych uczelniach w kraju i za granicą. Niemal do dróg studiowali na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W zdecydowanej większości w biografiiach mieli odważniejsze obywateli lub robotnicze pochodzenie. Biskup Kazimierz Ncew nawet za swoje hasło przyjął: „Zjadaj i dla ludu”.

W słowie wstępem do książki alpe Ncew Krowczyk – młodych apostołki w Polsce napisali. Album jest nowością na polskim rynku książkowym i niezłym uzupełnieniem dotychczasowej publikacji z tej dziedziny. U. Ofiar, że bibliografiami na przykładzie do pogłębiania wiedzy i jedności wierznych ze swoim Pastorem.

Omawiane porcje mają też w porównaniu z wieloma bibliotekami i kolekcjami obrazów prywatnych – zrealizowane zostały wydaniem starsze i pełnić będą ważną rolę informacyjną. Portrety często zane z różnych wytypiń radowych czy publikacji prasowych stają się dziełami tym wydawnictwem jeszcze innymi anonimowo.

Warsław Wybiński

Krzysztof Rafał Prokopiak, *Biografie Biskupów Kościoła w III Rzeczypospolitej. Lekcyon biograficzny* (Wyd. Universitas), Kraków 1998, 188 s.
Edward Dato, *Biografie Polaków. W dwadziestym roku powojennej Jana Pawła II. Zdjęcia wykonali Grzegorz Gąlskiak, książkę redagował ks. Edward Dato* (Wyd. Michałaszewski), Warszawa 1998, w 347 obrazkach na ponad 300 barwnych zdjęciach.

Przeeglądając ów słownik trudno nie popaść w zachwyt nad jego rozmaitością, tymi barwnymi i autorzy, jak widok, stawali się ukazani poszerzone teatry już nie europejskiego lecz światowego. Nie uszczególnił jednak pewnych usterk, z których najbardziej blada można określić jako francuski punkt odniesienia do tego, o czym pisał, jeśli bowiem przynajmniej taka perspektywa, nie dźwiga już tak bardzo basła dotyczące Afryki bądź inżynierii, dawniejszych kolonii francuskiego imperium. Nie zgłębiając się jednak we francuski sposób wolała światową wydzielić się do informacji dotyczących naszych rodzimej kultury teatralnej.

Autorem większość basel dotyczących polskiej tradycji i literatury testu jest Jan Blotnicki, który opracował artykuł narodowy, a oprócz tego opisał wybitnych najwykszych polskich osobowości teatralnych. Znalazł się tutaj dramaturgowie: A. Fredro, A. Mickiewicz, J. Słowacki, Z. Krasiński, S. Wyspiański, S. I. Witkiewicz, W. Gombrowicz, T. Różewicz, S. Mroczek i Leścyński, W. Bogusławski, J. Osterwa, L. Schiller, A. Woźna, K. Dejmek, J. Szajna. K. Swinarski oraz uznawana za najwykniejszą polską aktorkę H. Modrzycka, a także przedstawiciel scenografii: A. Z. Prokaszewski. Nie zapomniano o polskich zespołach, które reprezentuje „Dialog”.

Na tym nie wyczerpuje się pokład w dzieło słownika. Inni autorzy przygotowali bowiem noty biograficzne dotyczące T. Kantor, J. Grotowski, P. Cieślak, A. Seweryna, J. Kotka i J. Potockiego.

Znawcą polskich tropów w tym wydawnictwie zapewniono może jeszcze do basla „Europa Wschodnia”, gdzie słów parę wspomniano o A. Prokaszewski, K. Fryza i „Jrakowski szkoła” polskiej scenografii, polskiej sceny oraz „Scenie Plastyzmu w Polsce” (sic!). Prawdopodobnie autorki chodziło o Scenę Plastyczną KUL, która chciała się pochwalić jako przykładem sceny eksperymentalnej. Bląd to niemały jak na tak znaczącą pozycję. Blędów podobnych zostało może jeszcze parę, np. J. Kononig wciąż jeszcze jest reżyserem naczelnym „Dialogu”, a J. Szajna ciągle jeszcze prowadzi warszawski Teatr Studio.

Był może łagodniejszym okiem można by popatrzeć na ów słownik, gdyby wśród tych niezliczonych basel dotyczących Polski znalazły się jeszcze przynajmniej trzy nazwiska: J. Gregorzewski, J. Juszczyk i K. Lopy. Są to przecież osobowości ważne nie tylko w sztuce w kraju.

Wydaje się, że autorowi nie zależało na ukuśnieniu basel, mimo iż obecna edycja wybuchona jest o 300 nowych. Jeśli jednak, znaczenie tego słownika mierzyć miarą innych pozycji tego typu, jakie pojawiają się zarówno na rynku zagranicznym jak i polskim, to książka Michela Corvina pozostaje wydawnictwem dość wyjątkowym, przede wszystkim z racji zachęcania, ważnym i szlachetnym.

Edyta Królak

Michał Corvina *Dictionnaire encyclopédique de théâtre*, Basile, Paris 1995, s. 1031.

EDYTA KRÓLAK

TRIUMF PORTUGALSKIEGO PISARZA

Jose Saramago, laureat Izbickiej Nagrody Nobla 1998 (ur. 16.11. 1922 w Azimaga, region Ribatejo), powieściopisarza, poeta, dramaturg i dziennikarz, jest dziś uważany za jednego z najważniejszych przedstawicieli portugalskiej literatury współczesnej. Nagrodę otrzymał ma w ub. roku, jest pierwszym laureatem Nagrody Nobla dla Portugalii. Wiadomo o niej została przetyta przez *Portugalizację* z ogromnym entuzjazmem, mimo iż pojawiły się też głosy krytyczne. Mieszkańcy na Wyspach Kanaryjskich pisarz przybył do Lizboń, gdzie poświęcił się spotkaniom z czytelnikami, udzielaniu wywiadów, przyjmowaniu gości i liści z gratulacjami ze wszystkich stron świata, m. in. od królowej Bismarckowej Carlotta i królowej Sofii, Federica Castro, były prezydenta Portugalii Maria Soares oraz od wielu innych wybitnych postaci.

Wraz z Nagrodą Nobla nastąpił znaczny wzrost sprzedaży książek Saramago, nie tylko w Portugalii, ale i na świecie. „W Polsce sprzedano w dwa dni dwa tysiące egzemplarzy, co równa się ostatnim pięciu latom” – stwierdziła międzynarodowa agencja prasowa, Ray-Gide Martin. W Niemczech z ciągu jednego dnia wyczerpał się nakład i trzydzieści tysięcy

wydali kicercerkowicy. We Francji, gdzie Saramago nie był zbyt popularny, sprzedaż się dziennie trzyma egzemplarzy książek powieści od dnia ogłoszenia nazwiska laureata. Różnica wydawcy wydawcy i autorów takich jak Saramago, który użył swojego nazwiska z tego, że autor o kulturze tak odmiennie uwyłał tak wielką popularność. W Hiszpanii, gdzie jest wydawane najwięcej książek Saramago, przepłył i nowina z burzliwą radością, gdyż Hiszpanie dumnie nazywają go „guzianem iberyjskim”. Hiszpania dla nich dom, sukces, prestiż, uczynił go jednym ze swoich. Sam pisarz powiedział: „Jestem Portugalczykiem, gdyż jestem tym samym Portugaliem, ale także jestem Hiszpanem, bo zostałem ogłoszony przez Laszara. Czuję się, jakbym był w szóstym kraju, który rozsąca się aż do Wyoj Kanaryjskich, aż do Brazylii!”.

Żonaty z ambitią dziennikarką i podróżniczką, Pilar de Rio, pisarz uwielbia Madryt, Laszara i Lizboń za najwspanialsze miejsca w swoim życiu, pisarz odwiedzenia, w których poprzez konferencje prasowe i wysej specjalne dzielił się swa radością z otoczeniem nagród. „Czuje się, jakbym znalazł się w jakimś innym świecie, że zdobyliśmy Nobla, zapiera nas sam oddech” – powiedział Saramago w Madrycie. Jest wielki pisarz portugalski, który mógłby znajdować się w mojej sytuacji. Dlatego gratulacje podzielę się z nimi moją radością. Kobiety jest ogromna, gdyż nie spodziewałem się nagrody. Dzięki jej i wszystkim moim ludom, którym pragnę być pisarzem, wazownym, którym nie udało się uzyskać uznania czytelników”.

Dla wielu jednak Nobel Saramago jest sprawą kuszącą, który, jak że jest on kromista, „Nie miałem pretekt by komunizm, aby zdobył Nobla. Chybaż musiał być zwycięzcom i królem prokaszewski, zwycięzcom w nagrody” – twierdzi pisarz. Jak widzę, nie było to dla szwedzkiej Akademii przeszkodą.

Jaka jest twórczość Saramago, Portugalizacja mieszkażącego w Hiszpanii, w wykształceniu Hiszpana-szczepaka, prawującego od roku dziennikarstwa, wszechstronnego pisarza? Jest on samoukiem, wielobitnym klasycznym – *Mozartem*, Cervantes, Camões, mojczy, iberyjszy i latynoskrajowy pisarz, wryczy on wbył na deskach Saramago. Saramago do Pesno, wylitnym poecię portugalską, zawiądująca jego ze swych postaci Izbicki – Ricardo Rieta (był to jeden z bohaterów, pod którego nazwiskiem ukrywał się Pessoa), bawiska powieści *Rico Aniceto Ricardo Rieta*, która ukazała się w 1984 roku.

W swym powieściowym wątku przedstawia Lizboń, która jest dla niego miastem wspaniałym, a zarazem samotnym, miastem zamkniętym przez duchy, posty, wylitnym, a jednak uwielbianym jak kobieta, o czym mówi w innej swej powieści *Historia miast Lizboń*, wydanej w 1989 roku.

We innej objawiła mu się nazwa *Evangelia według Jezusa Chryzama* (hamaczenie polskie Cezary Długość), która wywołała skłoni i krytykę ze strony Watykanu. Jest także romansem o historii budojczy klasztoru w Alfama, powieść *Bulwiarz Bismarcka* (hamaczenie polskie Elzbieta Milewska), w której wykorzystujący i wazochoccy autorstwa charakterystyczne są wykreślenie tryzycznym stylem. Na podstawie powieści powstała opera *Bismarck* skomponowana przez Wilcha Aziz Gokul. Styl pisarza odznaczony jest eteryczną klasyczną i barokową. Alegoria, charakter symboliczny działań bohaterów, parabola moralna, to stale cechy twórczości Jose Saramago.

Zycie jego jako pisarza i jako człowieka przyniosło mu wiele radości. Przynajmniej, że czasami wydaje mu się, iż jego życie przekroczyło rzeczywistość, że awalo mu przez kogoś pożyteczne. Przez kogo? Ktoś za to dziękować! Jednocześnie wie, że jest takim samym intelektualnikiem jak inni. W artykule dotyczącym jednej z jego powieści pisze: „Pisarz jest człowiekiem takim jak inni: źli. Ze smu jodami bodźczy się wazywać”.

W domu na wyspie Laszara istnieje tajemnica. Jest to jaskyni, przestronny, z widokiem na morze, górną otwartą, otwarty do góry, podłogi kwiatami. Jak stwierdziła z lekka ironią Pilar, „wazyłoby kłopoty z tymi zamykały się w ich domu”. Sam pisarz uważa, że „miejsce, w którym żyjemy w całkowicie spokoju”, które jest całkowicie zaprzeczeniem podróźniczego życia, do jakiego jest ostatnio zobowiązany. Przed ogłoszeniem decyzji szwedzkiej Akademii Saramago wyjechał z Laszara do Frankfurta na konferencje o tym, czym jest życie pisarza komunistycznym w dziesiątym wieku. Zabrał ze sobą rodzinę, jedną wazę, Pilar, pakując jego rzeczy, nie przypuszczając, że małżeństwo zdobył Nobla. Po ogłoszeniu nazwiska laureata, wyjechał do Lizboń, że pozostał na mało czasu. W sobotę wczesnym Pier odwiedził sklepik luksusowego Palace Hotel w poszukiwaniu koralu dla mojej i fryzjera dla siebie. Niestety, wyjechał z niego bez zaskórku. On nie miał zmienić ubrania, a ona uczesania...”

Na podstawie „*Expresso*” i „*Vista*”

Edyta Królak

KSIĘGI JAK PIOSENKI? ROZMOWA Z PAWŁEM KRUKĄ — POETĄ, PROZAIKIEM, TŁUMACZEM

Jerry Grupniński: — *Mimo Nagrody Nobla dla Miksa i Symborowej nie ma się, że literatura polska nie jest w świecie znana. Dlaczego?*

Paweł Krupa: — Nasz język, piękny i trudny, jest mało popularny. Ciągłe powtórki zbytełmo tłumaczyły. Polska nie jest uwazona za państwo europejskiej czołwki. Wspomnieć *przecież*, że podczas twego 3-tygodniowego pobytu w Międzynarodowym Ośrodku Pisarzy i Tłumaczy w Rodos, Warszawa w *dzienniku* „*CNN*” pojawiła się tylko na mapie przelotowo. Polak zdegustowany tylko raz, podobnie pasażer wlotowyj konwencji odczłnie wiodorów.

J.G.: — *Jakie cechy naszej literatury swadają za specyficznosc i wartosc promocji w Europie, w świecie?*

P.K.: — *Admisiolno do sytuacji, polczona z komunikatywnoscia, nieopadanie w nadmierne hermetyzm (charakterystyczny np. dla literatur skandynewskich). Nasze polimotywne jest konraznkatywne, interdyscyplinarne, licznca np. poezja z muzyka. Przekladem pozoga grecka, nieiosa przez piosenkę poetyckaa na cały swiat.*

J.G.: — *Byłe pracownikiem ambasady polskiej w Atenach, wspolpracował z Instytutem Politycznym w Rzymie. Jak z oddzialania wyglada nasza literatura, kultura, uczynienie kultury?*

P.K.: — *Za granice „jedzza” tylko nas klasycy. Bardzo malo znana jest tworczość starych Tyficych. To problem wszystkich krajów europejskich. Znajomosci literatury polskiej jest tóża w różnych krajach. Na przyklad w Hiszpanii wzrosła jej popularność dzięki peszy ambulatoryjnych naukowców na uniwersytecie w Madrycie (Fernando Press, Agnieszka Maryjaszczyk). We Wlozech polimotywaa ma bardzo starą i piękna tradycje. Polonisci wloscy Sante Gracioti i Pietro Marchesani są znakomitymi ambasadorami polskiej kultury, wykazali się swymi nastepcami. W Grecji nie ma filologii polskiej na żadnej uczelni. Promocja polskiej literatury dokonywana jest glowne dzięki kontaktom między pisarzami i wykladom zapraszonym. Wspomnie tu Irenej Siliagiewicze-Helleniki z Saloni, Iolanda Rydzicka z Aten oraz nieznanego z imienia w Atenach Nikosa Anagias, autora pierwszazj antologii polskiej poezji wydanej w Grecji (1993), obejmujacej poezje od Jana Kochanowskiego do Czesława Miłosza. Nikos Anagias przeznacza Grecko-Polskie Zwiaskowy Przynajni, wydaje kwartalnik „*Kouaros*”, którego tytul wiaze się z jego rodzinną grecką w Tessali. Pomylł ten zawodniaca Anagias (jak deklaracje) polskiej Skandynewizacji.*

J.G.: — *Jaka jest kondycja twórcy polskiego w greskim społeczeństwie? Dowaj poezji niedlego pokolenia Christos Rantos i Dimitri Honskietz, z których rozmawiam w Salonach, mówią z gorzosc o braku jstropolowicze społecznego zainteresowania zjadą ankiet. Ten sam zarzut dotyczy niedu.*

P.K.: — *Antyki tradycjeje w odbiorze istnieje na periferiach społecznych zainteresowad. Są gdzier bardzo daleko. Nie moza liczyć na spowolczernienie przez media i szerzej docierajace wydawnictwa. Nie ma Grecja swojej „*Maly*”, festiwalu filmowego, europejskiego i publiczności zderzajacej się ze sztuką trudną, wykliszowaną. Tyko bardzo niewiele najwybitniejszych artystów moze liczyć na pomoca rządów państwa czy też innego sponsora. Należnie jest w innych krajach Europejskich pozera wzrotya komercja, hitowina, piosenka. Odbiorca chce tutaj sztuki łatwej, obowaznej, pogodnej, wpaadajacej w ucho jak piosenka. A przeciez literatura grecka ma (nie odwołuje się już do antyki) swoje Himnazy, Nagrody Nobla dla Seferisa i Elliasa. Także i swietla przez, by wymienić tylko Kazandriaka, Mierwiliua, Weneziana.*

J.G.: — *Intencja przeczyt w Atenach zwiazki literat.*

P.K.: — *Jest ich nawet sporo. Wymienię trzy najwleczce: powstale na poczku XX wieku Zjednoczenie Greckich Literatów; encjez swoje bliski zwiazek ze swiatem tradycyjnych wartosci, licznce około 400 osób. W latach 20. naszego wieku powstalo Stowarzyszenie*

Literatów Greckich, bardzo aktywne takze poza granicami, zwiazane, jak się wydaje, z orientacjami lewicowymi. Przewodzie trza Panajotis Catakos. Stowarzyszenie liczy około 500 osób. Mniej licznce jest Naukowe Stowarzyszenie Pisarzy Greckich, zrzeszajace około 300 osób, posiadajacy czlonstwo o kolidowanej tendencjom konserwatywnym czy też wyraznie nacjonalistycznym. Powstalo zresztens literackie licza od 100 do 150 osób. Pisarzy istnieje tutaj raczej na sposob towarzyski. Nowe książki rzadko się miedzy kolowami, znajomymi i krewnymi. Rządzą — sprzedaje się. Mas ten kapitał bycia takze i swoje dodatnie strony. Ono na jubileuszowym wieczorze zaskomnego lica Sima Simosakia, swiepciego, swiepciego (wobec), wiodorów, w Atenach prawie trzysta osób, które przyszy do siedziay Stowarzyszenie Literatów Greckich.

rozmawiał Jerry Grupniński

PAWEŁ KRUPKA publikuje w piśmie literackim, *przewodni* wydaje radowe w Polsce, współpracuje z czasopiśmie literackim w Grecji, z radiem i telewizja. *Thamus z jstropolowicze, hiszpanickiego i greckiego. Moja jstropolowicze* przekladał wykladajaca greckiego (podstawki greckiego, z polubolowych Wloch). *Kompozycje, piosenki* tlo do muzyki, wykonanie piosenki poetyckiej, jest zamierzona zjwa kulturnego Polonii atolekiej.

ANATEMA NA ŚMIERĆ KAZIMIERZA GRZEŚKOWIAKA (1941-1999) CYTOWANE Z EDWARDA STACHURY

Kiedy umiera ktoś bliski, znany osobliwie lub znanyj tylko przez swoje dokonania, Amł, moze wrzasnąć, zachoczyć czy sklonić do refleksji i naszczę czegol nowego — gozama, moze najdluzie zdaniecie i bezradnosc, potem ból i rozpacz, a wreszcie ponowne poczucie Oho na jubileuszowym wieczorze zaskomnego lica Sima Simosakia, swiepciego, swiepciego (wobec), w Atenach prawie trzysta osób, które przyszy do siedziay Stowarzyszenie Literatów Greckich.

Wzruszenie je uczucie dopadły mnie na wiele o śmierci Kazimierza Grzeszkowiaka. *Zatrzymaly w biegu i rozpędzenia. I zaraz powydalen o innym zmarłym, którego bezgown był dwadzieścia lat. O Edwardzie Stachurze.*

Wiem, że chodzili i wykazali Grzeszkowiakowi po cmentarzu przy Lipowej w Lublinie i odpoczywał epilogia zapisane na płytach nagrobku. I nie byla to profanacja. Bylo to swietne pochyczenie się nad zapomnianymi czagami zawodnicami, którzy przal nasi biegli w wiecznej zwlozce życia.

Kiedy przed czterem znanymi rocznicami zjwach na Śmierćema nie śmierciem tematy. Spytalem wloze: — Edku, na Boze Narodzenie spiesz się kolpa, na Wielkanoc tematy wielkopostawie oraz zmartwychwstanie, a co będniesz spieszysz teraz? Odpowiedzial ze zdumieniem perwotlowo: — Jak to co? Oczywiście — LAMENTY.

Kazimierz Grzeszkowiak był dla mnie kimś blizwym w obu wymioleniach na wstepie i powiedzial mi przez swoje teksty i opiewanie doł wotych powiad, chwał ambicje spotkaly się napowrode tylko raz. W gościniam Dworku Kultury w Orlcach. Rozmawialiśmy wtedy szerzej, swietnie omijajace banaly.

Nie znowam się zwrócić, że z Edkiem Stachurą liczyła Go przyszy i poczucie, że chodzili i to u samej, mimo innego sposobu przygotowania do poezji. Wlanie dwoje odwołuj się w imieniu Edka Stachury potegował Kasia Grzeszkowiaka. W jego imieniu i jego wlotowa chwila.

Podobno kiedy mial umrzeć. Kiedy tyś przed śmiercią Grzeszkowiaka, jak stwi przed śmiercią celowicz dwadzieścioletni, celowicz czterdziestolietni, celowicz siedemdziesiatolietni? To znaczy kolowicz, kolowicz tyś siedemdziesiatu lat, dożył czterdziestul lat, dożył dwadzieścul lat, Czy kiedy z nich stwi przed śmiercią inaczej? Widzi się, że tak. Dwadzieścioletni tak jakby nie stali przed śmiercią, albo raczej stali, lecz obowiaznie to nie poznali: pogardliwie, wyzywajaco, bezczelno lub tylko będniesz, czterdziestolietni stali przed śmiercią, metna by powiedził profolom, już zrobili w stronę śmierci ten słynny podobie; siedemdziesiatolietni stoją przed śmiercią (wzrzą w wzrzą, oko w oko...

(Edward Stachura: *Wzruszenie jest poezja*, Warszawa 1975, s. 18)



Kazimierz Orzechowski i Leszek Skoczylas. Zespół Macieja Eliasta.
Śniadówka u Urszulanek, 15 II 1963 r.

Byli tacy co oddali się
byli tacy co umarli

o, fruwała właścicielko naszych noczy i dni
lasico cmentarna, zjadaczko estetycznego potu
pamięć wiatrskich, zabroniona wszystkich narzeczono
mądrzecko woły, labeczka kuniaczko
grzybie powraczy, jednie mityczny, wozena trucielioko
nabójczelko rodu bergsa, mazo gerta, wozno z kanci
seko z koci, brzoza z koci, ród z koci
rdzo trawentigaca, palmo niecierpliwici
w ogonie pawia ukryta ciemna maczysterio
du pół maszru opuszczona niechylna bandeto
skry i morskich latoru gancielko, szanie gluchy

ty co zbroje powieszac brule
i oziminy wiotkiej piękna niewiadoma
kto ci dal do ręki ostrą broń, zwyczajna ty wariatko

Byli tacy co oddali się
byli tacy co umarli
byli też i tacy którym to było mało

(Edward Stachura: *Po ogrodzie niech hała zgrawczo*.
Poznań 1968, s. 36-37)

I nie pomyślałem przedtem o tym, ale wiedząc, co nas czeka, co nas znaczy, że przestanie być sam smutek, tylko tak nagliżony się utracenie. Życiem bez rozsy. Wypalił się do końca, do spodu, żeby śmierci, tej zwyczajnej wariancie, nie się rozwarwi w spódce, niech odzianicy po nas popiół wygazyli i niech go sobie roduzmucha, jeśli chce, na siedem stron, i niech ma przy tym iluzję, że nie jest bezrobotna.

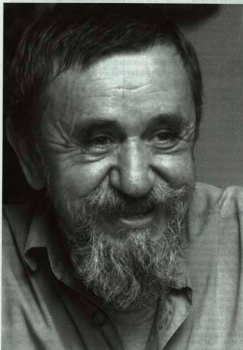
(Edward Stachura: *Cała Jaskrawość*,
Warszawa 1974, s. 29)

Mam takie wiersze, że sam „w nieświeższej tuchadzie” wyjdzie Orzechowski na spotkanie sam Włoczyży *Poeta i ogrodnica* rzasna hała. A wiał *Gin byłby Edok Stachura*. *O czym będą gadali, śpiewali i noczyli* folaję na wietrze – nie wiadomo. A szkoda, bo będą to prawdziwe rajskie homerady.

Jedną tylko pociecha, że gdy nadejdzie czas, spotkamy się z Kazimierzem Orzechowskim i Edkiem Stachurą w ogrodzie, gdzie „wszystko jest poezją”.

Janusz Kukiński

* Dwa dni temu odwiedził Edwarda Stachurę dnia 24 I lipca 1999 r. (1999, red.)



Kazimierz Orzechowski. Fot. J. Miroslaw

Informujemy naszych Czytelników, że sprzedaj bieżących i dawnych numerów AKCENTU prowadzą m.in. księgarnie:

Księgarnia ORPAN

Plac M. Curie-Skłodowskiej 5
20-031 Lublin tel. 53-75-413

Lubelskie Centrum Tworzy Książki „Levit”
Kniźkarskie Przedmieście 53
20-076 Lublin tel. 53-254-41

Księgarnia „Ryp”
Kniźkarskie Przedmieście 62
20-076 Lublin tel. 53-256-15

Księgarnia Medyczna
Kniźkarskie Przedmieście 29
20-002 Lublin tel. 53-261-53

Księgarnia „Bibliopola”
ul. Narutowicza 27
20-004 Lublin tel. 53-220-32

Księgarnia Danusia Uzczytka-Gurka
ul. Kołłątaja 11
20-109 Lublin tel. 53-240-48

Galeria ZNP
Kniźkarskie Przedmieście 62
20-076 Lublin

Księgarnia „Akcent”
Rynek Kolesiński 17
15-421 Białystok tel. 42-19-33

Księgarnia Wydawnictwa Naukowych „Eklipsa”
ul. Podwale 6
31-018 Kraków tel. 223-717, 219-33

Księgarnia Mandelkiewicza
ul. Św. Anny 7
31-008 Kraków tel. 221-033 w. 167

Księgarnia ORPAN
ul. Miodowej 37/29
61-725 Poznań tel. 524-516

Księgarnia ORPAN „BIS”
ul. Towarowa 31/55
60-818 Warszawa tel. 697-88-35

Główna Księgarnia Naukowa im. B. Prusa
ul. Krakowskie Przedmieście 7
60-068 Warszawa tel. 261-835, 266-449

Księgarnia „Odson”
ul. Białej 19
60-521 Warszawa tel. 621-80-69

Księgarnia „Czystoból”
ul. Wajlicka 14
60-490 Warszawa tel. 621-36-55

Księgarnia WSP
ul. Wajlicka Politechniki 69
65-625 Zielona Góra tel. 263-520 w. 220

Tu do nabycia m.in. numery:

z 1993: 1-2 – m. in. son w literaturze i sztuce, nieznanne opowiadania A. Luczniczka i autobiografia Andy Warhola, 3 – pierwowzrosty esejów M. Kuncewiczowej o J. Lechonia, nową prozą J. Abramow-Newelowej, wspomnienia syna I.B. Singer, 4 – z nieznanymi wierszami J. Czechowicza, trylogiosa o twórczości Danusi Mostwica i prezentacja kultury Bałtyckiej;

z 1994: 1 – z nowymi piosenkami W. Młynarskiego i kwaniami reżiserów zena; 2 – z nieznaną prozą J. Czechowicza oraz listami do Cz. Janowskiego (Wilbo); 3-4 – z pierwowzrostami A. Barzy, wspomnieniami o życiu kulturalnym Lwowo i szkicem o twórczości W. Ostajcy; z 1995: 1 – z esejem Antonia Gora, krytycznym rozprawem „Harlequinade” i dokumentami węgierskiego Padziarnika '56; 2 – ze wspomnieniami o Marku Hlasko; 3-4 – polwiczony literaturze niemieckiej;

z 1996: 1 – z opowiadaniem M. Głowskikiego, szkicami o Brunonie Schleglu i Idracie Cagel; 2 – z artykułami o T. Konwickim, prezentacją literatury „cyberpaskowej” i teledzią R. Matasewskiego o Nowogrodzicy; 3 – z entuzjazmem piastownia Ryszarda Kapuścińskiego i prozą M. Jagielski; 4 – z esejem R. Kapuścińskiego, prezentacją polskiej poezji kobiecej i współczesnej twórczości Indira Anwar-Koludskich;

z 1997: 1 – z esejem B. Harshawa o twórczości Maru Chagalla i „Nocą poezji” B. Zadura; 2 – pod tytułami „Polscy Amerykańcy”; 3 – z najnowszą esejistyką, poezją i prozą ukraińską; 4 – z poezją debiutantów i esejami o Herbertie, Kucenwiczowej, Konwickim;

z 1988: 1-2 – z nowymi piosenkami W. Młynarskiego, opowiadaniem M. Głowskikiego, D. Mostwica, M. Pankowzkiego, esejami K. Delancy i Ch. Szmeruka; 3 – pt. „Karol Wojtyła – poeta, dramaturg, filozof”; 4 – „Berlin – Lipki – Wroclaw”.

W latach 1992-1997 udzielili redakcji wsparcia: **Fundacja Kultury, Fundacja Władysława i Nelli Turzańskich z Toronto, Rada Miejska Lubartowa, Rada Miejska Lublina, Rada Miasta i Gminy Zwierzyniec, Roztoczański Park Narodowy, Ambasada Amerykańska, Ambasada Węgierska oraz Rada Miasta Naleczowa.**

Dziękujemy!

Wdzięczni jesteśmy wszystkim Autorom, którzy zrzęgnowali z honorariów na swoje publikacje w „Akcentie”.

Wschodnia Fundacja Kultury AKCENT składa gorące podziękowania wszystkim, którzy dokonali wpłaty na jej działalność. Byli to między innymi: Ambasada USA w Warszawie, Bank Depozytowo-Kredytowy w Lublinie, BIG Bank S.A., Stanisław Bek-Mostwica, Tadeusz Chabrowski, Anna Frajlich-Zajac, Krystyna Frank, Fundacja Władysława i Nelli Turzańskich, Benjamin Harshaw, Ferdynand Hebal, Małgorzata Kaczorowska, Kancelaria Prawnicza KONSULT R.O.K., Adam Lizakowski, Ryszard Lów, Sofia Majdafska, Wojciech Młynarski, Jacek Lech Mostwica, Alina Nowicka, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Mira Puczyk, Joanna Romaszewska, Magdalena Rudnik, Krystyna Rudzka-Przychoda, ks. prof. Tadeusz Styczeń, Western Union, Towarzystwo Miłośników Lublina, Zamojskie Fabryki Mebli.

Dziękujemy poetom i krytykom, którzy w całości lub w części przekazali na konto Fundacji swą honoraria za udział w „wernisazach literackich” AKCENTU:
Monica Adamczyk-Garbowskiej, Elżbięcie Cichli-Czarniawskiej, Tadeuszowi Chabrowskiemu, Markowi Danielkiewiczowi, Kate Delancy, Leszku Długoszowi, Józefowi Fertowi, Krystynie Główniak, Marianowi Grzeszczakowi, Michalowi Jagielskiemu, Ryszardowi Kapuścińskiemu, Tadeuszowi Karabowiczowi, Marianowi J. Kawalko, Alinie Kochafczyk, Tadeuszowi Konwickiemu, Istvánowi Kowkowi, Henrykowi Kozakowi, Janowi Leonowiczowi, Ewie Mazur, Waldemarowi Michalickiemu, Danucie Mostwica, Regine Möbius, Edzie Ostrowskiej, Bronisławowi Pietrakowi, Stanisławowi Popkowi, Tadeuszowi Szkolutowi, Jerzemu Świąchowowi, Bogusławowi Wroblewskiemu, Bohdanowi Zadura, Adamowi Zielińskiemu.

Księgarnia ORPAN w Lublinie oraz ORPAN „Bis” w Warszawie realizują wyspę bieżących numerów AKCENTU za pobraniem pocztowym. Zainteresowani mogą się zwracać także do redakcji „Akcentu”.



**Regularnie otrzymywanie „Akcentu”
zapewnia prenumeratę!**



Kwartalnik „Akcent” od początku swego istnienia (1980 r.) drukowany jest przez Lubelskie Zakłady Graficzne - obecnie działające pod zmienioną nazwą MULTIDRUK S.A. Firma ta istnieje już ponad 50 lat. To, że co kwartał możecie Państwo otrzymać nasze pismo w niezmiennie starannej szacie graficznej, zawalczamy fachowością, doświadczeniu i solidnością pracowników tej firmy. Także Wy możecie skorzystać z ich usług!

Redakcja „Akcentu”

MULTIDRUK 
SPÓŁKA AKCYJNA W LUBLINIE

20-950 LUBLIN, UL. UNIKOWA 4
TEL. (0-81) 747 14 37, 747 35 00
FAX: (0-81) 747 14 37, 747 15 21

OFERUJE USŁUGI POLIGRAFICZNE
W ZAKRESIE DRUKU:

- KSIĄŻEK
- KALENDARZY
- FOLDERÓW
- PLAKATÓW
- GAZET
- ETYKIET

- W TYM NA MATERIAŁACH SAMOPRZYLEPNYCH
ORAZ INNE WEDŁUG ŻYCZEŃ ZAMAWIAJĄCEGO